



Clare MacKintosh

Pozwolę ci odejść

Alexowi

PODZIĘKOWANIA

Zawsze patrzyłam ze zdziwieniem na stronie podziękowań w książkach – jakim cudem aż tyle osób może uczestniczyć w powstawaniu jednego tekstu? Teraz rozumiem. Jestem ogromnie wdzięczna swoim pierwszym czytelnikom: Julie Cohen, AJ Pearce, Marilyn Davies oraz wszystkim pozostałym, którzy pomogli mi oddzielić ziarna od plew. Peta Nightingale i Araminta Whitley niezłomnie we mnie wierzyły, dziękuję im za to. Mam nieopisane szczęście, że moją agentką literacką jest cudowna Sheila Crowley, lecz nigdy bym jej nie poznała, gdyby nie Vivienne Wordley, która

uznała maszynopis za wystarczająco dobry, by przekazać go dalej. Dziękuję, Vivienne, Sheilo, Rebecca. Dziękuję również pozostałym pracownikom agencji literackiej Curtis Brown za wszystko, co robią. Uwielbiam genialną Lucy Malagoni od pierwszego wejrzenia, nie mogłabym sobie życzyć lepszego i bardziej zaangażowanego redaktora. Dziękuję Lucy, Thalii, Anne, Sarah i Kirsteen, całej redakcji Little, Brown oraz działowi prawa sprzedaży zagranicznej, którego personel, przy całym nawale pracy, sprawiał wrażenie, jakby moja powieść była najważniejsza i jedyna.

Dziękuję koleżankom z byłej pracy, Mary Langford i Kelly Hobson – Mary za przeczytanie wczesnej wersji Pozwalam ci odejść, Kelly za pilnie potrzebne informacje dotyczące procedury policyjnej. Pragnę też podziękować rodzinie i przyjaciołom, którzy wierzyli we mnie od samego początku i wspierali, kiedy postanowiłam zrezygnować z obiecującej kariery na rzecz pisania książek, i ani razu nie zaproponowali, bym znalazła jakąś normalną pracę. Nie mogłabym i nie chciała napisać tej książki bez wsparcia mojego męża, Roba, i trójki naszych dzieci, Josha, Evie i Georgie, które rozśmieszały mnie, przynosiły herbatę i zajmowały się sobą, gdy ja „musiałam tylko skończyć rozdział”. Dziękuję wszystkim z całego serca.

PROLOG

Przymyka powieki, żeby ochronić oczy przed ulewnym deszczem, wiatr zarzuca jej na twarz kosmyki mokrych włosów. Przechodnie mijają ich w pośpiechu na śliskim chodniku, ukryci za postawionymi kołnierzami. Przejeżdżające samochody ochlapują im buty wodą. W ulicznym zgiełku ledwie rozróżnia pojedyncze słowa opowieści, która rozpoczęła się z chwilą otwarcia szkolnej bramy. Zdania padają z prędkością karabinu maszynowego – pełne pomyłek, naładowane emocjami wywołanymi spotkaniem z tym całkiem nowym światem. Dostyszała coś o najlepszym przyjacielu, projekcie związanym z kosmosem, nowej nauczycielce. Spogląda z rozbawieniem w dół, nie zwraca uwagi na zimny powiew, przenikający przez szalik. Chłopiec uśmiecha się szeroko i unosi buzię, aby spróbować, jak smakuje deszcz, mruga, na ciemnych rzęsach połyskują kropelki wody.

– I potrafię napisać swoje imię, mamusiu!

– Jesteś bardzo zdolny. – Przystaje i całuje go ognicie w mokre czoło. – Pokażesz mi w domu?

Idą tak szybko, jak tylko pięciolatek może nadażyć. Kobieta wolną ręką trzyma plecak, który huśta się na wysokości kolan.

Prawie w domu.

Samochody suną po mokrym asfalcie, oślepiają ich światłami co kilka sekund. Korzystając z przerwy w łańcuchu pojazdów, zaciska mocniej dłoń na małej ręczce w miękkiej wełnianej rękawiczce i wchodzi na ruchliwą ulicę. Chłopczyk biegnie, aby nie zostać w tyle. Mokre liście przywierają do poręczy przy drodze, ich jaskrawe kolory pod wpływem wilgoci przybrały burobrązowy odcień.

W zacisznej uliczce, tuż za rogiem czeka na nich ciepły dom. Poczawszy się bezpiecznie w jego pobliżu, kobieta puszcza rękę chłopca i ze śmiechem odgarnia z oczu mokre włosy.

– Proszę – mówi za ostatnim zakrętem. – Zostawiłam nam zapalone światło.

Dom z czerwonej cegły po drugiej stronie ulicy. Dwie sypialnie, maleńka kuchnia i ogródek zastawiony mnóstwem doniczek, w których od dawna zamierza posadzić kwiaty. Tylko ich dwoje.

– Ścigamy się, mamo?

Jest w ciągłym ruchu, pełen energii od momentu, kiedy rano otwiera oczy, aż do wieczora. Bez przerwy skacze, biega.

– No chodź!

To się dzieje w mgnieniu oka, ma wrażenie pustki u swojego boku, gdy malec biegnie w stronę domu. Na ganku pali się światło, wewnątrz wabi obietnicą ciepła. Ciastko z mlekiem, dwadzieścia minut oglądania telewizji, paluszki rybne na kolację. Codzienny rytuał, tak jest od połowy pierwszego semestru.

Samochód pojawia się znikąd. Pisk mokrych hamulców, odgłos uderzenia. Ciało pięciolatka zderza się z przednią szybą, koziółkuje w powietrzu, opada na ulicę. Biegnie do niego, pod koła samochodu, który jeszcze nie wyhamował. Poślizgnąwszy się, upada na rozpostarte dłonie, traci oddech.

Po chwili jest już po wszystkim.

Kłęka przy dziecku, gorączkowo szuka pulsu. Widzi nikłą, białą chmurkę oddechu. Spostrzega ciemną kałużę pod jego głową i słyszy swoje wycie rozpacz, jakby pochodziło od kogoś innego. Podnosi wzrok na zalaną deszczem przednią szybę auta, wycieraczki rozchlapują wodę. Krzyczy do niewidocznego kierowcy, żeby jej pomógł.

Ogrzewa synka własnym ciałem, rozpościera płaszcz tak, aby okrył ich oboje, mocząc jego brzegi w kałuży. Całuje chłopca, błaga, żeby się obudził. Żółte światło reflektorów już ich nie oświetla, samochód wycofuje na wąskiej uliczce. Za czwartym razem kierowcy udaje się wreszcie zawrócić i auto znika, zawadzając w pośpiechu o jedną z szeregu ogromnych sekwoi.

Zapada ciemność.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Komisarz Ray Stevens stanął obok okna i kontemplował swój służbowy fotel, który od co najmniej roku miał złamaną poręcz, dlatego siadając na nim, nie opierał się po lewej stronie, uważał, że to dość pragmatyczne rozwiązanie. Tymczasem podczas jego nieobecności, w przerwie obiadowej, ktoś napisał z tyłu na oparciu czarnym markerem: „Defekt”. Zadawał sobie w duchu pytanie, czy nowo odkryty entuzjazm działu zaopatrzenia oznacza, że dostanie nowy fotel, czy też ma odtąd funkcjonować w biurze pod etykietą, mogącą wzbudzać poważne wątpliwości co do jego kompetencji zawodowych.

Odszukał w zagraconej górnej szufladzie biurka flamaster i poprawił „defekt” na „detektyw”. Wyprostował się gwałtownie i założył skuwkę na mazak, gdyż drzwi do jego gabinetu stanęły otworem.

– O, Kate, ja tylko... – Zamilkł, zanim jeszcze dostrzegł kartkę papieru, którą trzymała. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na jej twarz. – Co masz?

– Ucieczka z miejsca wypadku w Fishponds. Zabity pięciolatek.

Wziął od niej wydruk z doniesieniem o przestępstwie i zapoznawał się z treścią, podczas gdy Kate stała w progu. Pracowała w Wydziale Kryminalnym dopiero od dwóch miesięcy, nie czuła się jeszcze całkiem swobodnie. Była dobrą policjantką, lepszą, niż sama sądziła.

– Nie mamy numerów rejestracyjnych sprawcy?

– O ile mi wiadomo, nie. Ekipa zabezpieczyła miejsce zbrodni, matka jest właśnie przesłuchiwana. Jest w potwornym szoku.

– Możesz zostać po godzinach? – Kate pokiwała głową, zanim zdążył dokończyć pytanie. Wymienili porozumiewawcze uśmiechy, oboje dobrze

znali uczucie przyjemności nieodłączne ze skokiem adrenaliny, tak niestosowne w obliczu tragedii, i towarzyszące mu wyrzuty sumienia. – A więc ruszamy.

Skinęli głowami palaczom przy tylnych drzwiach.

– Jak tam, Stumpy? – powiedział Ray. – Zabieram Kate do tego wypadku w Fishponds. Mógłbyś skontaktować się z miejscowymi i zorientować, co już wiemy?

– Nie ma sprawy. – Starszy mężczyzna zaciągnął się po raz ostatni własnoręcznie skręconym papierosem. Sierżanta Jake’a Owena od dawna wszyscy nazywali Stumpym, jego pełne imię i nazwisko wyczytywane w sądzie wzbudzało zdziwienie. Ten małomówny weteran wojenny należał do najlepszych ludzi Raya. Przez kilka lat jeździli jednym radiowozem, Stumpy doskonale sprawdzał się jako partner, był o wiele silniejszy, niż mogłaby na to wskazywać jego postura.

Oprócz Kate w skład ekipy Stumpy’ego wchodził: opanowany Malcolm Johnson oraz młody Dave Hillsdon, indywidualista, niepozbawiony zawodowej pasji – determinacja, z jaką dążył do skazywania przestępców, balansowała zdaniem Raya zbyt blisko granicy legalności. Razem stanowili dobrą drużynę, Kate szybko się uczyła od kolegów. Jej płomienny entuzjazm wzbudzał w przełożonym nostalgię za czasami własnej młodości, za ogniem przygaszonym przez siedemnaście lat zmagania z biurokracją.

Prowadziła nieoznakowaną corsę przez zakorkowane w godzinach szczytu ulice. Była niecierpliwym kierowcą, cmokała z dezaprobatą na czerwone światła, wyciągała szyję, wypatrując przeszkód na drodze. Pozostawała w ciągłym ruchu: uderzała nerwowo palcami o kierownicę, marszczyła nos, wierciła się w fotelu. Kiedy sznur samochodów przed nimi wreszcie ruszył naprzód, pochyliła się do przodu, jakby mogła w ten sposób cokolwiek przyspieszyć.

– Brakuje ci koguta, co? – zapytał domyślnie Ray.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Może trochę.

Nie nosiła makijażu, poza kreskami na powiekach, ciemnobrązowe loki opadały bezładnie na twarz mimo dużej spinki, która przypuszczalnie miała je ujarzmić.

Ray sięgnął po telefon komórkowy, musiał wykonać kilka rutynowych połączeń, upewnić się, że oddział śledczy drogówki jest w drodze, że nadinspektor został poinformowany o zdarzeniu i wezwano furgonetkę operacyjną – ciężki pojazd wyładowany po brzegi namiotami, reflektorami awaryjnymi i gorącymi napojami. Wszystko już zorganizowano. Jak zwykle zresztą, jednak sprawdzenie należało do jego służbowych obowiązków. Ludzie z patroli trochę się jeżyli, kiedy przyjeżdżała ekipa z Wydziału Kryminalnego i robiła wszystko od początku, ale tak trzeba. Wszyscy przez to przechodzili – nawet Ray, który swoją służbę jako policjant mundurowy ograniczył do minimum, awansując tak szybko, jak to tylko możliwe.

Połączył się z centralą i poinformował, że będą na miejscu za pięć minut. Nie zadzwonił do domu. Mags zawsze zakładała jego późny powrót – telefonował do niej w tych rzadkich sytuacjach, gdy miał wrócić punktualnie. Uważał, że tak jest praktyczniej, kiedy ma się nieprzewidywalne godziny pracy.

Za rogiem Kate zwolniła. Na ulicy parkowało w nieładzie pół tuzina radiowozów z włączonymi niebieskimi migaczami. Reflektory na metalowych trójnogach rzucały jasne światło, rozpraszane mżawką. Na szczęście deszcz już zelżał.

Przed wyjściem z komendy Kate zmieniła szpilki na kalosze.

– Wygoda ważniejsza niż elegancja – stwierdziła, wrzucając pantofle do szafki. Ray rzadko zwracał uwagę na obie te rzeczy, jednak teraz żałował, że nie wziął choćby płaszcz.

Zatrzymali się sto metrów od wielkiego, białego namiotu, chroniącego przed deszczem potencjalne dowody. Przez otwór w tkaninie widzieli policjantkę z grupy technicznej, zbierała jakieś próbki w pozycji na czworakach. Inna osoba, ubrana w kombinezon, oglądała uważnie olbrzymie drzewo na poboczu drogi.

Ray i Kate zostali zatrzymani przez młodego policjanta w odblaskowej kurtce, zapiętej po szyję. Pomiędzy kołnierzem a czapką widać było jedynie kawałek twarzy.

– Dobry wieczór, sir. Chce pan obejrzeć miejsce zdarzenia? Muszę pana wpisać na listę.

– Nie, dziękuję – odparł Ray. – Gdzie wasz sierżant?

– W domu matki ofiary. – Policjant wychylił na moment głowę z kołnierza i wskazał szereg niedużych domków jednorodzinnych. – Numer cztery – dodał niewyraźnie zza fałdy materiału.

– Boże, to dopiero wstrętna robota – powiedział Ray do Kate, kiedy już odeszli. – Pamiętam, jak kiedyś, gdy byłem żółtodziobem, po dwunastogodzinnej warcie w terenie, w ulewnym deszczu, zostałem zrugany przez ekipę śledczą za to, że miałem ponurą minę, gdy zjawili się następnego dnia o ósmej rano.

Kate parsknęła śmiechem.

– Dlatego zrobiłeś specjalizację?

– Nie tylko, ale to z pewnością jeden z powodów. Przede wszystkim miałem dość przekazywania dalej wszystkich ważnych spraw. Chciałem wreszcie doprowadzić coś do końca. A ty?

– Podobnie.

Dotarli do domków wskazanych przez młodego funkcjonariusza i rozglądali się za numerem cztery.

– Wolę pracować nad poważniejszymi sprawami – ciągnęła Kate. – Dlatego że szybko się nudzę. Lubię skomplikowane dochodzenia, nad którymi trzeba pogłówkować. Rozpracowywanie szyfrów zamiast prostych krzyżówek. Czy to, co mówię, ma sens?

– Ależ tak. Chociaż ja jestem kiepski w łamaniu szyfrów.

– Nauczę cię kiedyś. Jesteśmy na miejscu, czwórka.

Ładnie pomalowane drzwi były lekko uchylone. Ray popchnął je i zawołał:

– Policja! Możemy wejść?!

– W salonie – padła odpowiedź.

Wytarli buty i przeszli wąskim korytarzem obok przeładowanego wieszaka na ubrania, pod którym stała para czerwonych dziecięcych kaloszy w równym rzędzie z parą w rozmiarze dla dorosłych.

Matka chłopca siedziała na małej sofie, wzrok miała utkwiony w błękitnym plecaku, który trzymała kurczowo na kolanach.

– Komisarz Ray Stevens. Bardzo pani współczuję straty syna.

Popatrzyła na niego, zaciskając mocno sznurek plecaka wokół dłoni, aż pojawiły się na nich czerwone pręgi.

– Jacob – powiedziała, w jej oczach nie było łez. – Ma na imię Jacob.

Przycupnięty na kuchennym krześle stojącym obok sofy umundurowany sierżant spisywał raport na kolanie. Ray znał go z widzenia, ale nie z nazwiska. Zerknął na plakietkę.

– Brian, mógłbyś zabrać Kate na chwilę do kuchni i przekazać najnowsze informacje? Wszystko, co do tej pory macie. Chciałbym zadać świadkowi kilka pytań, dobrze? To nie potrwa długo. Może mógłbyś przy okazji zrobić pani herbatę?

Mina Briana nie wyrażała entuzjazmu, wstał i bez słowa wyszedł z pokoju. Bez wątpienia zamierzał powiedzieć Kate, co myśli o takim nadużywaniu władzy. Ray się tym nie przejmował.

– Przepraszam, że musi pani odpowiadać na kolejne pytania, ale chcemy dowiedzieć się jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. To bardzo ważne.

Pokiwała głową, nie patrząc na Raya.

– Nie widziała pani tablicy rejestracyjnej, tak?

– To były sekundy. – Słowa wyzwoliły w niej hamowane emocje. – Opowiadał o szkole, a potem... Puściłam jego rękę tylko na moment. – Mocniej zacisnęła sznur plecaka na rękach, palce przybrały biały kolor. – Tak szybko. On nadszedł tak szybko.

Mówiła cicho, nie okazując frustracji, którą z całą pewnością odczuwała. Niechętnie zadawał obcesowe pytania, nie miał jednak wyboru.

– Jak wyglądał kierowca?

– Nie widziałam wnętrza samochodu.

– Byli w nim jacyś pasażerowie?

– Nie widziałam wnętrza samochodu – powtórzyła drewnianym głosem.

– Dobrze. – Ray zastanawiał się, od czego, u licha, mają w takim razie zacząć.

Popatrzyła na niego.

– Znajdzie go pan? Znajdziecie człowieka, który zabił Jacoba? Znajdziecie go? – Głos kobiety załamał się i przeszedł w jęk. Zgięła się wpół, przyciskając do siebie plecak, a Ray poczuł ucisk w klatce piersiowej. Wziął głęboki oddech.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – oświadczył, nienawidząc samego siebie za prawienie banałów.

Kate wyszła z kuchni, za nią Brian z kubkiem herbaty.

– Czy mogę teraz skończyć spisywanie zeznań, szefie? – zapytał.

Czyli: przestań wytrącać z równowagi mojego świadka, przetłumaczył sobie w myślach Ray.

– Tak, dziękuję i przepraszam, że przerwałem. Mamy wszystko, czego potrzebujemy, Kate?

Pokiwała głową. Była blada i Ray zastanawiał się, czy to Brian ją zdenerwował. Mniej więcej za rok poznał Kate tak samo dobrze, jak resztę swoich ludzi, na razie bacznie dziewczynę obserwował. Wiedział, że jest elokwentna, nie boi się publicznie wyrażać swojego zdania podczas zebrań i szybko się uczy.

Opuścili dom i w milczeniu wrócili do samochodu.

– Wszystko w porządku? – zapytał, choć odpowiedź była oczywista. Miała zaciśnięte szczęki i twarz bladą jak płótno.

– Tak – odpowiedziała nieswoim głosem, z trudem powstrzymując płacz.

– Hej. – Poklepał ją niezręcznie po ramieniu. – Powodem jest ta sprawa?

Przez wiele lat służby w policji wypracował sobie mechanizmy obronne, które włączał w podobnych sytuacjach. Większość policjantów tak robi – dlatego trzeba przymknąć oko na niektóre żarty krążące po kantynie – ale może Kate jest inna.

Pokiwała głową i westchnęła głęboko, urywanie.

– Przepraszam, to nie jest moje normalne zachowanie, przysięgam. Prowadziłam dziesiątki spraw o zabójstwo, ale... Mój Boże, ten mały miał pięć lat! Ojciec wypisał się z opieki nad nim od razu, od zawsze byli tylko we dwójkę. Nie wyobrażam sobie, co ona teraz czuje. – Głos Kate się załamał, a Ray poczuł znajomy ucisk w klatce piersiowej. Jego mechanizm obronny polegał na skupieniu się na faktach i na śledztwie, celowo nie

wnikał w emocje świadków. Gdyby zbyt długo rozmyślał, jakie to uczucie, kiedy własne dziecko umiera w twoich ramionach, byłby zupełnie bezużyteczny dla Jacoba i jego matki. Mimowolnie pomyślał o własnych dzieciach, pojawiła się irracjonalna potrzeba natychmiastowego powrotu do domu, by sprawdzić, czy są bezpieczne.

- Przepraszam. – Kate przełknęła ślinę i uśmiechnęła się z zażenowaniem.
- Obiecuję, że nie będę płakać przy każdej sprawie.
- Nie przejmuj się. Wszyscy przez to przechodziliśmy.

Uniosła brew.

- Nawet ty, szefie? Nie wyglądasz na sentymentalnego.
- Miewam chwile słabości. – Jeszcze raz uściskał jej ramię, zanim cofnął rękę. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek ronił łzy na służbie, ale był blisko. – Dasz sobie radę?
- Pewnie. Dziękuję.

Cofając samochód, jeszcze raz popatrzyła na miejsce wypadku i zapracowanych techników policyjnych.

- Co za bydlę zabija pięciolatka i odjeżdża?
- Dowiemy się – odparł Ray bez chwili wahania.

ROZDZIAŁ 2

Przyjmuję herbatę, na którą nie mam ochoty. Obejmuję parujący kubek dłońmi i przysuwam do niego twarz. Policzki mnie pieką, oczy szczypią. Mimo wszystko zwalczam odruch, żeby je chronić. Potrzebuję czegoś, co przyćmiłoby sceny, które wciąż rozgrywają się w mojej głowie.

- Przynieść coś do jedzenia?

Staje nade mną. Wiem, że powinnam nawiązać kontakt wzrokowy, lecz nie umiem się na to zdobyć. Jak on może proponować mi jedzenie i napoje, jak gdyby nic się nie stało? Ogarniają mnie mdłości, przełykam kwaśną ślinę. Obarcza mnie winą. Nie musi tego mówić, widzę w jego oczach. Ma rację –

to moja wina. Gdybyśmy wracali do domu inną drogą, gdybym się nie odzywała, gdybym go zatrzymała...

– Nie, dziękuję – mówię cicho. – Nie jestem głodna.

Przeżywam wypadek ciągle od nowa, raz po raz. Chciałabym to przerwać, ale nie umiem: wciąż widzę jego ciało uderzające o przednią szybę. Znowu unoszę kubek do twarzy, ale herbata już ostygła, nie parzy. Nie czuję wzbierających łez, orientuję się, że płaczę, dopiero kiedy łzy padają na kolana. Patrzę, jak wsiąkają w materiał dżinsów, przesuwam paznokciem po smudze błota na udzie.

Rozglądam się po pokoju domu. Zastłony, kupione pod kolor poduszek, dzieła sztuki, niektóre moje, inne upatrzone w galeriach. Myślałam, że tworzę dom, ale to tylko budynek.

Boli mnie ręka, czuję szybkie pulsowanie w nadgarstku. Cieszę się z tego bólu, chciałabym więcej. Chciałabym, żeby to we mnie uderzył samochód.

Znowu coś do mnie mówi. Radiowozy przeczesują ulice w poszukiwaniu tego auta... W gazetach ukaże się apel do potencjalnych świadków. Pojawi się informacja w telewizyjnych wiadomościach...

Pokój wiruje mi przed oczami, zatrzymuję wzrok na stoliku do kawy, uprzejmie kiwam głową w momentach, które wydają mi się właściwe. Spaceruje do okna i z powrotem. Wolałabym, żeby usiadł – denerwuje mnie. Odstawiam kubek z nietkniętą herbatą trzęsącymi się dłońmi, boję się, że ją wyleję. Porcelanowy kubek głośno uderza o szklany blat stolika. RzUCA mi zniecierpliwione spojrzenie.

– Przepraszam. – Czuję metaliczny posmak, chyba zagryzłam usta do krwi. Przetykam ją. Nie chcę zwracać na siebie uwagi prośbą o chusteczkę.

Całe moje życie się zmieniło w chwili, kiedy samochód wpadł w poślizg na mokrym asfalcie. Widzę wszystko wyraźnie, jakbym stała z boku. Nie mogę tego dłużej ciągnąć. Nie w taki sposób.

Nie potrafię od razu określić tego uczucia po przebudzeniu. Niby nic się nie zmieniło, a jednocześnie jest tak bardzo inne. Nagle, jeszcze nim zdążę otworzyć oczy, w mojej głowie rozlega się łoskot podobny do tego, jaki wydaje pociąg podziemnej kolejki podczas jazdy. I znowu się zaczyna: pokaz filmu, którego nie mogę zatrzymać ani wyciszyć. Przyciskam nadgarstki do skroni, jakby siła nacisku miała pomóc w pozbyciu się obrazów. Ale one i tak pojawiają się nadal w szybkich, natrętnych sekwencjach, jakbym bez nich mogła zapomnieć.

Na szafce nocnej stoi mosiężny budzik, dostałam go od Eve po rozpoczęciu studiów.

„Inaczej nie dotrzesz na żaden wykład”, powiedziała.

Ze zdumieniem stwierdzam, że jest już dziesiąta trzydzieści. Ból ręki został przyćmiony bólem głowy, który oślepia mnie, gdy zbyt szybko nią poruszam. Z trudem wstaję z łóżka, boli mnie każdy mięsień.

Wkładam ubrania z poprzedniego dnia i wychodzę do ogrodu, nie zatrzymując się w kuchni, by zrobić kawę, choć mam pragnienie, z trudem przełykam ślinę. Nie mogę znaleźć butów, oszroniona trawa parzy mnie w stopy. Ogródek nie jest duży, ale zima nadciąga wielkimi susami i gdy docieram na drugą stronę, nie czuję już palców.

Pracownia w ogrodzie to moje sanktuarium od pięciu lat. Dla przypadkowego obserwatora zwykła szopka, dla mnie miejsce, gdzie przychodzę myśleć, pracować, schować się. Na drewnianej podłodze plama z gliny, która odpadła z koła ustawionego na samym środku pomieszczenia, abym miała do niego swobodny dostęp ze wszystkich stron, w ten sposób mogę oglądać swoje dzieła pod każdym kątem. Na trzech ścianach są rzędy półek, tam ustawiam rzeźby w kontrolowanym chaosie, który tylko ja rozumiem. Tutaj niedokończone, tutaj wypalone, ale jeszcze niepomalowane, tutaj przygotowane dla klientów. Setki przedmiotów, gdy zamykam oczy, czuję kształt każdego z nich pod palcami, wilgoć gliny na dłoniach.

Sięgam po klucz ukryty pod zewnętrznym parapetem i otwieram drzwi. Jest gorzej, niż myślałam. Podłoga stała się niewidoczna pod dywanem z potłuczonej gliny, wszędzie potraskane, ostre krawędzie. Drewniane półki zieją pustką, biurko również, a maleńkie figurki na parapecie są zmiażdżone nie do poznania, został z nich błyszczący w słońcu pył.

Obok drzwi leży mała figurka kobiety. Zrobiłam ją w zeszłym roku, należała do serii zamówionej przez sklep w Clifton. Chciałam stworzyć coś realistycznego, tak bardzo dalekiego od ideału, jak to tylko możliwe, lecz nadal pięknego. Stworzyłam dziesięć kobiet, każda była inna, różne kształty, nierówności, blizny i wady. Wzorowałam je na matce, siostrze, uczennicach z kursu garncarstwa, przypadkowych paniach mijanych w parku. To jestem ja. Na tyle inna, aby nikt nie rozpoznał pierwowzoru, ale jednak ja. Zbyt płaskie piersi, zbyt wąskie biodra, zbyt duże stopy. Związane w węzeł na karku włosy. Podnoszę statuetkę, która wydawała mi się nienaruszona, a po dotknięciu przelamuje się na dwie części. Patrząc na kawałki gliny, rzucam nimi z całej siły o ścianę, na biurko spada deszcz odłamków.

Nie jestem pewna, ile dni minęło od wypadku, nie mam pojęcia, jak je przetrwałam, skoro ledwie mam siłę chodzić, jakbym poruszała się w zbiorniku z melasą. Nie wiem, dlaczego właśnie dziś podejmuję taką decyzję. Pakuję tylko najpotrzebniejsze rzeczy w podręczną torbę, jeśli nie wyjdę od razu, mogę nie zrobić tego nigdy. Chaotycznie chodzę po domu, próbuję sobie uzmysłwić, że już nigdy tu nie wrócę. To zarówno przerażające, jak i wyzwalające. Czy potrafię? Czy to w ogóle możliwe: opuścić jedno życie i zacząć kolejne? Nie mam wyboru, nie widzę innego sposobu, by wyjść z tego w jednym kawałku.

Laptop stoi w kuchni, w nim fotografie, adresy, ważne informacje, których nie zapisałam w żadnym innym miejscu, a mogą się kiedyś przydać. Nie mam teraz czasu, by się nad tym zastanawiać, i chociaż jest ciężki i nieporęczny, pakuję komputer do torby. Nie zostało w niej już dużo miejsca, jednak nie mogę wyjść bez ostatniego fragmentu przeszłości. Wyjmuję bluzę i kilka koszulek, muszę zmieścić drewniane pudełko wypełnione wspomnieniami. Nie zaglądam do środka, nie ma takiej potrzeby. Pamiętnik nastolatki, prowadzony nieregularnie, z powyrywaniem kartkami, pisałam tam różności, potem wszystko wydawało mi się głupie, bilety z koncertów zebrane gumką recepturką, świadectwo maturalne, wycinki z pierwszej wystawy. Oraz zdjęcia synka, którego kochałam miłością tak silną, że aż wydawała się niemożliwa. Bezcenne fotografie. Tak niewiele po kimś najbardziej kochanym. Tak mały ślad zostawił po sobie na świecie ten, który był całym moim światem.

Nie umiem się powstrzymać, otwieram pudełko, sięgam po pierwsze zdjęcie: zrobione polaroidem przez miłą położną w dniu porodu. Maleńkie, różowe ciało ledwie widoczne pod białym szpitalnym kocem. Trzymam go niezdarnie, świeżo upieczona matka, wyczerpana i rozkochana w swoim dziecku. Poród był trudny – ten pośpiech, strach – książki, które pochłonęłam w czasie ciąży, nie przygotowały mnie na to wszystko, ale moja miłość jest silna i niezmienna. Tracę oddech, szybko chowam fotografię z powrotem do pudełka, a pudełko do torby.

Śmierć Jacoba trafia na pierwsze strony gazet. Krzyczy do mnie z mijanych stoisk, kiosków i kolejki na autobus, w której stoję, jakby nic mnie nie różniło od innych. Jakbym nie była uciekinierką.

Wszyscy rozmawiają o wypadku. Jak to się mogło stać? Kto mógł zrobić coś tak ohydneho? Na każdym postoju nowe wieści, fragmenty myśli i plotek, nie jestem w stanie ich uniknąć.

Czarny samochód.

Nie, to był czerwony samochód.

Policja lada chwila aresztuje podejrzanego.

Policja nie ma żadnych poszlak.

Jakaś kobieta siada na siedzeniu obok mnie z gazetą. Stalowe imadło zaciska się wokół mojego serca, ponieważ ze strony patrzy na mnie buzia Jacoba – z wyrzutem, że go nie ochroniłam. Zmuszam się, by na niego spojrzeć, czuję bolesny ucisk w gardle. Przez mgłę, która zasnuwa mi oczy, nie widzę liter, nie muszę – widziałam już dziś wiele razy informacje zawarte w tym artykule, wszędzie piszą to samo. Cytują zrozpaczonych nauczycieli, wspominają o kwiatach na poboczu, o dochodzeniu – otwartym i zawieszonym. Kolejna fotografia przedstawia maleńką trumnę, ozdobioną wieńcem żółtych chryzantem. Kobieta cmoka z dezaprobatą i zaczyna mówić, na w pół do siebie, jak sądzę, ale być może oczekuje, że wyrażę jakąś opinię.

– Okropne, prawda? W dodatku tuż przed świętami.

Milczę.

– Kierowca jechał jak wariat. – Kolejny wyraz dezaprobaty. – Wyobraża pani sobie? Zabił pięciolatka. Jaka matka pozwala dziecku w tym wieku przechodzić samemu przez ulicę?

Nie umiem powstrzymać szlochu. Gorące łzy spływają mi po policzkach i na chusteczkę, którą podaje mi delikatnie siedząca obok kobieta.

– Moje biedactwo – mówi jak do małego dziecka. – Niewyobrażalna tragedia, prawda?

Mam ochotę jej powiedzieć, że nie ma nawet pojęcia, że jest tysiąc razy gorzej, niż mogłaby przypuszczać. Podaje mi kolejną chusteczkę, pogniecioną, ale czystą, po czym przewraca stronę, aby przeczytać artykuł o dekoracjach świątecznych w centrum miasta.

Nie przypuszczałam, że ucieknę. Nigdy nie sądziłam, że będę musiała.

ROZDZIAŁ 3

Ray udał się na trzecie piętro, panowała tam spokojniejsza atmosfera niż w innych częściach budynku, gdzie przez dwadzieścia cztery godziny wrzała praca policyjna. Trzecie piętro to biurka, tłumiąca hałasy wykładzina, urządowanie od dziewiątej do piątej i Wydział Spraw Kryminalnych, aktywny w zależności od potrzeb. Najbardziej lubił przebywać tu

wieczorami, kiedy nikt mu nie przeszkadzał i mógł się zająć stosem akt zalegających na biurku. Przeszedł między biurkami na otwartym planie do swojego gabinetu w rogu sali.

– Jak zebranie?

Aż podskoczył. Odwrócił się w stronę, skąd dobiegał głos, i ujrzał Kate; siedziała na swoim stanowisku.

– Pracowałam kiedyś w czwórce. Mam nadzieję, że przynajmniej udawali zainteresowanie. – Ziewnęła.

– Było okej – odparł. – To niezła ekipa. Nie chciałbym, żeby odsunęli tę sprawę na bok i przestali o niej myśleć. – Zadbał, aby szczegóły śmierci pięciolatka pozostały częścią codziennych zebrań instruktażowych przez tydzień, potem zostały zepchnięte na drugi plan przez inne zadania. Starał się utrzymywać stały kontakt ze wszystkimi zmianami i przypominać, że wciąż potrzebują ich pomocy. Postukał w tarczę zegarka. – Co tutaj robisz o tej porze?

– Przeglądam odpowiedzi na nasze apele w mediach – powiedziała, przesuwając kciukiem po obrzeżu pokaźnej sterty wydruków komputerowych. – Jak na razie bez sukcesów.

– Nic nie znalazłaś?

– Zero. Kilka zgłoszeń o piratach drogowych, parę nadętych uwag, dotyczących niewypełnienia obowiązków rodzicielskich, a poza tym zwykły zestaw ćpunów i oszołomów, w tym jeden nawiedzony, przepowiadający nadejście Dnia Pańskiego. – Westchnęła. – Potrzebujemy jakiegoś przełomu, czegokolwiek, czego moglibyśmy się uchwycić.

– Rozumiem frustrację. Wytrzymaj, przełom nadejdzie, zawsze nadchodzi. To tylko kwestia czasu.

Kate jęknęła i odsunęła się z krzesłem od sterty papieru na biurku.

– Pan Bóg poskąpił mi cierpliwości.

– Znam ten ból. – Przysiadł na krawędzi jej biurka. – Tej nudnej części naszej roboty nie pokazują w telewizji. – Uśmiechnął się na widok jej zbolalej miny. – Warto się pomęczyć dla osiągnięcia celu. Pomyśl tylko: gdzieś wśród tej makulatury może znajdować się klucz do rozwiązania sprawy.

Kate zerknęła z powątpiewaniem na biurko, Ray parsknął śmiechem.

– Dobra, zrobię herbatę i pomogę ci.

Ich nadzieje się nie spełniły, na żadnej z wydrukowanych stron nie znaleźli nawet krzty informacji, która mogłaby im pomóc.

– Cóż, przynajmniej mamy z głowy – stwierdził Ray. – Dzięki, że zostałeś po godzinach.

– Myślisz, że znajdziemy kierowcę?

Pokiwał głową stanowczo.

– Musimy w to wierzyć, jak inaczej mamy przekonać kogokolwiek innego? Miałem do czynienia z setkami spraw, nie rozwiązałem wszystkich, niemniej jednak za każdym razem żywiłem przekonanie, że odpowiedź leży na wyciągnięcie ręki.

– Stumpy mówi, że zamówiłeś czas antenowy w Crimewatch?

– Tak, standardowa praktyka przy uciezkach z miejsca wypadku, zwłaszcza gdy ofiarą jest dziecko. Niestety, będzie tego więcej. – Wskazał beużyteczną stertę papieru.

– Nie szkodzi – odparła Kate. – Przydadzą mi się nadgodziny. W zeszłym roku kupiłam swoje pierwsze mieszkanie i szczerze mówiąc, ledwie daję sobie radę finansowo.

– Mieszkasz sama? – Nie był pewien, czy w dzisiejszych czasach zadawanie tego typu pytań jest dozwolone. Polityczna poprawność doprowadziła do sytuacji, kiedy należało na wszelki wypadek omijać jakiegokolwiek osobiste tematy. Za kilka lat ludzie w ogóle przestaną rozmawiać.

– Przeważnie. Mieszkanie kupiłam sama, ale mój chłopak często w nim nocuje. Najlepsze z obu światów, można by rzec.

Ray zabrał puste kubki.

– Lepiej wracaj do domu, zanim zaczniesz się niepokoić.

– Nie ma obawy, jest kucharzem i też pracuje na zmiany. – Kate wstała. – A jak radzi sobie twoja żona? Bardzo narzeka, że ciągle nie ma cię w domu?

– Przyzwyczaiła się! – krzyknął Ray ze swojego gabinetu, gdzie poszedł po kurtkę. – Pracowała kiedyś w policji. Zaczęliśmy służbę w tym samym roku.

Szkoła policyjna w Ryton-on-Dunsmore miała niewiele zalet, niewątpliwie należał do nich tani bar. To tam zobaczył Mags po raz pierwszy, w otoczeniu koleżanek z grupy, podczas pewnego wyjątkowo męczącego wieczoru karaoke. Śmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Kiedy ruszyła do baru po kolejne piwa, on czym prędzej wychylił swój prawie pełen kufel, aby móc do niej dołączyć przy kontuarze. A potem stał tam, nie umiejąc wykrztusić słowa. Na szczęście Mags okazała się bardziej rozmowna i przez następne sześć tygodni, do końca kursu, byli nierozłączni. Ray stłumił uśmiech wywołany przez wspomnienie ukradkowych powrotów do własnego pokoju o szóstej nad ranem po nocy spędzonej w damskim skrzydle.

– Od jak dawna jesteś żonaty?

– Piętnaście lat. Pobraliśmy się tuż po ukończeniu stażu.

– Ale ona już nie pracuje?

– Przerwała karierę po urodzeniu Toma. Teraz rozważa powrót – nasza młodsza córka, Lucy, ma już dziewięć lat, a Tom zaczął pierwszy rok w gimnazjum. Chce zrobić kurs na instruktora.

– Dlaczego zrezygnowała z pracy aż na tyle lat? – W oczach Kate malowała się autentyczna ciekawość. Ray pamiętał, że podobne pytania zadawała Mags, kiedy oboje byli młodzi, u progu kariery. Nie mogła zrozumieć sierżant, która poszła na urlop wychowawczy. „Po co w ogóle zaczynać karierę, jeśli potem wszystko ma pójść na marne?”, dziwiła się.

– Chciała mieć więcej czasu dla dzieci. – Ogarnęło go poczucie winy. Czy rzeczywiście chciała zostać w domu? Może po prostu uważała, że tak trzeba? Płatna opieka nad dziećmi była kosztowna, decyzja Mags o przerwaniu pracy wydawała się czymś oczywistym. Tym bardziej że naprawdę zależało jej na tym, by osobiście odwozić dzieci do szkoły i uczestniczyć w ich szkolnym życiu: przedstawieniach, festiwalach, wydarzeniach sportowych. A przecież zawodowo Mags miała nie mniejszy potencjał niż Ray – szczerze powiedziawszy, była lepszą policjantką od niego.

– Wiążąc się z policjantem, trzeba zaakceptować wszystkie wady tej pracy.

– Kate wyłączyła lampę na biurku i na chwilę zapadła ciemność, dopóki Ray nie włączył światła w korytarzu.

– Ryzyko zawodowe – przyznał. – Długo jesteś ze swoim chłopakiem? – Szli w stronę parkingu.

– Pół roku. Chociaż jak na mnie to dość długo, zazwyczaj rzucam facetów po kilku tygodniach. Matka uważa, że jestem zbyt wybredna.

– A co z nimi nie tak?

– Och, różne rzeczy – odparła pogodnie. – Zbyt duże zaangażowanie, niedostateczne zaangażowanie, za małe poczucie humoru, pajacowanie...

– Jesteś wymagająca.

– Być może. – Zmarszczyła nos. – Ale to ważne, żeby znaleźć tego jedyne, prawda? Nie mam zbyt dużo czasu, w zeszłym miesiącu przekroczyłam trzydziestkę. – Wyglądała na mniej, jednak Ray nigdy nie potrafił trafnie oceniać wieku. Kiedy patrzył w lustro, wciąż widział dwudziestokilkulatka mimo zmarszczek.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki.

– Nie ma co się spieszyć. Życie małżeńskie nie jest usłane różami.

– Dzięki za radę, tato...

– Hej, jestem za młody, by być twoim ojcem!

Parsknęła śmiechem.

– Dziękuję za pomoc. Do zobaczenia rano.

Ray uśmiechnął się pod nosem, ruszając z parkingu. Tato, dobre sobie. Bezczelna smarkula.

Mags siedziała w salonie przy włączonym telewizorze. Miała na sobie spodnie od piżamy i starą bluzę Raya, siedziała z podkulonymi nogami, w dziecinnej pozie. Spiker ponownie informował o wypadku, w którym zginął mały Jacob, w razie gdyby jakiś widz przegapił doniesienia powtarzane od tygodnia. Mags popatrzyła na Raya i pokręciła głową.

– Nie mogę przestać tego oglądać. Biedny chłopczyk.

Usiadł obok żony i ściszył pilotem dźwięk. Na ekranie zobaczył tył swojej głowy, nadawano stary materiał z miejsca wypadku.

– Wiem. – Objął Mags ramieniem. – Złapiemy ich.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie twarzy Raya wygłaszającego oświadczenie dla prasy.

– Naprawdę tak uważasz? Macie już jakiś trop?

– Nie. – Westchnął. – Nie zgłosił się żaden świadek, skupiamy się na badaniu śladów i technikach wywiadowczych.

– To możliwe, by kierowca nie zorientował się, co zrobić? – Mags wyprostowała się i niecierpliwym gestem odgarnęła za ucho kosmyk włosów. Nosila tę samą fryzurę przez cały czas, odkąd się poznali – długie, proste włosy bez grzywki. Podobnie jak Ray była brunetką, ale w przeciwieństwie do niego nie zaczęła jeszcze siwieć. Po narodzinach Lucy usiłował zapuścić brodę, jednak zrezygnował po trzech dniach, kiedy zobaczył, jak gęsto jest przeplatana siwizną. Golił się starannie i ignorował siwiznę na skroniach, która zdaniem Mags nadawała mu „dystyngowany” wygląd.

– Nie. Poleciał prosto na maskę.

Mags nawet nie mrugnęła. Na jej twarzy nie było śladu emocji widocznych wcześniej, zastąpił je wyraz skupienia, który Ray pamiętał z czasów wspólnej służby w policji.

– Poza tym – dodał – samochód się zatrzymał, potem cofnął i zawrócił. Facet mógł nie wiedzieć, że zabił, ale nie mógł nie zauważyć, że potrafił człowieka.

– Sprawdzacie szpitale? Kierowca także mógł odnieść obrażenia i...

– Tak, zajmujemy się tym – odparł z uśmiechem i wstał. – Nie gniewaj się, ale to był długi dzień. Teraz chciałbym tylko napić się piwa, pooglądać przez chwilę telewizję i pójść spać.

– Nie ma sprawy – powiedziała z napięciem w głosie. – Stare nawyki.

– Wiem. I obiecuję, że znajdziemy tego kierowcę. – Pocałował ją w czoło. – Zawsze ich znajdujemy. – Zdał sobie sprawę, że złożył Mags obietnicę, której odmówił matce Jacoba, ponieważ nie mógł niczego zagwarantować. Mówiąc: „Uczynimy wszystko, co w naszej mocy”, miał nadzieję, że to wystarczy.

Poszedł do kuchni po coś do picia. Śmierć dziecka rozstroiła Mags. Być może niepotrzebnie rozmawiał z nią o szczegółach wypadku – sam z trudem panował nad własnymi emocjami, nic dziwnego, że Mags też jest wstrząśnięta. Postanowił zachowywać większą dyskrecję.

Wrócił z piwem do salonu i usiadł obok niej na kanapie. Zmienił kanał. Znalazł reality show, który lubiła.

Rzucił na przeładowane biurko papiery odebrane z pokoju pocztowego, cała sterta spadła na podłogę.

– Cholera. – Popatrzył beznamiętnie na bałagan. Sprzątaczką opróżniła kosz na śmieci i niedbale przetarła kurz na widocznych skrawkach drewna. Obok klawiatury zostały dwa kubki z zimną kawą, na komputerze poprzyklepiane notki z wiadomościami o różnym stopniu ważności. Ray oderwał kartki i przyklepił je do okładki notesu, na którym już była jaskraworóżowa karteczka, przypominająca o ocenie pracowników. Tak jakby wszyscy mieli za mało pracy. Irytowała go biurokracja przeszkadzająca w pełnieniu obowiązków komisarza Wydziału Spraw Kryminalnych. Nie potrafił jednak otwarcie się zbuntować – kusiała obietnica szybkiego awansu – a jednocześnie nie umiał zaakceptować uciążliwej procedury. Godzina spędzona na omawianiu osobistego rozwoju to w jego przeświadczeniu strata czasu, zwłaszcza kiedy na wolności pozostaje sprawca śmierci dziecka.

Czekając na załadowanie systemu komputera, popatrzył na przyklepione do przeciwległej ściany zdjęcie Jacoba. Zawsze eksponował w widocznym miejscu fotografię głównego bohatera śledztwa. Od początku pracy w Wydziale Kryminalnym jego zwierzchnik podkreślał najistotniejsze powody, dla których „zajmują się tym głównem”. Zwykle trzymał zdjęcia na swoim biurku, dopóki Mags nie odwiedziła go w pracy pewnego dnia wiele lat temu. Przyniosła mu coś, czego zapomniał zabrać z domu – nie pamiętał już, co to było, może jakieś akta, może drugie śniadanie. Zirytował się, że przeszkadza, kiedy zawołała go radośnie z recepcji. Po chwili ogarnęło go poczucie winy, bo przecież to on jej sprawił kłopot. W drodze do gabinetu Raya zatrzymali się i Mags zamieniła parę słów z dawnym przełożonym.

– Na pewno dziwnie się czujesz, wracając tu – powiedział Ray, gdy dotarli do jego biura.

Roześmiała się.

– Jakbym w ogóle nie wychodziła. Można opuścić policję, ale policja nigdy nie opuszcza człowieka. – Z ożywieniem chodziła po pomieszczeniu, przesunęła palcami po jego biurku.

– Masz kogoś innego? – zażartowała, sięgając po fotografię opartą o oprawione zdjęcie jej i dzieci.

– Ofiara – wyjaśnił, delikatnie odebrał podobiznę i odstawił na miejsce. – Chłopak pchnął tę dziewczynę nożem siedemnaście razy, bo nie podała na czas kolacji.

Mags nie okazała wzburzenia.

– Nie trzymasz jej z resztą akt?

– Lubię, gdy jest w widocznym miejscu. Przypomina mi, po co i dla kogo pracuję po godzinach. – Pokiwała głową. Czasem rozumiała go lepiej, niż sądził.

– Ale nie obok naszego zdjęcia, Ray. Proszę. – Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu bardziej stosownego miejsca. Zatrzymała wzrok na pustej tablicy korkowej, sięgnęła po pinezkę i przypięła zdjęcie ofiary. Tam zostało.

Chłopak uśmiechniętej kobiety z fotografii został skazany za morderstwo dawno temu, w miejscu na tablicy pojawiali się inni. Staruszek brutalnie pobity przez bandę nastolatków, cztery kobiety zaatakowane seksualnie przez taksówkarza, a teraz Jacob, rozpromieniony w swoim szkolnym mundurku pierwszoklasisty. Wszyscy oni liczyli na Raya. Przejrzał notatki, które zrobił wieczorem, przygotowując się na dzisiejsze poranne zebranie. Nie mieli zbyt wielu dowodów. System zasygnalizował, że komputer jest gotowy do użytku, i Ray otrząsnął się z zamyślenia. Miał pracę do wykonania.

Krótko przed dziesiątą do gabinetu wszedł Stumpy ze swoimi ludźmi. On i Dave Hillsdon zajęli dwa z niskich krzeseł ustawionych wokół stolika, pozostali stanęli pod ścianą. Trzecie krzesło po dżentelmeńsku odstąpili Kate, która – jak z uśmiechem zauważył Ray – zignorowała bezgłośnie ofertę i stanęła razem z resztą grupy. Czasowo przydzielono im dwóch policjantów mundurowych, wyglądali, jakby czuli się niezręcznie w pożyczonych naprędce garniturach, oraz Phila Crockera z Wydziału Przepływów Drogowych.

– Dzień dobry wszystkim – zaczął Ray. – Nie zabiorę wam dużo czasu. Chciałbym przedstawić Briana Waltona z jedyńki i Pata Bryce'a z trójki. Dobrze, że jesteście, chłopaki, mamy dużo do zrobienia, przydadcie się. – Brian i Pat pokiwali głowami. – No dobrze – kontynuował. – Powtórzmy sobie, co wiemy o ucieczce sprawcy z miejsca wypadku w Fishponds, i zdecydujemy, co dalej. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że szefowa przebiera nogami z niecierpliwości, kiedy rozwiążemy tę sprawę. – Zerknął na notatki, które znał na pamięć. – W poniedziałek, dwudziestego szóstego listopada, o godzinie szesnastej dwadzieścia osiem centrala odebrała telefon alarmowy od kobiety zamieszkałej przy Enfield Avenue. Usłyszała głośny huk, a potem krzyk. Zanim zdążyła wybiec przed dom, było już po wszystkim, matka Jacoba klęczała obok niego na ulicy. Karetka pogotowia

nadjechała po sześciu minutach od zgłoszenia, stwierdzono zgon dziecka na miejscu.

Przerwał na moment dla podkreślenia wagi dochodzenia. Zerknął na Kate, miała twarz bez wyrazu. Nie wiedział, czy czuje ulgę, czy smutek z tego powodu, że udało jej się wyprzeć emocje. Nie tylko ona sprawiała wrażenie obojętnej. Gdyby ktoś obcy spojrział na twarze policjantów, mógłby wyciągnąć błędny wniosek, że śmierć małego chłopca nie obeszła ich w najmniejszym stopniu. Ray wiedział, że jest inaczej. Mówił dalej:

– Jacob skończył w zeszłym miesiącu pięć lat, tuż po rozpoczęciu nauki w szkole imienia Świętej Marii na Beckett Street. Tego dnia przebywał w świetlicy, podczas gdy matka pracowała. Kobieta zeznaje, że po drodze do domu gawędzili o tym, jak spędzili dzień, a kiedy puściła na chwilę rękę synka, wybiegł na ulicę, podążając w stronę domu. Zdarzało się to już wcześniej, bywał nieostrożny w pobliżu ulicy, dlatego zawsze trzymała go mocno za rękę. – Oprócz tego jednego razu, dodał w myślach. Jedna chwila nieuwagi, której nigdy sobie nie wybaczy. Wzdrygnął się mimowolnie.

– Pamięta samochód?

– Nie bardzo. Twierdzi, że nawet nie próbował hamować. Przyspieszył, zanim potrącił Jacoba. Ona o włos uniknęła zderzenia, upadła i potłukła się. Jednostka, która przyjechała na wezwanie, zauważyła, że kobieta ma obrażenia, ale odmówiła pomocy. Phil, opowiesz nam, co zastalście na miejscu wypadku?

Jedyny umundurowany funkcjonariusz w pokoju, Phil Crocker, był śledczym z drogówki z wieloletnim doświadczeniem. Ray niejednokrotnie już zwracał się do niego o pomoc w podobnych sprawach.

– Właściwie nie ma co opowiadać. – Wzruszył ramionami. – Padał deszcz, brak śladów opon na jezdni, nie potrafimy zatem określić w przybliżeniu prędkości ani ewentualnych prób hamowania. Około dwudziestu metrów od kolizji znaleźliśmy kawałek plastiku, mamy potwierdzenie eksperta, że to odprysk ze świateł przeciwmgielnych wozu marki Volvo.

– Brzmi obiecująco – stwierdził Ray.

– Przekazałem szczegóły Stumpy'emu. Obawiam się, że nic więcej nie mamy.

– Dzięki, Phil. – Ray wrócił do swoich notatek. – Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci Jacoba był tępy uraz czaszki. Miał kilka pękniętych kości

i śledzoną. – Osobiście uczestniczył w autopsji chłopca, chociaż nie musiał. Po prostu nie potrafił znieść myśli o samotnym dziecku w zimnej kostnicy. Patrzył niewidzącym wzrokiem na poczynania patologa, omijając starannie twarz Jacoba, skupiony na suchych faktach i dowodach. Obaj – on i lekarz – poczuli ulgę, kiedy procedura dobiegła końca.

– Sądząc po rodzaju obrażeń, szukamy małego wozu osobowego, możemy od razu wykluczyć furgonetki i samochody z napędem na cztery koła. Patomorfolog wydobył z ran fragmenty szkła, ale nie ma w nich nic charakterystycznego dla konkretnego modelu – dobrze mówię, Phil? – Policjant z Wydziału Drogowego pokiwał głową.

– Samo szkło nie jest typowe dla konkretnego pojazdu – powiedział. – Gdybyśmy mieli podejrzanego, moglibyśmy sprawdzić jego ubranie, pozbycie się z niego odprysków szkła jest prawie niemożliwe. Nie znaleźliśmy żadnych odłamków na miejscu wypadku, co sugeruje, że szyba pękła pod wpływem siły zderzenia, ale nie rozprysła się. Znajdźcie mi samochód, a porównamy kawałki znalezione na ciele ofiary z uszkodzeniami, bez tego...

– Przynajmniej wiemy, że samochód został uszkodzony. – Ray usiłował podkreślić dotychczasowe osiągnięcia. – Stumpy, mógłbyś przypomnieć, co do tej pory zrobiliśmy?

Detektyw popatrzył na ścianę gabinetu, gdzie całe śledztwo zostało podsumowane za pomocą serii map, wykresów i list.

– Wieczorem w dniu wypadku i następnego dnia rano przesłuchano sąsiadów. Niektórzy usłyszeli coś, co określili jako „głośny huk”, a potem krzyk, jednak nikt nie widział wozu. Funkcjonariusze udali się do szkoły Jacoba, aby porozmawiać z rodzicami uczniów, rozprowadziliśmy na całej Enfield Avenue ulotki z prośbą o zgłoszenie się potencjalnych świadków. Stoją tablice przy drodze, Kate odebrała kilka telefonów w odpowiedzi na nie.

– Coś użytecznego?

Stumpy pokręcił głową.

– Niezbyt dobrze to wygląda, szefie.

Ray postanowił zignorować ten przejaw pesymizmu.

– Kiedy wyemitują nasz apel w telewizji?

– Jutro wieczorem. Rekonstrukcja wypadku i kilka slajdów pokazujących, jak mniej więcej mógł wyglądać samochód, poza tym nagrany wcześniej wywiad studyjny z jednym z naszych ludzi.

– Proszę, by ktoś został w biurze po godzinach, żeby odbierać telefony tuż po emisji – Ray zwrócił się do całej grupy. – Ważne informacje trzeba wyłapać od razu, resztą możemy zająć się w wolnym czasie. – Zapadła cisza, rozejrzał się po sali. – Ktoś to musi zrobić...

– Ja. – Kate uniosła rękę, Ray posłał jej spojrzenie pełne wdzięczności.

– A co ze światłami przeciwmgielnymi, o których wspomniał Phil? – zapytał.

– Dostaliśmy numer seryjny części od producenta volvo i listę mechaników, którzy odebrali zamówienie w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Malcolm dostał polecenie skontaktowania się ze wszystkimi, zaczynając od lokalnych, ma sporządzić listę aut, w jakich wymieniano światła przeciwmgielne po wypadku.

– Dobrze. Miejmy to na uwadze podczas przesłuchań, ale pamiętajcie, że tylko jedna poszlaka wskazuje na volvo. Nie jesteśmy pewni, czy rzeczywiście takiego wozu szukamy. Kto zajmuje się ściąganiem nagrań z kamer przemysłowych?

– My, szefie. – Rękę podniósł Brian Walton. – Mamy już wszystko, co możliwe: taśmy z ratusza i stacji benzynowych oraz okolicznych miejsc, gdzie prowadzono działalność gospodarczą. Przedział czasowy to tylko pół godziny przed wypadkiem i pół godziny po nim, a i tak daje nam to kilkaset godzin nagrań do przejrzenia.

Ray skrzywił się na myśl, ile będzie musiał zapłacić za nadgodziny.

– Poproszę o listę kamer – powiedział. – Nie zdołamy obejrzeć wszystkiego, chciałbym poznać waszą opinię, które są najważniejsze.

Brian pokiwał głową.

– Nie możemy narzekać na brak pracy. – Mimo złych przeczuć uśmiech Raya wyrażał pewność siebie. Od „złotej godziny” tuż po przestępstwie, kiedy prawdopodobieństwo wykrycia sprawcy jest najwyższe i stopniowo maleje, minęły już dwa tygodnie i mimo nieprzerwanych wysiłków całego zespołu nie posunęli się naprzód ze śledztwem. Po chwili milczenia wyjął złe wieści: – Zapewne nikogo nie zdziwi informacja, że urlopy zostają anulowane do odwołania. Przepraszam. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, abyście mogli spędzić trochę czasu z rodzinami w święta.

Rozległ się szmer niezadowolenia, kiedy wychodzili z gabinetu, ale nie zaprotestowano otwarcie. Ray wiedział, że tak będzie. Chociaż nikt nie mówił tego głośno, wszyscy myśleli o tym, jakie święta czekają matkę Jacoba.

ROZDZIAŁ 4

Moja determinacja zaczyna topnieć niemal natychmiast po wyjeździe z Bristolu. Nie przemyślałam, dokąd pojedę. Wyruszyłam na zachód, myśląc mgliście o hrabstwie Devon lub Kornwalii, te miejsca wspominam z rozrzewnieniem, jeździłam tam na wakacje w dzieciństwie. Budowałam z Eve zamki z piasku na plaży, lepka od lodów i kremu ochronnego. Wspomnienia przyciągają mnie ku morzu, z dala od dróg otoczonych szpalerami drzew, daleko od ulicznych korków. Odczuwam niemal fizyczny lęk przed niecierpliwymi kierowcami, wyprzedzają, nie czekając, aż autobus zatrzyma się na przystanku. Spaceruję przez jakiś czas bez celu, następnie wręczam dziesięć funtów sprzedawcy biletów, któremu jest tak samo obojętne jak mnie, dokąd pojedę.

Wjeżdżamy na most w Severn, spoglądam w dół na szare wody Kanału Bristolskiego. W autobusie panuje cisza i pełna anonimowość, nikt tu nie czyta „Bristol Post”. Nikt nie rozmawia o Jacobie. Odchyłam głowę na oparcie siedzenia, jestem potwornie zmęczona, ale boję się zamknąć oczy. We śnie prześladują mnie dźwięki i obrazy wypadku oraz myśl, że gdybym tam była chociaż kilka minut wcześniej, nic by się nie wydarzyło.

Autokar jedzie do Swansea, ukradkiem zerkam na współpasażerów. Większość to studenci, ze słuchawkami na uszach czytają swoje magazyny. Kobieta w moim wieku przegląda dokumenty i robi notatki na marginesach. Śmieszne, że nigdy jeszcze nie byłam w Walii, teraz cieszę się, że nikogo tam nie znam. Idealne miejsce, by zacząć wszystko od nowa.

Wysiadam ostatnia, czekam na stacji do odjazdu autokaru, adrenalina spowodowana nagłą decyzją o wyjeździe już nie płynie w żyłach. Jestem w Swansea i nie mam pojęcia, co dalej. Człowiek leżący na chodniku podnosi na mnie wzrok, mamrocze coś, cofam się. Nie mogę tu zostać, a nie wiem, dokąd iść, ruszam zatem przed siebie. Podejmuję grę sama ze sobą: skręcę w pierwszą ulicę po lewej stronie, nieważne, dokąd prowadzi, druga w prawo, przy pierwszym skrzyżowaniu prosto. Nie patrzę na znaki drogowe, za każdym razem wybieram najmniejszą, najrzadziej uczęszczaną uliczkę. Jestem oszołomiona, niemalże na granicy hysterii. Co ja robię? Dokąd idę? Czy tak czuje się człowiek, który postradał zmysły? Nie obchodzi mnie to. Nie ma już najmniejszego znaczenia.

Pokonuję kolejne kilometry, zostawiam Swansea daleko za sobą. Przywieram kurczowo do żywoplotu, gdy mija mnie jakiś samochód. Zdarza się to coraz rzadziej, nadchodzi wieczór. Niosę torbę na plecach jak plecak, paski wrzynają mi się w ramiona, lecz nie zwalniam kroku ani nie przystaję. Nie słyszę nic poza własnym oddechem, stopniowo ogarnia mnie spokój. Nie pozwalam sobie na myślenie o tym, co zaszło ani dokąd idę. Po prostu stawiam miarowo krok za krokiem. Wyjmuję z kieszeni telefon i nie patrząc na ekran, by sprawdzić, ile nieodebranych połączeń zarejestrowałam, wyrzucam go do rowu, wpada z pluskiem do wody. Pozbywszy się ostatniej rzeczy łączącej mnie z przeszłością, niemal natychmiast czuję większą swobodę.

Stopy zaczynają boleć. Gdybym zrobiła sobie postój i położyła się na poboczu, nigdy bym już nie wstała. Zwalniam, w tej samej chwili słyszę za sobą odgłos samochodowego silnika. Schodzę na trawę, odwracam się tyłem do drogi, ale wóz zamiast mnie wyminąć i zniknąć za rogiem, przystaje pięć metrów przede mną. Cichy szum hamowania i zapach spalin. Krew pulsuje mi w uszach, bez zastanowienia rzucam się do ucieczki, z torbą na plecach. Biegnę niezdarnie, bolą mnie pokryte pęcherzami stopy, pot spływa mi po plecach i między piersiami. Nie słychać samochodu, odwracam się, omal nie tracę równowagi. Nie ma go.

Stoję na pustej drodze. Ze zmęczenia i głodu nie mogę logicznie myśleć. Nawet mam wątpliwości, czy w ogóle był jakiś samochód. Możliwe, że na drodze przez cały czas panowała cisza, a odgłos jadącego samochodu był tym, który przez cały czas słyszę w swojej głowie.

Zapada zmrok. Gdzieś bardzo blisko musi być morze, czuję posmak soli na ustach i słyszę szum fal uderzających o brzeg. Mijam znak z napisem „Penfach”, mam wrażenie, że jestem tutaj intruzem, idąc przez pogrążoną w całkowitej ciszy wioskę, patrzę w okna, zaciągnięte zasłony chronią przed chłodem zimowego wieczoru. Matowe, białe światło księżyca sprawia, że wszystko wydaje się dwuwymiarowe i wydłuża mój cień. Docieram nad zatokę, gdzie klify opiekuńczo otaczają plażę. Schodzę wąską, krętą ścieżką, ale cienie są zwodnicze i trafiam stopą w pustkę, ześlizguję się po łupkowej skale, plecak ciągnie mnie w dół, spadam z krzykiem i resztę drogi na dół przebywam, turlając się. Spadam na wilgotny piasek, oddycham głęboko i czekam na ból. Jednak nic mi nie jest. Przemyka mi myśl, że straciłam zdolność odczuwania fizycznego bólu, że ludzkie ciało nie jest przystosowane do znoszenia go jednocześnie z silnym bólem psychicznym. Ręka nadal pulsuje, ale jakby należała do kogoś innego.

Odczuwam nagłą potrzebę, aby poczuć cokolwiek. Coś. Mimo zimna zdejmuję buty, ziarenka piasku przywierają do skóry. Bezchmurne niebo ma odcień atramentu, okrągły, duży księżyc odbija się w wodzie. Nie jestem

w domu. To najważniejsze. Nie czuję się, jakbym była u siebie. Siadam na torbie, otulona płaszczem, oparta o twardą skałę. Czekam.

Rano uświadamiam sobie, że zasnęłam męczącym przerywanym snem przy akompaniamencie rozhukanych fal. Rozciągam obolałe, przemarznięte ciało i wstaję, by popatrzeć na pomarańczowy wschód słońca. Promienie słoneczne nie dają ciepła, drzę na całym ciele. To nie był przemyślany plan.

Wąska ścieżka jest łatwiejsza do przejścia w świetle dnia. Okazuje się również, że klify nie są bezludne, jak wcześniej sądziłam. Mniej więcej siedemset metrów dalej stoi niski, niepozorny budynek w otoczeniu równych rzędów przyczep kempingowych. Miejsce dobre jak każde inne, by zacząć od nowa.

– Dzień dobry. – Mój głos brzmi słabo i piskliwie w tym przyjemnie ciepłym sklepowym wnętrzu. – Szukam noclegu.

– Przyjechała pani na wakacje? – Obfity biust kobiety spoczywa na kolorowym magazynie. – Dziwna pora na urlop. – Miły uśmiech łagodzi obcesowość słów. Próbuję odpowiedzieć uśmiechem, ale mięśnie twarzy ani drgną.

– Mam zamiar przeprowadzić się w te strony – udaje mi się zdobyć na wyjaśnienie. Z pewnością wyglądam na szaloną, myślę. Jestem brudna i potargana. Szczękam zębami i drzę konwulsyjnie, przeniknięta zimnem do szpiku kości.

– Ach, w takim razie – mówi radośnie kobieta, na której mój wygląd, jak widać, nie robi wrażenia – pewnie szuka pani czegoś do wynajęcia? Tylko widzi pani, kemping jest nieczynny do wiosny. Do marca otwieramy jedynie sklep. Musi pani porozmawiać z lestynem Jonesem, on ma domek. Zatelefonuję do niego, zgoda? Ale najpierw zaparzę herbatę. Straszny ziąb, a pani wygląda, jakby była na wpół zamarznięta.

Sadza mnie na stołku przy ladzie, po czym znika w sąsiednim pomieszczeniu, nie przestaje mówić, jej głos wybija się ponad dźwięk wody bulgoczącej w czajniku.

– Nazywam się Bethan Morgan. Prowadzę to miejsce, a mój mąż Glynn dba o farmę. – Wygląda zza drzwi i uśmiecha się do mnie. – A w każdym razie taki jest plan, chociaż nastały ciężkie czasy dla rolników, mówię pani. Ojej! Miałam zadzwonić do lestyna, prawda?

Znika na kilka minut, nie czekając na odpowiedź. Przygryzam dolną wargę i wymyślam odpowiedzi na pytania, które może mi zadać przy herbacie. Obręcz na piersi zaciska się coraz ciaśniej.

Ale Bethan nie pyta ani o to, kiedy przyjechałam lub co mnie sprowadza właśnie do Penfach, ani nawet skąd pochodzę. Po prostu podaje mi wyszczerbiony kubek ze słodką herbatą i sadowi się na krześle. Ma na sobie tyle warstw ubrania, że nie widać kształtów, ale raczej nie jest jej wygodnie wbitej między poręcz krzesła. Zgaduję, że ma około czterdziestu lat, chociaż okrągła, gładka twarz wygląda młodziej. Długie, ciemne włosy zaczesane w kucyk z tyłu głowy. Sznurowane oficerki, długa, czarna spódnica, kilka podkoszulek i kardigan do kostek, który opada na zakurzoną podłogę, kiedy siada. Za jej plecami parapet z wypalonym kadzidelkiem, po nim pozostał szlaczek popiołu i słodki korzenny zapach. Starą kasę na ladzie zdobi świąteczny łańcuch.

– lestyn już tu jedzie. – Stawia na stole trzeci kubek z herbatą, zakładam więc, że lestyn pojawi się za kilka minut.

– Kim jest lestyn? – pytam. Myślę, że popełniłam błąd, przyjeżdżając do takiej małej społeczności, gdzie każdy zna każdego. Powinnam wybrać duże, anonimowe miasto.

– Właścicielem gospodarstwa na drugim końcu miasteczka. Wypasa kozy na pobliskim wzgórzu i wzdłuż wybrzeża. – Macha ręką w stronę morza. – Jeżeli wynajmie pani od niego, będziemy sąsiadkami. Ale ostrzegam, że to nie pałac. – Parska śmiechem i ja także nie umiem powstrzymać uśmiechu. Przypomina mi Eve bezpośrednim sposobem bycia, choć moja schludna i szczupła siostra byłaby oburzona tym porównaniem.

– Nie potrzebuję wygod.

– lestyn nie jest skory do pogaduszek – uprzedza, jakby spodziewała się, że mogę być rozczarowana. – Ale to miły człowiek. Trzyma tu swoje owce, obok naszych. – Wykonuje nieokreślony gest ręką. – Podobnie jak nam wszystkim przyda mu się dodatkowy dochód. Jak na to mówią? Dywersyfikacja? – Prycha pogardliwie. – W każdym razie lestyn ma domek letniskowy w wiosce i Blaen Cedi: domek po sąsiedzku.

– Myśli pani, że właśnie ten będzie dla mnie dobre?

– Od dawna nikt go nie chciał.

Podskakuję, przestraszona, na dźwięk męskiego głosu i odwracam się – w progu stoi zapowiedziany lestyn.

– Domek nie jest taki zły! – obrusza się Bethan. – Wypij herbatę i pokaż pani.

Oczy lestyna prawie nikną w ogorzałej, pooranej zmarszczkami twarzy. Ma na sobie granatowy kombinezon, zakurzony i poplamiony tłuszczem. Siorbie herbatę przez białe wąsy pożółkłe od nikotyny i przygląda mi się oceniająco. – Większość ludzi uważa, że Blaen Cedi stoi za bardzo na uboczu, daleko od drogi – mówi z ciężkim do zrozumienia akcentem. – Nie chcą tak daleko taszczyć toreb.

– Mogę go obejrzeć? – Wstaję z nadzieją, że ten niechciany, porzucony dom okaże się dla mnie w sam raz.

lestyn nie przerywa picia herbaty, przepłukuje usta każdym łykiem przed połknięciem. Wreszcie wzdycha z zadowoleniem i wychodzi. Patrzę na Bethan.

– A nie mówiłam? Małomówny. – Śmieje się. – Proszę iść za nim, nie będzie czekał.

– Dziękuję za herbatę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Odwiedzaj mnie, kiedy już się wprowadzisz.

Odruchowo składam obietnicę, której wiem, że nie dotrzymam, i pospiesznie wychodzę na zewnątrz. lestyn siedzi okrakiem na zabłoconym quadzie.

Cofam się. Chyba nie oczekuje, że usiądę za nim? Znam go niecałe pięć minut.

– Tylko tak można się tu swobodnie przemieszczać! – przekrzykuje ryk silnika.

Kręci mi się w głowie. Chcę zobaczyć dom, ale paraliżuje mnie strach przed utratą gruntu pod nogami.

– Pani wsiada, jeśli chce jechać.

Zmuszam się i siadam za nim. Nie obejmuję lestyna w pasie, trzymam się kurczowo za siodło, kiedy ruszamy w drogę po wyboistej ścieżce z widokiem na zatokę w trakcie przyływu. Woda uderza o skały. lestyn skręca i zaczynamy oddalać się od morza. Krzyczy coś przez ramię i wskazuje ręką kierunek. Quad podskakuje na wybojach, szukam wzrokiem swojego nowego domu.

Okazuje się, że Blaen Cedi bardziej przypomina baczówkę niż dom. Ściany, niegdyś pomalowane na biało, przybrały brudnobiały odcień, właściciel, jak widać, przegrał walkę z żywiołami. Drewniane drzwi są nieproporcjonalnie wielkie w porównaniu z dwoma maleńkimi oknami pod okapem, lufcik świadczy o obecności pięterka, na które prawie nie ma miejsca. Rozumiem, dlaczego lestyn miał kłopot z wynajęciem tego miejsca wczasowiczom. Najbardziej pomysłowy agent nieruchomości mógłby mieć problem z zatuszowaniem wilgoci na zewnętrznych ścianach i brakujących dachówek.

lestyn otwiera drzwi, a ja stoję tyłem do budynku, zwrócona ku morzu. Myślałam, że zobaczę stąd kemping, ale Blaen Cedi znajduje się w niewielkim zagłębieniu terenu. Wyraźnie słyszę fale zatoki, uderzające o brzeg w trzysekundowych odstępach, lecz jej także nie widzę. W gasnącym świetle dnia nad głowami przelatują nam mewy, popiskują jak kociaki. Drzę mimowolnie i pragnę jak najszybciej wejść do środka.

Parter ma zaledwie trzy i pół metra długości, krzywy drewniany stół i drewniana belka stropowa oddzielają skromną przestrzeń kuchenną od saloniku.

Na górze mieszczą się sypialnia i mikroskopijna łazienka z małą wanną. Stare, matowe lustro zniekształca odbicie mojej twarzy. Mam typową dla rudowłosych bladą cerę, a kiepskie oświetlenie sprawia, że wydaje się przezroczysta, zupełnie biała na tle ciemnorudych włosów, sięgających ramion. Po zejściu na dół zastaję lestyna, układa drewna obok kominka. Kończy i podchodzi do kuchenki.

– Bywa kapryśna – mówi i otwiera metalową szufladę z hukiem, od którego aż podskakuję.

– Mogę tu zamieszkać? Proszę. – W moim głosie pojawia się wyraźna nuta desperacji. Zastanawiam się, co on sobie o mnie myśli.

Rzuca mi podejrzliwe spojrzenie.

– Ma pani czym zapłacić, tak?

– Tak – odpowiadam z przekonaniem, choć nie wiem, na jak długo starczy mi oszczędności ani co zrobię, gdy się skończą.

Nie przekonałam go.

– Ma pani pracę?

Myślę o swojej zdemolowanej pracowni. Ból ręki zelżał, ale możliwe, że straciłam częściowo czucie w palcach, i boję się, że nie będę mogła pracować. Jeżeli nie jestem już rzeźbiarką, to kim jestem?

– Jestem artystką.

Chrząka znacząco, jakby to wiele wyjaśniało.

Uzgadniamy wysokość czynszu, który, choć śmiesznie niski, znacznie uszczupli mój skromny budżet. Na kilka najbliższych miesięcy stałam się właścicielką maleńkiego domku z kamieni. Oddycham z ulgą, że mam gdzie mieszkać.

Iestyn zapisuje numer komórkowy na odwrocie wydobytego z kieszeni rachunku.

– Czynsz za ten miesiąc może pani zostawić u Bethan. – Kiwa głową na pożegnanie i wychodzi.

Patrzę, jak odjeżdża, potem zamykam drzwi na oporną zasuwę. Biegnę na górę i zasłaniam okno w sypialni, mimo że jeszcze świeci zimowe słońce. Zamykam też uchylone okno w łazience. Zasłony w salonie zacinają się na metalowym karniszu, jakby dawno nikt ich nie przesuwiał. Zmagając się z nimi, wznieciam chmurę kurzu, zgromadzoną w fałdach materiału. Ramy okienne kołaczą pod naporem wiatru, nieszczelne okna nie chronią przed chłodem.

Siadam na kanapie, wsłuchana we własny oddech. Nie słyszę morza, ale błagalny krzyk mewy przypomina płacz dziecka – zasłaniam uszy.

Zmęczenie przejmuje nade mną władzę, zwijam się w kłębek, obejmuję rękami kolana, wtulam twarz w szorstki materiał dżinsów. Chociaż przeczuwam nadejście fali emocji, siła, z jaką we mnie uderza, odbiera mi oddech. Rozpacz, którą czuję, jest tak silna, tak namacalna, aż trudno mi uwierzyć, że nadal żyję – że można żyć z sercem rozerwanym na strzępy i ono wciąż bije. Chciałabym zapisać sobie w głowie jego obraz, lecz gdy zamknę oczy, widzę tylko nieruchome, pozbawione życia ciało, które trzymam w ramionach. Pozwoliłam mu odejść i nigdy sobie tego nie wybaczę.

ROZDZIAŁ 5

Masz czas, żeby porozmawiać o potrąconym dziecku, szefie? – Stumpy zajrzał do gabinetu Raya, za jego plecami stała Kate.

Ray podniósł wzrok. Przez ostatnie trzy miesiące śledztwo w sprawie wypadku stopniowo zostało zepchnięte na margines przez inne, pilniejsze zadania. Nadal spotykali się parę razy w tygodniu, by do niego wrócić, ale brakowało postępów, ludzie przestali dzwonić z nowymi informacjami, śledczy nie trafili na żaden świeży trop.

– Jasne.

Weszli do środka i usiedli.

– Nie możemy znaleźć matki chłopca. – Stumpy od razu przeszedł do sedna.

– Co masz na myśli?

– Właśnie to. Jej telefon nie odpowiada, dom pusty. Rozpłynęła się w powietrzu.

Popatrzył na Stumpy'ego, potem na zmieszaną Kate.

– Powiedzcie, proszę, że żartujecie.

– Jeśli tak, to sami nie znamy puenty – odparła Kate.

– Jest naszym jedynym świadkiem! – Wszystko się w nim gotowało ze wzburzenia. – Jak mogliście stracić z oczu matkę ofiary?!

Policzki Kate przybrały barwę purpury, Ray starał się uspokoić.

– Powiedzcie, co właściwie się stało.

Dziewczyna zerknęła na Stumpy'ego, który skinął głową, aby mówiła.

– Nie kontaktowaliśmy się z nią od czasu konferencji prasowej. Została przesłuchana, mieliśmy oficjalne zeznanie. Przekazaliśmy ją oficerowi do spraw kontaktów z rodziną.

– Kto to był?

– Aspirant Diana Heath – powiedziała Kate. – Z drogówki.

Zanotował nazwisko w błękitnym notesie i czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Diana pojechała przedwczoraj do mamy chłopca, żeby sprawdzić, jak sobie radzi, i zastała opuszczony dom. Wyprowadziła się.

– Co mówią sąsiedzi?

– Niewiele. Nie była z nikim na tyle blisko, by zostawić adres, nikt nie widział momentu wyprowadzki. Dosłownie jakby rozplynęła się w powietrzu.

Spojrzała na Stumpy'ego, a Ray zmrużył powieki.

– Co jeszcze?

Chwila ciszy.

– Nagonka na lokalnym forum internetowym – przemówił wreszcie Stumpy.

– Ktoś oskarżał ją, że nie była dobrą matką i tym podobne.

– Zniesławienie?

– Potencjalnie tak. Wszystko zostało wykasowane, ale poprosiłem chłopaków z informatycznego o odzyskanie usuniętych plików. I jeszcze jedno, szefie: panuje zgodne przekonanie, że policjanci, którzy przesłuchiwali ją tuż po wypadku, byli obcesowi i niedelikatni. Wygląda na to, że mama chłopca odniosła wrażenie, że obwiniamy o zdarzenie ją i co za tym idzie, nie będziemy z należytym zaangażowaniem szukać sprawcy.

– Boże – jęknął Ray. Zastanawiał się, jaka jest szansa, że szefostwo się o tym nie dowie. – Czy dała w jakikolwiek sposób do zrozumienia, że nie jest zadowolona z pracy policji?

– Po raz pierwszy usłyszeliśmy o tym od Diany Heath.

– Skontaktuj się ze szkołą, Stumpy. Ktoś musi mieć z nią kontakt. Popytaj w przychodniach lekarskich. W dzielnicy nie powinno być więcej niż dwie, trzy placówki. Mając dziecko, musiała być w którejś zarejestrowana, być może przesłano stamtąd dane do jej nowego lekarza rodzinnego.

– Tak jest, szefie.

– Rany boskie, tylko nie dopuść, żeby dziennikarze wywąchali, że ją zgubiliśmy. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Suzy French z „Post” miałyby używanie.

Nikt się nie zaśmiał.

– Czy poza zniknięciem świadka wydarzyło się jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nie dowiedziałam się niczego na przejściach granicznych – odezwała się Kate. – Parę skradzionych samochodów, ale żaden nie ma związku ze sprawą. Wyeliminowałam też auta zarejestrowane przez radary za przekroczenie prędkości tamtej nocy. Odwiedziłam każdy warsztat samochodowy w Bristolu. Nic nie wzbudziło podejrzeń pracowników – tak przynajmniej twierdzą.

– Brian i Pat robią postępy? Przejrzeli materiały z kamer przemysłowych?

– Ledwie patrzą na oczy – stwierdził Stumpy. – Obejrżeli taśmy policyjne i te z urzędu miasta, teraz zajęli się stacjami benzynowymi. Zwrócili uwagę na wóz, który zarejestrowały trzy różne kamery. Jechał od strony Enfield Avenue kilka minut po wypadku. Podejmował kilka ryzykownych prób wyprzedzenia, a potem zniknął. Usiłują go zidentyfikować, chociaż nie jest powiedziane, że właśnie jego szukamy.

– Świetnie, dziękuję. – Zerknął na zegarek, aby ukryć rozczarowanie brakiem postępów. – Może byśmy poszli do baru? Muszę zatelefonować do nadinspektor, ale dołączyłbym za pół godziny.

– Zgoda. – Stumpy nigdy nie odrzucał okazji do wypicia piwa. – Kate?

– Czemu nie? Pod warunkiem że stawiasz.

Ray dotarł do Nag's Head dopiero po godzinie, Kate i Stumpy pili już po drugim piwie. Zazdrościł im umiejętności zapominania o pracy natychmiast po jej zakończeniu, sam wciąż miał supeł w żołądku po rozmowie z nadinspektor. Przełożona w miły sposób dała mu do zrozumienia, że sprawa niebawem zostanie zamknięta. Chciałby na godzinę zapomnieć o zawodowych kłopotach i porozmawiać z kolegami w cichym, ciepłym wnętrzu pubu o piłce nożnej, pogodzie, czymkolwiek niezwiązanym z nieżyjącym pięciolatkiem i zabójcą, który zbiegł z miejsca wypadku.

– Masz wycucie, właśnie kupiłem następną kolejkę – gderał Stumpy.

– Nie mów, że wysupłałeś portfel? – Ray mrugnął do Kate. – Jednak cuda się zdarzają. – Zamówił gorzkie piwo i rzucił na stolik trzy paczki chipsów.

– Jak poszła rozmowa z szefową? – zainteresowała się Kate.

Nie mógł zignorować pytania ani skłamać. Napił się piwa, by zyskać na czasie. Kate patrzyła na niego z nadzieją, że dostali większy budżet lub zasoby. Prędzej czy później musiała się dowiedzieć, niezależnie od tego, jak bardzo pragnął oszczędzić jej rozczarowania.

– Szczerze mówiąc, fatalnie. Brian i Pat wrócili do służby mundurowej.

– Co? Dlaczego? – Odstawiła z impetem szklanę.

– I tak długo zostali i wykonali kawał dobrej roboty, wiemy, co zarejestrowały kamery przemysłowe. Nie ma kto zastąpić chłopaków na patrolu, a nam niestety brakuje argumentów do uzasadnienia prośby o większy budżet na to śledztwo. Przepraszam – dodał, jakby poczuwał się do osobistej odpowiedzialności, co nie wpłynęło w żaden sposób na reakcję Kate.

– Nie możemy zrezygnować! – Zaczęła nerwowo skubać podkładkę do piwa.

Ray westchnął. Tak trudno zrozumieć zależność między kosztem dochodzenia a kosztem ludzkiego życia – zwłaszcza życia dziecka. Jak można wycenić coś takiego?

– Nie rezygnujemy. Wciąż próbujesz coś ustalić w sprawie światła przeciwmgielnych, tak?

Pokiwała głową.

– W ciągu tygodnia tuż po wypadku wymieniono siedemdziesiąt trzy sztuki. Te zapłacone przez ubezpieczycieli są poza podejrzeniami, teraz namierzam prywatnych płatników.

– Widzisz? Kto wie, co odkryjesz przy tej okazji? Po prostu odrobinę zmniejszamy zakres poszukiwań. – Popatrzył na Stumpy'ego w poszukiwaniu moralnego wsparcia, lecz go nie znalazł.

– Szefostwu zależy jedynie na szybkich efektach, Kate – powiedział Stumpy. – Jeżeli nie rozwiążemy sprawy w parę tygodni, a najlepiej w kilka dni, spada z listy priorytetów, pojawia się coś innego.

– Znam zasady – upierała się Kate. – Ale to nie w porządku. – Układała na środku stolika stosik z podartej tektury. Ray zauważył, że ma niepomalowane, obgryzione paznokcie. – Przeczuję, że brakujący kawałek układanki jest tuż za rogiem.

– Rozumiem – zgodził się Ray. – Pewnie masz rację. Niemniej jednak przygotuj się, że będziesz musiała pracować nad tą sprawą w przerwach pomiędzy innymi. Miesiąc miodowy dobiegł końca.

– Popytam w Szpitalu Królewskim – zaproponowała Kate. – Kierowca mógł odnieść jakieś obrażenia podczas wypadku. Uraz kręgosłupa spowodowany gwałtownym hamowaniem lub coś w tym stylu. Wystaliśmy patrol na pogotowie tuż po zdarzeniu, jednak powinniśmy sprawdzić

również mniej poważne kontuzje. Mógł zgłosić się po pomoc dopiero po jakimś czasie.

– Dobry pomysł – stwierdził Ray. Sugestia Kate uruchomiła jakiś proces myślowy, którego nie umiał jeszcze ubrać w słowa. – Sprawdź również Southmead i Frenchay. – Zawibrował leżący na stoliku telefon. – Cholera – mruknął Ray po odczytaniu wiadomości.

Popatrzyli na niego, Kate z zaskoczeniem, Stumpy z szerokim uśmiechem.

– O czym zapomniałeś?

Skrzywił się bez słowa, dopił piwo i podał Stumpy'emu dziesiątaka.

– Kupcie sobie coś jeszcze, ja muszę wracać do domu.

Mags ładowała właśnie z impetem zmywarkę. Ray skrzywił się na odgłos dźwięczących talerzy. Miała włosy zaplecione w luźny warkocz, stare spodnie dresowe i jego starą koszulkę. Kiedy przestała o siebie dbać? – pomyślał i natychmiast się tego zawstydził. Powinien popatrzeć na siebie.

– Strasznie cię przepraszam. Zupełnie zapomniałem.

Otworzyła butelkę czerwonego wina. Zauważył, że wyjęła tylko jeden kieliszek, lecz uznał, że bezpieczniej będzie tego nie komentować.

– Bardzo rzadko proszę cię o to, byś gdzieś był o konkretnej godzinie. Rozumiem, że czasami praca jest ważniejsza. Naprawdę rozumiem. Ale umówiliśmy się na to spotkanie dwa tygodnie temu. Dwa tygodnie! Obiecałeś, Ray. – Głos Mags zadrżał, Ray objął ją pocieszająco ramieniem.

– Przepraszam, Mags. Było okropnie?

– W porządku. – Strąciła ramię męża, usiadła przy stole i pociągnęła solidny łyk wina. – Nie powiedzieli nic strasznego, tylko tyle, że Tom ma większe problemy z przystosowaniem się niż inne dzieci w szkole i trochę się o niego martwią.

– Co nauczyciele z tym robią? – Wziął kieliszek, napełnił go i usiadł obok Mags. – Przypuszczam, że z nim rozmawiali?

– Podobno Tom twierdzi, że wszystko jest dobrze. – Wzruszyła ramionami.

– Pani Hickson robi, co w jej mocy, aby go zmotywować do większej aktywności i zaangażowania na lekcjach, ale on nie odzywa się ani słowem. Pytała, czy jest cichym i spokojnym dzieckiem.

– Cichy i spokojny? Tom? – prychnął Ray.

– Otóż to. – Popatrzyła na niego. – Naprawdę mi ciebie tam brakowało, wiesz?

– Zupełnie wypadło mi z głowy. Wybacz mi, proszę. Miałem kolejny ciężki dzień w pracy, a potem wstąpiłem do baru.

– Ze Stumpym?

Potwierdził skinieniem. Mags miała słabość do Stumpy'ego, był ojcem chrzestnym Toma, i z przymrużeniem oka patrzyła na ich „męskie” wypadki. Nie wspomniał o Kate, właściwie sam nie wiedział czemu.

Westchnęła.

– Co robimy?

– Da sobie radę. Zmiana szkoły nie jest łatwa, to jego pierwsze tygodnie w gimnazjum. Bardzo długo był dużą rybą w małym stawie, a teraz pływa z rekinami. Pogadam z nim.

– Nie praw mu kazania...

– Nie mam zamiaru!

– To by tylko pogorszyło sytuację.

Ray ugryzł się w język. Stanowili z Mags świetną drużynę, ale mieli zupełnie inne poglądy na temat rodzicielstwa. Mags była łagodniejsza, zdaniem Raya nadopiekuńcza. On zachęcał dzieci do samodzielności.

– Nie wygłoszę mu kazania – obiecał.

– Nauczycielka zaproponowała, żebyśmy poczekali parę miesięcy i porozmawiali ponownie kilka tygodni po półroczu. – Wbiła w Raya znaczące spojrzenie.

– Podaj datę. Przyjdę.

ROZDZIAŁ 6

Światła samochodu odbijają się na mokrym asfalcie, oślepiając ich co kilka sekund. Ludzie przemykają obok po śliskich chodnikach, przejeżdżające

samochody ochlapują ich buty wodą. Przy barierkach sterty przemoczonych liści, niegdyś kolorowe, teraz w ponurym odcieniu brązu.

Pusta droga.

Biegnący Jacob.

Pisk mokrych hamulców, głuchy odgłos, kiedy uderza o maskę, jego ciało wykonujące salto w powietrzu, zanim uderza o jezdnię. Zamazana szyba. Kałuża krwi obok głowy Jacoba. Pojedyncza biała chmurka oddechu.

Budzi mnie krzyk. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale sypiam przy włączonym świetle, nie potrafię znieść ciemności. Mocne, nieregularne bicie serca. Koncentruję się na zwolnieniu oddechu.

Wdech. Wydech.

Wdech. Wydech.

Cisza atakuje, zamiast uspokajać, wbijam paznokcie w skórę dłoni, zostawiają na niej małe półksiężycy, czekam, aż ustąpi panika. Sny stają się coraz bardziej realistyczne. Widzę go. Słyszę przyprawiający o mdłości odgłos, gdy jego czaszka pęka w zderzeniu z asfaltem...

Koszmary nie zaczęły się od razu, ale odkąd się pojawiły, nie chcą ustąpić. Co noc, leżąc w łóżku, walczę ze snem i przerabiam w głowie różne scenariusze jak w tych książkach dla dzieci, gdzie czytelnik może sobie wybrać zakończenie. Zaciskam mocno powieki i przeżywam swoje alternatywne zakończenie: to, w którym wychodzimy pięć minut wcześniej lub pięć minut później. Jacob nie umarł, leży teraz w swoim łóżeczku, ciemne rzęsy spoczywają na okrągłych policzkach. Lecz to niczego nie zmienia. Każdej nocy próbuję budzić się coraz wcześniej, jakby przerwanie koszmaru sennego mogło jakoś odwrócić to, co się stało. Od wielu tygodni powtarzam taki sam schemat, kilkakrotnie w ciągu nocy budzi mnie głuche uderzenie małego ciała o zderzak samochodu i mój bezsilny krzyk, gdy opada na mokry asfalt.

Zostałam pustelnicą zamkniętą w kamiennych murach małego domku. Chodzę tylko po mleko do najbliższego sklepiku w wiosce, żywię się grzankami i kawą. Trzykrotnie wybierałam się z wizytą do Bethan, trzykrotnie zmieniałam zdanie. Chciałabym do niej pójść. Od dawna nie miałam żadnego przyjaciela. Od dawna żadnego nie potrzebowałam.

Zaciskam lewą dłoń w pięść i powoli prostuję zesztyniałe po nocy palce. Ból dokucza mi już bardzo rzadko, ale dłoń prawie straciła czucie, dwa palce mam zdrętwiałe. Ściskam dłoń, aby pozbyć się mrowienia. Powinnam

była, naturalnie, pojechać do szpitala, lecz w porównaniu z tym, co spotkało Jacoba, wydawało się to nieistotne, a ból zasłużony. Dlatego sama starannie owinęłam ranę bandażem, codziennie go zmieniałam, zaciskając zęby z bólu, kiedy odklejałam opatrunek od rany. Zagoiła się, linia życia zginęła pod warstwą blizn.

Wysuwam nogi spod warstwy koców. Na górze nie ma ogrzewania, na ścianach skrapla się wilgoć. Szybko wciągam spodnie dresowe i ciemnozieloną bluzę, nie wyjmuję włosów spod kołnierza, schodzę na dół. Wciągam ze świstem powietrze, kiedy bosa stopy dotykają zimnych płytek. Wkładam sportowe buty i otwieram drzwi wyjściowe. Zawsze lubiłam rano wstawać, zaczynałam pracę o wschodzie słońca. Bez pracy czuję się zagubiona. Błądzą w poszukiwaniu nowej tożsamości.

Latem zapewne zawitają turyści. Nie o tej porze dnia, prawdopodobnie także nie w okolicy mojej, położonej na uboczu, kwatery. Z pewnością zaludnią plażę. Tymczasem należy wyłącznie do mnie, samotność mnie uspokaja. Matowe promienie zimowego słońca torują sobie drogę wśród chmur nad klifami, na kałużach wzdłuż ścieżki okalającej zatokę połyskuje lód. Biegnę, mój oddech tworzy kłęby pary. W Bristolu nigdy nie biegałam, tutaj pokonuję całe kilometry.

Znajduję rytm zsynchronizowany z biciem serca i podążam w równym tempie nad morze. Buty stukają o kamienne podłoże, ale biegnę pewnie. Ścieżkę prowadzącą ku morzu mogłabym pokonać z zawiązanymi oczami. Wskakuję na mokry piasek. Przy ścianie urwiska powoli biegnę wokół zatoki, dopóki blokujące drogę kamienie nie spychają mnie ku morzu.

Trwa odpływ, na piasku zostały kawałki drewna i śmieci, przypominają obręcz z mydła na wannie po kąpieli. Odwracam się plecami do urwiska, zwiększam tempo, biegnę po płyciźnie, buty utykają w mokrym piasku. Schylam głowę, chroniąc twarz przed zimnym wiatrem, walczę z jego naporem, pędzę co sił wzdłuż wybrzeża, aż w płucach powstaje żar, krew szumi w uszach. Dobiegam do przeciwległego klifu, zamiast zwolnić, przyspieszam. Włosy smagają mi twarz, potrząsam głową, by je odgarnąć. Biegnę coraz szybciej, wyciągam ramiona na ułamek sekundy przed zderzeniem ze skalną ścianą. Uderzam rękami o zimny kamień. Żyję. Nie śpię. Jestem bezpieczna i wolna od koszmarnych snów.

Adrenalina opada, zaczynam drżeć, idę z powrotem tam, skąd przybiegłam. Na mokrym piasku nie widać już moich śladów. Sięgam po kawałek drewna i rysuję wokół siebie krąg, który znika, zanim jeszcze podnoszę patyk. Sfrustrowana, robię kilka kroków w stronę lądu, gdzie piasek jest bardziej suchy, i kreślę kolejne koło. Teraz lepiej. Odczuwam nagłą pokusę, by napisać swoje imię, niczym dziecko na wakacjach. Uśmiecham się,

rozbawiona infantylnym pomysłem. Drewno jest śliskie i nieporęczne, ale kończę napis i podziwiam swoje dzieło. Wielkie litery tworzące moje imię wyglądają dziwnie. Tak długo byłam niewidzialna i kim się stałam? Rzeźbiarką, która przestała rzeźbić. Bezdzielną matką. Litery sprawiają wrażenie krzykliwych. Można je zobaczyć nawet ze szczytu urwiska. Ogarnia mnie dreszcz lęku i podniecenia. Zamierzam podjąć ryzyko, to przyjemne uczucie.

Na szczycie ustawiono bezużyteczną barierkę, która ma przypominać spacerowiczom, by nie podchodzili zbyt blisko krawędzi. Ignoruję znak i przechodzę ponad drutem, by stanąć kilka centymetrów nad przepaścią. Piasek zmienia kolor z szarego na złoty, w miarę jak słońce wędruje coraz wyżej. Pośrodku plaży tańczy moje imię, chcę je uchwycić, nim zniknie.

Zrobię zdjęcie, postanawiam. Uwiecznię swoją odwagę, zanim przytyły zatrze po niej ślad. Biegnę do domu po aparat. Czuję się lżejsza. Dlatego że biegnę po coś, a nie uciekam, uświadamiam sobie.

Pierwsza fotografia to nic specjalnego. Nie ten kadr, napis zbyt daleko od brzegu. Znow biegnę na plażę, pokrywam piasek imionami z przeszłości, ale natychmiast znikają. Inne piszę bliżej brzegu: postaci z czytanych w dzieciństwie książek albo te, które lubię za samo brzmienie. Wyjmuję aparat, kucam, sprawdzam różne kąty, uwieczniając razem ze słowami fragment wody, skrawek nieba, kamienie.

Wreszcie wspinam się na górę stromą ścieżką, aby zrobić ostatnie zdjęcia. Niebezpiecznie balansuję na krawędzi. Całą plażę pokrywają napisy różnej wielkości, jak majaczenia szaleńca. Przytyły zmyje je wszystkie, co do jednego. Wieczorem, podczas kolejnego odpływu, piasek znow będzie czysty, a ja będę mogła zacząć od nowa.

Nie mam pojęcia, która godzina, ale słońce jest już wysoko, w pamięci aparatu ponad sto zdjęć. Mam zapiaszczone ubranie i włosy sztywne od soli. Nie wzięłam rękawiczek, zmarznięte ręce boją. Pójdę do domu, wezmę gorącą kąpiel, zgram zdjęcia na komputer i sprawdzę, czy którekolwiek się do czegoś nadaje. Czuję przytyły energii, po raz pierwszy od wypadku mam jakiś cel.

Ruszam w stronę domu, ale waham się, gdy docieram do rozstaju dróg. Myślę o Bethan, przypomina mi siostrę. Ogarnia mnie tęsknota za domem i zanim zdążę się rozmyślić, wchodzę na ścieżkę prowadzącą do kempingu. Co mam powiedzieć, jak uzasadnić wizytę? Nie mam przy sobie pieniędzy, nie mogę udawać, że przyszedłam do sklepiku po mleko lub chleb. Mogłabym o coś zapytać, ale nie przychodzi mi do głowy nic wiarygodnego. Bethan by się domyśliła, że to żalosna wymówka, a ja czułabym się głupio.

Tracę pewność siebie już po przejściu stu metrów. Staję przy bramie kempingu i spoglądam na sklepik. W oknie widać zarys czyjejs postaci. Nie wiem, czy to Bethan, i nie czekam, by się przekonać. Zawracam i biegnę do domu.

Sięgam do kieszeni po klucz, kładę rękę na klamce. Porusza się lekko, drzwi są otwarte. To stary zamek, nie można mu ufać. Iestyn pokazał mi, jak manewrować drzwiami i kluczem, tak aby mechanizm zaskoczył, lecz czasami spędzam około dziesięciu minut, usiłując zamknąć lub otworzyć drzwi. Zostawił mi swój numer, nie wie, że wyrzuciłam telefon komórkowy. W domu jest poprowadzona linia telefoniczna, ale nie ma aparatu. Będę musiała poszukać budki telefonicznej w Penfach, żeby go poprosić o naprawę.

Po kilku minutach od mojego powrotu rozlega się pukanie do drzwi.

– Jenna? Tu Bethan.

Przez chwilę rozważam zignorowanie gościa, jednak ciekawość bierze górę. Otwierając drzwi, czuję falę ekscytacji. Jestem samotna w swoim azylu.

– Przyniosłam placek. – Bethan wchodzi bez zaproszenia i stawia zakryte ścierką kuchenną naczynie na szafce obok kuchenki.

– Dziękuję. – Szukam jakichś miłych, zdawkowych słów, Bethan uśmiecha się przyjaźnie. Zdejmuje gruby wełniany płaszcz, jestem zszokowana tym gestem. – Napijesz się herbaty?

– Jeżeli robisz. Pomyślałam, że wpadnę sprawdzić, jak sobie radzisz. Miałam nadzieję na twoje odwiedziny wcześniej, ale wiem, jak to jest przy przeprowadzce. – Rozgląda się wokół i milknie. Pusty salon nic się nie zmienił od chwili, gdy Iestyn mnie tu przyprowadził.

– Nie mam zbyt wielu rzeczy – tłumaczę, zawstydzona.

– Nikt z nas tutaj nie ma wiele – mówi pogodnie Bethan. – Najważniejsze, żeby ci było ciepło i wygodnie.

Krzątam się po kuchni, przygotowując herbatę, zadowolona, że mam zajęcie. Zasiadamy z kubkami za sosnowym stołem.

– Jak ci się podoba Blaen Cedi?

– Jest idealne. Dokładnie czegoś takiego szukałam.

- Ciasnej i zimnej klitki? – Parska serdecznym śmiechem i wylewa na siebie nieco herbaty. Pociera od niechcenia spodnie, zostaje na nich ciemna plama.
 - Nie potrzebuję dużo miejsca, a kominek wystarcza, by się ogrzać – odpowiadam z uśmiechem. – Naprawdę mi się podoba.
 - Opowiedz mi coś o sobie, Jenno. Co cię sprowadza do Penfach?
 - To piękny zakątek – mówię po prostu. Oplatom dłońmi kubek z herbatą, spuszczam wzrok, unikając badawczego spojrzenia Bethan. Nie naciska na mnie.
 - Istotnie, bywają gorsze miejsca do zamieszkania, choć poza sezonem jest tu trochę smutno.
 - Od kiedy zaczniecie wynajmować przyczepy?
 - Otwieramy w Wielkanoc. Latem będzie jak w ulu, nie ta sama wioska. W październiku znowu zwalniamy obroty. Daj znać, gdybyś spodziewała się wizyty rodziny i potrzebowała dla nich noclegu. W domu raczej nikogo nie przenocujesz.
 - Dziękuję, ale nie spodziewam się gości.
 - Nie masz rodziny? – Patrzy mi prosto w oczy, nie umiem uciec przed jej przenikliwym wzrokiem.
 - Mam siostrę. Ale nie rozmawiamy już ze sobą.
 - Co się stało?
 - Och, zwykła kłótnia między rodzeństwem – rzucam lekko. Do dziś pamiętam wyraz gniewu na twarzy Eve, kiedy prosiła, żebym jej posłuchała. Teraz rozumiem, że niepotrzebnie uniosłam się dumą, byłam zaślepiona miłością. Wszystko mogłoby wyglądać dziś inaczej, gdybym jej wtedy posłuchała.
- Zmieniam temat.
- Dziękuję za placek. To bardzo miły gest – dodaję.
 - Przestań. – Wkłada płaszcz i owija szyję szalikiem. – Od czego są sąsiedzi? Niedługo wpadniesz do mnie na herbatę.

To nie jest pytanie, ale potwierdzam skinieniem głowy. Pod obstrzałem jej ciemnobrązowych oczu czuję się jak małe dziecko.

– Obiecuję – zapewniam szczerze.

Po wyjściu Bethan zgrywam zdjęcia na laptopa. Większość jest zła, lecz na kilku udało mi się idealnie uchwycić litery na piasku z gwałtownym zimowym morzem w tle. Wstawiam wodę na kolejną herbatę i tracę poczucie czasu. Mija pół godziny, a woda nadal jest zimna. Dotykam lodowatej płyty kuchenki. Znowu zepsuta. Pochłonięta edytowaniem zdjęć, nie zwróciłam uwagi na nagłe ochłodzenie, a teraz już zaczynam szczękać zębami. Zerkam na placek z kurczakiem od Bethan, z głodu burczy mi w brzuchu. Ostatnim razem uruchomienie kapryśnej kuchenki zajęło mi dwa dni. Nie mam siły na powtarzanie tej procedury.

Muszę się otrząsnąć. Kiedy zamieniłam się w tę żalostną istotę, która nie potrafi rozwiązywać problemów? To przecież nie ja.

– Dobrze – mówię na głos. Moje słowa brzmią dziwnie w pustej kuchni. – Zaraz naprawimy.

Zanim udaje mi się ogrzać, nad Penfach wschodzi słońce. Po kilku godzinach klęczenia na kuchennej podłodze bolą mnie kolana, włosy mam wysmarowane tłuszczem. Przepelnia mnie uczucie zadowolenia z dobrze wykonanego zadania; nie czułam tego od bardzo dawna. Podgrzewam placek, to nic, że właściwie jest już pora śniadania i że po kilku godzinach przestałam czuć głód. Nakrywam stół do kolacji i delectuję się każdym kęsem.

ROZDZIAŁ 7

Pospieszcie się! – krzyknął Ray do Toma i Lucy, którzy jeszcze byli na górze. Zerknął na zegarek po raz piąty w ciągu pięciu minut. – Spóźnimy się!

Tak jakby poniedziałkowe poranki nie były wystarczająco stresujące, Mags spędziła tę noc u siostry i miała wrócić dopiero wczesnym popołudniem. Musiał sobie radzić sam przez całe dwadzieścia cztery godziny. Poprzedniego wieczoru pozwolił dzieciom – teraz widział, że bardzo nierozsądnie – oglądać do późna film. Dziś o siódmej trzydzieści z trudem wywabił z łóżka nawet zawsze pogodną i pełną energii Lucy. Zegar wskazywał ósmą trzydzieści pięć i musieli się pośpieszyć. Ray miał o dziewiątej trzydzieści spotkanie z głównym komendantem policji,

nadinspektor Olivią Rippon. Zanosiło się na to, że zamiast w jej gabinecie o tej godzinie nadal będzie stał u podnóża schodów, krzycząc na dzieciaki.

– Ruszcie się! – Poszedł do samochodu i uruchomił silnik, zostawiając drzwi wejściowe otwarte na oścież. Lucy wybiegła z rozwianymi, nieuczesanymi włosami, by usiąść obok ojca na przednim siedzeniu. Granatowa spódnica od szkolnego mundurka była wygnieciona, a jedna podkolanówka już opadła do kostek. Całą minutę później powoli nadszedł Tom w powiewającej na wietrze, niewsuniętej za pasek spodni koszuli. Krawat trzymał w dłoni bez widocznego zamiaru jego włożenia. Ostatnio sporo urósł i sprawiał wrażenie, jakby czuł się niezręcznie w swoim ciele, z wiecznie spuszczoną głową i zwieszonymi ramionami.

Ray otworzył szybę.

– Drzwi, Tom!

– Ha? – Popatrzył na ojca.

– Zamknij drzwi wejściowe. – Ray zacisnął dłonie w pięści. Nigdy nie zrozumie, jakim cudem Mags robi to codziennie i zachowuje spokój. Miał w głowie całą listę rzeczy do zrobienia i akurat dzisiaj wolałby nie odwozić dzieci do szkoły.

– Och. – Tom powlókł się z powrotem i zatrzaskał drzwi do domu, po czym usiadł na tylnym siedzeniu samochodu. – Dlaczego Lucy siedzi z przodu?

– Jest moja kolej.

– Nie.

– Właśnie że tak.

– Cisza! – ryknął Ray.

Nikt się już nie odezwał. Po pięciu minutach, tyle zajęło im dotarcie pod szkołę Lucy, Ray odzyskał równowagę. Zaparkował mondeo na żółtych zygzakach, odprowadził córkę pod klasę i pocałował ją w czoło na pożegnanie. Kiedy wrócił, jakaś kobieta spisywała numery z jego tablicy rejestracyjnej.

– A, to pan! – Pogroziła palcem. – Powinien pan mieć więcej oleju w głowie, komisarzu.

– Przepraszam. Pilna robota. Wie pani, jak to jest.

Postukała z dezaprobatą ołówkiem o notes. Cholerna drogówka, pomyślał, mają za dużo wolnego czasu.

– Hm – zaczął, zerkając na miejsce pasażera. Tom przesiadł się do przodu natychmiast po wyjściu Lucy, ale uparcie patrzył w szybę. – Jak tam w szkole?

– Dobrze.

Z relacji nauczycielki wynikało, że co prawda nie jest gorzej, ale z pewnością nie najlepiej. Wychowawczynie przedstawiła im charakterystykę ucznia, który nie ma przyjaciół, uczestniczy w lekcjach w minimalnym stopniu i w nic się nie angażuje.

– Pani Hickson mówi, że nowy klub futbolowy ma zajęcia w środy po lekcjach. Jesteś zainteresowany?

– Nieszczęśliwie.

– Kiedyś nieźle grałem w piłkę, może odziedzyczyłeś po mnie jakiś talent? – Nie musiał nawet patrzeć na syna, by wiedzieć, że ten przewraca oczami. Skrzywił się z niesmakiem na myśl, jak bardzo upodobił się do własnego ojca.

Tom założył słuchawki.

Ray westchnął przeciągle. Dojrzewanie zamieniło jego syna w mrukliwego, niekomunikatywnego nastolatka i drżał przed dniem, kiedy to samo stanie się z córką. Nie wolno faworyzować żadnego z dzieci, ale miał słabość do Lucy, która w wieku dziewięciu lat nadal lubiła się przytulać i słuchać bajek na dobranoc. Do spięć między nim a Tomem dochodziło już wcześniej, zanim chłopak zaczął dorastać. Dlatego że jesteście do siebie zbyt podobni, stwierdziła Mags. Ray jakoś tego nie widział.

– Tu wysiądę. – Tom zaczął rozpinąć pasy.

– Szkoła jest dwie przecznice dalej.

– Nie szkodzi, tato. Przejdę się. – Sięgnął ręką do klamki, jakby miał zamiar wysiąść w biegu.

– Dobrze, niech ci będzie! – Ray zaparkował na poboczu, po raz drugi tego dnia w niedozwolonym miejscu. – Spóźnisz się, wiesz o tym?

– Nara.

Tyle. Zatrzasnął za sobą drzwi i wszedł na ulicę pomiędzy jadące samochody. Co się, na Boga, stało z tym miłym, zabawnym dzieciakiem? Czy to zwykły bunt nastolatka, a może coś więcej? Ray pokręcił głową. Wychowanie dziecka powinno być prostsze niż prowadzenie skomplikowanego dochodzenia kryminalnego, tymczasem on, postawiony przed wyborem przesłuchania świadka lub rozmowy z Tomem, bez wahania wybrałby to pierwsze. I więcej bym z niego wydobył, pomyślał gorzko. Dziękować niebiosom, że to Mags odbierze dzieci ze szkoły.

Parkując samochód obok komendy, nie myślał już o Tomie. Nie trzeba być geniuszem, by zgadnąć, z jakiego powodu komendantka policji chciała go zobaczyć. Od wypadku, w którym zginął mały Jacob, minęło sześć miesięcy, a śledztwo stało w martwym punkcie. Usiadł na krześle w poczekalni, obok gabinetu z dębową boazerią, sekretarka posłała mu współczujący uśmiech.

– Kończy rozmowę telefoniczną – oznajmiła. – To nie potrwa długo.

Olivia Rippon była kobietą tyleż błyskotliwą, co przerażającą. Błyskawicznie awansowała, a potem przez siedem lat piastowała stanowisko szefowej policji w Avon i Somerset. Odrzuciła propozycję objęcia posady komisarza w Metropolitan „z powodów osobistych” i została w rodzimym biurze, gdzie czerpała wyraźną przyjemność z zamieniania wyższych oficerów policji w bełkoczące ofiary losu na comiesięcznych zebraniach. Wyglądała, jakby urodziła się do noszenia munduru, upinała ciemnobrązowe włosy w niepretensjonalny kok, nogi miała masywne, zwykle nosiła czarne rajstopy.

Ray wytarł dłonie o materiał spodni. Słyszał pogłoskę, że komendantka wstrzymała niegdyś awans pewnego obiecującego funkcjonariusza na starszego aspiranta, gdyż jego spocone dłonie świadczyły o braku pewności siebie. Nie miał pojęcia, ile w tym prawdy, lecz wolał nie ryzykować. Z jego pensji komisarza dało się przeżyć, ale nie bez pewnego wysiłku. Chociaż Mags wciąż mówiła o pracy jako nauczycielka, Ray dokonał obliczeń, z których wynikało, że gdyby zdołał awansować jeszcze o dwa szczeble, jego żona nie musiałaby pracować. Przypomniał sobie poranny chaos: Mags miała wystarczająco dużo obowiązków – nie powinna podejmować pracy tylko po to, żeby mogli sobie pozwolić na więcej luksusów.

– Proszę wejść – powiedziała sekretarka.

Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi.

– Dzień dobry, pani komendant.

Odpowiedziała mu cisza, szefowa sporządzała jakieś notatki swoim słynnym nieczytelnym charakterem pisma. Ray stał przy drzwiach, udając, że podziwia liczne dyplomy i fotografie na ścianach. Granatowy dywan był grubszy i bardziej miękki niż wykładziny w innej części budynku, połowę gabinetu zajmował olbrzymi stół konferencyjny. Po drugiej stronie, za wielkim, grawerowanym biurkiem siedziała Olivia Rippon; wreszcie przerwała pisanie i podniosła wzrok.

– Chcę, żebyś zamknął dochodzenie w sprawie wypadku w Fishponds.

Jasno dała do zrozumienia, że nie zaproponuje mu, by usiadł, zatem Ray wybrał sobie krzesło stojące najbliżej Olivii i usiadł mimo to. Uniosła do góry brew, lecz wstrzymała się od komentarza.

– Gdybyśmy dostali jeszcze trochę czasu...

– Mieliście pięć i pół miesiąca. Wstyd, Ray. Za każdym razem, kiedy w „Post” pojawiają się te wasze informacje o rzekomych postępach, przypominają tylko ludziom o naszej nieudolności. Odebrałam wczoraj wieczorem telefon od radnego Lewisa. On, podobnie jak ja, jest zdania, że czas zamknąć sprawę.

Ray poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Czy to przypadkiem nie on odrzucił wniosek mieszkańców o zmniejszenie dozwolonej prędkości na osiedlach do trzydziestu kilometrów na godzinę?

Posłała mu chłodne spojrzenie.

– Zamknij ją, Ray.

Patrzyli na siebie bez słowa ponad gładkim, orzechowym blatem biurka. O dziwo, pierwsza dała za wygraną, oparła się o fotel i złożyła dłonie.

– Jesteś wyjątkowo dobrym detektywem, Ray, a twoja wytrwałość zasługuje na szacunek. Aczkolwiek jeżeli chcesz awansować, musisz zrozumieć, że praca w policji to nie tylko ściganie przestępców, lecz również polityka.

– Ja to rozumiem – odparł, tłumiąc frustrację.

– Świetnie. – Olivia zdjęła skuwkę z pióra i sięgnęła po kolejny dokument ze sterty na sekretarzyku. – Zatem jesteśmy jednomyślni. Dochodzenie zostaje dziś zamknięte.

Tego dnia nie miał nic przeciwko staniu w korkach – gwarantowały późniejszy powrót do biura i więcej czasu, nim będzie musiał powiedzieć

Kate. Zastanawiał się, czemu właśnie ta myśl wybija się na pierwszy plan. Zapewne dlatego, że krótko z nimi pracowała i jeszcze nie doświadczyła rozczarowania, jakim jest odstąpienie od dochodzenia, w które zainwestowano tyle energii. Stumpy będzie zrezygnowany.

Wezwał oboje do swojego gabinetu, gdy tylko dotarł na posterunek. Kate przyszła pierwsza, z kubkiem kawy, który dostawiła do trzech innych obok jego komputera.

– Z zeszłego tygodnia?

– Aha, sprzątaczką odmawia ich mycia.

– Nie dziwię się. Mógłbyś to robić sam, wiesz? – Kate usiadła. Przyszedł Stumpy i skinął Rayowi głową na powitanie.

– Pamiętasz wóz, który Brian i Pat wypatrzyli na nagraniach z kamer przemysłowych? – zapytała Kate, gdy tylko Stumpy zajął swoje miejsce. – Jechał tak szybko, jakby uciekał?

Ray pokiwał głową.

– Nie umiemy go zidentyfikować na podstawie nagrań i chciałabym przesłać taśmy do Wesleya. Może przynajmniej udałoby się wyeliminować kierowcę jako podejrzanego.

Wesley Barton był chudym, anemicznym osobnikiem, który w jakiś sposób zdobył stanowisko eksperta policyjnego do spraw nagrań z kamer przemysłowych. Pracował w piwnicy bez okien dusznego domu na Redland Road. Używał niewyobrażalnie dużo sprzętu do obróbki obrazu, aby był na tyle wyraźny, by posłużyć jako materiał dowodowy. Ray zakładał, że Wesley musi być godzien zaufania, skoro dostał pracę w policji, ale na myśl o tym człowieku i jego piwnicy przechodziły mu ciarki po skórze.

– Przykro mi, Kate, nie mogę ci dać funduszy – zaczął. Z duszą na ramieniu odwlekał moment powiedzenia jej, że cała ciężka praca poszła na marne. Wesley był drogi, ale dobry, a Ray pozostawał pod wrażeniem podzielnej uwagi Kate. On, choć przyznawał to z bólem nawet przed samym sobą, nie radził sobie najlepiej w ostatnich tygodniach. Rozpraszały go problemy z Tomem. Przez sekundę poczuł ukłucie niechęci do własnego syna. Nie powinien pozwolić, by problemy rodzinne wpływały na jego pracę, zwłaszcza w tak ważnym dochodzeniu, to niewybaczalne. Nieważne, pomyślał z goryczą. Szefowa wydała rozkaz.

– Koszt nie jest bardzo duży – zapewniła Kate. – Rozmawiałam z nim i...

– Nie mogę autoryzować żadnych przelewów – przerwał jej Ray z naciskiem. Stumpy popatrzył domyślnie, wiedział już, co nastąpi. Przerabiał tę sekwencję wiele razy.

– Dostałem rozkaz zamknięcia sprawy – powiedział Ray, nie spuszczać wzroku z Kate.

Krótką pauza.

– Mam nadzieję, że powiedziałaś Rippon, gdzie może go sobie wsadzić. – Roześmiała się, ale nikt jej nie zawtórował. Popatrzyła na przemian na Raya i Stumpy'ego, spoważniała. – Mówisz poważnie? Mamy przerwać pracę?

– Nie ma czego przerywać. Niewiele możemy już zrobić. Ślad w postaci świateł przeciwmgielnych doprowadził donikąd...

– Jest jeszcze ponad tuzin zaległych rachunków. Niewiarygodne, ilu mechaników samochodowych nie prowadzi szczegółowej dokumentacji na bieżąco. Dotrę do wszystkich, potrzebuję tylko więcej czasu.

– Szkoda twoich wysiłków – zaprotestował łagodnie Ray. – Czasami trzeba wiedzieć, kiedy przestać.

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy – poparł go Stumpy. – To szukanie igły w stogu siana. Nie mamy numeru seryjnego jedyne fragmentu, który znaleźliśmy, nie mamy koloru, marki, modelu. Potrzebujemy czegoś więcej, Kate.

Ray był wdzięczny Stumpy'emu za pomoc.

– A ponieważ nic więcej nie mamy, musimy, niestety, odłożyć sprawę na półkę. Oczywiście jeśli pojawi się świeży trop, podejmiemy go, ale w innym wypadku... – Zamilkł w połowie zdania, uzmysłowivszy sobie, że brzmi, jakby występował na konferencji prasowej.

– Chodzi o politykę, tak? – domyśliła się Kate. – Naczelnik mówi „skaczcie”, a my pytamy, jak wysoko? – Przyjęła wiadomość bardzo osobiście, pomyślał Ray.

– Daj spokój. Nie pracujesz w policji od wczoraj. Czasem musimy podejmować trudne decyzje. – Przerwał gwałtownie, nie chciał być protekcyjny. – Słuchaj, przez sześć miesięcy nie trafiliśmy na nic konkretnego. Żadnych świadków, żadnych dowodów rzeczowych, nic. Moglibyśmy zainwestować w to śledztwo miliony i nie posunąć go naprzód

o krok. Przykro mi, ale mamy dużo spraw do wyjaśnienia, Jacob nie jest jedyną ofiarą. Inne przypadki też wymagają naszego zaangażowania.

– Próbowałaś chociaż zawalczyć? – zapytała, czerwona ze złości. – Czy potulnie podkuliłeś ogon?

– Kate – odezwał się ostrzegawczym tonem Stumpy. – Wyhamuj.

Zignorowała go, wpatrzona wyzywająco w Raya.

– Musisz myśleć o awansie. Nie opłaca się kłócić z panią nadinspektorką, co?

– To nie ma nic do rzeczy! – Chociaż starał się zachować spokój, odpowiedź zabrzmiała głośniejsz, niż chciał. Mierzyli się wzrokiem. Kątem oka widział zatroskaną minę Stumpy'ego. Powinien wskazać Kate drzwi. Przypomnieć, że jest przełożonym i jego decyzja nie podlega dyskusji. Kropka. Otworzył usta i nie umiał wydobyć głosu.

Problem polegał na tym, że miała całkowitą rację. Nie chciał zamykać śledztwa. Był czas, gdy on także potrafił walczyć o to, w co wierzył, jak teraz Kate. Może stracił tę część siebie, a może Kate ma rację i zaślepiła go perspektywa awansu?

– Ciężko pracowałaś nad tą sprawą. Wiem, że to trudne – powiedział łagodnie.

– Nie chodzi o pracę. – Wskazała zdjęcie Jacoba. – O niego. To nie w porządku.

Ray przypomniał sobie zrozpaczoną matkę dziecka. Nie potrafił zbić argumentu Kate, nawet nie próbował.

– Bardzo mi przykro. – Odchrząknął i postanowił zmienić temat. – Co nowego? – zwrócił się do Stumpy'ego.

– Malcolm przez cały tydzień będzie w sądzie, chodzi o sprawę Graysona, prokuratura wnosi oskarżenie o ciężkie uszkodzenie ciała w związku z zajściem na Queen's Street. Ja prowadzę dochodzenie w sprawie kradzieży, a Dave podjął się misji edukacyjnej: uświadomienia młodzieży niebezpieczeństw powodowanych noszeniem noży. Dziś ma pogadankę w college'u.

W głosie Stumpy'ego było tyle ironii, że Ray musiał się zaśmiać.

– Trzeba iść z duchem czasu, stary.

– Możesz gadać tym dzieciakom do upadłego, i tak będą robić swoje.

– Hm, cóż nam szkodzi spróbować. – Ray zapisał sobie informacje w notesie. – Dasz mi znać przed jutrzejszym porannym zebraniem, jak poszło? Chciałbym też poznać twoje zdanie na temat wzrostu przestępstw z użyciem noża w czasie wakacji szkolnych. Dobrze by było zgarnąć jak najwięcej tych młokosów z ulic.

– Tak jest.

Kate wbiła wzrok w podłogę i skubała skórki przy paznokciach. Popatrzyła na Stumpy'ego, dopiero gdy delikatnie klepnął ją w ramię.

– Co powiesz na kanapkę z bekonem? – zapytał cicho.

– Nie pomoże – mruknęła.

– Tobie nie – przyznał Stumpy. – Ale ja poczuję się lepiej, jeśli nie będę musiał patrzeć przez cały dzień na twoją minę buldoga przeżywającego osę.

Roześmiała się z przymusem.

– Spotkamy się na górze.

Zaczekała, aż starszy kolega wyjdzie z pokoju. Ray zamknął za nim drzwi, usiadł przy biurku i skrzyżował ręce.

– W porządku?

Pokiwała głową.

– Przepraszam, nie powinnam była odzywać się do ciebie w ten sposób.

– Słyszałem już gorsze rzeczy na swój temat. – Uśmiechnął się szeroko. Kate nie odpowiedziała na uśmiech, nie miała nastroju do żartów. – Wiem, że ta sprawa dużo dla ciebie znaczy.

– Czuję, że go zawiodłam. – Popatrzyła na zdjęcie chłopca.

Ray poczuł, że jego własne mechanizmy obronne zaczynają zawodzić. Tak, zawiedli Jacoba, ale nie pomoże Kate, przyznając jej rację.

– Zrobiłaś, co mogłaś.

– Ale to nie wystarczyło, prawda?

– Nie, nie wystarczyło. – Pokręcił głową.

Po jej wyjściu uderzył z całej siły pięścią w biurko, długopis potoczył się na podłogę. Oparł się na krzesło, splótł palce za głową, dotknął przeredzających się włosów, poczuł się nagle stary i zmęczony. Pomyślał o starszych rangą funkcjonariuszach, z którymi codziennie miał do czynienia, było wśród nich kilku młodszych od niego, awansowali w błyskawicznym tempie. Czy miał energię, by z nimi konkurować? Czy tego chciał?

Kiedy podjął decyzję o wstąpieniu do służby w policji, wszystko wydawało się proste. Izolować złych ludzi, dbać o bezpieczeństwo dobrych. Naprawiać szkody wyrządzone przez kryminalistów, dokładając swoją cegiełkę, aby uczynić świat lepszym. A co właściwie robił? Siedział za biurkiem od ósmej do dwudziestej, od czasu do czasu jechał w teren, robiąc sobie zaległości w papierach. Posłuszny trybik w biurokratycznej maszynie, niezależnie od przekonań, czasem wbrew wyznawanym wartościom.

Popatrzył na akta Jacoba, teczkę wypełnioną raportami o bezowocnych przesłuchaniach i fałszywych tropach. Przypomniał sobie wyraz twarzy Kate i jej rozczarowanie, że nie sprzeciwił się decyzji przełożonych. Nie chciał, aby straciła do niego szacunek, jednak miał również świeżo w pamięci słowa Olivii Rippon. Niezależnie od zdania młodszej koleżanki nie mógł przeciwstawić się wyraźnemu poleceniu służbowemu. Odłożył akta Jacoba na dno szuflady.

ROZDZIAŁ 8

Schodzę o świcie na plażę, szare chmury zapowiadają deszcz. Wkładam kaptur dla ochrony przed pierwszymi kroplami. Zrobiłam już zdjęcia, które chciałam, plaża jest pokryta napisami. Nabrałam wprawy w pisaniu bez naruszania gładkiej powierzchni piasku wokół liter, coraz lepiej radzę sobie z obsługą aparatu fotograficznego. Na studiach miałam zajęcia z fotografowania, ale to rzeźba zawsze była moją pasją. Z przyjemnością odkrywam na nowo możliwości aparatu, eksperymentuję ze światłem i ustawieniami, noszę go wszędzie ze sobą, staje się częścią mnie, podobnie jak wcześniej kawałki gliny, z której powstawały rzeźby. Po całym dniu robienia zdjęć boli mnie ręka, ale jest na tyle sprawna, bym mogła fotografować. Przychodzę na plażę każdego ranka, kiedy piasek ma najlepszą wilgotność, często wracam po południu, gdy słońce jest najwyżej. Poznaję pory przyływów i odpływów, po raz pierwszy od czasu wypadku zaczynam myśleć o przyszłości. Czekam na lato, chcę zobaczyć plażę w promieniach letniego słońca. Pole biwakowe zostało już otwarte dla

turystów, Penfach zaroilo się od ludzi. Zabawne, ale czuję się już „miejskowa”, drażnią mnie tłumy przyjezdnych, chciałabym mieć swoją cichą plażę tylko dla siebie.

Krople deszczu tworzą mikroskopijne kratery w piasku, przyływ zaciera napisy, te udane i te mniej udane. Codziennie piszę swoje imię wielkimi literami przy brzegu i drzę, gdy pochłania je woda. Nie umiem się przyzwyczaić do tej nietrwałości, choć uwieczniłam przecież poranną pracę na fotografiach. To nie jest kawałek gliny, który mogę udoskonalać w nieskończoność, wydobywać z niego kształt idealny. Moje nowe zajęcie wymaga określonego tempa pracy, ekscytuje mnie ono i męczy zarazem.

Uporczywy deszcz przenika przez kurtkę i buty. Odwracam się z zamiarem odejścia i spostrzegam mężczyznę z dużym psem, idą w moją stronę. Wstrzymuję oddech. Z tej odległości nie potrafię stwierdzić, czy ten człowiek zmierza specjalnie ku mnie, czy też po prostu w stronę morza. Przesuwam językiem po wysuszonych ustach, czuję słony, metaliczny posmak. Widziałam już wcześniej tego człowieka i jego psa, wczorajszego ranka ze szczytu urwiska. Zaczekałam wtedy do jego odejścia, zesłam, kiedy plaża znów była pusta. Czuję się osaczona, mimo że wokół jest otwarta przestrzeń. Idę przy samej krawędzi wody, jakbym od początku miała taki zamiar.

– Dzień dobry! – Mężczyzna lekko zbacza z obranej trasy, by do mnie podejść.

Nie odpowiadam.

– Piękna pogoda na spacer. – Spogląda w niebo. Oceniam jego wiek na mniej więcej pięćdziesiąt lat, włosy pod nieprzemakalnym kapeluszem są siwe, połowę twarzy zakrywa przystrzyżona broda.

Wypuszczam wstrzymywany oddech.

– Muszę już wracać – mówię niejasno. – Muszę...

– Miłego dnia.

Kiwa uprzejmie głową i przywołuje psa, a ja odbiegam w stronę urwiska. W połowie drogi odwracam głowę, by spojrzeć za siebie. Mężczyzna pozostał na brzegu, rzuca psu patyk do wody. Uspokajam się, serce przestaje bić jak szalone, czuję się niedorzecznie.

Jestem przemoczona do suchej nitki, kiedy docieram na szczyt klifu. Postanawiam odwiedzić Bethan i szybko podążam na pole biwakowe, zanim zmienię zdanie.

Bethan wita mnie szerokim uśmiechem.

– Wstawię wodę.

Krząta się na zapleczu i wesoło zagaduje o pogodzie, prawdopodobnych kłopotach z komunikacją autobusową oraz zepsutym ogrodzeniu lestyna, przez które nocą uciekło siedemdziesiąt kóz.

– Mówię ci, Alwen Rees nie był zadowolony!

Śmieję się – bardziej niż sama historia bawi mnie ekspresyjny sposób opowiadania Bethan i żywa gestykulacja. Spaceruję po betonowej podłodze sklepieniu o pobielonych ścianach, z których dwie są zakryte rzędami półek. Były puste, gdy przyszedłam tu po raz pierwszy, teraz stoją na nich zapasy jedzenia dla turystów: płatki śniadaniowe, puszki, świeże warzywa i owoce. W lodówce chłodzi się kilka kartonów mleka i inne produkty. Sięgam po kawałek sera.

– To kozi ser od lestyna – mówi Bethan. – Bierz, póki jest. Cieszy się dużym powodzeniem. Chodź, usiądź w ciepłe i opowiedz, jak sobie radzisz.

– Czarno-biały kociak staje przy jej kostkach i domaga się uwagi miauczeniem, bierze go na ręce i sadza sobie na ramieniu. – Nie przydałby ci się kociak do towarzystwa? Mam trzy takie maluchy do oddania, nasza kotka się okociła kilka tygodni temu. Ojciec nieznany.

– Nie, dziękuję. – Kot jest przeuroczy, futrzana kuleczka machająca ogonem. Ten widok przywołuje wspomnienie, które sprawia, że zapadam się w siebie.

– Nie lubisz kotów?

– Nie byłabym w stanie się nim zaopiekować. Nie umiem utrzymać przy życiu nawet kaktusa.

Bethan parska śmiechem, chociaż ja nie żartowałam. Przysuwa sobie krzesło i stawia przede mną kubek z herbatą.

– Robiłaś zdjęcia? – Wskazuje aparat, który zawiesiłam sobie na szyi.

– Kilka fotek zatoki.

– Mogę zobaczyć?

Po chwili wahania zdejmuję aparat, włączam go i pokazuję Bethan, jak przesuwać zdjęcia.

– Przepiękne!

– Dziękuję. – Czuję, że płoną mi policzki. Nigdy nie umiałam przyjmować komplementów. Gdy byłam dzieckiem, nauczyciele wychwalali moje prace i eksponowali je na wystawach, ale dopiero jako dwunastolatka uprzytomniłam sobie, że mam talent – chociaż surowy i nieukształtowany. Szkoła zorganizowała otwarty wernisaż, rodzice przyszli razem, co już wtedy należało do rzadkości. Ojciec stanął w milczeniu przed sekcją z moimi pracami: było wśród nich kilka obrazów i metalowa rzeźba ptaka. Wstrzymałam oddech na bardzo długo i skrzyżowałam ukryte w fałdach spódnicy dłonie.

– Niesamowite. – Popatrzył, jakby widział mnie po raz pierwszy. – Jesteś niesamowita, Jenno.

Pękałam z dumy. Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do pani Beeching. Nauczycielka mówiła o stypendiach artystycznych, mentorach i studiach plastycznych. A ja siedziałam, wpatrzona w swojego tatę, który uważał, że jestem „niesamowita”.

Dobrze, że już go nie ma. Nie zniosłabym widoku rozczarowania w jego oczach.

Bethan nadal przygląda się zdjęciom krajobrazów nad zatoką.

– To naprawdę piękne zdjęcia, Jenno. Sprzedasz je?

Omam nie wybucham śmiechem, ale po chwili orientuję się, że pyta poważnie.

Czy mogłabym je sprzedać? Prawdopodobnie jeszcze nie te, dopiero ćwiczę, szukam odpowiedniego światła – ale gdybym trochę nad nimi popracowała...

– Być może – odpowiadam, zaskakując samą siebie.

Ogląda pozostałe fotografie i parska śmiechem na widok swojego imienia wypisanego na piasku.

– To ja!

Rumienię się.

– Chciałam coś sprawdzić.

– Świetne. Mogę je od ciebie kupić? – Znów unosi aparat i podziwia zdjęcie.

– Nie wygłupiaj się. Wydrukuję je dla ciebie. Przynajmniej tak mogę się odwdziżyć za wszystko, co dla mnie robisz.

– Na poczcie mają automat do drukowania zdjęć – mówi Bethan. – Chciałabym to z moim imieniem i jeszcze to – z odpływem. – Wybrała jedno z moich ulubionych: zrobiłam je wieczorem, kiedy słońce chowało się za horyzontem. Gładka tafla wody przypomina połyskujące różowo i pomarańczowo lustro, klify wokół niego stanowią zaledwie gładkie zarysy po obu stronach.

– Zajmę się tym po południu.

– Dziękuję ci. – Stanowczym ruchem odkłada aparat i patrzy na mnie badawczo, znam to spojrzenie. – Teraz pozwól, że ja zrobię coś dla ciebie.

– Nie – protestuję. – Już tyle...

Macha ręką.

– Robiłam porządki i muszę pozbyć się kilku rzeczy. – Wskazuje dwa czarne worki starannie ułożone przy drzwiach. – Nic specjalnego: poduszki i narzuty, które zostały po remoncie przyczep, i trochę ubrań, w te już nigdy się nie zmieszczę, nawet jeśli do końca życia nie tknę czekolady. Żadne tam eleganckie stroje – w Penfach nie nosi się sukni balowych – kilka bluz, dżinsy i parę sukienek kupionych pod wpływem impulsu.

– Nie mogę przyjąć od ciebie ubrań!

– A to dlaczego?

– Ponieważ... – Milknę pod jej wnikliwym spojrzeniem. Rzeczowa postawa Bethan sprawia, że nie odczuwam zażenowania. Ma rację – nie mogę codziennie nosić tych samych ubrań.

– Słuchaj, tak czy inaczej, będę musiała oddać te rzeczy. Przejrzyj i zobacz, może coś ci się przyda. To chyba rozsądna propozycja?

Wychodzę od Bethan obładowana ciepłymi ubraniami i „umilaczami domu”, używając jej określenia. Po powrocie rozkładam je na podłodze niczym gwiazdkowe prezenty. Spodnie są odrobinę za duże, ale z paskiem będą dobre. Bluza z polaru jest tak mięciutka, że niemal płaczę z radości. W domu panuje chłód i wiecznie marzną. Kilka ubrań przywiezionych z

Bristolu – przestałam nazywać go domem – zdążyłam już zniszczyć, są sztywne od soli i ręcznego prania w wannie.

Najbardziej cieszę się z „umilaczy”. Okrywam sfatygowaną kanapę ogromną patchworkową narzutą w jaskrawych odcieniach czerwieni i zieleni, pokój natychmiast staje się przytulniejszy. Stawiam na kominku, obok zebranych na plaży kamyków, wazon, w który zamierzam wstawić wierzbowe gałązki. Poduszki lądują na podłodze przy kominku, gdzie siaduję z książką lub zdjęciami do edycji. Na dnie torby znajduję dwa ręczniki, matę łazienkową i jeszcze jedną narzutę.

Nie wierzę ani przez sekundę, że naprawdę miała zamiar wyrzucić te rzeczy, jednak poznałam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż dyskusja nie ma sensu.

Przerywam pracę, słysząc pukanie do drzwi. Bethan uprzedziła mnie o wizycie Iestyna, ale na wszelki wypadek przez chwilę zwlekam z otwarciem.

– Jesteś tam?

Iestyn wita mnie z charakterystyczną dla niego oschłością, ja jego ciepło i serdecznie. To, co wcześniej brałam za nieuprzejmość, dziś akceptuję jako sposób bycia człowieka nawykłego do samotności, który bardziej martwi się o dobro swoich kóz niż wrażliwość sąsiadów.

– Przywiozłem drewno. – Wskazuje przyczepę. – Żebyś nie została bez ogrzewania. Wniosę do środka.

– Napijesz się herbaty?

– Z dwiema kostkami cukru! – krzyczy przez ramię w drodze do przyczepy. Ładuje drewno do wiadra, ja tymczasem wstawiam wodę.

– Ile jestem ci winna za drewno do kominka? – pytam, kiedy siedzimy przy stole z herbatą.

Kręci głową.

– To odpady, nie nadają się na sprzedaż.

Ułożone w schludną stertę kłody starczą przynajmniej na miesiąc. Czuję w tym rękę Bethan, jednak nie stać mnie na odrzucenie tego hojnego daru. Pomyślę, jak się obojgu zrewanżować.

Iestyn wzrusza ramionami na moje wylewne podziękowania.

– Dom zmienił się nie do poznania. – Patrzy na kolorowe narzuty, kolekcję muszli i inne skarby z drugiej ręki. – Jak się sprawuje kuchenka? Nie psuje się zbyt często?

– W porządku, dziękuję. – Tłumię uśmiech. Nabrałam wprawy w reanimowaniu starej kuchni, zajmuje mi to tylko kilka minut. Starannie przechowuję ten drobny sukces wraz z innymi w nadziei, że pewnego dnia zrównoważą porażki.

– Muszę już iść. Spodziewamy się gości. Glynis tak się tym ekscytuje, jakbyśmy oczekiwali wizyty rodziny królewskiej, a nie własnej. Tłumaczę jej, że nikomu nie zależy na wypucowanym domu i kwiatach w jadalni, ale się uparła. Chce, żeby wszystko było idealnie. – Przewraca oczami ze zniecierpliwieniem, ale ton, jakim mówi o żonie, jest pełen ciepła.

– Dzieci przyjeżdżają? – pytam.

– Obydwie córki z mężami i dziećmi. Będzie trochę ciasno, ale to przecież bez znaczenia, kiedy są sami swoi, prawda? – Żegnamy się i patrzę za nim, gdy odjeżdża quadem po wyboistej drodze.

Zamykam drzwi, obejmuję wzrokiem wnętrze. Salon, który jeszcze przed chwilą wydawał mi się taki przytulny, nagle razi pustką. Wyobrażam sobie dziecko – swoje dziecko – bawiące się na dywaniku przy kominku. Myślę o Eve, o swojej siostrzenicy i siostrzeńcu, którzy dorastają beze mnie. Straciłam syna, ale mam jeszcze rodzinę, niezależnie od tego, co między nami zaszło.

Byłyśmy ze sobą blisko w dzieciństwie, Eve i ja, mimo czteroletniej różnicy wieku. Podziwiałam ją, a ona mną się opiekowała, nigdy nie przeszkadzała jej płacząca się pod nogami młodsza siostra. Nie byłyśmy do siebie podobne, ja ze swoimi rudymi lokami i Eve z prostymi włosami w kolorze popielatego blondu. Obie byłyśmy niezłymi uczennicami, ale ona przewyższała mnie pilnością, dłużej siedziała nad książkami. Ja z kolei godzinami przesiadywałam w szkolnej pracowni lub na podłodze w garażu – jedynym miejscu w domu, gdzie mama pozwalała mi pracować z farbami i gliną. Siostra pedantka kręciła nosem na moje zainteresowania i uciekała z piskiem, gdy wyciągałam do niej umazane gliną ręce. Pewnego dnia nazwałam ją „Lady Eve”, przydomek przyłgnęło do niej na długie lata. Ludzie tak o niej mówili, nawet gdy obie założyłyśmy już rodziny. Moim zdaniem lubiła ten przydomek, podobnie jak komplementy dotyczące umiejętności organizowania eleganckich przyjęć i pięknego pakowania prezentów.

Po odejściu taty oddaliśmy się od siebie. Nie mogłam zrozumieć Eve, która wybaczyła mamie, że go odtrąciła. Ja nie umiałam. Tak czy inaczej, tęsknię ogromnie za siostrą, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Pięć lat to zbyt długo, by ze sobą nie rozmawiać z powodu czyjś nieprzyjemnego komentarza.

Znajduję w komputerze zdjęcia dla Bethan, dodaję trzy, które chcę powiesić na ścianie w ramach z drewna wyrzuconego przez morze. Wszystkie są zrobione z tego samego miejsca, wszystkie przedstawiają zatokę, a każde jest zupełnie inne. Na pierwszym błękitna tafla wody mieni się w promieniach słońca, na drugim jest szara, a słońce ledwie widoczne między chmurami. Trzecie lubię najbardziej: zrobione podczas wichury, z trudem utrzymywałam równowagę na szczycie urwiska, nawet mewy zaprzestały podniebnych lotów. Czarne chmury atakowane przez wzburzone morze. Zatoka była tamtego dnia taka pełna życia, czułam wyraźnie pulsowanie własnej krwi podczas pracy.

Zgrywam na przenośną kartę pamięci jeszcze jedno zdjęcie, zrobione w dniu, kiedy po raz pierwszy napisałam na piasku słowa kojarzone z przeszłością.

Lady Eve.

Nie zaryzykuję zdradzenia siostrze miejsca pobytu, ale mogę jej powiedzieć, że jestem cała i zdrowa. I przeprosić.

ROZDZIAŁ 9

Idę na obiad do Harry'ego, szefie. Chcesz coś? – Kate zajrzała do gabinetu Raya. Miała na sobie dobrze skrojone szare spodnie i obcisły sweterek pod żakietem.

Wstał i zdjął kurtkę z oparcia krzesła.

– Pójdę z tobą, świeże powietrze dobrze mi zrobi.

Zazwyczaj jadał w kantynie lub przy biurku, ale obiad w towarzystwie Kate wydał mu się lepszym pomysłem. Poza tym wreszcie pokazało się słońce, a on nie podniósł głowy znad biurka od ósmej rano. Zasłużył na przerwę.

U Harry'ego jak zwykle było pełno ludzi, kolejka do bufetu kończyła się dopiero na zewnątrz. Policjanci upodabali sobie to miejsce nie tylko dlatego, że znajdowało się blisko posterunku, lecz również ze względu na rozsądne ceny kanapek i szybkość ich przyrządzania. Nie ma nic bardziej

frustrującego dla głodnego funkcjonariusza na służbie niż odebranie pilnego zgłoszenia, zanim dostanie swój obiad.

Stanęli w szybko przesuwałej się kolejce.

– Przyniosę ci kanapkę do biura, jeśli się spieszysz – zaproponowała Kate, ale pokręcił odmownie głową.

– Nie spiesz mi się. Siedzę nad dokumentacją Operacji Break i przyda mi się odpoczynek. Zjedzmy przy stoliku.

– Dobry pomysł. Break dotyczy prania brudnych pieniędzy, tak? – zapytała cicho, aby nie usłyszał nikt postronny.

– Tak. Jeśli chcesz, wprowadzę cię w szczegóły.

– Bardzo chętnie, dzięki.

Zamówili kanapki i usiedli na wysokich stołkach przy oknie, zerkając kątem oka na Harry'ego, który już po paru minutach uniósł do góry dwie brązowe torebki. Ray pozdrowił dwóch znajomych policjantów w mundurach.

– Potwierdzamy ich przekonanie, że tajniacy obijają się całymi dniami, zamiast pracować. – Roześmiał się.

– Nie mają o niczym pojęcia – stwierdziła. Wyjęła pomidora z kanapki i zjadła go oddzielnie. – Nigdy nie pracowałam tak ciężko, jak przy sprawie Jacoba Jordana. Wszystko na marne. – Uwadze Raya nie umknęła gorycz kryjąca się za tymi słowami.

– Nic nie poszło na marne. Kiedyś ktoś coś powie i złapiemy sprawcę.

– Ale to nie jest porządna robota śledcza.

– Co masz na myśli? – zapytał na wpół rozbawiony, na wpół urażony bezpośrednią uwagą.

Kate odłożyła kanapkę.

– Zachowanie reaktywne, a nie proaktywne. Nie powinniśmy siedzieć beczynnie i czekać na nowe dane, powinniśmy ich szukać.

Jakby słyszał samego siebie przed laty. Albo Mags, choć nie pamiętał, by kiedykolwiek była tak asertywna jak Kate. Młoda policjantka sięgnęła po kanapkę, jadła z pewną dozą determinacji. Ray stłumił uśmiech. Mówiła dokładnie to, co myślała, bez zastanowienia, czy miejsce lub czas są

odpowiednie. Wzbudzi nieco kontrowersji na posterunku, ale Ray nie miał nic przeciwko bezpośredniości. Uważał, że odświeża atmosferę.

– Naprawdę znalazła ci ta sprawa za skórę – powiedział.

Pokiwała głową.

– Nie mogę się pogodzić z myślą, że kierowca czuje się bezkarny. Ani z tym, że mama Jacoba wyjechała w przekonaniu, że nam nie zależy na jego ujęciu. – Otworzyła i zamknęła usta, jakby chciała coś dodać, lecz zmieniła zdanie.

– Co?

Zarumieniła się lekko i uniosła wyzywająco podbródek.

– Nadal prowadzę śledztwo.

Na przestrzeni lat Ray miał do czynienia z zaległościami i zaniedbaniami poczynionymi przez zbyt zajętych lub zbyt leniwych podwładnych, ale nikt jeszcze nie pracował za dużo.

– Zajmuję się tym po godzinach i nie robię nic, co mogłoby ci przysporzyć problemów u szefowej, słowo honoru. Oglądam nagrania z kamer przemysłowych i przesłuchuję rozmowy telefoniczne, prowadzone po naszym apelu telewizyjnym, może jednak coś przeoczyliśmy.

Wyobraził ją sobie w domu, z papierami rozłożonymi na podłodze, przed ekranem z niewyraźnym obrazem z kamer.

– Wierysz, że jeszcze go znajdziemy?

– Nie chcę się poddać.

Uśmiechnął się.

– Każesz mi przestać? – Zagryzła usta.

Zamierzał właśnie tak postąpić. Ale ona była taka uparta, pełna zapału. Poza tym nikomu nie szkodziła. Kiedyś mógłby zachować się podobnie.

– Nie. Nic takiego nie zrobię. Dlatego że wątpię w skuteczność swoich słów.

Oboje parsknęli śmiechem.

– Chciałbym tylko, żebyś informowała mnie na bieżąco, czym się zajmujesz, i nie przesadzała z ilością nadgodzin. Ponadto bieżące sprawy mają pierwszeństwo. Zgoda?

Popatrzyła na niego badawczo.

– Zgoda. Dzięki, Ray.

Zwinął papierowe torby.

– Chodź, musimy wracać. Pokażę ci akta Operacji Break, a potem muszę wracać do domu, inaczej będę miał kłopoty. Znowu. – Skrzywił się komicznie i przewrócił oczami.

– Myślałam, że Mags nie ma nic przeciwko twoim późnym powrotom? – zagadnęła, kiedy wracali na posterunek.

– Ostatnio kiepsko się chyba dogadujemy – wyznał i natychmiast poczuł się winny za swój brak lojalności. W pracy nie rozmawiał z nikim na tematy osobiste, wyjątek stanowił Stumpy, który znał Mags niemal tak samo długo jak Ray. Przecież powiedział tylko Kate, to nie jest jeszcze obgadywanie.

– Chyba? – Zaśmiała się. – Nie wiesz tego?

Uśmiechnął się cierpko.

– W tej chwili niczego nie jestem pewien. Nie potrafię tego nawet wyjaśnić. Hm. Mamy problemy z synem. Tom niezbyt dobrze aklimatyzuje się w nowej szkole, stał się ponury i małostkowy.

– Ile ma lat?

– Dwanaście.

– Takie zachowanie jest raczej typowe w jego wieku. Matka twierdzi, że byłam potworem.

– Ha, nie wątpię. – Roześmiał się, gdy Kate wymierzyła mu kuksańca. – Wiem, o czym mówisz, ale ta zmiana była dość gwałtowna i niezgodna z jego osobowością.

– Myślisz, że ktoś go prześladowuje?

– Zastanawiałem się. Boję się wypytywać zbyt natrętnie, żeby go nie zrazić. Mags zwykle radzi sobie w takich sytuacjach lepiej ode mnie, a tym razem i

ona nie potrafi nic z niego wydobyć. – Westchnął. – Po co ludzie w ogóle mają dzieci?

– Ja nie mam – oświadczyła Kate, otwierając boczne drzwi kartą. – I nie planuję jeszcze przez wiele lat. Szkoda czasu, który można poświęcić na zabawę – dodała ze śmiechem. Ray poczuł ukłucie zazdrości, że ma tyle swobody.

Weszli po schodach na górę. Przystanął na podeście drugiego piętra, gdzie mieściła się siedziba Wydziału Kryminalnego.

– Co do sprawy Jordana... – zaczął z ręką na kłamce.

– Pozostaje między nami, wiem. – Uśmiechnęła się, a on westchnął w duchu z ulgą. Gdyby Rippon odkryła, że zezwolił na kontynuowanie śledztwa – nawet po godzinach – w sprawie, którą kazała zamknąć, dostałby za swoje. Natychmiast wróciłby do służby mundurowej.

Tymczasem wrócił do pracy nad planowaniem Operacji Break. Olivia wyznaczyła go na głównodowodzącego. Dwa kluby nocne w centrum miasta prawdopodobnie służyły jako przykrywkę dla nielegalnej działalności, pralni brudnych pieniędzy. Musiał się przekopać przez bogaty materiał dowodowy. Obaj właściciele podejrzanych lokali byli wpływowymi biznesmenami. Wiedział, że szefowa go sprawdza, i miał zamiar zdać ten test.

Resztę popołudnia spędził na przeglądaniu spraw trzeciej grupy operacyjnej. Sierżant Kelly Proctor przebywała na urlopie macierzyńskim, zastępował ją najbardziej doświadczony posterunkowy. Sean świetnie sobie radził, ale Ray chciał mieć pewność, że wszystko będzie w porządku podczas nieobecności Kelly.

Kate niedługo zacznie pracować samodzielnie w terenie, pomyślał. Bardzo bystra dziewczyna, niejedyn starszy detektyw mógłby się od niej uczyć, z pewnością byłaby zachwycona. Z jaką wyzywającą miną zakomunikowała, że nadal prowadzi sprawę Jordana! Na pewno nie można jej odmówić zaangażowania.

Zastanawiał się nad motywacją Kate. Upór czy wiara w realne rezultaty? Czyżby zbyt łatwo zaakceptował decyzję Olivii o zamknięciu śledztwa? rozmyślał, bębniąc nerwowo palcami o blat biurka. Właściwie był już po służbie. Obiecał Mags, że wróci wcześniej, ale mógł przecież poświęcić jeszcze pół godziny, i tak będzie w domu o przyzwoitej porze. Nie dając sobie czasu na zmianę zdania, wydobył akta sprawy Jacoba Jordana z dna szuflady.

Zanim ponownie spojrział na zegarek, minęła godzina z okładem.

ROZDZIAŁ 10

Tak myślałam, że to ty! – Bethan w rozpiętym płaszczu podbiega do mnie, zdyszana, na ścieżce do Penfach. – Właśnie szłam na pocztę. Dobrze się składa, bo mam nowiny.

– Jakie? – Czekam, aż wyrówna oddech.

– Jeden z gości pracuje w firmie produkującej pocztówki. Pokazałam mu twoje zdjęcia i uznał, że byłyby doskonałe jako widokówki.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Śmieje się. – Prosił, żebyś przygotowała kilka wydruków, zabierze je następnym razem jako próbki.

Moja twarz rozjaśnia się w mimowolnym uśmiechu.

– To cudowna wiadomość, dziękuję.

– Chcę je sprzedawać u nas w sklepiku. Mogłabyś również założyć stronę internetową, wyślę namiary na nią do wszystkich naszych kontaktów. Z pewnością znajdzie się mnóstwo chętnych na piękne zdjęcia z wakacyjnych plenerów.

– Stworzę taką – obiecuję, choć nie mam pojęcia o zakładaniu stron internetowych.

– Mogłabyś pisać wiadomości tak jak teraz imiona, prawda? Na przykład „Gratuluję!”, „Wszystkiego najlepszego!” – tego typu rzeczy.

– Mogłabym. – Wyobrażam sobie stojak z moimi pocztówkami oznaczonymi ozdobną literą J. Żadnego nazwiska, tylko litera jako logo. Nie wiadomo przecież, do kogo trafią. Muszę zacząć zarabiać pieniądze. Nie wydaję dużo – jem tyle, co nic – ale oszczędności niedługo się wyczerpią, nie mam żadnego źródła dochodów. Zresztą brakuje mi zajęcia. Blokuję wewnętrzny głos, który mówi, że jestem śmieszna. Dlaczego nie mogłabym zacząć nowej działalności? Dlaczego ludzie mieliby nie kupować moich pocztówek, tak jak wcześniej kupowali rzeźby?

– Zrobię to.

– Zatem postanowione – mówi z zadowoleniem Bethan. – Dokąd się dziś wybierasz?

Nawet nie zauważyłam, że jesteśmy już w Penfach.

– Postanowiłam zwiedzić kawałek wybrzeża i sfotografować więcej plaż.

– Nie znajdziesz ładniejszej niż w Penfach – stwierdza Bethan i spogląda na zegarek. – Za dziesięć minut masz autobus do Port Ellis. Możesz zacząć zwiedzanie właśnie tam.

Wsiadam z przyjemnością do pustego autobusu i zajmuję miejsce daleko od kierowcy, aby uniknąć pogawędki. Patrzę na znikającą w oddali linię morza, kiedy jedziemy wąską drogą w głąb lądu, i szukam jej, gdy zbliżamy się do celu.

Wysiadam na wąskiej drodze pozbawionej chodnika, po obu stronach wznoszą się kamienne ściany, które ciągną się przez całą długość miasteczka. Idę zatem ulicą w kierunku, mam nadzieję, centrum Port Ellis. Zwiedzę część z zabudowaniami i pójdę nad morze.

Za żywopłotem, w płytkim przydrożnym rowie leży czarny foliowy worek zawiązany na supeł. Śmieci wyrzucone przez turystów, myślę. Ale on zaczyna się ruszać. Nieznacznie, chyba mam przywidzenia. Może to wiatr porusza folią? Mimo wszystko sięgam po worek i nie mam już wątpliwości – jego zawartość jest żywa.

Przyklękam i rozrywam torbę na śmieci. Uderza skondensowany odór przerażenia i odchodów, czuję mdłości. Zwierzęta są w potwornym stanie. Jedno szczenię pozostaje nieruchome, skórę na karku ma poszarpaną pazurami drugiego przerażonego psiaka, który piszczy słabym, gasnącym głosem. Z płaczem chwytam żywego szczeniaka, przytulam go i osłaniam płaszczem. Niezgrabnie wstaję, rozglądam się wokół.

– Pomocy! Proszę mi pomóc! – wołam do mężczyzny przechodzącego przez ulicę sto metrów ode mnie.

Podchodzi do mnie powoli, wydaje się nieporuszony moją paniką. Jest stary i zgarbiony.

– Czy jest gdzieś w pobliżu weterynarz? – pytam.

Staruszek spogląda najpierw na nieruchomego, cichego szczeniaka, którego tulę w fałdach płaszcza, następnie na zawartość czarnego worka. Cmoka z dezaprobatą i kręci głową.

– Syn Aluna Mathewsa. – Przekręca głowę, prawdopodobnie wskazując kierunek, gdzie można znaleźć owego syna, po czym podnosi worek z makabryczną zawartością. Podążam za nim, czuję na piersi ciepło szczenięcia.

Lecznica mieści się w małym, białym budynku na końcu alejki. „Lecznica weterynaryjna w Port Ellis”, głosi szyld nad drzwiami. W maleńkiej poczekalni siedzi na plastikowym krześle jedna kobieta. Trzyma na kolanach koszyk z kotem. Wnętrze lecznicy pachnie psią sierścią i środkami dezynfekującymi.

Recepcjonistka podnosi wzrok znad klawiatury komputera.

– Dzień dobry, panie Thomas, czym mogę służyć?

Mój towarzysz kiwa głową i rzuca na ladę czarny worek.

– Kobieta znalazła w rowie parę niechcianych szczeniaków – mówi. – Cholerna szkoda. – Klepie mnie ostrożnie w ramię. – Tutaj pomogą. – Kiedy zamyka za sobą drzwi, rozlega się radosne brzęknięcie dzwonka.

– Dziękuję za ich przyniesienie.

Recepcjonistka ma przypiętą do jasnoniebieskiej tuniki plaketkę z imieniem „Megan”, wypisanym czarnymi literami.

– Nie każdy by tak postąpił – dodaje.

Klucze huśtają się na smyczy ozdobionej kolorowymi plaketkami, reklamują imprezy charytatywne; na każdej plaketce są zwierzaki. Pielęgniarki na oddziałach dziecięcych noszą podobne ozdoby. Zagląda do torby i błędnie, bierze ją, po czym znika dyskretnie za drzwiami.

Po chwili otwiera drzwi gabinetu i uśmiecha się do mnie.

– Proszę wnieść malucha. Patrick zaraz panią przyjmie.

– Dziękuję. – Wchodzę za Megan do pomieszczenia o dziwnym kształcie, z regałami ustawionymi w rogach. W kątku kuchennym na drugim końcu pokoju mężczyzna myje ręce przy małej umywalce z nierdzewnej stali, jaskrawozielone mydło pieni się obficie na jego przedramionach.

– Dzień dobry, jestem Patrick. Weterynarz, jak się pani zapewne domyśla.
– Śmieje się. Jest wysoki – wyższy ode mnie, co nie zdarza się często – ciemny blondyn z nieokreśloną fryzurą. Pod niebieskim fartuchem nosi dżinsy i koszulę w kratkę z podwiniętymi do łokci rękawami. Prezentuje w

uśmiechu równe, białe zęby. Może mieć około trzydziestu pięciu lat lub nieco więcej.

– Mam na imię Jenna. – Wydobywam spod płaszcza czarno-białego pieska. Szczeniaczek sapie cichutko przez sen, najwyraźniej niewzruszony śmiercią brata.

– No, pokaż się, maluszk. – Weterynarz delikatnie przejmuje ode mnie szczeniaka, który budzi się i kuli ze strachu. Patrick oddaje mi go. – Czy mogłaby go pani położyć na stole i przytrzymać? Nie chcę niepotrzebnie biedaka denerwować. Być może to mężczyzna włożył go do torby, jeśli tak, minie trochę czasu, nim znów zaczniesz im ufać. – Bada psa, a ja kucam i szepczę mu do ucha uspokajające głupotki, nie obchodzi mnie, co sobie pomyśli Patrick.

– Jaka to rasa?

– Wieloras szlachetny.

– Słucham? – Wstaję, nie przestając delikatnie przytrzymywać psiaka, który nieco się rozluźnił pod delikatnym dotykiem weterynarza.

Lekarz uśmiecha się szeroko.

– Mieszaniec – wyjaśnia. – Patrząc na jego uszy, zgaduję, że najwięcej ma ze spaniela, a reszta – Bóg raczy wiedzieć. Może collie, może nawet trochę teriera. Ludzie nie wyrzucają rasowych szceniaków. – Podaje mi go do przytulenia.

– Potworność – mówię, wdychając zapach szczenięcia, wtulonego nosem w moją szyję. – Jak można zrobić coś takiego?

– Zgłosimy to na policję, ale nie liczyłbym na wiele. Ludzie tutaj są bardzo skryci.

– Co się z nim stanie? – pytam, wskazując na psa.

Patrick chowa ręce do kieszeni fartucha i opiera się o umywalkę.

– Może go pani zatrzymać?

Ma drobne, białe zmarszczki w kącikach oczu, jakby często mrużył je od słońca. Pewnie spędza dużo czasu na powietrzu.

– Nikt się o niego nie upomni, to raczej pewne – dodaje. – W schronisku nie ma miejsca. Byłoby fantastycznie, gdyby mogła mu pani zapewnić dom. Wygląda na miłego zwierzaka.

– Rany boskie, nie mogę wziąć psa! – wykrzykuję. Nie mogę pozbyć się myśli, że gdybym nie przyjechała do Port Ellis właśnie dziś, nie miałabym teraz tego kłopotu.

– Dlaczego?

Waham się. Jak mam wytłumaczyć temu człowiekowi, że przyciągam nieszczęścia? Bardzo bym chciała znów się kimś zaopiekować, a jednocześnie jestem tym przerażona. A jeśli nie będę potrafiła o niego zadbać? Jeśli zachoruje?

– Nawet nie wiem, czy właściciel domu, w którym mieszkam, nie miałby nic przeciwko temu.

– Gdzie pani mieszka? W Port Ellis?

Kręcę głową.

– W Penfach. W domku nieopodal pola biwakowego.

W oczach Patricka pojawia się błysk.

– Wynajmuje pani od Iestyna?

Przytakuję, przestałam już się dziwić, że wszyscy w okolicy znają Iestyna.

– Proszę to zostawić mnie. Iestyn Jones chodził do szkoły z moim ojcem i mam na niego tyle haków, że spokojnie mógłbym pani załatwić pozwolenie na hodowlę stada słońi.

Uśmiecham się. Trudno tego nie zrobić.

– Myślę, że stado słońi to jednak przesada – odpowiadam, czując, że płoną mi policzki.

– Spaniele bardzo lubią dzieci. Ma pani dzieci?

Cisza zdaje się przeciągać w nieskończoność.

– Nie. Nie mam dzieci.

Pies się wierci i zaczyna z zapalem lizać mój podbródek. Jego serce bije tuż przy moim.

– Dobrze. Wezmę go.

ROZDZIAŁ 11

Ray ostrożnie wstał z łóżka, starając się nie przeszkadzać Mags. Obiecał jej, że nie będzie pracował w sobotę i niedzielę, ale jeśli wstanie wcześniej, zyska godzinę na przejrzenie korespondencji mailowej oraz rozpoczęcie planowania Operacji Break. Wykonają jednocześnie nakaz przeszukania obu klubów i, jeśli wierzyć informatorom, znajdą w nich duże ilości kokainy, a także dokumentację księgową rzekomo uczciwych przedsiębiorców.

Włożył spodnie i ruszył na poszukiwanie kawy. Wstawiwszy wodę, usłyszał odgłos kroków za plecami. Odwrócił się.

– Tatuś! – Lucy zarzuciła mu ręce na szyję. – Już nie śpisz!

– Dawno wstałaś? – Odrywając ją od siebie, przykucnął, by dać córce całusa. – Przepraszam, że wczoraj wróciłem zbyt późno, żeby powiedzieć ci dobranoc. Jak w szkole?

– Chyba dobrze. A jak w pracy?

– Chyba dobrze.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Mogę pooglądać telewizję? – Wstrzymała oddech i patrzyła błagalnie. Mags wprowadziła surowy zakaz porannego oglądania telewizji, ale była przecież sobota. Przynajmniej będzie mógł swobodnie popracować.

– Dobrze.

Popędziła do salonu, zanim ojciec się rozmyśli, i włączyła bajki. Ray usiadł z telefonem przy kuchennym stole.

Do ósmej uporał się z większością e-maili i robił drugą kawę, kiedy Lucy oświadczyła, że jest głodna.

– Gdzie śniadanie? – zapytała.

– Tom jeszcze śpi?

– Tak, leń przebrzydły.

– Wcale nie! – zakrzyknął, urażony, ze schodów.

– Właśnie że tak!

Zbiegł z impetem na dół, miał rozczochrane włosy i twarz wykrzywioną grymasem złości.

– Nie jestem leniem! – wrzasnął i popchnął siostrę.

– Ała! – Oczy dziewczynki wezbrały łzami, drżała jej broda.

– To nie było mocno!

– Było!

Ray jęknął z rezygnacją. Czy każde rodzeństwo bez przerwy się kłóci? Już miał rozdzielić dzieci, kiedy zeszła Mags.

– Wstawanie o ósmej rano nie jest lenistwem, Lucy – powiedziała łagodnie.

– Tom, nie podnoś ręki na siostrę. – Sięgnęła po kawę Raya. – Dla mnie?

– Tak. – Ponownie nastawił czajnik. Popatrzył na dzieci, które zapomniały o kłótni, usiadły przy stole i snuły wakacyjne plany. Mags zawsze potrafiła łagodzić konflikty, on nigdy nie posiadał tej umiejętności. – Jak ty to robisz?

– To się nazywa wychowywanie dzieci. Powinieneś kiedyś spróbować.

Nie podjął wyzwania. Nie miał ochoty na kolejną debatę o rodzicielstwie na pełen etat i pracy na pełen etat. Ostatnio bez przerwy zachodziły między nimi jakieś nieporozumienia.

Mags krzątała się po kuchni, przygotowując śniadanie, popijała kawę. Nakryła do stołu, nalała soku pomarańczowego do szklanek i wstawiła grzanki.

– O której wczoraj wróciłeś? Nie słyszałam, kiedy wszedłeś. – Włożyła fartuszek kuchenny na piżamę i zaczęła smażyć jajecznicę. Dostała go kilka lat temu na Gwiazdkę od Raya. Zażartował. Nie należał do tych strasznych mężów, którzy kupują żonom garnki i deski do prasowania, ale Mags bardzo często fartuszek używała. Było na nim zdjęcie gospodyni z lat pięćdziesiątych i napis: „Uwielbiam przyrządzać potrawy z winem. Czasem nawet dodaję go nieco do jedzenia”. Często po powrocie z pracy zastawał Mags w kuchni, obejmował ją wtedy i czuł materiał fartuszka pod palcami. Dawno tego nie robił.

– Koło pierwszej. – Na jednej ze stacji benzynowych na obrzeżach Bristolu dokonano napadu z bronią w rękę. Radiowozy przywiozły wszystkich czterech sprawców w ciągu godziny. Ray został dłużej w geście solidarności z kolegami na służbie.

Oparzył sobie język gorącą kawą. Zerknął na ekran wibrującego telefonu. Stumpy napisał e-maila z informacją, że złodzieje rano usłyszeli zarzuty przed sądem i trafili do aresztu śledczego. Ray napisał krótką wiadomość do nadinspektora.

– Ray! Żadnej pracy! Obiecałeś.

– Przepraszam, to w sprawie wczorajszego zatrzymania.

– Jakoś sobie poradzą bez ciebie przez dwa dni. – Postawiła patelnię na środku stołu i usiadła.

– Uważaj – ostrzegła córkę. – Gorące. – Popatrzyła na Raya. – Zjesz śniadanie?

– Nie, dzięki. Przegryzę coś później. Na razie skoczę pod prysznic. – Przez chwilę stał oparty o framugę drzwi i przyglądał się całej trójce.

– Musimy zostawić otwartą bramę dla czyściciela okien w poniedziałek – powiedziała Mags. – Będziesz pamiętał, żeby ją otworzyć jutro wieczorem, gdy wyniesiesz śmieci? Aha, pytałam sąsiadów o drzewa. Obiecali, że je przytną najdalej za dwa tygodnie. Uwierzę, kiedy zobaczę.

Ciekawe, czy „Post” napisze o wczorajszym napadzie, zastanawiał się Ray. Skoro wychwytywali wszystkie niewyjaśnione sprawy, powinni również pisać o tych zakończonych sukcesem.

– To cudownie.

Mags odłożyła widelec i popatrzyła dziwnie.

– No co? – Poszedł na górę wziąć prysznic. Miał przy sobie telefon, napisze do rzecznika prasowego. Szkoda by było nie nagłośnić przykładowej pracy policji.

– Dziękuję ci za dzisiejszy dzień. – Siedzieli na sofie przed wyłączonym telewizorem.

– Dlaczego?

– Dlatego że nie pracowałeś. – Mags odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Zmarszczki w kąciakach oczu wygładziły się, wyglądała o wiele młodziej. Często miała niezadowoloną minę, Ray zastanawiał się, czy on także.

Jego matka nazywała uśmiech Mags „szerokim”.

– To znaczy, że się za bardzo szczerzę – stwierdziła Mags, gdy usłyszała o tym po raz pierwszy.

Wspomnienie rozbawiło Raya. Ostatnio uśmiechała się, co prawda, rzadziej, lecz wciąż była tą samą dziewczyną, którą poznał przed laty. Notorycznie narzekała na dodatkowe kilogramy, które zostały jej po urodzeniu dzieci, chociaż Ray uważał, że wygląda pięknie. Lubił jej okrągły, miękki brzuch i pełne piersi. Nie chciała słuchać komplementów, więc przestał je powtarzać.

– Było świetnie. Musimy to powtórzyć. – Spędził cały dzień w domu, objął się i wygrzewał na słońcu w ogrodzie, trochę pograł w krykieta. Przyniósł z szopy stary zestaw do gry w badmintonu i dzieciaki bawiły się nim przez resztę popołudnia. Tom oczywiście narzekał, że strasznie się nudzi.

– Miło było usłyszeć śmiech Toma – powiedziała Mags.

– Dawno się nie śmiał, prawda?

– Martwię się o niego.

– Chcesz jeszcze raz porozmawiać z nauczycielką?

– Nie widzę sensu. Zbliża się koniec roku. Mam nadzieję, że zmiana nauczyciela pomoże. Poza tym w przyszłym roku nie będzie już jednym z najmłodszych. Może nabierze pewności siebie.

Ray usiłował zrozumieć syna, który doznał do końca roku szkolnego z takim samym brakiem entuzjazmu, z jakim go rozpoczął.

– Chciałabym mieć do niego dotrzeć.

– Przysięga, że nic złego się nie dzieje. To typowe problemy nastolatka, nic więcej, ale musi się otrząsnąć przed egzaminami końcowymi. Inaczej ma przechłapanie.

– Lepiej się dziś dogadywaliście – zauważyła.

Miała rację, przetrwali cały dzień bez kłótni. Ray gryzł się parę razy w język, aby nie odpowiedzieć na zaczepki Toma, on z kolei przestał się krzywić przy każdej okazji. Tak, to był miły dzień.

– Wyłączenie telefonu nie bolało? Żadnych palpacji? Zimnych potów? Delirium?

– Bardzo śmieszne. Nie, nie bolało. – Oczywiście nie wyłączył go, wibrował mu w kieszeni przez cały dzień. Sprawdził w toalecie, czy nie przyszło coś ważnego. Odpisał Olivii na pytanie w sprawie Operacji Break i zerknął na wiadomość od Kate, dotyczącą jej prywatnego śledztwa. Nie mógł się doczekać okazji, aby przeczytać ją dokładniej. Mags nie rozumiała jednego: gdyby naprawdę wyłączył telefon na cały weekend, w poniedziałek miałby tyle pracy, że nadrabiałby zaległości do piątku, przy braku czasu na bieżące sprawy.

Wstał.

– Teraz popracuję godzinę.

– Co takiego? Ray, obiecałeś!

– Dzieci poszły już spać – odparł, zmieszany.

– Tak, ale ja... – Potrząsnęła głową.

– Co?

– Nic. W porządku. Zrób, co masz do zrobienia.

– Za godzinę skończę, słowo honoru.

Dwie godziny później Mags przyszła do gabinetu.

– Przyniosłam ci herbatę.

– Dziękuję. – Przeciągnął się i jęknął. Zabolały go plecy.

Postawiła kubek na biurku i zerknęła ponad ramieniem Raya na dokumenty, które przeglądał.

– Chodzi o te kluby nocne? – Podniosła jedną kartkę. – Jacob Jordan? Czy to nie ten chłopiec przejechany w zeszłym roku?

– Ten sam.

Popatrzyła ze zdziwieniem.

– Myślałam, że ta sprawa została zamknięta.

– Została.

Usiadła na poręczy fotela, który stał w gabinecie, ponieważ nie pasował do dywanu w salonie. Do gabinetu Raya także nie pasował, ale on stanowczo odmawiał rozstania się z najwygodniejszym meblem, na jakim kiedykolwiek siedział.

– Więc dlaczego wydział nadal nad nią pracuje?

– Nie pracuje. – Westchnął. – Nie złożyłem jeszcze akt i postanowiliśmy spojrzeć na nie świeżym okiem, może coś jednak przegapiliśmy.

– My?

Zawahał się.

– Zespół. – Do tej pory nie wspominał o Kate, sam nie wiedząc czemu, i teraz też wolał, żeby tak pozostało. Lepiej trzymać ją od tego z daleka, miałyby kłopoty, gdyby szefowa się dowiedziała. Nie powinna ryzykować u progu kariery.

– Och, Ray – powiedziała Mags czule. – Masz dużo pracy nad bieżącymi sprawami, po co jeszcze odgrzebujesz starą?

– Bo nie jest jeszcze taka stara. Nie potrafię pozbyć się przecucia, że zbyt szybko ją zamknęliśmy. Jeszcze trochę starań i wreszcie byśmy na coś trafili.

– To nie jest Annabelle, wiesz? – odezwała się po chwili.

Ray ścisnął kubek.

– Przestań.

– Nie możesz się torturować z powodu każdej nierozwiązanej sprawy. – Dotknęła jego kolana. – Oszalejesz.

Napił się herbaty. Pierwszą sprawą, nad którą pracował jako śledczy, było zaginięcie Annabelle Snowden. Nie wróciła ze szkoły, a rodzice wyglądali na przerażonych. Dwa tygodnie później Ray oskarżył ojca o zamordowanie córki. Znaleźli ciało Annabelle w jego mieszkaniu. Przetrzymywał ją żywą w schowku kanapy, przeznaczonym na pościel, ponad tydzień.

– Terry Snowden od początku wydawał mi się dziwny – odparł i wreszcie spojrzał na Mags. – Powinienem być nalegać na jego aresztowanie.

– Nie miałeś dowodów. Instykt gliniarza bardzo pomaga, ale nie można opierać śledztwa na przeczuciach. – Delikatnie zamknęła teczkę z aktami Jacoba. – Inna sprawa. Inni ludzie.

– Ale ofiarą jest dziecko.

Mags ujęła jego ręce w swoje.

– On nie żyje, Ray. Nie zmienisz tego, zaharowując się na śmierć. Odpuść.

Nie odpowiedział. Ponownie otworzył teczkę z aktami, nawet nie zauważył, kiedy Mags wyszła i poszła do łóżka. Dostał na skrzynkę wiadomość od Kate, napisaną dwie minuty temu. Odpisał szybko:

Nie śpisz jeszcze?

Kilka sekund później nadeszła odpowiedź:

Sprawdzam, czy matka Jacoba ma konto na Facebooku, i śledzę aukcję na eBayu. A Ty?

Przeglądam raporty z sąsiednich posterunków na temat spalonych wozów. Posiedzę jeszcze.

Świetnie, dotrzymasz mi towarzystwa. Może dzięki temu nie zasnę!

Wyobraził ją sobie przycupniętą na kanapie z laptopem po jednej stronie i przekąskami po drugiej. Napisał:

Lody Ben i Jerry?

Skąd wiesz?!

Uśmiechnął się szeroko. Zmniejszył okienko poczty, żeby śledzić kątem oka przychodzące wiadomości, i zabrał się do czytania listów przesłanych przez szpitala.

Nie obiecałeś przypadkiem Mags, że weźmiesz wolny weekend?

MAM wolny weekend. Usiadłem do pracy tylko na chwilę, korzystając z tego, że dzieci poszły już spać. Ktoś musi dotrzymywać Ci towarzystwa...

Jestem zaszczyczona. Nie ma lepszego sposobu na spędzenie sobotniego wieczoru.

Roześmiał się i zapytał:

Jakieś wieści z Facebooka?

Kilka możliwości. Profile bez zdjęć. Poczekaj, zaraz wrócę. Dzwoni telefon.

Ray niechętnie wylogował się z poczty i wrócił do przeglądania sterty szpitalnych akt. Od śmierci Jacoba minęło już tyle czasu, miał wątpliwości, czy ta dodatkowa praca nie jest bezcelowa. Odłamek pochodzący ze światła przeciwmgielnego samochodu marki Volvo należał, jak się okazało, do pewnej kobiety, która wpadła w poślizg i zahaczyła o drzewo przy drodze. Tyle godzin pracy na marne i będzie jeszcze więcej. Igrał z ogniem, działając wbrew rozkazom przełożonej, a na dodatek pozwalał Kate robić to samo. Jednakże zabrnął już za daleko, aby się wycofać, nawet gdyby tego chciał.

ROZDZIAŁ 12

Po południu będzie cieplej, na razie panuje poranny chłód. Kulę się i chowam głowę w ramiona.

– Zimno dziś – mówię głośno.

Nabrałam zwyczaju mówienia do siebie, przypominam kobietę, którą widywałam na moście w Bristolu, chodziła w tę i z powrotem, obładowana gazetami noszonymi w reklamówkach, i mówiła do siebie. Ciekawe, czy nadal tam jest każdego ranka i wieczoru. Wyobrażamy sobie, że życie toczy się starym rytmem w miejscach, gdzie nas już nie ma, a przecież wszystko nieustannie się zmienia. Mam wrażenie, że moje życie w Bristolu należało do kogoś innego.

Odsuwam tę myśl, podciągam cholewki butów i owijam szyję szalikiem. Poranna walka z mechanizmem zamka, który nie chce oddać klucza. Wreszcie udaje mi się zamknąć drzwi i chowam klucz do kieszeni. Beau depta mi po piętach. Chodzi za mną jak cień, nie spuszcza ze mnie wzroku. Pierwszej nocy pisał błagalnie do rana, bym go wpuściła do łóżka. Zakryłam uszy poduszką, czułam się okropnie, ale wiedziałam, że jeśli się złamię, będę tego żałować. Pisał tak przez kilka nocy z rzędu i nadal sypia u podnóża schodów. Najcichsze skrzypnięcie podłogi w sypialni podrywa go ze snu.

Sprawdzam, czy mam przy sobie listę zamówień – nie znam jej na pamięć, a nie mogę popełnić błędu. Bethan reklamuje moje zdjęcia turystom i, choć trudno mi w to uwierzyć, cieszą się sporym zainteresowaniem. Jestem zajęta. Nie tak jak wcześniej, przy organizacji wystaw i rzeźbieniu na zamówienie, ale mam pracę. Dwukrotnie dostarczałam zapas pocztówek do sklepiku Bethan, dostaję też zamówienia online. Moja strona internetowa nie jest tak elegancka jak ta, którą miałam jako rzeźbiarka, mimo wszystko za każdym razem, gdy na nią patrzę, przepełnia mnie uczucie dumy, że założyłam ją sama, bez niczyjej pomocy. Drobna rzecz, ale zaczynam dochodzić do wniosku, że być może nie jestem jednak tak bezużyteczna, jak sądziłam.

Nie zamieściłam swojego nazwiska w Internecie, tylko galerię z fotografiami, podstawowy i niedopracowany system składania zamówień oraz nazwę mojej nowej firmy: „Napisane na piasku”. Wybrałyśmy ją wspólnie z Bethan, popijając wino u mnie w domu. Mówiła o nowym przedsięwzięciu z entuzjazmem, który mnie się udzielił. „Co o tym myślisz?” – powtarzała. Od dawna nikt mnie nie pytał o zdanie w żadnej sprawie.

W lipcu na polu biwakowym panuje największy ruch, ale chociaż widuję Bethan co najmniej raz w tygodniu, tęsknię za zimowym spokojem, kiedy rozmawiałyśmy godzinami, ogrzewając stopy przy sklepowym kaloryferze. Plaże są pełne turystów, muszę wstawać tuż po świcie, aby mieć świeży piasek do zdjęć.

Mewa woła do nas w locie, Beau goni ją, szczekając. Wyjmuję długi patyk ze sterty śmieci wyrzuconych przez morze. Odpływ dopiero się zaczyna, ale piasek szybko wysycha na słońcu. Dziś napiszę wiadomości blisko linii wody. Wyjmuję listę zamówień. – „Julia” – czytam. – To niezbyt skomplikowane. – Beau spogląda na mnie pytająco. Myśli, że mówię do niego. Być może tak jest, nie powinnam się do niego przyzwyczajać. Traktuję go tak, jak lestyn prawdopodobnie traktuje swoje owczarki, jest psem pracującym, obronnym. Moim stróżem. Do tej pory nie potrzebowałam ochrony, ale to może się zmienić.

Rysuję na piasku dużą literę J, robię krok do tyłu, oceniam wielkość napisu, następnie piszę całe imię. Jest w porządku, odrzucam kij, unoszę aparat. Słońce już weszło, nadaje plaży różowy połysk. Robię tuzin zdjęć, napis pokrywa się białą morską pianą.

Wybieram czysty kawałek piasku na kolejne zamówienie. Pracuję szybko, zbieram naręcza gałęzi wyrzucanych przez fale. Układam ostatni patyk i oceniam krytycznie kompozycję. Na kawałkach drewna i kamykach, których użyłam do oprawienia wiadomości, połyskują wstążki wodorostów. Serce o szerokości dwóch metrów wystarczy, by zmieścić się w nim napis: „Wybacz

mi, Alice”. Mam zamiar przesunąć kawałek drewna, gdy Beau wybiega z wody, szczekając zawzięcie.

– Spokój! – wołam. Osłaniam aparat, na wypadek gdyby pies na mnie skoczył. Ale przebiega obok, sypnąwszy mokrym piaskiem, pędzi na drugi koniec plaży i krąży podekscytowany wokół jakiegoś mężczyzny. Myślę, że idzie psiarz, którego spotkałam już wcześniej, dopóki nie chowa rąk do kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. Wciągam ze świstem powietrze, bo przypominam sobie ten gest. Jak to możliwe? Nie znam tutaj nikogo poza Bethan i lestynem. Jednak mężczyzna wyraźnie zmierza ku mnie, dzieli nas nie więcej niż sto metrów. Twarz wydaje się znajoma. Nie wiem, skąd go znam, i to sprawia, że zaczynam się bać. Panika mnie paraliżuje, wołam psa.

– Jenna, prawda?

Rzuciłabym się do ucieczki, gdybym mogła poruszyć nogami. Przebiegam w myślach listę osób znanych w Bristolu. Wiem, że już się spotkaliśmy.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć – mówi. Uzmysławiam sobie, że drzę. Wygląda, jakby szczerze żałował, i uśmiecha się przepraszająco. – Patrick Mathews. Weterynarz z Port Ellis. – Natychmiast sobie przypominam. Pamiętam sposób, w jaki chował ręce do kieszeni niebieskiego fartucha.

– Bardzo przepraszam. – Mój głos brzmi słabo i niepewnie. – Nie poznałam. – Zerkam na pustą nadmorską ścieżkę. Niedługo zaczną nadchodzić plażowicze, uzbrojeni na każdą pogodę w parawany, kremy z filtrem i parasole. Po raz pierwszy cieszę się z pełni sezonu. Co prawda, Patrick ma ciepły uśmiech, lecz kiedyś już dałam się nabrać na czyjś ciepły uśmiech.

Tarmosi uszy Beau.

– Widać, że o niego dbasz. Jak się wabi?

– Beau. – Mimowolnie, lecz dyskretnie, robię dwa kroki w tył, to pomaga mi się nieco rozluźnić. Patrick przykuca nad Beau i głaszcze go po wystawionym do pieszczot brzuchu. Pies jest zachwycony tym rzadkim objawem czułości.

– Nie jest ani trochę nerwowo.

Reakcja Beau sprawia, że boję się mniej. Podobno psy znają się na ludziach.

- Nie, ma się dobrze – mówię.
- Bez wątplenia. – Patrick wstaje i otrzepuje spodnie z piasku. Nie ruszam się z miejsca.
- Iestyn nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń? – Uśmiecha się.
- Najmniejszych. Uważa, że w każdym domu powinien mieszkać pies.
- Ma rację. Gdybym mniej pracował, też bym jakiegoś wziął. Ale i tak nie mogę narzekać na brak kontaktu ze zwierzętami.

Na tle morskiego krajobrazu wygląda jak u siebie w domu, w zapiaszczonych butach, z kryształkami soli w załomach płaszcza.

- Kim jest Alice? – Wskazuje serce na piasku. – I co ma ci wybaczyć?
- Och, nie chodzi o mnie. – Na pewno uznał mnie za dziwaczkę, która rysuje obrazki na piasku. – Robię zdjęcie dla kogoś innego.

Wygląda na zdezorientowanego.

– Jestem fotografką – wyjaśniam. Unoszę aparat jak dowód rzeczowy. – Ludzie przysyłają mi wiadomości, które chcieliby wypisać na piasku, ja to dla nich robię i przesyłam fotografię. – Chyba wzbudziłam jego zainteresowanie.

– Jakiego rodzaju wiadomości?

– Zazwyczaj listy miłosne albo propozycje małżeństwa. Ale inne także, przeróżne. Na przykład przeprosiny, jak ta. Czasami ktoś poprosi o ulubiony cytat lub fragment piosenki. Za każdym razem co innego. – Rumienię się wściekle.

– Zarabiasz tym na życie? Cudowne zajęcie! – Dopatruję się w jego słowach sarkazmu, ale go nie znajduję. Odczuwam dumę. Tak, to rzeczywiście cudowne zajęcie. I sama je sobie stworzyłam z niczego.

– Sprzedaję również inne fotografie. Najczęściej widokówki znad zatoki. Tutaj jest tak pięknie, że ludzie chcą zabrać fragment tego piękna ze sobą.

– Prawda? Uwielbiam to miejsce.

Przez kilka sekund obserwujemy w milczeniu fale. Szybko zaczynam odczuwać niezręczność sytuacji i szukam zdawkowych słów.

– Co cię sprowadza na plażę o tej godzinie? – pytam. – Nie masz psa do wyprowadzania o świcie.

– Musiałem wypuścić ptaka. Pewna kobieta przyniosła do lecznicy głuptaka białego ze złamanym skrzydłem. Mieszkał z nami przez kilka tygodni, dopóki nie wydobrzał, a dziś przywiozłem go nad urwisko i wypuściłem. Staramy się wypuszczać zwierzęta w miejscach, w których zostały znalezione. W ten sposób zwiększamy ich szanse na przeżycie. Kiedy zobaczyłem z góry twoje dzieło, nie mogłem się powstrzymać przed zejściem, chciałem się temu przyjrzeć. Dopiero na dole cię rozpoznałem.

– Ptak odleciał bez problemów?

Patrick kiwa głową.

– Da sobie radę. To się dość często zdarza. Nie pochodzisz z tych stron, prawda? Pamiętam, że wspominałaś o niedawnej przeprowadzce, kiedy byłaś u mnie z Beau. Gdzie mieszkałaś wcześniej?

Od odpowiedzi wybawia mnie dzwonek telefonu. Melodyjka jest nie na miejscu w tym otoczeniu. W duchu oddycham z ulgą, choć mam już od jakiegoś czasu przygotowaną historię, sprawdzoną wcześniej na lestynie, Bethan i kilku przypadkowych ciekawskich rozmówcach. Jestem z zawodu artystką plastykiem, miałam wypadek i uraz ręki nie pozwala mi pracować. Dlatego zajęłam się fotografowaniem. Nie rozmijam się za bardzo z prawdą. Nikt nie pyta mnie o dzieci – zastanawiam się, czy mam odpowiedź wypisaną na twarzy.

– Przepraszam. – Przeszukawszy kieszenie, wyjmuję mały pager, na piasek upada kilka orzechów i pojedyncze źdźbła słomy. – Ustawiłem najgłośniejszy dźwięk dzwonka, inaczej go nie słyszę. – Zerka na wyświetlacz. – Niestety muszę już iść. Jestem wolontariuszem na stacji ratownictwa brzegowego w Port Ellis. Dyżuruję kilka razy w miesiącu. Wygląda na to, że jestem potrzebny. – Chowa telefon do kieszeni. – Miło było znów cię spotkać, Jenno. Bardzo miło.

Unosi dłoń w pożegnalnym geście i odbiega tak szybko, że nie mam czasu się z nim zgodzić.

Wracamy do domu. Beau pada, zmęczony, prosto do swojego koszyka. Wstawiam wodę i czekając, aż się zagotuje, przenoszę poranne zdjęcia na komputer. Są lepsze, niż sądziłam, zważywszy, że mi przerwano: litery odznaczają się wyraźnie na schnącym piasku, serce z gałęzi tworzy idealną oprawę. Najlepsze zdjęcie zostawiam otwarte na ekranie, popatrzę na nie

później, i zabieram kawę na górę. Wiem, że będę tego żałować, nie mogę się jednak powstrzymać.

Siadam na podłodze, odstawiam kubek na deski i wyjmuję spod łóżka pudełko, do którego nie zaglądałam od przyjazdu do Penfach. Siadam po turecku i zdejmuję wieko, wdycham kurz i wspomnienia. Niemal natychmiast pojawia się ból. Powinnam zamknąć pudełko, nie brnąć dalej. Jestem niezłomna niczym alkoholik sięgający po kieliszek.

Wyjmuję mały album ze zdjęciami, leży na wierzchu, na dokumentach. Oglądam jedno po drugim, przesuвам palcami po fotografiach z czasów tak odległych, że wydają się należeć do obcej osoby. To ja w ogrodzie, tutaj w kuchni, podczas gotowania. To ja w zaawansowanej ciąży, dumnie uśmiechnięta. Czuję znajomy ucisk w gardle i pieczenie pod powiekami. Mrugam przez łzy. Byłam taka szczęśliwa tamtego lata, przekonana, że nowe życie wszystko zmieni, że zaczniemy od początku. Miałam nadzieję na kolejną szansę dla naszego związku. Gładzę fotografię, zarys brzucha, wyobrażam sobie, w którym miejscu była główka, skulone ciało, ledwie uformowane paluszki.

Delikatnie, jakbym nieopatrzny ruchem mogła zaniepokoić nienarodzone dziecko, odkładam album do pudełka. Powinnam zejść na dół, dopóki nad sobą panuję. Ten przymus przypomina dotykanie językiem bolącego zęba albo odrywanie strupa. Odnajduję dłonią miękkie futerko pluszowego królika, z którym spałam codziennie przez całą ciążę, żeby go potem dać dziecku przesiąkniętego moim zapachem. Dziś przytulam do niego twarz w nadziei, że poczuję jego zapach. Wydobywam z siebie zduszone wycie, to przywołuje Beau. Pies wchodzi cichutko po schodach i zagląda do sypialni.

– Na dół, Beau.

Ignoruje polecenie.

– Wyjdź! – wrzeszczę jak opętana, ściskając pluszową zabawkę. Nie mogę przestać krzyczeć, zamiast Beau mam przed oczami człowieka, który odebrał mi dziecko i zakończył moje życie wraz z życiem mojego syna. – Wyjdź! Wyjdź! Wyjdź!

Pies przywiera do podłogi, napięty jak struna, z podkulonymi uszami i ogonem. Nie poddaje się jednak. Powoli, centymetr po centymetrze, przysuwa się w moją stronę, nie odrywając ode mnie oczu.

Złość opuszcza mnie tak szybko, jak przyszła.

Beau kładzie mi pysk na kolanach, z ciałem wciąż przyciśniętym do podłogi. Zamyka oczy, a ja czuję przez materiał dżinsów bijące od niego ciepło i jego ciężar. Ręka nie chce mnie słuchać i zaczyna go głaskać, z oczu płyną mi strumienie łez.

ROZDZIAŁ 13

Ray skompletował ekipę do Operacji Break. Kate miała sprawować pieczę nad dowodami rzeczowymi, co stanowiło dużą odpowiedzialność dla kogoś, kto pracował w dochodzeniówce dopiero osiemnaście miesięcy. Wiedział, że sobie poradzi.

– Oczywiście, że dam radę! – zawołała, gdy podzielił się z nią wątpliwościami. – W razie problemów zawsze mogę poprosić cię o pomoc, prawda?

– W każdej chwili. Piwo po pracy?

– Spróbuj mnie powstrzymać.

Spotkania po pracy dwa lub trzy razy w tygodniu stały się już rutyną. Omawiali na nich sprawę Jacoba Jordana. Kiedy nie mieli do omówienia żadnych nowych szczegółów, a zdarzało się to coraz częściej, rozmawiali o rzeczach niezwiązanych z pracą. Ze zdumieniem odkrył, że są zagorzałymi kibicami tej samej lokalnej drużyny piłkarskiej i oboje jednakowo ubolewają nad jej spadkiem do niższej ligi. Po raz pierwszy od wielu lat nie był jedynie mężem, ojcem i policjantem. Był po prostu sobą.

Ściśle przestrzegał zasady, aby nie pracować nad sprawą Jordana w godzinach służbowych. Ignorował rozkaz komendantki Rippon, lecz robienie tego w prywatnym czasie wydawało mu się mniejszym przewinieniem. Jeżeli natomiast trafią na przełomowy trop, który doprowadzi do aresztowania sprawcy – cóż, wtedy nie będą musieli się martwić, co powie Olivia.

Spotykali się w pubie bardziej oddalonym od posterunku niż ten, gdzie przesiadywali najczęściej ich koledzy. Nie chcieli, aby ktokolwiek wiedział, czym się zajmują po godzinach. Cichy bar „Pod Koniem i Dżokejem” miał dyskretne łóże z wysokimi oparciami, gdzie mogli bezpiecznie rozłożyć papiery, bez obaw, że przyciągną uwagę kogoś niepożądanego. Barman rzadko poświęcał uwagę czemukolwiek poza rozwiązywaniem krzyżówek. Ray polubił te wypadki, świetny sposób na odreagowanie stresu całego dnia

w pracy przed pójściem do domu. Przyłapał się na tym, że niecierpliwie zerka na zegarek.

O piątej, jak zwykle, zadzwonił telefon, który zatrzymał go w biurze. Zanim dotarł do baru, Kate wypita połowę swojego drinka. Zawarli niepisaną umowę, że pierwsza osoba przy barze kupuje drinki dla obojga. Na niego czekał kufel ulubionego piwa.

– Co cię zatrzymało? – Przynęła kufel w jego stronę. – Coś ciekawego?

Ray napił się piwa.

– Informacje, które mogą okazać się przydatne. Handlarz narkotyków z Creston zatrudnia sześć, siedem osób do brudnej roboty. Sprawa zapowiada się ciekawie. – Pewien wyjątkowo głośny poseł laburzystów zaczął używać problemu z narkotykami jako pretekstu do publicznej krucjaty przeciwko „przybytkom bezprawia”. Olivii Rippon zależało na wyraźnym okazaniu swego wsparcia. Miał nadzieję, że jeśli Operacja Break odniesie sukces, szefowa powierzy mu również tę sprawę.

– Ekipa do spraw przemocy w rodzinie nawiązała kontakt z Dominiką Letts, dziewczyną jednego z pomniejszych dealerów. Usiłują ją skłonić do złożenia oficjalnego zawiadomienia o przemocy i wniesienia oskarżenia. Nie chcemy gościa wystraszyć za wcześnie, ale z drugiej strony – mamy obowiązek chronić ofiarę przemocy.

– Jest w niebezpieczeństwie?

– Nie wiem – odparł po chwili wahania. – Prokurator tak ją zaklasyfikował. Na razie stanowczo odmawia wszelkiej współpracy z policją. Nie chce składać żadnych zeznań obciążających jej chłopaka.

– Kiedy będziemy mogli wykonać jakiś ruch?

– Za kilka tygodni. Zbyt późno. Musimy umieścić ją w ośrodku interwencji kryzysowej – jeżeli w ogóle się zgodzi – i wstrzymać się z zarzutami o maltretowanie, dopóki nie wsadzimy go za narkotyki.

– Wybór Hobsona. – Pokiwała głową. – Brać, co dają, lub nic. Co jest ważniejsze: handel narkotykami czy przemoc domowa?

– To nie takie proste. Przemoc bywa powiązana z nadużywaniem narkotyków. Na przykład kradzieże popełnione przez nałogowców zaślepionych koniecznością zdobycia kolejnej działki. Konsekwencje handlu narkotykami nie są natychmiastowe, jak w przypadku pobicia, ale rozległe i

też bolesne. – Przerwał gwałtownie, kiedy uprzytomnił sobie, że mówi podniesionym głosem.

Kate dotknęła uspokajająco jego dłoni.

– Hej, jestem tu adwokatem diabła. Wiem, że to niełatwy wybór.

Uśmiechnął się.

– Wybacz, ponosi mnie przy takich tematach. – Prawda była taka, że dawno o tym nie myślał. Po tylu latach służby wartości utonęły pod stosem papierów i kłopotów z personelem. Dobrze od czasu do czasu przypomnieć sobie, co jest naprawdę ważne.

Popatrzył w oczy Kate i poczuł ciepło jej skóry na swojej. Cofnęła rękę i roześmiała się z zażenowaniem.

– Po jednym na drogę? – Dziwny nastrój prysnął, kiedy wrócił do stolika. Może coś sobie wyobraził? Postawił szklanki i położył na środku otwartą paczkę chipsów.

– Nie mam nic nowego w sprawie Jacoba.

– Ani ja. – Westchnęła. – Będziemy musieli się poddać, prawda?

– Na to wygląda. Przykro mi.

– Dziękuję, że pozwoliłeś mi się tym zajmować tak długo.

– Miałaś rację, nie chcąc dać za wygraną. Cieszę się, że spróbowaliśmy.

– Nie jesteś aż takim lizusem, jak myślałam – powiedziała. Roześmiał się, zadowolony, że zyskał w jej oczach.

Zjedli chipsy w przyjaznym milczeniu, następnie Ray zerknął na telefon komórkowy, żeby sprawdzić, czy nie dostał wiadomości od Mags.

– Jak w domu?

– Po staremu. – Schował telefon do kieszeni. – Tom nadal pyskuje albo odpowiada półsłówkami, podczas gdy Mags i ja kłócimy się, różnica zdań co do metod wychowawczych. – Zaśmiał się krótko, Kate pozostała poważna.

– Kiedy macie kolejne spotkanie z wychowawczynią?

– Wczoraj mieliśmy – odparł posepnie. – Półtora miesiąca po rozpoczęciu nowego roku szkolnego Tom już wagaruje. – Zabębnił palcami o stół. – Nie pojmuję, o co chodzi temu dzieciakowi. W wakacje wszystko wróciło do normy, natychmiast po rozpoczęciu szkoły znów stał się niekomunikatywny, opryskliwy i nieposłuszny.

– Nadal podejrzewasz, że ktoś mu dokucza w szkole?

– Nauczyciele twierdzą, że nie. Ale co mają mówić? – Nie podobało mu się, że wychowawczynie Toma zdawała się obwiniać jego i Mags o to, że mają problemy wychowawcze z chłopcem. Jej zdaniem nie byli wystarczająco „jednomyślni i zaangażowani”. Mags zagroziła, że przyjdzie po Raya do pracy i siłą zaciągnie go do szkoły na kolejną wywiadówkę. Cały wczorajszy dzień pracował w domu, przerażony, że mógłby znów zapomnieć. Nie żeby jego obecność wiele zmieniła.

– Wychowawczynie twierdzi, że ma zły wpływ na inne dzieci. Podobno je „buntuje” – prychnął pogardliwie. – Co za bzdury! W tym wieku? Jeśli nauczyciele nie radzą sobie z nieposłusznymi dzieciakami, powinni poszukać innej roboty. Tom nie jest podżegaczem, tylko uparciuchem.

– Ciekawe, po kim to odziedziczył? – Kate ukryła uśmiech.

– Uważaj na słowa, posterunkowa Evans! Chcesz wylądować z powrotem na patrolu? – Uśmiechnął się szeroko.

Śmiech Kate przeobraził się w ziewnięcie.

– Przepraszam, jestem wykończona. Chyba pojedę już do domu. Mam samochód w warsztacie, wracam autobusem i muszę jeszcze sprawdzić rozkład jazdy.

– Podrzucę cię.

– Nie chcę sprawiać kłopotu, to nie po drodze.

– Żaden kłopot. Pokażesz mi, gdzie mieszkają bogaci ludzie.

Kate mieszkała w eleganckim apartamentowcu w centrum Clifton, zdaniem Raya ceny były tam znacznie zawyżone.

– Rodzice pomogli mi z wkładem własnym – wyjaśniła. – Samej nie byłoby mnie stać. Poza tym mieszkanie jest maleńkie. Niby dwie sypialnie, ale tylko w jednej mieści się łóżko.

– Mogłabyś mieć dużo większe i ładniejsze za tę samą cenę, gdybyś kupiła w innej dzielnicy.

– Możliwe, ale w Clifton jest wszystko! – Wykonała szeroki gest ręką. – Gdzie indziej kupisz falafela o trzeciej nad ranem?

Ray, który o tej porze najbardziej potrzebował toalety, nie rozumiał, na czym polega urok kupowania egzotycznego jedzenia na wynos w środku nocy.

Kate odpięła pasy bezpieczeństwa i zastygła z ręką na klamce.

– Chcesz wejść na górę i obejrzeć mieszkanie? – zapytała tonem na pozór obojętnym. Atmosfera była naelektryzowana oczekiwaniem. W tym momencie Ray zrozumiał, że przekracza granicę, którą usiłował ignorować od wielu miesięcy.

– Z przyjemnością.

Mieszkała na najwyższym piętrze. Elegancka winda przyjechała po paru sekundach. Wysiedli na niedużym korytarzu z beżową wykładziną, dokładnie naprzeciwko kremowych drzwi. Stali w milczeniu, podczas gdy winda zamknęła się bezszelestnie. Patrzyła mu prosto w oczy, lekko unosząc głowę, kosmyk włosów opadł jej na czoło. Ray nagle przestał się spieszyć do domu.

– Tu mieszkam – powiedziała, nie spuszczając z niego wzroku.

Skinął głową i odgarnął za ucho dziewczyny niesforny kosmyk włosów. Potem, nie zastanawiając się, co robi, pocałował ją.

ROZDZIAŁ 14

Beau wciska nos pod moje kolano, wyciągam dłoń, żeby go pogłaskać. Nie zdołałam utrzymać dystansu, pokochałam tego psa, dopiął swego i zaczął sypiać w moim łóżku. Uspokaja mnie, liże po rękach, kiedy budzę się z krzykiem. Stopniowo, nim zdążyłam się zorientować, moja żaloba weszła w kolejną fazę: z ostrego, przesłaniającego wszystko bólu zamieniła się w tępą rozpacz, którą można odsunąć na bok. Czasem jestem w stanie udawać, że wszystko jest w porządku. Że nigdy nie miałam innego życia.

– No chodź. – Wyłączam lampkę nocną, której światło nie może konkurować z promieniami słońca, gdy wpadają przez okno. Odczuwam cichą satysfakcję, ponieważ wiem już, jak wygląda każda z pór roku nad

zatoką. Mieszkam tu od niemal dwunastu miesięcy. Nie ma dwóch takich samych dni nad morzem. Przyływy i odływy, nieprzewidywalna pogoda, przedmioty wyrzucane na brzeg przez fale – to wszystko sprawia, że plaża zmienia się z godziny na godzinę. Dziś poziom wody jest wysoki po nocnym deszczu, niebo szare, zasnułe chmurami, piasek bury, nasiąknięty wilgocią. Na polu biwakowym nie stoi żaden namiot, zostały tylko przyczepy do wynajęcia i kilka domów na kółkach, zamieszkiwanych przez urlopowiczów korzystających z posezonowych zniżek. Niebawem pole biwakowe zostanie zamknięte i zatoka znów będzie tylko moja.

Beau biegnie przodem ku plaży. Nurkuje w fale przyływu i szczeka na zimną wodę. Śmieję się głośno. Upodobił się teraz bardziej do collie niż do spaniela, ze zbyt długimi nogami, jak psi nastolatek, i niespożytą energią, której nie jest w stanie spalić.

Patrzę do góry, na urwisko. Pozwalam sobie poczuć przelotne ukłucie rozczarowania, które po chwili od siebie odsuwam. Nadzieja, że zobaczę tam Patricka, którego spotkałam tylko raz, jest niedorzeczna, lecz nic na to nie poradzę.

Wybieram kawałek piasku do pisania. Podejrzewam, że zimą będę miała mniej pracy, ale na razie nic jeszcze tego nie zapowiada. Cieszę się z każdego zamówienia i próbuję odgadnąć historie ukryte w wiadomościach. Większość moich klientów jest w jakiś sposób związana z morzem, często dostaję od nich wiadomości po tym, gdy odbiorą przesyłkę. Zazwyczaj piszą, że są zachwyceni fotografią, że wychowali się na wybrzeżu lub oszczędzają na wakacje nad morzem dla całej rodziny. Czasem pytają, która to plaża, ale nigdy im nie odpowiadam.

Już mam rozpocząć pracę, kiedy moją uwagę odwraca szczekanie Beau. Zbliża się jakiś mężczyzna. Wstrzymuję oddech ze strachu, lecz on unosi dłoń na powitanie i rozpoznaję Patricka. Nie potrafię stłumić uśmiechu, serce bije mi szybciej, ale tym razem nie z powodu lęku.

– Miałem nadzieję, że cię tu znajdę – mówi z daleka. – Potrzebujesz stażysty? – Nie ma dziś kaloszy, a sztruksowe spodnie są oblepione mokrym piaskiem. Hamuję odruch, by wygładzić przekrzywiony kołnierz wiatrówki.

– Dzień dobry. Stażysty?

Wskazuje plażę szerokim gestem.

– Pomyślałem, że pomogę ci w pracy.

Podejrzewam, że sobie ze mnie żartuje, dlatego nie odpowiadam.

Patrick przejmuje patyk i czeka, lekko pochylony nad mokrym piaskiem. Jestem skonfundowana.

– To nie takie proste, jak się wydaje – oświadczam rzeczowo, próbując ukryć zmieszanie. – Na zdjęciu nie może być żadnych odcisków stóp i trzeba się spieszyć, inaczej fala podejdzie zbyt blisko.

Nie przypominam sobie, by ktokolwiek wcześniej chciał ze mną dzielić tę część życia. Sztuka zawsze była tylko dla mnie, zamykałam się z nią w osobnym pokoju, jakby pozostawała poza realnym światem.

– Dobra. – Wzrusza mnie wyraz koncentracji na jego twarzy. To przecież tylko litery na piasku.

– Ładne i bez ozdobników. – Czytam na głos zamówienie: – Dziękuję, Davidzie.

– Aha, ciekawe, za co mu dziękuje? – Patrick pochyla się, by napisać pierwsze słowo. – Za opiekę nad kotem? Za uratowanie życia? Za to, że się ze mną ożeniłeś, mimo że miałam romans z listonoszem?

Czuję drżenie w kącikach ust.

– Dziękuję za lekcje flamenco – dodaję z udawaną powagą.

– Dziękuję za te luksusowe kubańskie cygara.

– Dziękuję za zwiększenie mojego debetu.

– Dziękuję za... – Wyciąga ramię, by dopisać ostatnią literę, i traci równowagę. Musi postawić stopę w samym środku napisu, aby nie upaść. – Cholera. – Cofa się i patrzy na zniszczony napis, a następnie ze skruchą na mnie.

Wybucham śmiechem.

– Mówiłam, że to nie jest proste.

Oddaje mi patyk.

– Chylę czoło przed twoimi kwalifikacjami artystycznymi. Nawet bez odcisku buta nie wygląda to dobrze. Każda litera innej wielkości.

– Dzielnie walczyłeś – zapewniam. Rozglądam się za Beau i przywołuję go, odciągając od zabawy krabem.

– A co powiesz na to? – Zerkam na nowy napis, spodziewając się drugiego poprawionego „dziękuję”.

Drink?

– Lepiej – przyznaję. – Chociaż nie mam takiego za... – Przerywam, robi mi się głupio. – Och, rozumiem.

– Moglibyśmy skoczyć wieczorem do Cross Oak? – Głos lekko mu drży, uświadamiam sobie, że on także jest zdenerwowany, i to dodaje mi pewności siebie.

Waham się tylko przez sekundę, ignoruję przyspieszone bicie serca i odpowiadam:

– Chętnie.

Przez cały dzień żałuję swojej impulsywności, gdy nadchodzi wieczór, trzęsę się ze strachu. Przerabiam w myślach najczarniejsze scenariusze i w poszukiwaniu znaków ostrzegawczych analizuję każde słowo, które Patrick wypowiedział. Czy jest tak szczerzy, na jakiego wygląda? Czy ktokolwiek jest? Rozważam spacer do budki telefonicznej w Penfach, mogłabym zatelefonować do lecznicy i odwołać spotkanie, ale nie mam odwagi. Biorę kąpiel, żeby zabić trochę czasu, skóra różowieje od gorącej wody. Po wyjściu z wanny siadam na łóżku i myślę, w co się ubrać. Od ostatniej randki minęło dziesięć lat, obawiam się złamania jakiegoś niepisanego kodu. Bethan nadal regularnie sprząta swoją szafę i oddaje mi ubrania, które na nią nie pasują. Większość jest na mnie za duża, ale fioletowa spódnica nie wygląda źle, choć muszę ją przewiązać w pasie apaszką. Chodzę po pokoju, dotyk materiału na odsłoniętych nogach sprawia mi dawno nieodczuwaną przyjemność. Na moment wraca dziewczyna sprzed lat. Dopóki jeden rzut oka w lustro nie uświadamia mi, że długość przed kolano niekoniecznie mi odpowiada. Zdejmuję spódnicę i odkładam na stertę w głębi szafy. Wkładam z powrotem dżinsy i znajduję do nich czystą bluzkę. Rozczesuję włosy. Wyglądam dokładnie tak samo jak przed godziną. Tak samo jak zawsze. Wspominam dziewczynę, która godzinami szykowała się przed każdym wyjściem: muzyka, kosmetyki porzucane po całej łazience, mocny zapach perfum. Nie miałam wtedy pojęcia, czym jest prawdziwe życie.

Idę na pole namiotowe, tam właśnie umówiłam się z Patrickiem. W ostatniej chwili postanowiłam zabrać Beau, jego obecność dodaje mi odwagi, jaką

czułam rano na plaży. Patrick czeka na mnie w otwartych drzwiach sklepu i gawędzi z Bethan. Kiedy wybuchają śmiechem, przychodzi mi na myśl, że śmieją się ze mnie.

Ona dostrzega mnie pierwsza, Patrick odwraca się i uśmiecha. W pierwszej chwili mam wrażenie, że chce mnie pocałować w policzek, ale poprzestaje na lekkim dotknięciu ramienia i zwykłym: „Cześć”. Ciekawe, czy widać, że jestem przerażona.

– Bądźcie grzeczni! – Bethan uśmiecha się szeroko, a Patrick odpowiada śmiechem i idziemy w stronę centrum miasteczka.

Swoboda, z jaką Patrick opowiada – na pewno trochę koloryzuje – o swoich pacjentach, sprawia, że i ja się rozluźniam. Jestem mu za to wdzięczna.

Piwiarnia Cross Oak należy do Dave’a Bishopa, który przeprowadził się do Penfach kilka lat przede mną z hrabstwa York. On i jego żona Emma są już pełnoprawnymi członkami społeczności i – jak wszyscy tutaj – znają sąsiadów po imieniu i dużo o nich wiedzą. Nigdy nie byłam w środku lokalu Dave’a, ale zawsze mówię mu „Dzień dobry”, przechodząc z Beau, gdy idziemy na pocztę.

Nadzieja na cichy wieczór przy drinku pryska po przekroczeniu progu.

– Patrick! Twoja kolej, żeby postawić kolejkę!

– Rosie nadal nie czuje się najlepiej. Przyprawdę ją znów do ciebie.

– Jak się miewa twój staruszek? Nie tęskni za walijską pogodą?

Gwar zamkniętego pomieszczenia napawa mnie lękiem. Zaciskam palce na smyczy Beau, która ześlizguje się po spoconej skórze. Patrick zamienia z każdym po kilka słów, ale nie przystaje na dłuższe pogawędki. Obejmuje mnie ramieniem i delikatnie prowadzi przez tłum w stronę krzeseł przy barze. Kiedy cofa ciepłą dłoń i krzyżuje ręce na barze, odczuwam zarazem ulgę i rozczarowanie.

– Na co masz ochotę?

Wolałabym, żeby zamówił najpierw dla siebie. Mam ochotę na zimne piwo, rozglądam się wokół, wolę sprawdzić, czy inne kobiety mają przed sobą kufle.

Dave kaszle znacząco.

– Dżin z tonikiem – decyduję szybko, zbita z tropu. Nigdy nie piłam dżinu. Niezdecydowanie to nowa cecha, nie pamiętam, kiedy się pojawiła.

Patrick zamawia becka w butelce, obserwuję, jak kropelki wilgoci formują się na szkle.

– Pani musi być fotografką z Blaen Cedi? Zastanawialiśmy się, gdzie się pani ukrywa – zaczepia mnie mężczyzna w wieku lestyna, z bokobrodami. Ma na głowie tweedową czapkę.

– To jest Jenna – odpowiada za mnie Patrick. – Jest zajęta rozwijaniem nowej firmy i nie ma czasu na żłopanie z wami piwa, obiboki.

Mężczyzna parska śmiechem, a ja oblewam się rumieńcem. Jestem wdzięczna Patrickowi za to zgrabne wyjaśnienie mojego samotnictwa. Siadamy przy stoliku w rogu sali pod obstrzałem ciekawskich spojrzeń, niechybnie staniemy się tematem plotek w całym miasteczku. Po chwili mężczyźni tracą nami zainteresowanie i wracają do swoich kufli.

Ostrożność nie pozwala mi zbyt wiele mówić na swój temat, na szczęście Patrick ma w zanadru wiele interesujących opowieści związanych z historią regionu.

– To urocze miejsce. Dobrze się tutaj mieszka – mówię.

Prostuje długie nogi.

– Rzeczywiście. Nie doceniałem tego, gdy byłem młodszy. Piękne krajobrazy i przyjazna społeczność to nie są rzeczy ważne dla dzieciaków, prawda? Wierciłem rodzicom dziurę w brzuchu, żebyśmy wyjechali do Swansea. Uroiłem sobie, że przeprowadzka zmieni moje życie, stanę się popularny w szkole i otoczony wianuszkami dziewczyn. – Uśmiecha się szeroko. – Nie spodobał im się mój pomysł i musiałem iść do lokalnego liceum.

– Zawsze chciałeś zostać weterynarzem?

– Od drugiego roku życia. Podobno ustawiałem wszystkie swoje pluszaki na korytarzu i kazałem mamie wnosić jednego po drugim do kuchni, gdzie przeprowadzałem operacje. – Jego twarz jest ożywiona, kiedy mówi, kąciaki oczu drżą na sekundę przed tym, nim rozpromienia się w uśmiechu. – Ciężko pracowałem na oceny, których potrzebowałem, żeby dostać się na weterynarię w Leeds, gdzie wreszcie rozkwitłem towarzysko.

– I pojawił się wianuszek dziewczyn?

– Jedna, może dwie – odpowiada z szerokim uśmiechem. – Rozpaczliwie tęskniłem za Walią, chociaż wcześniej tak bardzo chciałem się wydostać. Po studiach znalazłem pracę niedaleko Leeds, jednak gdy tylko pojawiła się okazja, by zostać współwłaścicielem lecznicy w Port Ellis, bez wahania z niej skorzystałem. Rodzice się starzeli, a ja nie mogłem już żyć z dala od morza.

– Mieszkali w Port Ellis? – Fascynują mnie ludzie, którzy są blisko związani z rodzicami. Nie zazdroszczę im, po prostu nie umiem sobie tego wyobrazić. Być może gdyby ojciec nas nie zostawił, byłoby mi łatwiej.

– Mama się tu urodziła. Tata sprowadził się z rodzicami jako nastolatek. Pobrali się, gdy oboje mieli po dziewiętnaście lat.

– Tata też był weterynarzem? – Zadaję zbyt wiele pytań, chyba dlatego, by odwrócić uwagę od siebie. Patrickowi to nie przeszkadza. Opowiada mi o swojej rodzinie, historie z przeszłości przywołują na jego twarz nostalgiczny uśmiech.

– Inżynierem. Przeszedł już na emeryturę, całe życie pracował dla tej samej spółki gazowej w Swansea. Z jego powodu zostałem ratownikiem. Ojciec zajmował się tym całe lata. Pędził do stacji ratownictwa brzegowego w połowie niedzielnego obiadu, mama kazała nam wszystkim odmawiać modlitwę w intencji szczęśliwego powrotu na brzeg wszystkich rozbitków. Był dla mnie jak superbohater. – Patrick napił się piwa. – W tamtych czasach szalupy ratunkowe cumowały na starej stacji w Penfach, zanim wybudowali nową w Port Ellis.

– Często jesteś wzywany?

– To zależy. W lecie, kiedy pole biwakowe jest pełne turystów, częściej. Ludzie ignorują znaki ostrzegawcze i nasze apele, żeby nie zbliżać się do krawędzi urwiska, nie pływać w czasie silnego wiatru. – Spowaźniał. – Bądź ostrożna, kiedy pływasz w zatoce, są tam bardzo silne prądy podwodne.

– Nie pływam zbyt dobrze. Nie wchodzę głębiej niż po kolana.

– Nie wchodzi. – Pod jego przenikliwym spojrzeniem nerwowo poprawiam się na siedzeniu. Spuszcza wzrok i bierze kolejny, duży łyk piwa. – Woda porywa ludzi.

Kiwam głową i obiecuję mu, że nie będę pływać.

– Choć wydaje się to dziwne, im dalej od brzegu, tym bezpieczniej – mówi z błyskiem w oku. – W lecie przyjemnie jest wypłynąć poza zatokę i zanurkować w otwartym morzu. Zabiorę cię kiedyś, jeśli zechcesz.

Wzdrygam się dostrzegalnie, choć propozycja brzmi zupełnie niezobowiązująco. Myśl o tym, że miałabym się znaleźć sama na środku oceanu, a nawet z kimkolwiek, wprawia mnie w przerażenie.

– Woda nie jest aż tak zimna, jak można sądzić – zapewnia Patrick, źle odczytawszy moje drżenie. Przestaje mówić i zapada niezręczna cisza.

Głaszczę śpiącego pod stolikiem psa i myślę, co powiedzieć.

– Twoi rodzice tutaj mieszkają? – pytam wreszcie. Zawsze byłam taka nudna? Wracam myślami do czasów studenckich. Wtedy to ja, dusza towarzystwa, wodziłam prym, rozśmieszałam ludzi. Teraz z trudem radzę sobie z poprowadzeniem zwykłej rozmowy.

– Dwa lata temu przeprowadzili się do Hiszpanii, farciarze. Mama cierpi na artretyzm i twierdzi, że ciepły klimat jej pomaga. A twoi rodzice? Mieszkają gdzieś tutaj w pobliżu?

– Niezupełnie.

Patrick wygląda na zaciekawionego. Mogłam po prostu powiedzieć, że nie żyją, uświadomiam sobie. Biorę głęboki wdech.

– Nigdy nie byłam blisko ze swoją mamą. Wyrzuciła ojca z domu, gdy miałam piętnaście lat, i nigdy jej tego nie wybaczyłam.

– Musiała mieć jakieś powody. – Raczej pyta, niż stwierdza, lecz ja i tak przyjmuję postawę obronną.

– Mój ojciec był cudownym człowiekiem. Nie zasługiwała na niego.

– Nie masz z nią kontaktu?

– Miałam przez całe lata, pokłóciłyśmy się dopiero po... – Przerывam w pół zdania. – Pokłóciłyśmy się. Dwa lata temu dostałam list od siostry z informacją o śmierci naszej matki. – Wzruszam ramionami na widok współczucia malującego się na twarzy Patricka. Ależ jestem pokręcona. Daleko mi do kobiet poukładanych, a z pewnością do takich przywykłam. Chyba żałuje, że zaprosił mnie na drinka. To spotkanie staje się coraz bardziej kłopotliwe dla nas obojga i będzie jeszcze gorzej. Skończyły nam się niezobowiązujące tematy, nie mam mu nic do powiedzenia. W każdej chwili może zacząć zadawać pytania, które wzbudzają we mnie lęk. Dlaczego przyjechałam do Penfach? Dlaczego wyjechałam z Bristolu? Dlaczego jestem sama? Będzie pytał z grzeczności, nieprzygotowany na nieprzyjemne odpowiedzi. Nieświadom, że nie mogę wyznać mu prawdy.

– Powinnam wracać.

– Już? – Nie okazuje ulgi, choć z pewnością odczuwa. – Jest wcześnie, możemy zamówić jeszcze po drinku, zjeść coś...

– Nie, dziękuję, naprawdę muszę już iść. – Wstaję w pośpiechu, aby ubiec ewentualną wymuszoną propozycję kolejnego spotkania. Patrick też wstaje.

– Odprowadzę cię do domu.

W głowie rozbrzmiewają mi dzwonki alarmowe. Po co chce ze mną iść, zamiast zostać w ciepłym pomieszczeniu pełnym przyjaciół? Przecież ledwie tknął swoje piwo. Pulsują mi skronie. Mieszkam na odludziu, z pewnością nikt mnie nie usłyszy, jeśli Patrick odmówi odejścia. W tej chwili sprawia wrażenie miłego i uczciwego, ale zbyt dobrze wiem, jak szybko to się może zmienić.

– Nie. Dziękuję.

Przepycham się przez tłum miejscowych, nie obchodzi mnie, co sobie o mnie pomyślą. Powstrzymuję się przed biegiem, dopóki nie skęcę za róg. Potem rzucam się do ucieczki. Beau usiłuje za mną nadążyć, zdziwiony nagłą zmianą tempa. Nie zważając na ból w płucach, spowodowany wdychaniem mroźnego powietrza, biegnę aż do drzwi swojego domu, z którymi jak zwykle muszę stoczyć walkę, zanim wejdę do środka. Wreszcie zamykam zasuwkę od wewnątrz i opieram się plecami o drzwi.

Zdyszana, z mocno bijącym sercem. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście boję się Patricka. Po prostu stał się częścią codziennej paniki. Nie ufam już intuicji, która zawiodła mnie zbyt wiele razy. Wolę zachować bezpieczny dystans na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ 15

Ray odwrócił się i zakrył twarz poduszką w obronie przed porannym słońcem, przeświecającym przez szpary w żaluzjach. Przez chwilę nie potrafił nazwać nieprzyjemnego uczucia, jakie miał tuż po przebudzeniu. Ach tak, poczucie winy. Co on sobie myślał? Przez piętnaście lat małżeństwa z Mags ani razu jej nie zdradził. Wrócił myślami do poprzedniego wieczoru. Czy wykorzystał Kate? Poczł obrzydliwą obawę, że przecież może zgłosić na niego skargę. Gardził sobą, nie powinien jej o to podejrzewać. Kate nie była taką osobą. Mimo wszystko niepokój prawie wyparł poczucie winy.

Równomierny oddech żony świadczył, że jeszcze śpi. Wstał ostrożnie i popatrzył na Mags zakrytą szczelnie kołdrą po czubek głowy. Gdyby się dowiedziała... Nawet nie chciał o tym myśleć.

Zamarł, kiedy się poruszyła. Miał nadzieję, że wymknie się niepostrzeżenie – jak tchórz i złodziej. Że nie będzie musiał z nią rozmawiać. Chciał najpierw poukładać sobie w głowie to, co się wydarzyło.

– Która godzina? – wymamrotała Mags.

– Dopiero po szóstej – szepnął. – Wychodzę wcześniej, mam zaległości w papierach.

Mruknęła i znów zasnęła, a Ray cichutko odetchnął z ulgą. Wziął szybki prysznic i pół godziny później wchodził do biura. Zabrał się energicznie do pracy, jakby w ten sposób mógł wymazać wydarzenia poprzedniej nocy. Na szczęście Kate pracowała dziś w terenie, zaryzykował więc w porze obiadowej wizytę w kantine. Znaleźli ze Stumpym wolny stolik, do którego Ray przyniósł dwa talerze czegoś, co podobno miało być lazanią, choć jej nie przypominało. Kucharka Moira dumnie wbiła włoską flagę w danie dnia i uśmiechała się promiennie do Raya, gdy składał zamówienie, zatem dzielnie spożywał gigantyczną porcję potrawy, mimo że od rana miał mdłości. Moira była pogodną, dużą kobietą przy tuszy, w nieokreślonym wieku. Dobry humor nigdy jej nie opuszczał, chociaż walczyła z chorobą – za każdym razem gdy zdejmowała kardigan, skóra jej się łuszczyła.

– Wszystko dobrze, Ray? Coś cię martwi? – zatroszczył się Stumpy, czyszcząc swój talerz. Miał żelazny żołądek, nie tylko tolerował, ale wręcz uwielbiał jedzenie Moiry.

– W porządku – odpowiedział. Poczł ulgę, przyjaciel nie drażył tematu. Ujrzał Kate i pożałował, że nie jadł szybciej. Stumpy wstał, szurając metalowymi nogami krzesła. – Do zobaczenia w biurze, szefie.

Nie umiał znaleźć naprędce pretekstu, aby go zatrzymać ani porzucić niedokończonego obiadu. Zmusił się do uśmiechu.

– Cześć, Kate. – Oblał się rumieńcem, zaschło mu w ustach i z trudem przełknął ślinę.

– Hej. – Usiadła i rozpakowała kanapki, na pozór nieświadoma zmieszania Raya.

Miała nieprzenikniony wyraz twarzy, Ray poczuł, że mdłości się nasiliły. Odsunął talerz z kulinarnym dziełem, wybrawszy mniejsze zło – narażenie się na gniew Moiry. Popatrzył, czy nie ma w pobliżu ciekawskich uszu.

– Jeżeli chodzi o wczorajszą noc... – zaczął jak nieśmiały nastolatek.

– Przepraszam – przerwała mu. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.
Trzymasz się jakoś?

Wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Mniej więcej. A ty?

Skinęła głową.

– Trochę mi wstyd, mówiąc szczerze.

– Nie masz czego się wstydzic – zaprotestował. – Nie powinienem był...

– Nie, nie powinniśmy byli – powiedziała. – Ale to zwykły pocałunek, nic więcej. – Roześmiała się i ugryzła kanapkę. – Miły pocałunek, lecz tylko pocałunek – dodała z ustami pełnymi chleba, sera i pikli.

Ray odetchnął. Wszystko będzie dobrze. Postąpił okropnie i jeśli Mags kiedykolwiek się dowie, będzie zdruzgotany, ale na razie jest dobrze. Oboje są dorośli, dopiszą to do listy wspomnień i będą się zachowywać jak dawniej. Po raz pierwszy od dwunastu godzin pozwolił sobie pomyśleć, jak wspaniale było pocałować kogoś tak pełnego życia i energii. Zaczerwienił się, zakasłał i odepchnął od siebie wspomnienie.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku między nami?

– Naprawdę, Ray. Nie mam zamiaru składać na ciebie skargi, jeśli tego się boisz.

Policzki Raya spąsowiały.

– Rany boskie, nawet mi coś takiego przez myśl nie przeszło. Chodzi o to, że... Wiesz, jestem żonaty i...

– A ja mam chłopaka – przypomniała. – Oboje wiemy, o co chodzi.
Zapomnijmy o tym, zgoda?

– Zgoda.

– Dobrze. – Zmieniła ton na służbowy. – Szukałam cię, żeby zapytać, czy nadajemy rocznicowy apel telewizyjny w sprawie Jacoba Jordana.

– Już minął rok?

– Minie w przyszłym miesiącu. Trudno się spodziewać dużego odzewu, ale jest szansa, że ktoś zechce wreszcie oczyścić sumienie. Nie wierzę, że nikt nie wie, kto siedział za kierownicą tego samochodu.

Oczy jej płonęły i miały ten sam wyraz determinacji, który tak dobrze poznał.

– Zróbmy to – zdecydował. Nie spodziewał się przychylniej reakcji ze strony komendantki Rippon, zdawał też sobie sprawę, że szanse na awans maleją. Niemniej jednak kolejny apel w rocznicę śmierci Jacoba to dobre posunięcie. Nadawali je od czasu do czasu w związku z nierozwiązanymi sprawami, choćby tylko po to, by zasygnalizować rodzinie, że policja jeszcze się nie poddała mimo oficjalnego zamknięcia dochodzenia. Warto spróbować.

– Świetnie. Mam trochę papierkowej roboty z porannymi przesłuchaniami. Spotkamy się po południu, żeby napisać apel? – Pomachała przyjaźnie Moirze i wyszła z kantyny.

Chciałby zapomnieć o wczorajszym pocałunku tak łatwo jak ona. Tymczasem za każdym razem, gdy na nią spojrzał, czuł, jak obejmuje go ramionami. Zakrył niezjedzoną lazanię serwetką i odstawił talerz na wózek przy drzwiach.

– Było pyszne, Moiro – pochwalił, przechodząc obok bufetu.

– Jutro dzień grecki! – zawołała za nim.

Musi pamiętać o zabraniu kanapek.

Rozmawiał właśnie przez telefon, kiedy Kate otworzyła bez pukania drzwi jego gabinetu. Zobaczywszy, że jest zajęty, wymamrotała przeprosiny i już się wycofywała, ale dał jej znak, by usiadła. Cicho zamknęła drzwi, usiadła na krześle i czekała, aż skończy rozmawiać. Jej ukradkowe spojrzenie na fotografię Mags i dzieci znów wywołało w nim poczucie winy. Z trudem skupiał uwagę na rozmowie z Olivią Rippon.

– To naprawdę konieczne, Ray? – spytała. – Szanse, że ktoś się przyzna albo zgłosi się świadek, są nikłe. Przypomnimy tylko ludziom o bezkarności sprawcy śmierci tego dziecka i naszej porażce.

„Ma na imię Jacob”, powiedział cicho Ray, powtarzając słowa wypowiedziane przez matkę chłopca prawie rok temu. Zastanawiał się, czy szefowa rzeczywiście jest tak niewrażliwa, jak wskazuje na to jej zachowanie.

– Skoro nikt się nie upomina o sprawiedliwość, lepiej tego nie wywlekać znów na światło dzienne. Mało masz pracy? Zbliżają się egzaminy na starszego aspiranta.

Aluzja była mało subtelna.

– Miałam zamiar zaproponować ci zajęcie się aferą narkotykową w Creston – dodała. – Ale skoro wolisz zajmować się starymi sprawami... – Operacja Break zakończyła się sukcesem i kilkakrotnie już na przestrzeni ostatnich tygodni szefowa machała mu przed nosem marchewką w postaci atrakcyjnego dochodzenia. Zawahał się, lecz napotkał spojrzenie Kate. Wpatrywała się w niego intensywnie. Praca z Kate przypominała mu, dlaczego wstąpił do policji wiele lat temu. Odnalazł w sobie tamtą zapomnianą pasję i postanowił, że od teraz będzie postępował w zgodzie z własnymi przekonaniem, a nie widzimisię szefostwa.

– Mogę zająć się obiema tymi rzeczami – powiedział stanowczo. – Zamierzam wznowić apel. Uważam, że to dobra decyzja.

Olivia odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

– Jeden artykuł w „Post”, to wszystko. I kilka plakatów przy drodze, które mają zostać zdjęte po tygodniu. – Odłożyła słuchawkę.

Kate czekała niecierpliwie, nerwowo stukała długopisem o poręcz krzesła.

– Załatwione.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Bardzo jest wściekła?

– Przejdzie jej. Chciała tylko wyraźnie zaznaczyć swój brak poparcia, na wypadek gdyby opinia publiczna znów zwróciła się przeciwko nam.

– Jakież to cyniczne!

– Tak to jest na wyższych stanowiskach.

– I ty chcesz się ubiegać o awans? – W oczach Kate zamigotały wesołe isierki, Ray parsknął śmiechem.

– Nie mogę tu zostać na zawsze.

– Dlaczego?

Wyobraził sobie, jak przyjemnie byłoby móc zignorować rozgrywki polityczne związane z awansem i skupić się tylko na pracy, którą kocha.

– Bo muszę wykształcić dwójkę dzieci – stwierdził wreszcie. – Poza tym ja będę inny. Nie zapomnę, jak to jest być po drugiej stronie barykady.

– Przypomnę ci to, kiedy już zostaniesz naczelnikiem policji i zabronisz mi opublikowania rocznicowego apelu.

Roześmiał się.

– Rozmawiałem już z redakcją „Post”. Suzy French entuzjastycznie przyjęła wiadomość i zaproponowała, żebyśmy podłączyli się pod ich specjalne rocznicowe wydanie z apelami do świadków o udzielenie informacji w sprawie... i tak dalej. Napiszą artykuł o Jacobie, musisz jej tylko podać przez telefon szczegóły, numer telefonu i oficjalne oświadczenie policji o ochronie danych osobowych świadków.

– Nie ma sprawy. A co zrobimy z matką?

Wzruszył ramionami.

– Myślę, że będziemy musieli się bez niej obejść. Porozmawiaj w szkole z wychowawczynią Jacoba, zapytaj, czy nie zechciałaby udzielić wywiadu dla gazety. Dobrze by było dać im materiał, którego nie mieli wcześniej, o ile to możliwe. Może jakiś rysunek zrobiony na lekcji? Zobaczymy, jaki będzie odzew na nasz apel, a potem zaczniemy jej szukać. Wygląda, jakby zapadła się pod ziemię.

Był wściekły na policjantkę, która miała utrzymywać kontakt z rodzinami ofiar, a nie dopełniła obowiązku. Nie dziwił się tej kobiecie, że wołała zniknąć. Z jego doświadczeń wynikało, że ludzie reagują na stratę najbliższej osoby w dwojaki sposób: albo poprzysięgają nigdy nie opuścić dotychczasowego domu, zostawiają wszystko w niezmiennym stanie, jak sanktuarium, albo wyprowadzają się z dnia na dzień, nie potrafią znieść życia w tym samym otoczeniu, gdy świat uległ potwornej zmianie.

Po wyjściu Kate długo patrzył na fotografię Jacoba, która nadal wisiała, przyczepiona do korkowej tablicy. Zdjął ją, wygładził zagięte rogi i oparł o zdjęcie Mags z dziećmi, żeby lepiej widzieć.

Rocznicowy apel był ich ostatnią, nikłą szansą. Jeśli nie przyniesie nic nowego, oddadzą akta do archiwum.

ROZDZIAŁ 16

Siadam z laptopem przy kuchennym stole, chowam kolana pod obszerny wełniany sweter, który nosiłam zimą w pracowni. Trzęsę się z zimna, chociaż tuż obok stoi kuchenka, wsuwam dłonie w rękawy. Nie ma jeszcze pierwszej, a ja nalałam sobie duży kieliszek czerwonego wina. Zaczynam wpisywać hasło do przeglądarki i przerywam. Od wielu miesięcy nie torturowałam się sprawdzaniem. To nie pomoże – nigdy nie pomaga – ale jak mogę o nim nie myśleć, zwłaszcza w taki dzień?

Piję wino i uderzam w klawisz z napisem „enter”.

Po kilku sekundach na ekranie pojawiają się linki do artykułów o wypadku, forów internetowych i stron z kondolencjami. Kolor czcionki oznacza, że otwierałam już wcześniej każdą z tych stron.

Jednak dziś, dokładnie rok po tym, gdy zawałił się mój świat, znajduję nowy artykuł w internetowym wydaniu „Bristol Post”.

Z moich ust wydobywa się zduszony jęk, mocno zaciskam pięści, aż bieleją kostki. Pochłaniam krótki tekst dwukrotnie. Śledztwo nie posunęło się naprzód, policja nie dotarła do żadnych świadków ani dowodów, nie mają żadnych poszlak. To tylko przypomnienie, że kierowca nieznanego pojazdu wciąż jest poszukiwany za spowodowanie śmierci i złamanie zasad bezpieczeństwa na drodze. Sformułowanie przyprawia mnie o mdłości, wylogowuję się z sieci, ale nawet zdjęcie zatoki na pulpicie mnie nie uspokaja. Nie poszłam nad morze od czasu niefortunnej randki z Patrickiem. Odkładam realizację zamówień, ponieważ wstydziłabym się spojrzeć mu w oczy, gdybyśmy wpadli na siebie przypadkiem. Jestem zażenowana swoim zachowaniem. Po przebudzeniu następnego ranka po naszym spotkaniu uświadomiłam sobie jego irracjonalność. Pomyślałam, że zatelefonuję z przeprosinami, ale zabrakło mi odwagi. Minęły już dwa tygodnie, a on nie próbował nawiązać ze mną kontaktu. Odczuwam gwałtowne mdłości, więc wylewam resztę wina do zlewu i zabieram Beau na spacer ścieżką wzdłuż wybrzeża.

Pokonujemy kilometry, które wydają mi się niezliczone, okrążamy cypel i wchodzimy do Port Ellis. W dole stoi budynek z szarej cegły, to musi być stacja ratownictwa brzegowego. Przystaję i myślę o ludziach uratowanych przez wolontariuszy. Podejmuję przerwana wędrowkę, mimowolnie myślę o Patricku. Nie ułożyłam żadnego planu, po prostu idę, aż docieram do lecznicy weterynaryjnej. Dopiero dźwięk dzwonka przy otwieraniu drzwi uświadamia mi, że nie wiem, co powiedzieć.

– W czym mogę pomóc? – Ta sama recepcjonistka, rozpoznaję wyłącznie po kolorowych plakietkach.

– Czy mogłabym przez chwilę pomówić z Patrickiem? – Na szczęście nie pyta, w jakiej sprawie.

– Chwileczkę.

Stoję, zmieszana, w poczekalni, na krześle siedzi jakaś kobieta z małym dzieckiem i wiklinowym koszykiem z żywą zawartością, która zaciekawia Beau, więc szybko go odciągam.

Po kilku minutach słychać kroki zapowiadające nadejście Patricka. Włosy mu sterczą, jakby zmierzwił je dłonią. Ma na sobie brązowe spodnie ze sztruksu i koszulę w kratkę.

– Coś dolega Beau? – pyta uprzejmie, bez uśmiechu.

– Nie, chciałabym z tobą porozmawiać. Tylko przez chwilę – odpowiadam nieco zdeprymowana.

Odczytuję jego wahanie jako odmowę i oblewam się rumieńcem, boleśnie świadoma wzroku recepcjonistki.

– Zapraszam.

Wchodzę za nim do pokoju, w którym po raz pierwszy badał Beau. Opiera się o umywalkę i czeka, nie zamierza mi niczego ułatwiać.

– Chciałam... chciałam cię przeprosić. – Czuję pieczenie pod powiekami, powstrzymuję się od płaczu siłą woli.

Uśmiecha się gorzko.

– Dostałem już niejednego kosza, ale nigdy tak błyskawicznego. – Patrzy na mnie odrobinę cieplej, ryzykuję lekki uśmiech.

– Bardzo przepraszam.

– Zrobiłem albo powiedziałem coś niewłaściwego?

– Nie, nic z tych rzeczy. Byłeś... – Bezskutecznie poszukuję odpowiedniego słowa. – To moja wina. Nie najlepiej sobie radzę w takich sytuacjach.

Po chwili milczenia Patrick posyła mi szeroki uśmiech.

– Może musisz poćwiczyć?

Śmieję się wbrew sobie.

– Może.

– Jest jeszcze tylko dwóch pacjentów. Dałabyś się zaprosić na domową kolację? Mam prawie gotowy gulasz, aż nadto dla dwóch osób, wystarczy też dla Beau.

Jeżeli teraz odmówię, więcej go nie zobaczę.

– Z przyjemnością.

Patrzy na zegarek.

– Spotkajmy się tutaj za godzinę. Poczekasz?

– Pewnie. Zrobię kilka zdjęć miasteczka, jak planowałam.

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia. – Kiedy się uśmiecha, marszczą mu się kąciaki oczu. Odprowadza mnie do drzwi.

– Wszystko załatwione? – pyta recepcjonistka i patrzy na mnie z ciekawością.

Przez moment zastanawiam się, czy wie, po co chciałam się spotkać z Patrickiem, ale dochodzę do wniosku, że jest mi to obojętne. Byłam dziś bardzo dzielna i w nagrodę zjem kolację z mężczyzną, który lubi mnie na tyle, że nie zniechęca go moja nerwowość.

Raz po raz zerkam na zegarek, lecz czas nie płynie od tego szybciej. W ciągu godziny zdążyliśmy z Beau kilka razy okrążyć wieś, zanim wróciliśmy pod lecznicę. Nie chcę wchodzić do środka, dlatego odczuwam ulgę na widok uśmiechniętego od ucha do ucha Patricka. Wita się z Beau i prowadzi nas do niewielkiego szeregowego domu na sąsiedniej ulicy. Zaprasza do salonu. Beau natychmiast kładzie się obok kominka.

– Kieliszek wina?

– Poproszę. – Siadam i zaraz wstaję, jestem zdenerwowana. Mały pokójek jest przytulny, dywan zakrywa niemal całą podłogę. Przy kominku stoją dwa fotele, po jednym z każdej strony. Nie wiem, który należy do Patricka, żaden nie wygląda na bardziej zużyty. Mały telewizor sprawia wrażenie, jakby wylądował tu przypadkiem. W alkowach obok pokoiku stoją dwa

olbrzymie regały z książkami. Przechylałam głowę i czytam tytuły na grzbietach.

– Mam zbyt dużo książek – stwierdza Patrick, wróciwszy z dwoma kieliszkami wina. Biorę jeden, zadowolona, że wreszcie mam co zrobić z rękami. – Powiniennem część oddać, ale jakoś nie potrafię się na to zdobyć.

– Uwielbiam czytać. Nie wiem, czy choć raz miałam w ręku jakąś książkę od czasu przeprowadzki.

Patrick siada na fotelu, idę za jego przykładem i zajmuję drugi. Pocieram palcem brzeg kieliszka.

– Od dawna jesteś fotografką?

– Nie jestem – odpowiadam, zaskoczona swoją szczerością. – Jestem rzeźbiarką. – Myślę o swojej pracowni, o potłuczonych rzeźbach, które były gotowe do wysłania. – W każdym razie byłam.

– Już nie rzeźbisz?

– Nie mogę. – Po chwili wahania rozszerzam palce lewej dłoni i pokazuję bliznę, biegnącą aż do nadgarstka. – Ręka jest już sprawna, ale nie mam czucia w opuszkach palców.

Gwizdnął cicho.

– Biedactwo. Jak to się stało?

Odpycham z całej siły żywe wspomnienie wieczoru sprzed roku.

– Nie jest tak źle, jak wygląda. Powinnam bardziej uważać. – Nie potrafię spojrzeć mu w oczy, czym prędzej zmienia temat.

– Jesteś głodna?

– Jak wilk. – Burczy mi w brzuchu, a z kuchni dochodzą smakowite zapachy. Idę za nim do dużego pomieszczenia, w którym całą ścianę zajmuje sosnowy kredens.

– Należał do mojej babci – mówi, włączając kuchenkę. – Po jej śmierci przeszedł na własność rodziców, a po ich wyjeździe trafił do mnie. Gigantyczny mebel, co? Poupychałem tam wszystko, co się da. Pod żadnym pozorem nie otwieraj drzwi.

Obserwuję, jak ostrożnie nakłada porcje na dwa talerze. Wyciera kroplę sosu ściereczką i zostawia smugę.

Jedną porcję stawia przede mną na stole.

– Nic innego nie potrafię ugotować – tłumaczy się. – Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

Nakłada trochę gulaszu do metalowej miski, Beau zjawia się natychmiast i grzecznie czeka.

– Jeszcze chwileczkę, kolego. – Patrick miesza widelcem, żeby nieco przestudzić porcję dla psa.

Pochylam głowę, by ukryć uśmiech. Wiele można powiedzieć o człowieku na podstawie jego stosunku do zwierząt. Coraz bardziej lubię Patricka, nic na to nie poradzę.

– Wygląda pysznie, dziękuję.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś o mnie tak dbał. To ja zawsze gotowałam, sprzątałam, prowadziłam dom. Tyle lat budowania szczęśliwej rodziny, z której nic nie zostało.

– Przepis mojej mamy. Podczas każdej wizyty usiłuje poszerzyć mój repertuar kulinarny. Chyba sądzi, że pod jej nieobecność żywię się samą pizzą i frytkami, jak tata.

Śmieję się.

– Tej jesieni będą obchodzić czterdziestolecie małżeństwa. Niewyobrażalne, prawda?

Tak, dla mnie również.

– Byłeś kiedyś żonaty?

Patrickowi ciemniej oczy.

– Nie, kiedyś było blisko, ale do ślubu nie doszło.

Nie dodaje nic więcej i po chwili chyba czuje ulgę, że nie zapytałam dlaczego.

– A ty?

Biorę głęboki wdech.

– Miałam męża, ale nasze drogi się rozeszły. Chciał czegoś innego niż ja. – Uśmiecham się, mało powiedziane.

– Nie czujesz się samotna w Blaen Cedi? To odludne miejsce.

– Podoba mi się. Jest pięknie i mam Beau do towarzystwa.

– Nie dokucza ci brak sąsiadów?

Myślę o samotnych nocach przerywanych koszmarami, kiedy budzę się z krzykiem i nie ma nikogo, kto mógłby mnie pocieszyć.

– Prawie codziennie widuję się z Bethan.

– Doskonały materiał na przyjaciółkę. Znam ją od lat.

Ciekawi mnie, jak blisko są ze sobą Patrick i Bethan. Opowiada mi historię z przeszłości, kiedy pożyczili bez pytania łódź ojca Patricka i powiosłowali na środek zatoki.

– Przyłapali nas po kilku minutach. Ojciec stanął na brzegu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, obok taty Bethan. Wiedzieliśmy, że będą kłopoty, i nie chcieliśmy wrócić na brzeg. Siedzieliśmy w łódce, oni stali na brzegu. Czas dłużył się w nieskończoność.

– Jaki był finał?

– Poddaliśmy się, oczywiście – przyznaje ze śmiechem. – Podpłynęliśmy do brzegu. Bethan jest dobrych kilka lat starsza ode mnie, więc lwią część odpowiedzialności spadła na nią, ale i tak dostałem szlaban na dwa tygodnie. – Kręci głową z komicznym ubolewaniem. Uśmiecham się. Wyobrażam sobie tego roztrzepanego łobuziaka sprzed lat.

Patrick zabiera pusty talerz i stawia na jego miejscu szarlotkę z kremem. Ślina napływa mi do ust od zapachu podgrzanego cynamonu. Odsuwam na bok krem, trochę w nim mieszam dla niepoznaki, nie chcę być niegrzeczna.

– Nie lubisz?

– Pyszności. Rzadko jadam desery. – Dietetyczne nawyki są trudne do przezwyciężenia.

– Nie wiesz, co tracisz. – Pochłania swoje ciasto w kilku kęsach. – Nie ja robiłem, dostałem od jednej z dziewczyn z pracy.

– Przepraszam.

– Rozumiem. Wystygnie i Beau zje.

Pies strzyże uszami na dźwięk swego imienia.

– Piękny pies. I miał dużo szczęścia.

Kiwam głową, potrzebuję Beau tak samo jak on mnie. To ja miałam szczęście. Patrick wspiera podbródek na dłoni, drugą ręką głaszcze psa. Rozluźniony i zadowolony: mężczyzna, który nie doświadczył bólu i nie ma tajemnic.

Przechwytuje moje spojrzenie, a ja, zawstydzona, odwracam wzrok. Dostrzegam jeszcze jeden regał w rogu kuchni.

– Więcej książek?

– To silniejsze ode mnie. – Uśmiecha się. – Tutaj trzymam książki kucharskie, które dostałem od mamy. I trochę kryminałów. Przeczytam wszystko z przyzwoitą fabułą.

Sprząta ze stołu. Opieram się na krześle i obserwuję jego krzątanie.

Opowiedzieć ci o sobie, Patricku? Chcesz usłyszeć moją historię?

Opowiedzieć ci o Jacobie? O wypadku? O tym, jak uciekłam, ponieważ nie widziałam innego sposobu na przetrwanie poza zaczęciem wszystkiego od nowa. O tym, że co noc budzę się z krzykiem, gdyż nie można nigdy uciec przed koszmarnymi wspomnieniami. Nigdy nie będę od nich wolna.

Opowiedzieć ci o tym, Patricku?

Oczywiście wyobraźni widzę jego przerażoną twarz, gdy mówię mu o pisku hamulców i odgłosie uderzenia główki Jacoba o maskę samochodu. Chciałabym, żeby wziął mnie za rękę, ale nie umiem tego sprawić, nawet w myślach. Pragnę usłyszeć zapewnienie, że rozumie, że to nie moja wina, że to straszny wypadek, który mógł spotkać każdego. Tymczasem on kręci głową, wstaje od stołu, odpycha mnie z obrzydzeniem. Jest oburzony.

Nie, nie powiem mu nigdy. Nie zdołam.

– Dobrze się czujesz? – Patrzy na mnie dziwnie, jakby czytał w myślach.

– Było pyszne – zapewniam. Mam dwa wyjścia: albo teraz odejdę, albo ukryję przed nim prawdę. Nie chcę go okłamywać, a jednocześnie nie

potrafię z niego zrezygnować. – Muszę już iść – mówię, spojrzawszy na ścienny zegar.

– Kolejne zagranie w stylu Kopciuszka?

– Nie tym razem. – Czerwienieję, a Patrick się uśmiecha. – O dziewiątej odjeżdża ostatni autobus do Penfach.

– Nie masz samochodu?

– Nie lubię prowadzić.

– Odwiozę cię. Wypiłem tylko mały kieliszek wina.

– Naprawdę dziękuję. Wolę wrócić sama.

Wydaje się lekko poirytowany.

– Może spotkamy się jutro rano na plaży? – proponuję.

Posyła mi rozluźniony uśmiech.

– Świetny pomysł. Cieszę się, że wróciłaś – dobrze cię było znów zobaczyć.

– Ja także się cieszę.

Stoimy w ciasnym przedpokoju, zapinam płaszcz, on trzyma resztę moich rzeczy. Miejsca jest tak niewiele, że z trudem manewruję rękami, niezręcznie zmagam się z suwakiem.

– Pomogę ci.

Delikatnie łączy połę płaszcza i unosi do góry kółeczko zamka błyskawicznego. Sztywnieję z niepokoju, ale on tylko domyka suwak tuż pod moją brodą i oplata mi szyję szalikiem. – Proszę. Zadzwoń do mnie, kiedy dotrzesz do domu? Dam ci swój numer.

Zaskakuje mnie ta troska.

– Zadzwońabym, ale nie mam telefonu.

– Nawet komórkowego?

Śmiesz mi to niedowierzenie.

– Nie, mam pociągniętą linię telefoniczną. Do Internetu. Bez aparatu. Nic mi się nie stanie, obiecuję.

Patrick kładzie ręce na moich ramionach i nie dając mi czasu na reakcję, całuje mnie miękko w policzek. Sparaliżowana niepewnością, czuję jego oddech na swojej twarzy.

– Dziękuję – bąkam. I choć to mało oryginalne i zupełnie nieadekwatne do sytuacji, uśmiecha się do mnie, jakbym powiedziała coś niezwykle istotnego. Miło by było być z kimś tak mało wymagającym, myślę.

Mówimy sobie do widzenia i przypinam smycz do obroży Beau. Wiem, że Patrick odprowadzi nas wzrokiem. Rzeczywiście, gdy dochodzę do zakrętu, on nadal stoi w otwartych drzwiach.

ROZDZIAŁ 17

Ray siadał do stołu, by zjeść śniadanie, gdy zadzwonił telefon komórkowy. Lucy usiłowała zdobyć sprawność kucharza w zuchach i traktowała wyzwanie bardzo ambicjonalnie. Skupiona i poważna, wysuwając koniuszek języka, ostrożnie przełożyła na talerze rodziców spalony bekon oraz gumowate jajka. Tom nocował u kolegi, miał wrócić dopiero na obiad. Mags ucieszyła się, że ma nowego przyjaciela, a Ray przyznał jej rację. W skrytości ducha bardziej cieszył go spokój w domu, żadnych zatrzaskiwanych drzwi i krzyków.

– Wygląda przepysznie, kochanie. – Wyjął telefon z kieszeni, by spojrzeć na wyświetlacz.

Zerknął na Mags.

– Praca. – To mogły być wieści dotyczące Operacji Sokół – taki kryptonim nadali aferze narkotykowej w Creston. Szefowa zwodziła go przez kolejny tydzień, zanim wreszcie przydzieliła mu prowadzenie tej sprawy, z surowym zastrzeżeniem, że jest priorytetowa. Nie napomknęła nawet o apelu rocznicowym. Nie musiała.

Mags popatrzyła na Lucy zaabsorbowaną nakładaniem jedzenia.

– Zjedz najpierw śniadanie, proszę cię.

Niechętnie nacisnął czerwony przycisk odrzucający połączenie i przekierował je na pocztę głosową. Nie zdążył zjeść ani kęsa, gdy zadzwonił telefon domowy. Odebrała Mags.

– Och, cześć, Kate. Czy to bardzo pilne? Właśnie jemy śniadanie.

Ray poczuł się nagle bardzo niezręcznie. Przejrzał skrzynkę pocztową w telefonie tylko po to, żeby mieć jakiegokolwiek zajęcie. Zerkał ukradkiem na Mags, jej napięte ciało dawało wyraźne sygnały, że jest bardzo niezadowolona z zakłócenia niedzielnego śniadania. Czy Kate doprawdy musiała telefonować do domu w niedzielę? Usiłował pochwycić, co mówiła, lecz nie mógł niczego dosłyszeć. Wróciły mdłości, które prześladowały go od kilku dni, popatrzył więc na zawartość talerza bez entuzjazmu.

Mags bez słowa podała mu słuchawkę.

– Cześć, Ray – zaszczębiotała Kate, nieświadoma napięcia, jakie wywołała.

– Co porabiasz?

– Prowadzę życie rodzinne. O co chodzi? – Zdziwiony wzrok Mags uświadomił mu, że zachowuje się w nietypowy dla niego opryskliwy sposób.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odparła oschle Kate. – Nie chciałam czekać do jutra.

– Tak?

– Dostaliśmy odpowiedź na nasz rocznicowy apel. Mamy świadka.

Po trzydziestu minutach był już na posterunku.

– Co dokładnie mamy?

Kate czytała wydrukowany e-mail przesłany z działu korespondencyjnego.

– Facet twierdzi, że mniej więcej w czasie wypadku zajechał mu drogę czerwony samochód, którego kierowca dziwnie się zachowywał. Miał zamiar powiadomić policję, ale tego nie zrobił.

Ray poczuł przyływ adrenaliny.

– I nie zareagował na pierwsze apele do świadków?

– Nie mieszka w tych stronach – poinformowała Kate. – Przyjechał na urodziny siostry – stąd pamięta datę – wrócił do Bournemouth jeszcze tego samego dnia, nie słyszał o wypadku. W każdym razie połączył fakty, dopiero kiedy siostra wspomniała mu o apelu podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej.

– Wiarygodny? – Świadkowie bywają nieprzewidywalni. Niektórzy ludzie mają zdumiewającą pamięć do szczegółów, inni nie potrafią powiedzieć bez patrzenia, jakiego koloru koszulę mają na sobie, a czasami myślą się, nawet gdy spojrzą.

– Nie wiem, jeszcze z nim nie rozmawialiśmy.

– Do diabła – dlaczego?

– Jest wpół do dziesiątej. – Przybrała postawę obronną. – Zatelefonowałam do ciebie pięć minut po przeczytaniu wiadomości, myśląc, że będziesz wolał porozmawiać z nim osobiście – denerwowała się.

– Przepraszam.

Zbyła przeprosiny wzruszeniem ramion.

– Przepraszam też za to, że byłem niemiły przez telefon. Poczuję się, wiesz... niezręcznie.

– Coś nie tak? – zapytała z napięciem.

Pokręcił głową.

– Wszystko dobrze. Dziwnie się poczułem, kiedy zadzwoniłaś, nic więcej.

Przyglądali się sobie nawzajem przez chwilę, nim Ray przerwał milczenie.

– No dobrze, sprowadźmy świadka. Chcę z niego wyciągnąć jak najwięcej: marka samochodu, kolor, numery, rysopis kierowcy. Mamy kolejną szansę, nie spieprzmy jej.

– Zero informacji! – Ray chodził w tę i z powrotem, nie kryjąc frustracji. – Nie wie, w jakim wieku był kierowca, jakiej rasy – Jezu! On nawet nie wie, jakiej płci! – Potarł energicznie głowę, jakby chciał wzniecić iskrę w umyśle.

– Widoczność była kiepska – przypomniała Kate. – Całą uwagę skupił na zapanowaniu nad własnym pojazdem.

Nie silił się na wielkoduszność.

– Gość nie powinien w ogóle wyjeżdżać na ulicę, jeśli nie radzi sobie ze zwykłym deszczem. – Opadł ciężko na krzesło, upił łyk kawy, skrzywił się, poczuwszy, że jest lodowato zimna. – Może pewnego dnia zdołam wypić kawę do końca – mruknął z niezadowoleniem.

– Ford z literą J na tablicy rejestracyjnej – przeczytała w notatkach Kate. – Pęknięta szyba. Prawdopodobnie fiesta lub focus. To już coś.

– Tak, to lepsze niż nic – przyznał. – Bierzmy się do roboty. Przede wszystkim znajdź matkę Jacoba. Chcę, by wiedziała, że nie złożyliśmy broni. Żeby była w pobliżu, kiedy go złapiemy.

– Tak jest. Dobrze mi się rozmawiało z wychowawczynią ze szkoły. Zadzwoń jeszcze raz, może coś wyciągnę. Ktoś musiał pozostać z nią w kontakcie.

– Poproszę Malcolma, żeby nam zrobił wydruk rejestru wszystkich fiest i focusów w Bristolu. Przejrzymy go przy obiedzie, na który cię zapraszam.

Odsunął od siebie talerz z resztkami czegoś, co Moira optymistycznie nazywała paellą, i położył dłoń na stercie papieru.

– Dziewięćset czterdzieści dwa. – Gwizdnął.

– U nas. A co, jeśli on także był przyjezdny?

– Zobaczmy, czy uda nam się niektóre wykluczyć. – Podał jej wydruk. – Sprawdź z rejestrem automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych – powiedzmy pół godziny przed wypadkiem i godzinę po nim. Zobaczymy, które były w tym czasie na drogach, i od tego zaczniemy eliminację.

– Jesteśmy coraz bliżej. – Oczy Kate rozbłysły. – Czuję to.

– Nie wyprzedzajmy faktów. – Uśmiechnął się. – Nad czym teraz pracujesz?

– Napad rabunkowy w sklepie spożywczym, napaści na taksówkarzy azjatyckiego pochodzenia i prawdopodobnie napaść na tle seksualnym, radiowóz jeszcze nie wrócił – wyliczyła na palcach. – Aha, a w przyszłym tygodniu mam szkolenie z różnic kulturowych.

Ray prychnął.

– Zwalniam cię ze szkolenia. Pozostałe zadania rozdzielę między inne osoby. Masz się zajmować tylko sprawą Jacoba.

– Tym razem oficjalnie? – spytała, uniósłszy brew.

– Całkiem legalnie. Ale nie bierz za dużo nadgodzin.

ROZDZIAŁ 18

Patrick czeka na mnie na przystanku autobusowym w Port Ellis. Przez ostatnie dwa tygodnie spotykaliśmy się codziennie rano na plaży, a kiedy zaproponował wspólne spędzenie wolnego popołudnia, nie wahałam się długo. Nie mogę przeżyć całego życia w strachu.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, szukając wskazówek wokół. Jego dom był w przeciwnym kierunku, minęliśmy już pub.

– Zobaczysz.

Wchodzimy na ścieżkę za miasteczkiem, prowadzi nad morze. Trzymamy się za ręce, dotyk jego palców mnie elektryzuje, ale po chwili się rozluźniam.

Wieści, że spotykam się z Patrickiem, rozniosły się po okolicy nadzwyczaj szybko. Wczoraj wpadłam w sklepie na lestyna.

– Słyszałem, że widzisz chłopaka Aluna Mathewsa. – Uśmiechnął się znacząco. – Dobry dzieciak, mogłaś trafić gorzej. – Oblałam się gorącym rumieńcem.

– Kiedy znajdziesz czas, żeby zerknąć na moje drzwi? – Czym prędzej zmieniam temat. – Nic się nie poprawiło, zamek nadal się zacina i nie można przekręcić ani wyjąć klucza.

– Nie martw się zamkiem. Tu nikt ci nic nie ukradnie.

Oddycham głęboko. Lestyn uważa zamykanie drzwi za fanaberię.

– Wolałabym, żebyś go naprawił.

Po raz kolejny obiecał, że przyjdzie i to zrobi, ale jak dotąd się nie pojawił. Dziś zamknięcie drzwi zajęło mi całe dziesięć minut.

Dróżka jest coraz węższa, widać już ocean – szarą, wzburzoną wodę i strzępy białej piany. Mewy okrążają zatokę, zmagając się z silnym wiatrem. Już wiem, dokąd zabiera mnie Patrick.

– Stacja ratownictwa brzegowego! Możemy wejść do środka?

– Taki jest plan. Widziałaś lecznicę. Pomyślałem, że zechcesz zobaczyć też drugie miejsce, w którym spędzam prawie tyle samo czasu.

Stacja ratownictwa brzegowego w Port Ellis mieści się w dziwnym, niskim budynku, który można by wziąć za przemysłowy, gdyby nie wieża wartownicza na dachu. Cztery przeszklone okna przypominają mi wieżę kontroli lotów.

Wchodzimy do środka przez olbrzymie, niebieskie, przesuwane drzwi, Patrick wpisuje kod na szarej klawiaturze obok mniejszych drzwi.

– Chodź, oprowadzę cię.

Wnętrze pachnie ludzkim potem i morzem. Intensywnym zapachem soli przesiąkają ubrania. Największą część hangaru dla łodzi zajmuje jaskrawopomarańczowy ponton, który Patrick nazywa „statkiem”.

– Przypinamy się – mówi. – Przy złej pogodzie nie ma innego sposobu, żeby nie wypaść.

Przechadzam się po hangarze, czytam poprzyipinane do drzwi kartki, listy ekwipunku, odznaczane codziennie. Na ścianie wisi tablica upamiętniająca trzech wolontariuszy, którzy zginęli w tysiąc dziewięćset szesnastym roku.

– Sternik P. Grant oraz członkowie załogi: Harry Ellis i Glyn Barry – czytam głośno. – Straszna tragedia.

– Odpowiadali na sygnał SOS parowca przy półwyspie Gower. – Patrick kładzie mi rękę na ramieniu. – To były zupełnie inne czasy, nie mieli takiego ekwipunku jak my teraz – dodaje, widząc moją zaciekawioną minę.

Ujmuje mnie za rękę i prowadzi do małego pomieszczenia, gdzie jakiś mężczyzna w niebieskim polarze parzy kawę. Ma szorstką cerę osoby, która spędziła całe życie na świeżym powietrzu.

– Jak się masz, David? To jest Jenna – przedstawia mnie.

– Przyucza panią, co? – David mruga, a ja uśmiechem kwituję niezbyt wyszukany dowcip.

– Nigdy nie zwracałam szczególnej uwagi na szalupy ratunkowe – mówię. – Ich obecność wydawała mi się oczywista.

– Musimy walczyć, aby ich nie zlikwidowali. – David wsypuje czubatą łyżkę cukru do gęstej kawy. – Jesteśmy finansowani przez brytyjskie ochotnicze stowarzyszenie ratownictwa morskiego, nie mamy dotacji rządowych, wiecznie zbieramy pieniądze i szukamy ochotników.

– David, nasz kierownik, dba o wszystko – wyjaśnia Patrick. – Trzyma nas w ryzach.

– Nie jest to dalekie od prawdy. – David się śmieje.

W pustym pomieszczeniu dla załogi rozlega się przenikliwy dzwonek telefonu. David przeprasza nas i idzie odebrać. Wraca po chwili, rozpina polar i biegnie do hangaru.

– Wywrócony kajak w Zatoce Rhossili! – krzyczy do Patricka. – Zaginął ojciec z synem. Helen zadzwoniła już do Gary’ego i Aleda.

Patrick wyjmuje z szafki kłęb żółtej gumy, czerwoną kamizelkę ratunkową i granatowy sztormiak.

– Przepraszam, Jenno. Muszę wypłynąć. – Wkłada wodoodporne ubranie na dżinsy i koszulkę. – Weź klucze i poczekaj na mnie w domu. Niedługo wrócę. – Porusza się błyskawicznie, nie mam czasu mu odpowiedzieć, wybiega do hangaru. Przez otwarte przesuwane drzwi wpada dwóch mężczyzn. W ciągu kilku minut cała czwórka wyciąga łódź z hangaru i bez wysiłku wskakuje na pokład. Ktoś – nie zauważam kto – włącza silnik pociąganiem linki i łódź wypływa na wzburzone morze.

Patrzę za malejącą pomarańczową plamą na tle szarości, dopóki nie znika z pola widzenia.

– Szybcy są, nie?

Jakaś kobieta opiera się o framugę drzwi pomieszczenia dla załogi. Ma ponad pięćdziesiąt lat, ciemne włosy poprzetykane siwizną, jest ubrana we wzorzystą bluzkę z przypiętą do niej odznaką brytyjskiego ochotniczego stowarzyszenia ratownictwa morskiego.

– Mam na imię Helen – przedstawia się. – Odbieram telefony, oprowadzam gości, tego typu rzeczy. A ty musisz być dziewczyną Patricka.

Czerwienieję, zażenowana jej bezpośrednim sposobem bycia.

– Jestem Jenna. Kręci mi się w głowie od całego zamieszania, to wszystko trwało mniej niż piętnaście minut.

– Dwanaście i trzydzieści pięć sekund. – Uśmiecha się na widok mojego zaskoczenia. – Prowadzimy dziennik, zawsze zapisujemy czas reakcji na wezwanie. Wszyscy ratownicy mieszkają w odległości kilku minut od stacji. Gary na końcu ulicy, Aled nad sklepem mięsnym, który prowadzi.

– A co ze sklepem, kiedy dostaje wezwanie?

– Wywiesza znak na drzwiach. Miejscowi są przyzwyczajeni, robi tak od dwudziestu lat.

Odwracam się ku morzu. W oddali widać tylko jeden duży okręt i żadnych łodzi. Ciężkie chmury zakryły horyzont, niebo i ocean są jedną falującą płachtą szarości.

– Wrócą cali i zdrowi – mówi łagodnie Helen. – Człowiek się z czasem przyzwyczajają, choć nigdy nie przestaje martwić.

Zerkam na nią z ciekawością.

– David jest moim mężem – wyjaśnia. – Po przejściu na emeryturę spędza więcej czasu w stacji niż w domu. Pomyślałam sobie: jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się. Pierwszy raz było trudno. Co innego żegnać go w domu, a co innego widzieć, jak wsiada do łodzi... w taką pogodę... Cóż... – Wzdryga się. – Ale zawsze wracają. Wrócą.

Obejmuje mnie ramieniem. Cieszę się, że ktoś mnie rozumie.

– To uświadamia, jak bardzo... – Przerywam, nie jestem w stanie skończyć zdania.

– Jak bardzo ich potrzebujemy? – kończy za mnie cichutko Helen.

Kiwam głową.

– Tak.

– Chcesz obejrzeć resztę pomieszczeń?

– Nie, dziękuję. Pójdę do domu Patricka i tam na niego zaczekam.

– To dobry człowiek.

Zastanawiam się, skąd wie i czy ma rację. Wspinam się pod górę, co parę kroków odwracam głowę w nadziei, że znów zobaczę pomarańczową łódź. Nie ma jej. Umieram z niepokojem. Wiem, że stanie się coś złego, po prostu to wiem.

Dziwnie się czuję w domu Patricka pod jego nieobecność, odsuwam pokusę pójścia na górę bez pozwolenia właściciela. W poszukiwaniu jakiegokolwiek zajęcia włączam radio, ustawiam je na lokalną stację i postanawiam pozmywać piętzące się w zlewie naczynia.

Trzy kilometry od Zatoki Rhossili znaleziono przewrócony kajak, którym wypłynęli w morze ojciec z kilkunastoletnim synem. Jak dotąd ich nie odnaleziono.

Odbiornik zaczyna szumieć, przekręcam regulator w poszukiwaniu lepszego sygnału.

Łódź ratunkowa z Port Ellis nie zdołała jak na razie zlokalizować rozbitków. Będziemy podawać na bieżąco informacje w tej sprawie.

Porywisty wiatr niemal przygniata drzewa do ziemi. Z okien domu nie widać morza, ogarnia mnie pokusa, aby wrócić na stację i wypatrywać pomarańczowej plamki na wodzie.

Kończę zmywanie, wycieram ręce ścierką do naczyń i spaceruję po kuchni. Kredens jest zagracony stosami papieru, z jakiegoś powodu ten nieład dodaje mi otuchy. Kładę dłoń na uchwycie szafki, mając w uszach słowa Patricka.

„Pod żadnym pozorem nie otwieraj drzwi”.

Co tam takiego jest, czego nie powinnam zobaczyć? Zerkam przez ramię, jakby mógł mnie przyłapać na gorącym uczynku, i zdecydowanie otwieram kredens. Wydaję cichy okrzyk zaskoczenia, w ostatniej chwili łapię wazon i odstawiam pomiędzy inne wyroby ze szkła. Wnętrze kredensu pachnie lawendą, którą przesiąkły obrusy i pościel. Nie ma tu nic podejrzanego, tylko kolekcja wspomnień.

Już mam zamknąć drzwi, gdy dostrzegam róg srebrnej ramki wystający ze sterty obrusów. Delikatnie wyjmuję fotografię. Patrick obejmuje ramieniem krótkowłosą blondynkę, prezentującą w uśmiechu równe, białe zęby. Oboje się uśmiechają, nie do aparatu, ale do siebie nawzajem. Ciekawe, kim jest ta dziewczyna i czemu Patrick ukrył przede mną jej zdjęcie. Czy tę zamierzał poślubić? Przyglądam się ujęciu, próbuję ustalić, gdzie zrobiono fotkę. Patrick nie wygląda na dużo młodszego niż teraz. Ta kobieta należy do przeszłości czy nadal stanowi część jego życia? Możliwe, że nie ja jedna mam swoje tajemnice. Odkładam ramkę na miejsce pomiędzy obrusy i zamykam drzwi kredensu.

Przechadzam się w tę i z powrotem po kuchni, następnie – zmęczona własną nerwowością – zaparzam herbatę i siadam z nią do stołu.

Deszcz mnie oślepia, ledwie słyszę warkot silnika zagłuszany wiatrem, jednak doskonale słyszę uderzenie o maskę samochodu i odgłos, z jakim opada na asfalt.

Woda na mojej twarzy to już nie deszcz, ale morska woda. Warkot silnika nie ma nic wspólnego z samochodem, to łódź ratunkowa. Krzyk wydobywa się ze mnie, natomiast ta twarz i ciemne jeziora wpatrzonych we mnie oczu, okolonych mokrymi rzęsami, nie należą do Jacoba. To Patrick.

– Przepraszam. – Nawet nie jestem pewna, czy wypowiadam te słowa na głos. – Nie chciałam...

Ktoś mnie budzi mocnym szarpnięciem za ramię. Zdezorientowana, unoszę głowę znad rozgrzanego moim oddechem drewnianego stołu i czuję chłodny powiew na twarzy. Mrużę oczy pod wpływem ostrego sztucznego światła i zakrywam je ręką.

– Obudź się, Jenno. To sen.

Odsłaniam oczy i widzę Patricka, który klęczy przy moim krześle. Otwieram usta, lecz nie wydobywają się z nich żadne słowa. Jeszcze nie otrząsnęłam się z resztek koszmaru, ale jestem obezwładniona ulgą, że wrócił.

– Co ci się śniło?

– Nie... nie jestem pewna – odpowiadam niewyraźnie. – Coś straszego.

– Nie musisz się już bać. – Odgarnia mokre kosmyki włosów i ujmuje moją twarz w dłonie. – Jestem przy tobie.

Jest blady i zmoknięty. Ma kropelki wody na rzęsach. Oczy, zwykle rozświetlone, teraz są ciemne i puste. Wygląda na załamane. Bez zastanowienia całuję go w usta. Łakomie oddaje pocałunek, nadal obejmuje oburącz moją twarz, nagle puszcza i opiera swoje czoło o moje.

– Odwołali poszukiwania.

– Odwołali? Nie znaleźliście ich?

Kręci głową, widzę rozpacz w jego oczach. Opada niżej na podłogę.

– Z samego rana znów wyruszamy na poszukiwania – mówi bezbarwnym głosem. – Ale nikt już nie udaje, że jest jakakolwiek nadzieja. – Zamyka oczy, kładzie głowę na moich kolanach i płacze nad losem nastolatka i jego ojca, którzy nierozważnie wypłynęli w morze mimo znaków ostrzegawczych.

Głaszczę go po włosach, na nie opadają moje łzy. Płaczę nad samotnością nastoletniego chłopca na środku oceanu, płaczę nad jego matką, płaczę

nad sobą, udręczoną koszmarami, nad Jacobem, nad moim małym chłopczykiem.

ROZDZIAŁ 19

W Wigilię morze wyrzuca na brzeg ich ciała. Ratownicy zrezygnowali z poszukiwań kilka dni wcześniej. Naiwnie sądziłam, że odnajdą się razem, ale ocean jest nieprzewidywalny, powinnam to wiedzieć. Łagodne fale najpierw delikatnie wyniosły na brzeg w Zatoce Rhossili ciało syna. Jakiś czas później, trzy kilometry dalej, wypłynęło okaleczone ciało ojca.

Jesteśmy na plaży, gdy Patrick odbiera telefon i widzę po jego napiętej twarzy, że nie usłyszał dobrych wiadomości. Oddala się o kilka kroków, jakby chciał mnie ochronić. Patrzy na morze i w milczeniu słucha Davida. Nie rusza się z miejsca po zakończeniu rozmowy, wpatruje się w horyzont, jakby tam szukał odpowiedzi. Podchodzę i kładę rękę na jego ramieniu. Podskakuje z zaskoczenia, może zapomniał o mojej obecności.

– Przykro mi – mówię, nie umiając znaleźć właściwych słów.

– Spotykałem się z pewną dziewczyną – odzywa się, ciągle wpatrzony w morze. – Poznaliśmy się na studiach i zamieszkaliśmy razem w Leeds.

Słucham. Nie mam pojęcia, do czego zmierza.

– Przyjechała tu ze mną. Nie chciała mieszkać w Port Ellis, ale zależało nam na wspólnym życiu, więc zrezygnowała z pracy i przeprowadziła się razem ze mną. Nie znosiła małomiasteczkowej monotonii. Nie było jej tu dobrze.

Czuję się nieswojo, jak intruz. Chętnie powiedziałabym mu, żeby przestał, że nie potrzebuję tego wiedzieć, ale nie udaje mi się wtrącić słowa.

– Pewnego dnia, w samym środku lata, wybuchła między nami awantura. Poszło o to samo, co zwykle: ona chciała wracać do Leeds, ja chciałem zostać tutaj i prowadzić lecznicę. Wybiegła z domu, wściekła, poszła na plażę, żeby posurfować. Nigdy nie wróciła, porwał ją wir.

– O Boże, Patricku. – Gardło mi się zaciska. – To straszne.

Odwraca się wreszcie, by na mnie spojrzeć.

– Deska wypłynęła następnego dnia, ale nigdy nie znaleźliśmy jej ciała.

– My? Ty także jej szukałeś? – Nie wyobrażam sobie, jak to musiało być bolesne.

Wzruszył ramionami.

– Jestem ratownikiem, taka praca. Wszyscy jej szukaliśmy.

– Ale... – Nie kończę. Oczywiście, że jej szukał. Jakże mógłby tego nie robić?

Biorę go w ramiona, a on wtula twarz w moją szyję. Patrick nie miał idealnego życia, które mu przypisywałam, był kimś więcej niż wesołym, rozluźnionym mężczyzną, którego obraz prezentował światu. Jego demony są prawdziwe, nie ustępują moim. Po raz pierwszy jestem z kimś, kto potrzebuje mnie tak bardzo jak ja jego.

Powoli wracamy do domu. Prosi mnie, bym poczekała, i idzie po coś do samochodu.

– Co to jest? – pytam, zaintrygowana.

– Zobaczysz. – W jego oczach znów błyszczą wesołe iskierki. Zadziwia mnie swoją umiejętnością radzenia sobie ze smutkiem. Być może pomógł mu czas. Mam nadzieję, że pewnego dnia ja także odzyskam część radości życia.

Patrick wraca z niedbale przerzuconą przez ramię choinką. Kiedyś uwielbiałam ubierać choinkę, dziś ogarnia mnie smutek na to wspomnienie. Gdy byłyśmy małe, Eve i ja, przestrzegałyśmy ścisłych zasad: najpierw lampki, potem łańcuchy, następnie uroczyste wieszanie bombek, na końcu sfatygowany anioł na czubek drzewka. Moja siostra w swojej rodzinie pewnie podtrzymuje nasze dawne zwyczaje.

Nie życzę sobie choinki w domu. Dekoracje świąteczne są dla dzieci, dla rodzin.

– Nie chcę jej zabierać z powrotem – nalega Patrick i wnosi choinkę, rozsiewając wokół świerkowe igły. Ustawia ją na koślawym stojaku i sprawdza, czy jest prosta. – Poza tym musisz mieć choinkę. Są święta.

– Nie mam jej czym udekorować! – protestuję.

– Zajrzyj do mojej torby.

Otwieram granatowy plecak, jest w nim sfatygowane pudełko po butach, przewiązane gumką. W środku znajduję tuzin czerwonych bombek, na szkle widać drobniotkie rysy powstałe ze starości.

– Och – szepczę. – Jakie piękne. – Unoszę jedną, wiruje w zawrotnym tempie, widzę w niej swoje zwielokrotnione odbicie.

– Należały do mojej babci. Mówiłem ci, że w tym starym kredensie jest wszystko.

Usiłuję ukryć rumieniec wywołany wspomnieniem myszkowania po jego szafkach i odkrycia fotografii dziewczyny, która utonęła. To musiała być ona – teraz to wiem.

– Śliczne. Dziękuję.

Ubieramy wspólnie choinkę. Patrick przywiózł również maleńkie lampki, ja znajduję wstążkę, która zastępuje łańcuch. Bombek jest tylko dwanaście, ale każda z nich odbija światło w niezwykły sposób. Wdycham świerkowy aromat, próbuję na zawsze zapamiętać tę chwilę czystego szczęścia.

Kończymy – siadam z głową na ramieniu Patricka, patrzę na wzorki, które tworzy na ścianie światło odbite od szkła. Wodzi palcem po mojej skórze na nadgarstku, ogarnia mnie spokój, jakiego nie czułam od lat. Przymykam oczy, całuję go, wciąż głodna jego ust, a kiedy otwieram oczy, widzę, że i on na mnie patrzy.

– Chodźmy na górę – mówię szeptem. Nie wiem, czemu właśnie teraz, ale odczuwam fizyczną potrzebę, by z nim być, w tej chwili.

– Jesteś pewna? – Odsuwa się odrobinę i patrzy mi prosto w oczy.

Potwierdzam skinieniem. Nie jestem pewna, lecz chcę to sprawdzić. Muszę się dowiedzieć, czy może być inaczej.

Wsuwa dłoń w moje włosy, okrywa pocałunkami szyję, policzek, usta. Wstaje i delikatnie prowadzi mnie na schody, masuje kciukiem wnętrze mojej dłoni, jakby nie chciał ani na sekundę przerwać pieszczot. Trzyma mnie delikatnie w pasie, kiedy wchodzimy po wąskich schodach. Ja przodem, z mocno bijącym sercem.

Oddaliliśmy się od ciepłego kominka i kuchenki, w sypialni panuje chłód. Drzę – nie z zimna, ale z niecierpliwości. Patrick siada na łóżku i łagodnie przyciąga mnie do siebie. Kładę się, odgarnia włosy z mojej twarzy, wodzi palcem po skórze za uchem i na szyi. Ogarnia mnie niepokój: jestem taka nudna i mało ciekawa, nie ma we mnie żądz przygód – czy Patrick będzie

mnie taką chciał? Ja jego pragnę, pożądanie jest dla mnie czymś nowym i tym bardziej podniecającym. Jesteśmy tak blisko, że nie sposób powiedzieć, który oddech jest mój, który jego. Leżymy tak przez minutę, zetknięci ustami, ale nie pocałunkiem, dotykając, lecz nie smakując. Powoli rozpinam moją koszulę, ani na chwilę nie przestaje patrzeć mi w oczy.

Nie mogę dłużej czekać. Rozpinam dżinsy i zdejmuję je w pośpiechu, niezdarnie rozpinam guziki koszuli Patricka. Całujemy się dziko, rozrzucamy ubrania po podłodze. On jest już nagi, ja mam na sobie tylko bieliznę. Lekko kręcę głową, kiedy zdejmuje mi podkoszulkę.

Spodziewam się, że będzie nalegał, ale on całuje moje piersi przez miękki materiał. Wyginam ciało w łuk i poddaję się jego dotykowi.

Odpywam w sen w plątaninie ciał i pościeli, kiedy wyczuwam raczej, niż widzę, że Patrick zamierza wyłączyć nocną lampkę.

– Zostaw światło. Proszę. – Nie pyta dlaczego. Obejmuje mnie tylko i całuje w czoło.

Natychmiast po przebudzeniu wiem, że coś się zmieniło, choć jestem jeszcze zbyt zdezorientowana, by wiedzieć co. Nie chodzi o obecność innej osoby obok mnie, chociaż to dziwne uczucie, ale o to, że przespałam noc. Na moją twarz powoli wypływa uśmiech. Obudziłam się sama, bez krzyku. Nie słyszałam we śnie pisku hamulców ani uderzenia czaszki o szybę. Po raz pierwszy od dwunastu miesięcy nie śniłam o wypadku.

Mogłabym wstać i zrobić kawę, lecz ciepłe łóżko jest zbyt kuszące, przytulam się do nagiego Patricka. Przesuwam ręką po jego boku, twardych mięśniach brzucha i uda. Zadziwia mnie reakcja mojego własnego ciała, które pragnie być dotykane. Patrick unosi leciutko głowę i uśmiecha się do mnie, nie otwierając oczu.

– Wesółych świąt.

– Chcesz kawy? – Całuję go w ramię.

– Później. – Przyciąga mnie do siebie pod kołdrą.

Zostajemy w łóżku do południa, sycimy się sobą nawzajem, jemy miękkie bułki ze słodkim, lepkiem dżemem porzeczkowym. Patrick idzie na dół po kolejną kawę i wraca z prezentami, wieczorem ułożyliśmy je starannie pod choinką.

– Płaszcz! – wykrzykuję po rozerwaniu papieru, którym nieporadnie owinał prezent.

– Niezbyt romantyczne – mówi przeprasającym tonem. – Ale nie mogę patrzeć na ten twój stary, zniszczony prochowiec. Nie chroni przed zimnem.

Od razu przymierzam nowy płaszcz. Jest gruby, ciepły i wodoodporny, ma duże kieszenie i kaptur. Tysiąc razy lepszy od tego, który teraz noszę. Nawet nie jest mój, wisiał w korytarzu, gdy się wprowadziłam.

– Troska o to, żeby mi było ciepło i sucho, jest dla mnie czymś niezwykłym – odpowiadam i całuję go w usta. – Piękny, dziękuję.

– Włożyłem coś do kieszeni. Niezupełnie prezent, raczej coś, co uznałem, że powinnaś mieć.

Wyjmuję z kieszeni telefon komórkowy.

– Mój poprzedni, nie używam go już. Nic szczególnego, ale działa. Nie będziesz musiała chodzić na pole biwakowe, żeby zatelefonować.

Mam zamiar mu powiedzieć, że jest jedyną osobą, do której dzwonię, ale biorę też pod uwagę, że właśnie to miał na myśli. Może przeszkadza mu brak stałego kontaktu ze mną. Nie jestem pewna, jak się z tym czuję. Dziękuję mu. Przecież mogę wyłączać telefon.

Podaje mi drugi, pięknie zapakowany w fioletowy papier i przewiązany wstążką prezent.

– Nie pakowałem go sam – wyznaje niepotrzebnie.

Ostrożnie rozwijam ozdobny papier i otwieram małe pudełeczko z szacunkiem, na jaki zasługuje. W środku jest broszka z masy perłowej w kształcie muszli. Mieni się tysiącem barw.

– Och, Patricku! – wołam z zachwytem. – Przepiękna. – Przypinam ją do nowego płaszcza. Mój prezent dla niego wydaje mi się teraz żenująco skromny. To szkic zrobiony na plaży w Port Ellis: łódź ratunkowa, która bezpiecznie wraca na brzeg.

– Masz wielki talent, Jenno. – Ogląda z podziwem oprawiony obrazek. – Marnujesz się u nas na wsi. Powinnaś wystawiać swoje prace na wernisażach. Reklamować się.

– Nie mogę. – Nie wyjaśniam, z jakiego powodu. Proponuję spacer, żebym mogła wypróbować nowy płaszcz. Zabieramy Beau na pustą plażę. Trwa odpływ, woda cofnęła się najdalej, jak to możliwe, mamy przed sobą wielkie pole jasnego piasku. Śnieżna chmura nad urwiskiem wydaje się jeszcze

bielsza na tle głębokiego błękitu morza. Błagalne krzyki mew odbijają się echem od pustki, fale rytmicznie uderzają o piasek.

– Aż szkoda zostawiać ślady. – Ujmuję Patricka pod ramię. Wyjątkowo nie wzięłam aparatu fotograficznego. Pozwalamy, by spieniona woda lekko zmoczyła kalosze.

– Moja mama zawsze pływała w pierwszy dzień świąt – mówi Patrick. – Kłócili się o to z tatą, on uważał, że to karygodna lekkomyślność. Wiedział, jak niebezpieczne potrafią być podwodne prądy. Chwytała ręcznik i biegła tuż po otwarciu wszystkich prezentów. My oczywiście uważaliśmy, że to przezabawne, i jej kibicowaliśmy.

– Szaleństwo. – Myślę o dziewczynie, która utonęła. Po takiej tragedii mógłby mieć uraz do wody. Beau usiłuje gryźć spienione fale.

– A u ciebie w rodzinie były jakieś dziwne zwyczaje?

Wspominam z uśmiechem dziecięce podekscytowanie z powodu nadchodzących ferii.

– Nie – odpowiadam po chwili zastanowienia. – Ale uwielbiałam nasze rodzinne święta. Rodzice rozpoczynali przygotowania już w październiku. W domu było pełno paczuszek poukrywanych w kredensach i pod łózkami. Po odejściu taty niby nic się nie zmieniło, ale już nie było tak samo.

– Próbowełaś go kiedyś odnaleźć? – Ściska mnie za rękę.

– Tak. Na studiach. Odkryłam, że założył nową rodzinę. Napisałam do niego list. „Lepiej zostawić przeszłość w spokoju”, odpisał mi. Byłam zrozpaczona.

– To straszne, Jenno.

Wzruszam ramionami z udawaną obojętnością.

– Jesteś blisko związana z siostrą?

– Byłam. – Podnoszę kamień i próbuję puścić kaczki na wodzie, ale przeszkadzają mi fale. – Eve stanęła po stronie mamy po odejściu ojca, ja byłam na nią wściekła za to, że go wyrzuciła. Mimo wszystko troszczyłyśmy się o siebie nawzajem, ale od lat nie miałam z nią kontaktu. Wysłałam kartkę kilka tygodni temu. Nie wiem, czy ją dostała. Nie jestem nawet pewna, czy mam aktualny adres.

– Pokłóciłyście się?

Kiwam głową.

– Nie lubiła mojego męża. – Powiedzenie tego na głos wydaje mi się ryzykowne, po plecach przebiega mi dreszcz strachu.

– A ty go lubiałaś?

Dziwne pytanie, muszę pomyśleć. Nienawidziłam Iana od tak dawna, tak długo się go bałam.

– Kiedyś tak. Był czarujący, inny niż nieporadni studenci ze swoimi niewybrednymi dowcipami.

– Od jak dawna jesteście rozwiedzeni?

Nie wyprowadzam go z błędu.

– Od dość dawna. – Podnoszę garść kamieni i wrzucam je do wody. Po jednym za każdy rok, w którym czułam się kochana i szanowana. – Czasem się zastanawiam, czy nie wróci. – Parskam krótkim, urywanym śmiechem, który nawet mnie wydaje się pusty. Patrick patrzy na mnie badawczo.

– Nie mieliście dzieci?

Udaję, że szukam kamieni.

– On nie chciał – mówię, tylko trochę rozmijając się z prawdą. Ian nie chciał mieć nic wspólnego ze swoim synem.

Patrick obejmuje mnie ramieniem.

– Przepraszam, zadaję zbyt wiele pytań.

– Nie szkodzi. – Naprawdę mi to nie przeszkadza. Czuję się przy nim bezpiecznie. Powoli kończymy spacer. Ścieżka jest śliska od lodu, cieszę się, że podtrzymuje mnie ramieniem. Powiedziałam mu już więcej, niż kiedykolwiek planowałam, nie mogę wyznać wszystkiego. Gdybym spróbowała, odszedłby i nie byłoby nikogo, kto nie pozwoliłby mi upaść.

ROZDZIAŁ 20

Ray obudził się w optymistycznym nastroju. Wziął wolne w święta i chociaż wstąpił parę razy do biura, by zabrać pracę do domu, musiał przyznać, że

przerwa dobrze mu zrobiła. Ciekaw był, czy Kate poczyniła jakieś postępy w śledztwie.

Z listy ponad dziewięciuset zarejestrowanych w Bristolu czerwonych fiest i focusów tylko czterdzieści kilka uruchomiło system radarowy. Zdjęcia automatycznie kasowano po upływie dziewięćdziesięciu dni, ale Kate, uzbrojona w wykaz numerów rejestracyjnych i adresów, odwiedzała po kolei wszystkich właścicieli aut i wypytywała, co robili w dniu wypadku. Przez cztery, pięć tygodni wszystko szło gładko, ale ostatnio zaczęła napotykać trudności. Samochody sprzedawane bez odpowiedniej dokumentacji, wyprowadzki bez podania nowego adresu – aż dziwne, że udało jej się odhaczyć aż tylu, zwłaszcza w okresie okołoswiątecznym. Po Nowym Roku z pewnością nastąpi przełom.

Zajrzał do pokoju Toma. Spod kołdry wystawał tylko czubek głowy nastolatka i Ray cicho zamknął drzwi. Noworoczny optymizm nie obejmował syna. Zachowanie Toma pogorszyło się do tego stopnia, że otrzymał od wychowawczynie dwie pisemne uwagi. Za trzecią zostanie zawieszony w prawach ucznia, co Ray uważał za czysty absurd, skoro dzieciak i tak już wagarował i, jak widać, nie miał ochoty przebywać w szkole.

– Lucy jeszcze śpi? – zapytała Mags, gdy dołączył do niej w kuchni.

– Oboje śpią.

– Musimy ich dziś wieczorem wysłać wcześniej do łóżek. Za trzy dni zaczyna się szkoła.

– Mam jakieś czyste koszule? – zapytał Ray.

– Nie uprąłeś? – Poszła do pralni i wróciła z naręczem wyprasowanych koszul. – Dobrze, że ktoś o tym pomyślał. Pamiętaj, że jesteśmy umówieni na wieczór z sąsiadami.

– Musimy? – jęknął.

– Tak. – Wręczyła mu koszule.

– Kto zaprasza sąsiadów dzień po Nowym Roku? Śmieszna pora na wyprawianie przyjęć.

– Wszyscy są zajęci w święta i Nowy Rok. Emma uważa, że to sympatyczny pomysł. Taka regeneracja po świątecznym korowodzie.

- Myli się, dla mnie to męczarnia. Zawsze kończy się na tym, że ktoś uskarża się na niesprawiedliwy mandat i wiesza psy na policji.
- Po prostu próbują nawiązać rozmowę, Ray. Nie znają cię zbyt dobrze...
- Nie bez powodu.
- ...dlatego mówią o twojej pracy. Bądź bardziej wyrozumiały albo zmień temat. Pogadaj o czymś niezobowiązującym.
- Nienawidzę takiej gadki szmatki.
- Dobrze. – Mags postawiła patelnię na kuchence z nadmiernym rozmachem. – Nie musisz iść, Ray. Szczerze mówiąc, lepiej, żebyś nie szedł, mając taki nastrój.

Wolałby, żeby nie mówiła do niego jak do dziecka.

- Nie powiedziałem, że nie pójdę. Tylko że będzie nudno.

W spojrzeniu Mags było teraz więcej rozczarowania niż irytacji.

- Nie wszystko musi być ekscytujące, Ray.
- Szczęśliwego Nowego Roku, załogo! – Ray wkroczył na posterunek i położył na biurku Stumpy’ego bombonierkę. – Żeby ci wynagrodzić pracę w święta i Nowy Rok. – Losowali, kto będzie miał dyżur – Stumpy miał pecha i wyciągnął krótką słomkę.
- Trzeba będzie czegoś więcej, żeby mi wynagrodzić pobudkę o szóstej rano w Nowy Rok.

Ray się roześmiał.

- I tak jesteś za stary na całonocne imprezy. Mags i ja zasnęliśmy w sylwestra przed dwunastą.
- Ja jeszcze nie całkiem doszłam do siebie. – Kate ziewnęła.
- Dobra zabawa? – zagadnął.
- Owszem, momenty, które pamiętam – odparła, śmiejąc się. Poczł ukłucie zazdrości. Na pewno nie rozmawiała na spotkaniach towarzyskich o mandatach i karach za zaśmiecanie, a jego to właśnie czekało wieczorem.
- Co planujemy na dziś?

– Dobra wiadomość – oznajmiła Kate. – Mamy numer z tablicy rejestracyjnej.

Twarz Raya rozjaśnił uśmiech.

– Najwyższy czas. Jesteś pewna, że to ten?

– Raczej tak. Nie uruchomił żadnego radaru od czasu wypadku, podatek wygaś, nie złożono deklaracji czasowego wyrejestrowania pojazdu. Podejrzewam, że został porzucony lub spalony. Adres przypisany do tego wozu to Beaufort Crescent, kilkanaście kilometrów od miejsca, gdzie potrącono Jacoba. Pojechaliśmy tam wczoraj ze Stumpym, ale dom jest pusty. To wynajmowana nieruchomość, Stumpy namierza właściciela. Może ma nowy adres byłego lokatora.

– Ale znamy nazwisko? – zapytał z przejęciem.

– Tak. – Kate uśmiechnęła się szeroko. – Nie ma go w naszej bazie ani na listach wyborców, nie mogę też nic znaleźć w sieci, ale wyjaśnimy to dziś. Wysłałam do urzędów informacje o zawieszeniu obowiązku ochrony danych osobowych, niedługo zaczną oddzwaniać. Teraz, kiedy święta się skończyły.

– Poza tym znaleźliśmy matkę Jacoba – dodał Stumpy.

– Cudownie. Powinienem częściej brać urlop. Rozmawialiście z nią?

– Nie mamy numeru telefonu. Kate nawiązała wreszcie kontakt z nauczycielką z St Mary, która знаła mamę zabitego chłopca. Podobno była przekonana, że wszyscy obwiniają o wypadek właśnie ją. Tę kobietę prześladowało poczucie winy i gniew, że policja pozwoliła kierowcy uniknąć konsekwencji.

– Policja pozwoliła? – wycedził Ray. – Siedzieliśmy z założonymi rękami, tak?

– To nie są moje słowa – przypomniał Stumpy. – W każdym razie zerwała wszystkie kontakty i wyjechała z Bristolu. – Popukał palcem w teczkę z aktami, która wydawała się Rayowi grubsza, niż gdy ją widział poprzednim razem. – Czekam na maila od miejscowej policji, jeszcze dziś powinniśmy dostać adres.

– Dobra robota. Potrzebujemy jej po swojej stronie, kiedy sprawa trafi do sądu. Nie chcemy, by ktokolwiek nam wypominał na łamach prasy, że złapanie przestępcy zajmuje nam rok.

Zadzwoił telefon Kate.

– Wydział Kryminalny, posterunkowa Evans, słucham.

Ray zamierzał odejść do swojego gabinetu, ale powstrzymała go, dziko gestykulując.

– Wspaniale! – zakrzyknęła w słuchawkę. – Dziękuję bardzo.

Notowała energicznie. Z jej twarzy nie schodził uśmiech.

– Mamy kierowcę. – Pomachała triumfalnie kartką papieru.

Stumpy uśmiechnął się, a nie robił tego często.

– Dzwonili z Brytyjskiego Towarzystwa Telekomunikacji – obwieściła. Podskakiwała na krześle. – Mają dla nas adres!

– Pokaż!

Kate podała mu kartkę.

– Genialna robota – pochwalił Ray. – W drogę. – Wyjął z metalowej szafki dwie pary kluczyków samochodowych, jedną rzucił Stumpy'emu. – Zabierz akta ze wszystkimi informacjami na temat matki Jacoba, jedź na miejscowy posterunek, powiedz im, że nie możemy czekać na telefon, potrzebujemy adresu natychmiast. Nie wracaj, dopóki jej nie znajdziesz. Musi wiedzieć, że zabójca nie jest bezkarny. Zostanie postawiony przed sądem za spowodowanie śmierci dziecka. My tymczasem aresztujemy kierowcę. – Zawahał się i rzucił Kate drugą parę kluczyków. – Lepiej, żebyś ty prowadziła. Muszę odwołać plany na dzisiaj wieczór.

– Coś fajnego? – spytała Kate.

Uśmiechnął się.

– Uwierz mi, to jest fajniejsze.

ROZDZIAŁ 21

Podskakuję, kiedy ktoś puka do drzwi. Już pora? Tracę poczucie czasu podczas edytowania zdjęć. Beau strzyże uszami, ale nie szczeka. Głaszczę go, przechodząc. Otwieram drzwi.

- Jesteś jedyną osobą nad zatoką, która zamyka drzwi na zasuwę – marudzi dobrodusznie Patrick. Wchodzi i całuje mnie na powitanie.
- Miejskie nawyki – odpowiadam beztrzesko i mocuję się z zamkiem.
- Iestyn jeszcze tego nie naprawił?
- Znasz go. Obiecuje, ale nigdy nie ma czasu. Powiedział, że przyjdzie dziś wieczorem, nie robię sobie wielkich nadziei. Sam pomysł zamykania drzwi na klucz uważa za absurdalny.
- Ma rację. – Patrick napiera na drzwi i próbuje przekręcić duży klucz. – Ostatnie włamanie mieliśmy w Penfach bodajże w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. – Uśmiecha się, ignoruję przytyk. Nie wie, że kiedy go nie ma, przeszukuję dom, zanim położę się do łóżka, budzi mnie najłżejszy dźwięk. Koszmary minęły, ale strach pozostał.
- Ogrzej się przy kuchni – zachęcam. Wygląda na przemarzniętego.
- Mróz ma się utrzymać przez jakiś czas – mówi i opiera się o starą kuchenkę. – Wystarczy ci drewna? Mogę jutro dowieźć.
- Iestyn zaopatrzył mnie na wiele tygodni. Przyjeżdża po czynsz pierwszego każdego miesiąca z przyczepą pełną drewna kominkowego, nie chce żadnej zapłaty.
- To dobry człowiek. Od lat przyjaźni się z moim ojcem. Kiedyś spędzali razem w pubie całe wieczory, a potem wracali do domu i usiłowali przekonać mamę, że są zupełnie trzeźwi. Nie zmienił się za bardzo.

Śmieję się.

- Lubię go. – Wyjmuję z lodówki dwa piwa i podaję jedno Patrickowi. – Więc jaki jest ten tajemniczy składnik dzisiejszej kolacji?

Zadzwoił rano z wiadomością, że przyniesie kolację. Intryguje mnie zawartość lodówki turystycznej, którą postawił przy drzwiach.

- Dostałem od wdzięcznego pacjenta. – Rozsuwa zamek błyskawiczny i, niczym królika z kapelusza, prezentuje niebiesko-czarnego, lśniącego homara, wolno poruszającego szczypcami.

- Ojej! – Jestem jednocześnie zachwycona i przestraszona perspektywą przyrządzenia czegoś tak skomplikowanego. Nigdy nie gotowałam homara.

– Zaskakujący prezent. Inni przynoszą bażanty albo króliki. Czasem dają mi je bezpośrednio, ale zdarza się, że znajduję różne rzeczy na progu. – Śmieje się. – Nie pytam, skąd się wzięły. Urząd skarbowy nie przyjmuje bażantów, na szczęście mamy dużo pacjentów, którzy płacą czekami, żeby utrzymać lecznicę na chodzie. Nie umiałbym odesłać z kwitkiem chorego zwierzęcia, bo ktoś nie ma pieniędzy na jego leczenie.

– Masz miękkie serduszko. – Obejmuję go i powoli całuję w usta.

– Ciii – szepcze, kiedy się rozdzielamy. – Zrzuńujesz mi reputację twardziela, na którą długo pracowałem. Poza tym moje serduszko nie jest na tyle miękkie, żebym nie umiał obdrzeć ze skóry królika albo ugotować homara. – Śmieje się złowrogo, udając czarny charakter z kreskówki.

– Idiota. – Rozbawił mnie. – Mam nadzieję, że umiesz go ugotować, bo ja z całą pewnością nie. – Nieufnie zerkam na homara.

– Patrz i ucz się, panienko. – Zarzuca ścierkę na ramię i kłania się teatralnie. – Kolacja zostanie podana niebawem.

Wyjmuję największy garnek i wstawiam wodę, Patrick odkłada homara z powrotem do chłodziarki. Napełniam zlew wodą do umycia sałaty, pracujemy obok siebie w przyjaznym milczeniu. Beau kręci się pod nogami, dyskretnie przypomina nam o swojej obecności. Jest przyjemnie i bezpiecznie, ukradkiem zerkam na Patricka zaabsorbowanego przyrządzaniem sosu i uśmiecham się do siebie.

– W porządku? – pyta, pochwyciwszy moje spojrzenie. Odkłada drewnianą łyżkę. – O czym myślisz?

– O niczym. – Wracam do robienia sałatki.

– No powiedz.

– Myślałam o nas.

– Teraz koniecznie musisz mi powiedzieć! – mówi ze śmiechem, następnie moczy rękę w zlewie i ochlapuje mnie wodą.

Krzyczę, nie umiem powstrzymać krzyku. Zanim racjonalna część umysłu ma szansę dojść do głosu – że to tylko Patrick, tylko Patrick się wygłupia – odskakuję od niego i chowam głowę w ramionach. Fizyczna, instynktowna reakcja. Mam przyspieszony puls i spocone dłonie. Szumi mi w głowie, bo na chwilę przenoszę się w inny czas, w inne miejsce.

Cisza jest namacalna. Prostuję się powoli. Serce tłucze o mostek jak oszalałe. Patrick trzyma ręce blisko ciała, ma przerażoną minę. Usiłuję coś powiedzieć, ale nie mogę wydobyć głosu z suchego, ściśniętego paniką gardła. Patrzę na Patricka, na jego twarz, wyrażającą poczucie winy i niezrozumienie. Wiem już, że nie uniknę wyjaśnień.

– Przepraszam... – zaczynam. – Ja... – Chowam twarz w dłoniach, przerażona.

Patrick próbuje mnie objąć, nie pozwalam mu. Wstydzę się swojej impulsywnej reakcji i walczę z pokusą wyznania mu całej prawdy.

– Jenno – odzywa się łagodnie. – Co ci się stało?

Rozlega się pukanie do drzwi, patrzymy na siebie.

– Otworzę – mówi Patrick, ale ja kręcę głową.

– To na pewno lestyn. – Cieszę się, że coś odwróciło naszą uwagę. Pocieram twarz palcami. – Zaraz wrócę.

Otwieram drzwi i natychmiast wiem, o co chodzi.

Chciałam uciec – udawać przed samą sobą, że życie przed wypadkiem należało do kogoś innego, że jeszcze kiedyś będę szczęśliwa. Często zastanawiałam się, jak zareaguję, gdy po mnie przyjdą. Jak będę się czuła i czy będę walczyć.

Policjant wypowiada moje nazwisko, a ja tylko kiwam głową.

– Tak, to ja.

Jest starszy ode mnie, ma krótkie, ciemne włosy i ponury garnitur w brudnym kolorze. Sprawia wrażenie miłego. Ciekawe, jak wygląda jego życie: czy ma żonę, dzieci?

Młodsza od niego kobieta z ciemnymi, kręconymi włosami postępuje krok naprzód.

– Posterunkowa Kate Evans – przedstawia się i pokazuje odznakę. – Wydział Dochodzeniowo-Śledczy bristolskiej policji. Aresztuję panią za potrącenie pieszego ze skutkiem śmiertelnym i ucieczkę z miejsca wypadku. Ma pani prawo zachować milczenie, wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani w sądzie...

Zamykam oczy i wolno wypuszczam powietrze. Czas przestać udawać.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 22

Ujrzałem cię po raz pierwszy w klubie studenckim. Siedziałaś w kącie, nie zwróciłaś na mnie uwagi, nie wtedy, chociaż zapewne wyróżniałem się w tłumie – jedyny mężczyzna w garniturze. Otoczona przyjaciółkami, śmiałaś się tak serdecznie, że ocierałaś z oczu łzy. Usiadłem z kawą przy sąsiednim stoliku, przeglądałem gazetę i podsłuchiwałem waszą wymianę zdań. Skakałyście z tematu na temat, jak to zwykle kobiety. Po pewnym czasie odłożyłem gazetę i tylko ci się przyglądałem. Dowiedziałem się, że wszystkie jesteście studentkami sztuk pięknych na ostatnim roku. Można się było tego domyślić po twojej pewności siebie, krzyczałaś do znajomych po drugiej stronie sali, nie przejmowałaś się, co ktoś sobie pomyśli.

Usłyszałem twoje imię: Jenna. Muszę się przyznać do pewnego rozczarowania. Z tymi bujnymi włosami i jasną skórą wyglądałaś jak z obrazu prerafaelitów. Pasowałoby do ciebie coś bardziej klasycznego. Może Aurelia. Lub Eleanor. Niewątpliwie byłaś najatrakcyjniejszą dziewczyną w grupie. Pozostałe wydawały się zbyt krzykliwe, za mało subtelne. Miałaś tyle samo lat, ile one – przynajmniej piętnaście mniej ode mnie – ale już wtedy na twojej twarzy malowała się dojrzałość. Rozejrzałaś się wokół, jakbyś kogoś szukała wzrokiem. Uśmiechnąłem się do ciebie, nie zauważyłaś. Za kilka minut miałem zajęcia i musiałem wyjść.

Podjąłem się wygłoszenia sześciu – gościnnie – wykładów, które miały wprowadzić studentów w świat biznesu. Nie były dużym wyzwaniem, studenci albo przysypiali, albo spijali każde słowo z moich ust. Nieźle jak na kogoś, kto sam nawet nie skończył studiów. Na kurs z przedsiębiorczości zapisało się sporo dziewcząt. Nie umknęło mojej uwadze, że wymieniły między sobą znaczące spojrzenia pierwszego dnia, kiedy wszedłem do auli. Powiew nowości, jak sądzę: byłem starszy od ich kolegów i młodszy od wykładowców. Nosilem szyte na miarę garnitury, świetnie skrojone koszule i srebrne spinki do mankietów. Nie miałem siwych włosów – jeszcze nie wtedy – ani skrywanego pod marynarką brzuszka pana w średnim wieku.

Robiłem pauzy i patrzyłem w oczy studentkom – co tydzień wybierałem sobie inną. Rumieniły się pod moim spojrzeniem, odwzajemniały uśmiech i spuszczały oczy, podczas gdy ja kontynuowałem wykład. Bawiło mnie, że wymyślały preteksty, aby zostać dłużej na sali, przechodziły same siebie, usiłując zamienić ze mną parę słów, nim spakuję książki i wyjdę. Siadałem na krawędzi katedry i pochylałem się w ich stronę, by usłyszeć pytanie i widzieć wyraz rozczarowania na ich twarzach, kiedy docierało do nich, że nie proponuję im randki. Nie interesowały mnie. Nie tak jak ty.

Tydzień później znów przyszedł z koleżankami do baru. Uśmiechnęła się do mnie, kiedy mijałem wasz stół. To nie był uprzejmy, sztuczny uśmiech, ale taki szczery, obejmujący oczy. Miałaś na sobie jasnoniebieską koszulkę bez rękawów, pod nią czarny, koronkowy biustonosz i luźne bojówki. Między spodniami a bluzką wystawał kawałek opalonego ciała. Zastanawiałem się, czy o tym wiesz i dlaczego ci to nie przeszkadza.

Rozmowa zeszła z tematów szkolnych na związki. Na chłopców, choć nazywałyście ich mężczyznami. Twoje koleżanki mówiły przyciszonymi głosami, musiałem wyęczać słuch. Szykowałem się psychicznie na twoją część tej litanii niezobowiązujących flirtów i jednonocnych przygód. Jednak dobrze cię oceniłem: z twoich ust usłyszałem jedynie perlisty śmiech i żarty z koleżanek. Nie byłaś taka jak one.

Myślałem o tobie przez cały tydzień. Spacerowałem w porze obiadowej, mając nadzieję, że na ciebie wpadnę przypadkiem. Spotkałem jedną z twoich koleżanek – tę wysoką z farbowanymi włosami – poszedłem za nią, ale zniknęła we wnętrzu biblioteki. Nie mogłem tam za nią wejść, żeby sprawdzić, czy się z tobą spotkała.

Przed czwartym wykładem przyjechałem dużo wcześniej i zostałem za to wynagrodzony. Siedziałaś sama przy stoliku, przy którym widziałem cię poprzednio dwa razy. Czytałaś jakiś list. Zdałem sobie sprawę, że płaczesz. Rozmazał ci się tusz wokół oczu, nigdy byś w to nie uwierzyła, ale wyglądałaś jeszcze piękniej niż zwykle. Poszedłem z kawą do twojego stolika.

– Mogę tu usiąść?

Schowałaś list do torby.

– Proszę.

– Chyba już się tu kiedyś widzieliśmy – powiedziałem, zajmując miejsce na wprost ciebie.

– Tak? Przepraszam, nie pamiętam.

Zirytowałem się, że tak szybko zapomniałaś, lecz wytłumaczyłem to sobie twoim zdenerwowaniem. Nie myślałaś całkiem trzeźwo.

– Prowadzę u was teraz wykłady. – Odkryłem, że pozycja wykładowcy robi natychmiastowe wrażenie na studentkach. Czy chodziło o ewentualne referencje, czy też o kontrast z młokosami na korytarzach, nie byłem pewien, ale działało za każdym razem.

– Naprawdę? – Twoje oczy rozbłysły. – Z jakiego przedmiotu?

– Z przedsiębiorczości.

– Och. – Iskra zgasła, a ja poczułem urazę, że tak łatwo skreślasz coś ważnego. Swoją sztuką nie ubierzesz i nie nakarmisz rodziny ani nie odbudujesz miasta.

– A co robisz, kiedy nie wykładasz? – zapytałaś.

Nie powinno mi zależeć na twoim uznaniu, lecz nagle stało się ono dla mnie ważne.

– Prowadzę firmę produkującą oprogramowanie, które sprzedajemy na całym świecie. – Nie wspomniałem o Dougu, który miał sześćdziesiąt procent udziałów w firmie przy moich czterdziestu. Nie sprecyzowałem też, że „na całym świecie” obecnie oznacza Irlandię. Firma się rozrasta – nie powiedziałem ci nic, czego nie powiedziałem wcześniej urzędnikowi w banku, gdy składaliśmy ostatni wniosek o udzielenie kredytu.

– Jesteś na ostatnim roku, prawda? – Zmieniłem temat.

Pokiwałaś głową.

– Studiuję...

Podniosłem rękę.

– Nie mów, zgadnę.

Śmiechem wyraziłaś aprobatę, spodobała ci się ta zabawa. Udawałem, że myślę – patrzyłem na twoją obcisłą sukienkę w paski, włosy przewiązane apaszką. Ważyłaś wtedy więcej, piersi wyraźnie rysowały się pod elastycznym materiałem. Patrzyłem na zarys sutków i zastanawiałem się, jakiego są koloru.

– Studiujesz sztukę – powiedziałem wreszcie.

– Tak! – zakrzyknęłaś ze zdumieniem. – Skąd wiedziałeś?

– Wyglądasz na artystkę – stwierdziłem jak coś oczywistego.

Nie odpowiedziałaś, ale na twoje policzki wystąpiły rumieńce, twarz rozjaśniła się w mimowolnym uśmiechu.

– Ian Petersen. – Podałem ci rękę. Poczułem dotyk chłodnej skóry i przeciągnąłem uścisk dłużej, niż to konieczne.

– Jenna Gray.

– Jenna – powtórzyłem. – Niezwykłe imię. Czy to zdrobnienie lub skrót?

– Od Jennifer. Ale nikt mnie tak nie nazywa. – Twój śmiech zabrzmiał bez troski. Zniknęły ostatnie ślady łez, a wraz z nimi aura wrażliwości, która mnie przyciągała.

– Przypadkiem zauważyłem, że się zdenerwowałaś. – Wskazałem list wystający z otwartej torby. – Dostałaś złą wiadomość?

Twoja twarz natychmiast pociemniała.

– To od mojego ojca.

Nie odezwałem się, po prostu lekko przechyliłem głowę na bok i czekałem. Kobiety rzadko potrzebują zachęty, by opowiedzieć o swoich problemach. Ty nie stanowiłaś wyjątku.

– Odszedł, gdy miałam piętnaście lat, i nie widziałam go od tamtego czasu. Odnalazłam go w zeszłym miesiącu, napisałam list. Nie chce kontaktu. Ma nową rodzinę i pisze, że powinniśmy „zostawić przeszłość w spokoju”. – Narysowałaś w powietrzu cudzysłów. Twój ton był ironiczny, nie kryłaś goryczy.

– To okropne. Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby nie chcieć kontaktu z tobą.

Natychmiast złagodniałaś i zarumieniałaś się.

– Jego strata – powiedziałaś ze łzami w oczach, wpatrzona w stół.

Pochyliłem się ku tobie.

– Mogę ci kupić kawę?

– Byłoby mi miło, dziękuję.

Kiedy wróciłem z kawą, siedziałaś już w otoczeniu koleżanek. Rozpoznałem dwie z nich, ale przyszła jeszcze jedna. I długowłosego chłopaka z przekłutymi uszami. Zajęli wszystkie krzesła, musiałem sobie przysunąć dodatkowe z sąsiedniego stolika. Podałem ci kubek i oczekiwałem, że wyjaśnisz pozostałym, że jesteśmy w trakcie rozmowy. Ty natomiast

podziękowałaś za kawę i przedstawiłaś mi znajomych, których imiona natychmiast zapomniałem.

Jedna z dziewczyn zadała mi jakieś pytanie, ale nie mogłem oderwać oczu od ciebie. Mówiłaś coś z ożywieniem do długowłosego chłopaka, chodziło o jakąś pracę zaliczeniową na koniec roku. Włosy opadły ci na twarz, odgarnęłaś je za ucho niecierpliwym gestem. Chyba poczułaś na sobie mój wzrok, gdyż odwróciłaś głowę. Uśmiechnęłaś się przeprasząco i od razu ci wybaczyłem nietaktownych przyjaciół.

Kawa wystygła. Nie chciałem wyjść pierwszy i stać się przedmiotem rozmowy, ale za kilka minut zaczynałem wykład. Wstałem i czekałem, aż mnie zauważysz.

– Dziękuję za kawę.

Chciałem zapytać, czy jeszcze się zobaczymy, lecz jak mogłem to zrobić w obecności tych wszystkich ludzi?

– Do przyszłego tygodnia, być może? – rzuciłem lekko, jakby było mi to najzupełniej obojętne. Odwróciłaś się do przyjaciół. Twój śmiech dzwonił mi w uszach, gdy wychodziłem.

Ten śmiech sprawił, że nie wróciłem w następnym tygodniu. Wyraz ulgi na twojej twarzy podczas kolejnego spotkania dwa tygodnie później upewnił mnie o słuszności tej decyzji. Nie zapytałem, czy mogę się przysiąść. Przyniosłem do twojego stolika dwie kawy, dla ciebie czarną, z jedną kostką cukru.

– Pamiętasz, jaką kawę piję?

Wzruszyłem lekceważąco ramionami, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. W rzeczywistości zapisałem sobie tę informację w dzienniku, obok daty naszego spotkania. Zawsze tak robię.

Tym razem zadawałem ci więcej pytań, zachęcałem do mówienia o sobie, a ty otwierałaś się jak liść spragniony wilgoci. Pokazałaś mi swoje rysunki, sprawnie wykonane, ale pozbawione oryginalności. Obejrzałem je i powiedziałem, że są wyjątkowe. Przyszli twoi znajomi, chciałem wstać, żeby przysunąć więcej krzeseł, lecz poinformowałaś ich, że jesteś zajęta i dołączysz do nich później. W jednej chwili wyparowały wszystkie moje wątpliwości. Wpatrywałem się w ciebie intensywnie. Przestałaś mówić, spąsowiałaś i spuściłaś wzrok.

– Nie zobaczymy się w przyszłym tygodniu – oznajmiłem. – Dzisiaj mam ostatni wykład.

Wzruszyło mnie twoje rozczarowanie.

Otworzyłaś usta i zawahałaś się. Czekałem, oczekiwanie sprawiało mi przyjemność. Mogłem sam zaproponować, jednak wolałem to usłyszeć od ciebie.

– Może poszlibyśmy któregoś dnia na drinka? – powiedziałaś.

Udałem, że się zastanawiam, jakbym sam o tym nawet nie pomyślał.

– A co powiesz na kolację? Otworzyli nową francuską restaurację w centrum – sprawdzimy, czy dobra? W ten weekend?

Twój nieskrywany zachwyt był ujmujący. Tak niepodobny do Marie, która okazywała zimną obojętność wobec wszystkiego, znudzona życiem i niewzruszona niespodziankami. Nie powiązałem tego wcześniej z wiekiem, dopiero kiedy zobaczyłem twoją dziecięcą ekscytację na myśl o kolacji w eleganckim przybytku, dotarło do mnie, że miałem rację, znajdując kogoś młodszego. Mniej doświadczonego. Oczywiście nie uważałem cię za zupełnie niewinną, ale przynajmniej jeszcze nieskażoną cynizmem i nieufnością.

Pojechałem po ciebie do akademika. Ciekawskie spojrzenia studentów, gdy przechodzili obok twoich drzwi, były mi całkowicie obojętne. Podobał mi się strój, jaki wybrałaś: elegancka czarna sukienka i czarne rajstopy. Otworzyłem przed tobą drzwi samochodu, wydałaś okrzyk zdziwienia.

– Mogłabym się do tego przyzwyczaić.

– Pięknie wyglądasz, Jennifer.

Roześmiałaś się.

– Nikt mnie tak nie nazywa.

– Masz coś przeciwko temu, żebym ja to robił?

– Nie, raczej nie. Po prostu dziwnie brzmi.

Wyjątkowość nowej restauracji, reklamowanej w prasie, okazała się przesadzona, ale tobie to nie przeszkadzało. Zamówiłaś kurczaka i smażone ziemniaki.

– Kobieta, która nie dba o figurę, to rzadkie zjawisko – skomentowałem twój wybór. Z uśmiechem, aby nie zabrzmieć zbyt krytycznie.

– Życie jest za krótkie, żeby je spędzić na diecie. – Zjadłaś kurczaka w tłustym, kremowym sosie, jednak zostawiłaś ziemniaki. Odprawiłem kelnera, kiedy przyniósł kartę deserów.

– Tylko kawa, dziękujemy. – Miałaś rozczarowaną minę, lecz uznałem, że nie potrzebujesz już więcej kalorii. – Co masz zamiar robić po studiach? – spytałem.

Westchnęłaś.

– Nie wiem. Pewnego dnia chciałabym otworzyć własną galerię sztuki, a na początek znaleźć jakąś pracę.

– Jako artystka?

– Gdyby to było takie proste! Moje główne zajęcie to rzeźbiarstwo. Spróbuję sprzedawać swoje prace, co oznacza dorabianie jako barmanka albo sklepowa. Zapewne będę też musiała wprowadzić się do mamy.

– Dobrze się dogadujecie?

Zmarszczyłaś dziecinnie nos.

– Nie, nigdy nie umiałam się z nią porozumieć, w przeciwieństwie do mojej siostry. To przez matkę ojciec wyprowadził się z domu bez pożegnania.

Dolałem nam wina do kieliszków.

– Co zrobiła?

– Wyrzuciła go. Przepraszam, powiedziała mi, ale ja też chcę mieć coś z życia i dłużej tak nie wytrzymam. Potem nie chciała już o tym rozmawiać. Myślę, że to najbardziej egoistyczna rzecz, z jaką się kiedykolwiek zetknęłam.

Dostrzegłem ból w twoich oczach i nakryłem twoją dłoń własną.

– Odpiszesz tacie na list?

Gwałtownie potrząsnęłaś głową.

– Jasno dał mi do zrozumienia, że mam go zostawić w spokoju. Nie wiem, co mama mu zrobiła, ale jak widać, wystarczyło, żeby nie chciał mieć z nami więcej do czynienia.

Pogładziłem kciukiem delikatną skórę między twoimi palcami.

– Niestety rodziców się nie wybiera – powiedziałem.

– Jesteś blisko ze swoimi?

– Moi nie żyją. – Sam niemal wierzyłem w to kłamstwo, tak często je powtarzałem. A może rzeczywiście nie żyli – skąd miałem wiedzieć? Wyjechałem na południe, nie zostawiwszy adresu, wątpię, aby moja nieobecność spędzała im sen z powiek.

– Przykro mi.

Ścisnęłaś mnie za rękę ze współczuciem.

Poczułem poruszenie w spodniach i spuściłem wzrok.

– Odeszli już dawno temu.

– Mamy zatem coś wspólnego. – Uśmiechnęłaś się dzielnie, okazując zrozumienie. – Oboje tęsknimy za ojcami.

Myliłaś się, oczywiście, w obu kwestiach, ale pozwoliłem ci wierzyć, że mnie rozgryzłaś.

– Zapomnij o nim, Jennifer. Nie zasłużyłaś na takie potraktowanie. Lepiej ci będzie bez niego.

Pokiwałaś głową, chociaż nie uwierzyłaś w moje słowa. W każdym razie nie wtedy.

Spodziewałaś się, że pójdę z tobą do domu, ja natomiast nie miałem najmniejszej ochoty siedzieć przez godzinę w studenckiej klitce i popijać kawy z obtłuczonych kubków. Zabrałbym cię do siebie, gdyby nie było tam wciąż rzeczy Marie. Czułabyś się źle. Poza tym nie chciałem jednonocnej przygody, chciałem ciebie. To co innego.

Odprowadziłem cię pod same drzwi.

– Rycerskość nie umarła, kto by pomyślał – zażartowałaś.

Ukloniłem się z galanterią. Rozśmieszyłem cię i to mnie absurdalnie ucieszyło.

– Nigdy nie byłam na randce z prawdziwym dżentelmenem.

– Hm. – Pocałowałem cię w rękę. – Musimy to powtarzać regularnie.

Zarumieniłaś się i zagryzłaś wargę, unosząc lekko głowę, gotowa na pocałunek.

– Śpij dobrze – powiedziałem. Poszedłem do samochodu, nie odwróciwszy głowy ani razu. Chciałaś mnie – tego byłem już pewien – ale nie zależało ci na mnie dostatecznie. Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ 23

Ray był kompletnie zbity z tropu beznamiętną reakcją Jenny Gray. Żadnych okrzyków wściekłości, żarliwych zaprzeczeń czy wybuchów żalu. Badawczo obserwował jej twarz; gdy Kate dokonywała aresztowania, pojawił się na niej jedynie maleńki cień ulgi. Poczł się bardzo dziwnie, jakby nagle stracił grunt pod nogami. Po dwunastu miesiącach poszukiwań zabójcy Jacoba znaleźli Jennę Gray, spodziewał się zupełnie kogoś innego.

Miała uderzającą urodę, choć nie była klasycznie piękna. Wąski, długi nos, blada skóra, gęsto obsypana piegami. Lekko skośne, zielone oczy nadawały twarzy koci wyraz. Ciemnorude włosy opadały na ramiona. Nie nosiła makijażu, skrywała figurę pod workowatymi ubraniami. Drobne nadgarstki i smukła szyja świadczyły o szczupłej budowie ciała.

Spytała, czy może dostać chwilę na zabranie kilku rzeczy.

– Mam gościa, muszę mu wyjaśnić, co się dzieje. Moglibyście nas zostawić samych na minutę lub dwie? – Mówiła tak cicho, że Ray musiał się nachylić, żeby rozróżnić słowa.

– Niestety nie. Pójdziemy z panią.

Przygryzła wargi i zawahała się, nim zrobiła krok do tyłu. Wpuściła Kate i Raya do środka. W kuchni stał mężczyzna z kieliszkiem wina w ręku. W przeciwieństwie do Jenny on miał emocje wypisane na twarzy. Ray zgadywał, że to jej chłopak.

Nic dziwnego, że wszystko słyszał, pomyślał Ray, rozglądając się po małym, zagraconym pokoiku. Nad kominkiem zbierały kurz starannie ustawione w rzędku kamienie. Purpurowy chodnik poprzerpalany iskrami z kominka. Kanapa z kolorową narzutą, prawdopodobnie z zamysłem ożywienia słabo oświetlonego pokoju z niskim sufitem. Ray musiał się schylić, przechodząc pod belką, która oddzielała kuchnię od salonu. Co za miejsce. Wszędzie daleko i potwornie zimno, mimo że płonął ogień. Zastanawiał się, czemu je wybrała. Czyżby chodziło o dobrą kryjówkę?

– To Patrick Mathews. – Przedstawiła go, jakby byli w normalnej sytuacji towarzyskiej. Odwróciła się plecami do policjantów. Ray poczuł się jak intruz.

– Muszę z nimi pójść – powiedziała krótko i bezbarwnie. – W zeszłym roku wydarzyło się coś strasznego i muszę to wyjaśnić.

– Co się dzieje? Dokąd cię zabierają?

Albo nie ma pojęcia, co zrobiła, albo świetnie kłamie, pomyślał Ray.

– Zabieramy ją do Bristolu. – Wręczył Patrickowi wizytówkę. – Tam zostanie przesłuchana.

– To nie może poczekać do jutra? Mógłbym ją rano zawieźć do Swansea.

– Panie Mathews. – Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Podróż do Penfach zajęła trzy godziny, przez kolejną godzinę szukali Blaen Cedi. – W listopadzie zeszłego roku samochód potrącił małego chłopca. Dziecko zmarło, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Obawiam się, że nie zaczekamy do jutra.

– A co to ma wspólnego z Jenną?

Zapadła cisza. Patrick przeniósł wzrok z Raya na Jennę. Wolno pokręcił głową.

– Nie. To jakaś pomyłka. Ty nawet nie prowadzisz.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Nie ma żadnej pomyłki.

Ray zadrżał od chłodu w jej głosie. Przez cały miniony rok usiłował wyobrazić sobie, kto byłby tak wyzuty z sumienia, zimny jak gład, by odjechać, zostawiwszy umierające dziecko bez pomocy. Teraz, twarzą w twarz z zabójczynią, z trudem zachowywał profesjonalizm. Nie on jeden miał z tym problem, jego koledzy też się zmagali ze sobą w takich sytuacjach, zwłaszcza gdy musieli potraktować ze służbową uprzejmością gwałciela lub pedofila. Zerknął na Kate – i ona ze sobą walczyła. Im szybciej dotrą do Bristolu, tym lepiej.

– Musimy jechać – ponaglił Jennę. – Zostanie pani przesłuchana w areszcie śledczym, wtedy będzie właściwy czas na opowiedzenie, co się wydarzyło. Na razie nie możemy o tym rozmawiać. Rozumie pani?

– Tak. – Jenna zabrała mały plecak przewieszony przez oparcie krzesła. Spojrzała na Patricka. – Czy mógłbyś zostać i zaopiekować się Beau? Spróbuję do ciebie zatelefonować, kiedy się dowiem, co się dzieje.

Bez słowa pokiwał głową. Ray zastanawiał się, co on myśli. Jak to jest, gdy człowiek odkrywa, że osoba, którą się zna, okazuje się kimś zupełnie innym?

Skuł ją kajdankami, sprawdził, czy nie są za ciasne. Nie wywołało to u niej najmniejszej reakcji. Zauważył bliznę na dłoni kobiety, zanim szybko zacisnęła pięść.

– Niestety musimy przejść spory kawałek do samochodu – powiedział. – Zaparkowaliśmy obok pola biwakowego, nie dało się bliżej.

– Nie – potwierdziła Jenna. – Droga kończy się półtora kilometra stąd.

– Tylko tyle? – zdziwił się. Wydawało mu się, że dalej, kiedy przedzierał się tutaj z Kate. Miał latarkę w bagażniku, ale baterie były słabe i musiał nią potrząsać co kilka metrów.

– Zadzwoń, kiedy tylko będziesz mogła! – zawołał za nimi Patrick. – I weź adwokata! – Nie odpowiedziała.

Stanowili dziwne trio. Potykali się po drodze do samochodu. Całe szczęście, że ona współpracuje, pomyślał Ray. Co prawda, była szczupła, ale dość wysoka, wzrostem dorównywała Rayowi, i z całą pewnością знаła drogę lepiej od nich. On szedł po omacku, nawet nie wiedział, w jakiej odległości od urwiska. Morze wydawało się być bardzo blisko, słyszeli odgłos fal rozbijających się o brzeg. Poczul ulgę, gdy bez przeszkód dotarli do nieoznakowanej corsy i otworzył drzwi przed Jenną, która wsiadła bez protestu.

Odeszli z Kate na bok, żeby porozmawiać.

– Myślisz, że jest normalna? – spytała. – Prawie się nie odzywa.

– Może jest w szoku.

– Pewnie myślała, że jej się upiekło po tak długim czasie. Jak można być aż tak pozbawioną uczuć? – Pokręciła głową.

– Zanim ją powiesimy, posłuchajmy, co ma do powiedzenia, dobrze? – odparł Ray. W zderzeniu z euforią, jaka ich ogarnęła po odnalezieniu kierowcy, aresztowanie było wyjątkowo niesatysfakcjonującym przeżyciem.

– Wiesz, że ładne dziewczyny też bywają morderczyniami, prawda? – Kate się roześmiała. Zanim zdążył zareagować, wzięła od niego kluczyki i poszła do samochodu.

Droga powrotna zakorkowaną trasą M4 była monotonna. Ray i Kate rozmawiali przyciszonymi głosami na neutralne tematy: polityka biurowa, nowe samochody, ogłoszenia o pracy w policyjnej gazetce. Myśleli, że Jenna śpi. Odezwała się dopiero w pobliżu Newport.

– Jak mnie znaleźliście? – spytała.

– To nie było zbyt trudne – odezwała się Kate, gdyż Ray nie zamierzał. – Internet jest zarejestrowany na pani nazwisko. Skontaktowaliśmy się z właścicielem domku, był bardzo pomocny.

Odwrócił głowę, ciekaw, jak przyjęła informację. Wyglądała przez okno na zatłoczoną ulicę. Gdyby nie zaciśnięte pięści, wyglądałaby na zupełnie zrelaksowaną.

– Musiało być pani trudno żyć z tym, co pani zrobiła – kontynuowała Kate.

– Kate – upomniał ją.

– Oczywiście nie tak ciężko jak matce Jacoba...

– Dosyć, Kate. Poczekaj na przesłuchanie. – Popatrzył na nią ostrzegawczo, a ona na niego buntowniczo. Zapowiadała się długa noc.

ROZDZIAŁ 24

Dopiero w ciemnym wnętrzu radiowozu pozwalam sobie na płacz. Łzy spływają mi po twarzy na zaciśnięte pięści. Policjantka nie próbuje ukryć pogardy, gdy do mnie mówi. Zasługuję na nią, lecz nie jest mi przez to łatwiej ją znieść. Ani przez chwilę nie zapomniałam o matce Jacoba. Ani na moment nie przestałam myśleć o jej stracie – stracie na pewno boleśniejszej niż moja. Nienawidzę się za to, co uczyniłam.

Oddycham głęboko i rytmicznie, maskując szloch. Nie chcę zwracać na siebie większej uwagi policjantów. Wyobrażam sobie, jak pukają do drzwi lestyna, i oblewam się rumieńcem wstydu. Wieści o tym, że spotykam się z Patrickiem, błyskawicznie obiegły okolicę. Zapewne wszyscy już wiedzą o najnowszym skandalu.

Najgorszy był wyraz twarzy Patricka, gdy wróciłam do kuchni w asyście policji. Poczucie zdrady wypisane wielkimi literami. Wszystko, co wiedział na mój temat, okazało się kłamstwem maskującym potworną zbrodnię. Nie mam mu za złe tego, jak na mnie patrzył. Nie powinnam się do nikogo zbliżać. Nie powinnam pozwolić nikomu zbliżyć się do siebie.

Jesteśmy już na przedmieściach Bristolu. Muszę oczyścić umysł. Teraz zaprowadzą mnie do pokoju przesłuchań, zaproponują wezwanie adwokata. Będą zadawać pytania, na które odpowiem najspokojniej, jak potrafię. Bez łez i wymówek. Postawią mi zarzuty, pojedę do sądu i będzie po wszystkim. Sprawiedliwości wreszcie stanie się zadość. Czy tak to działa? Nie jestem pewna. Moja wiedza o pracy policyjnej pochodzi z powieści kryminalnych i artykułów w gazetach – nigdy nie sądziłam, że znajdę się po tej stronie barykady. Oczyma wyobraźni widzę stosik gazet z wyraźnym zdjęciem mojej twarzy, na której widać każdą zmarszczkę. Twarz zabójczyni.

Aresztowano kobietę w związku ze śmiercią Jacoba Jordana.

Nie wiem, czy podadzą moje nazwisko. Nawet jeżeli tego nie zrobią, z pewnością nie przepuszczą takiej historii. Przykładam dłoń do piersi, czuję mocne uderzenia serca. Jestem spocona i rozpalona, jakbym miała gorączkę. Wszystko się wyjaśni.

Zwalniamy i zatrzymujemy się na parkingu przed kompleksem brzydkich, szarych budynków, od innych biurowców różni je tylko tablica z napisem „Posterunek Policji Avon i Somerset” nad głównym wejściem. Kobieta sprawnie parkuje nieoznakowaną corsę na niedużej przestrzeni między dwoma radiowozami i otwiera przede mną drzwi.

– W porządku? – pyta. Jej głos brzmi łagodniej, sprawia wrażenie, że żałuje wcześniejszych ostrych słów.

Kiwam głową, żałośnie wdzięczna za przejaw życzliwości.

Jest zbyt mało miejsca, aby całkiem otworzyć drzwi, trudno mi wysiąść ze skutymi rękami, co sprawia, że czuję się jeszcze bardziej wystraszona i dezorientowana. Może taki jest prawdziwy cel zakuwania przestępców w kajdanki? Bo dokąd właściwie miałabym uciec? Podwórko otaczają wysokie mury, bramy zamykają się automatycznie. Udaje mi się wyprostować po chwili niezręcznych manewrów. Posterunkowa Evans ujmuje mnie pod ramię. Niezbyt mocno, ale czuję się osaczona i walczę z odruchem odepchnięcia jej od siebie. Prowadzi mnie do żelaznych drzwi, jej kolega naciska guzik interkomu.

– Komisarz Stevens – mówi. – Kod zero dziewięć. Jedna kobieta.

Ciężkie drzwi otwierają się i wchodzimy do wielkiego pomieszczenia o brudnych, białych ścianach. Odgłos zamykanych żelaznych drzwi dzwoni mi w uszach przez całą minutę. Wewnątrz panuje zaduch mimo hałaśliwej klimatyzacji przy suficie. Zza ściany dobiegają jakieś rytmiczne uderzenia. W rogu sali, na metalowej ławce, przyśrubowanej do podłogi, siedzi dwudziestoparolatek i nerwowo obgryza paznokcie, okrawki wypluwa na podłogę. Ma na sobie niebieskie spodnie dresowe, postrzępione przy szwach, sportowe buty i brudną, szarą koszulkę z nieczytelnym logo. Zbiera mi się na wymioty od jego zapachu. Czym prędzej odwracam twarz, aby ukryć strach pomieszany z litością.

Za późno.

– Napatrzyłaś się, skarbie? – Ma wysoki, nosowy głos. Jak dziecko. Patrzę na niego bez słowa.

– Popatrz sobie, czemu nie! – Łapie się za krocze i wybucha śmiechem, który brzmi niestosownie w tym szarym, smutnym miejscu.

– Przestań, Lee – mówi komisarz Stevens. Chłopak opiera się o ścianę i chichocze, zachwycony swoim dowcipem.

Posterunkowa Evans wbija paznokcie w moje ramię, prowadzi mnie w stronę wysokiego biurka z komputerem, przy którym siedzi umundurowany, tęgi policjant. Kiwa głową policjantce, mnie obdarza jedynie przelotnym spojrzeniem.

– Okoliczności?

Policjantka zdejmuje mi kajdanki, oddycham swobodniej. Pocieram czerwone pręgi, odczuwam perwersyjną przyjemność, gdy pojawia się ból.

– Sierżancie, ta kobieta nazywa się Jenna Gray. Dwudziestego szóstego listopada dwa tysiące dwunastego roku Jacob Jordan został potrącony przez samochód. Kierowca się nie zatrzymał. Pojazd został zidentyfikowany jako czerwony ford fiesta o numerze rejestracyjnym J634 OUP, zarejestrowany na nazwisko Jenny Gray. Zlokalizowaliśmy ją w miejscowości Penfach na terenie Walii, gdzie dokonaliśmy aresztowania dziś o godzinie dziewiętnastej trzydzieści trzy. Jenna Gray została zatrzymana w związku z podejrzeniem o złamanie zasad bezpieczeństwa na drodze, spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym i ucieczkę z miejsca zdarzenia.

Z ławki dobiega ciche gwizdnięcie, komisarz Stevens mierzy Lee karcącym spojrzeniem.

– Co on tu w ogóle robi? – pyta.

– Czeka na streszczenie swojej sprawy. Sally, przyślij Roberta do dwójki!
– krzyczy sierżant, nie odwracając się. Drzwi za biurkiem otwierają się, wchodzi korpulentna strażniczka z pękiem kluczy przy pasku. Przeżuwa coś i otrzepuje okruchy z krawata. Wyprowadza Lee, posyłając mi pełne obrzydzenia spojrzenie. Tak samo będzie w więzieniu, kiedy dowiedzą się, że zabiłam dziecko. Obrzydzenie na twarzach współwięźniów, odwracanie się plecami, gdy będę przechodzić obok. Zagryzam dolną wargę, bo uprzytamniam sobie, że czeka mnie coś znacznie, znacznie gorszego. Po raz pierwszy odczuwam wątpliwości, czy dam radę. Mam ściśnięty strachem żołądek, ale przypominam sobie, że przetrwałam gorsze rzeczy.

– Pasek. – Sierżant wyciąga w moją stronę foliowy worek.

– Słucham? – Zgubiłam się, a on zwraca się do mnie, jakbym znała reguły.

– Zdejmij pasek. Masz jakąś biżuterię? – Niecierpliwi się. Zdejmuję pasek i wrzucam go do torby.

– Nie mam biżuterii.

– Obrączkę?

Zaprzeczam ruchem głowy, odruchowo dotykam wgłębienia na palcu. Posterunkowa Evans przegląda zawartość mojego plecaka. Nie ma w nim nic szczególnie osobistego, ale i tak jest to nieprzyjemne. Na biurko wypada pojedynczy tampon.

– Będziesz ich potrzebować? – zadaje pytanie rzeczowym tonem. Komisarz Stevens ani sierżant nie odzywają się. Robię się czerwona.

– Nie.

Wrzuca go do foliowej torebki, otwiera portfel i wyjmuję karty, odkłada na bok monety. Mój wzrok pada na błękitną wizytówkę pomiędzy rachunkami i kartami bankowymi. W pomieszczeniu zalega cisza, niemal słyszę bicie własnego serca. Posterunkowa Evans przerwała pisanie i patrzy wprost na mnie. Nie chcę jej obserwować, lecz nie jestem w stanie spuścić wzroku. Zostaw to, myślę. Zostaw. Powoli podnosi wizytówkę. Czekam, aż padnie pytanie, jednak ona tylko odnotowuje ją na liście i wkłada do torby. Oddycham.

Usiłuję skupić uwagę na słowach sierżanta. Gubię się w litanii zasad i praw. Nie, nie chcę nikogo informować, że tu jestem. Nie, nie chcę adwokata...

– Jest pani pewna? – przerywa komisarz Stevens. – Przysługuje pani adwokat z urzędu.

– Nie potrzebuję go. Jestem winna – odpowiadam cicho.

Trójka funkcjonariuszy milcząco wymienia spojrzenia.

– Proszę podpisać – mówi sierżant. – Tu, tu i tu. – Biorę długopis, piszę swoje nazwisko obok grubych, czarnych krzyżyków. Sierżant patrzy na komisarza Stevensa. – Prosto na przesłuchanie?

Pokój przesłuchań jest duszny, pachnie starym dymem tytoniowym, mimo że na ścianie wisi odklejająca się naklejka z napisem: „Zakaz palenia”. Komisarz Stevens wskazuje gestem, gdzie mam usiąść. Kiedy próbuję przysunąć krzesło bliżej stołu, odkrywam, że przyśrubowano je do podłogi. Ktoś wrył na blacie stołu kilka przekleństw. Komisarz Stevens naciska guzik czarnej skrzynki na ścianie obok niego i rozlega się wysoki ton. Chrząka.

– Jest godzina dwudziesta druga czterdzieści pięć, czwartek, drugi stycznia dwa tysiące czternastego roku. Znajdujemy się w pokoju przesłuchań posterunku bristolskiej policji. Przesłuchanie prowadzę ja, komisarz Ray Stevens, 431, oraz posterunkowa Kate Evans, 3908. – Patrzy na mnie. – Proszę podać swoje nazwisko i datę urodzenia.

Przełykam ślinę i usiłuję wydobyć głos.

– Jenna Alice Gray, dwudziesty ósmy sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty rok.

Pozwalam jego słowom wsiąknąć w mój umysł. Powaga zarzutów, sposób, w jaki wypadek wpłynął na rodzinę i całą społeczność. Ze wszystkiego zdaję sobie sprawę, nie mogę odczuwać jeszcze większych wyrzutów sumienia.

Przychodzi kolej na mnie.

Mój głos jest cichy, wzrok utkwiony w stół. Nie chcę, by ktoś mi przerywał. Wolałabym powiedzieć to tylko raz.

– To był długi, męczący dzień. Miałam wystawę na drugim końcu miasta. Padał deszcz i była kiepska widoczność – mówię spokojnie. Zależy mi na wyjaśnieniu, jak doszło do wypadku, nie chcę się usprawiedliwiać. Jak

mogłabym usprawiedliwić to, co się stało? Tyle razy przerabiałam w myślach, co powiem, jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie – teraz, gdy już tu jestem, słowa wydają się sztuczne i nieszczerze.

– Pojawił się znikąd. W jednej sekundzie szosa była pusta, w następnej już tam był. Przebiegał na drugą stronę. Mały chłopczyk w niebieskiej, wełnianej czapeczce i czerwonych rękawiczkach. Było za późno. Za późno, by zrobić cokolwiek.

Chwytałem obiema dłońmi krawędź stołu, aby zakotwiczyć się w teraźniejszości, ponieważ przeszłość jest zbyt namacalna. Słyszę pisk hamulców, czuję zapach palonej gumy. Kiedy Jacob uderzył o szybę, znalazł się na ułamek sekundy kilka centymetrów ode mnie. Mogłabym dotknąć jego buzi przez szybę. Ale potem przekoziółkował w powietrzu i upadł na drogę. Dopiero wtedy zobaczyłam jego matkę. Klęczała nad nieruchomym dzieckiem i szukała pulsu. Nie wyczuła go i krzyknęła rozziewając, to był pierwotny krzyk rozpacz. Przyglądałam się z przerażeniem powiększającej się kałuży krwi przy głowie chłopca. Mokry asfalt mienił się czerwienią w świetle reflektorów.

– Dlaczego pani się nie zatrzymała? Nie wysiadła? Nie zadzwoniła po pomoc?

Wracam do pokoju przesłuchań i patrzę na komisarza Stevensa. Niemal zapomniałam o jego istnieniu.

– Nie mogłam.

ROZDZIAŁ 25

Oczywiście, że mogła się zatrzymać! – Kate przemierzała nerwowo w tę i z powrotem krótki dystans między biurkiem i oknem. – Jest taka zimna, ciarki mnie przechodzą, gdy na nią patrzę.

– Mogłabyś usiąść? – Ray wypił resztę kawy i stłumił ziewnięcie. – Męczysz mnie. – Po północy niechętnie przerwali przesłuchanie, żeby Jenna mogła się zdrzemnąć.

Kate posłusznie usiadła.

– Dlaczego jest taka grzeczna, jak sądzisz? Nagle nie ma nic do ukrycia.

– Nie wiem. – Odchylił się razem z fotelem i położył nogi na biurku Stumpy'ego. – Coś tu nie całkiem pasuje.

– Co masz na myśli?

Pokręcił głową.

– Przeczucie. Prawdopodobnie z przemęczenia. – Do biura wkroczył Stumpy. – Późno wracasz. Jak było w stolicy?

– Tłok i korki. Bóg raczy wiedzieć, czemu ludzie chcą tam mieszkać.

– Przekonałeś matkę Jacoba?

Potwierdził skinieniem.

– Nie założy w najbliższym czasie fanklubu, ale będzie współpracować. Po śmierci Jacoba znalazła się pod ostrzałem sąsiedzkiej krytyki. Jako cudzoziemka była i tak nieco na marginesie, a wypadek dolał oliwy do ognia.

– Kiedy wyjechała?

– Zaraz po pogrzebie. W Londynie jest spore środowisko polonijne, Anya zamieszkała u kuzynów i ich współlokatorów. Wyczytałem między wierszami, że pracowała na czarno, co utrudniło oczywiście namierzenie jej.

– Chętnie z tobą rozmawiała? – Ray rozprostował ramiona i wygiął dłonie. Kate skrzywiła się, słysząc chrupnięcie kości.

– Tak. Odniosłem wrażenie, że cieszy się z okazji, żeby porozmawiać o Jacobie. Nie powiedziała rodzinie w kraju, wiesz? Za bardzo się wstydzi.

– Wstydzi? Czego – na litość boską? – zdumiał się Ray.

– To długa historia. Przyjechała do Anglii jako osiemnastolatka. Nie za bardzo chce mówić o tym, w jaki sposób tutaj trafiła. W każdym razie zatrudniła się na czarno do sprzątania biur w Gleethorne. Nawiązała znajomość z facetem, który tam pracował, i zanim się obejrzała, była w ciąży.

– Rozstała się z ojcem chłopca? – spytała domyślnie Kate.

– Tak. Rodzice Anyi byli bardzo wzburzeni i zgorzeleni, że urodziła nieślubne dziecko. Żądali, by wróciła do Polski, woleli mieć ją na oku, ale dziewczyna odmówiła. Chciała udowodnić, że sobie poradzi.

– A teraz biedaczka obwinia siebie. – Ray pokręcił głową. – Ile ma lat?

– Dwadzieścia sześć. Śmierć Jacoba to w jej mniemaniu kara za nieposłuszeństwo wobec rodziców.

– Okropnie smutne. – Kate siedziała cicho, z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej. – Przecież to nie ona prowadziła ten przeklęty samochód! Nie jest niczemu winna.

– Tak też jej powiedziałem, ale ma poczucie winy. W każdym razie poinformowałem ją, że aresztowaliśmy osobę podejrzaną o spowodowanie wypadku i czekamy na postawienie oficjalnych zarzutów. Myślę, że wykonaliście dobrze swoją robotę, i tak właśnie jest? – Zerknął z ukosa na Kate.

– Nie drażnij mnie – ostrzegła. – W nocy tracę poczucie humoru. Gray zaczęła śpiewać, ale zrobiło się późno i posłaliśmy ją do łóżka. Od rana znów będziemy przesłuchiwać.

– Ja też pójdę się przespać, jeśli pozwolisz, szefie. – Stumpy rozwiązał krawat.

– To dobry pomysł – stwierdził Ray. – Chodź, Kate, kończymy na dziś. Rano spróbujemy się dowiedzieć, co zrobiła z samochodem.

Wyszli przed posterunek. Stumpy zsalutował, wsiadł do auta i wyjechał przez żelazną bramę, zostawiwszy Raya i Kate. Stali obok siebie w ciemności.

– Długi dzień. – Mimo zmęczenia nagle stracił ochotę na powrót do domu.

– Tak.

Owionął go delikatny zapach jej perfum. Miał wrażenie, że odczuwa uderzenia serca o mostek. Gdyby ją teraz pocałował, nie mieliby już odwrotu.

– To dobranoc – powiedziała. Nie ruszyła się z miejsca.

Ray wyłowił kluczyki z kieszeni i odstąpił na bok.

– Dobranoc, Kate. Śpij dobrze.

Odetchnął, usiadłszy za kierownicą. Tak blisko przekroczenia granicy. Zbyt blisko.

Położył się do łóżka o drugiej, po chwili – tak to odczuwał – zadzwonił budzik i musiał wracać do pracy. Spał niespokojnie, nie mógł przestać myśleć o Kate, nawet podczas porannego zebrania.

O dziesiątej spotkał ją w kantine. Ciekawe, czy ona też o nim myślała? Natychmiast zganiał się w duchu. Zachowuje się nedorzecznie i musi przestać, im szybciej, tym lepiej.

– Za stary jestem, żeby zostawać w biurze do późna w nocy – poskarżył się, kiedy stali razem w kolejce po śniadaniowe specjały Moiry, nazywane „zapychaczami” ze względu na ich wpływ na arterie. Miał nadzieję, że Kate zaprzeczy. Był żaloszny.

– Cieszę się, że nie mam już dyżurów na radiowozie – powiedziała. – Pamiętasz zmianę o trzeciej w nocy?

– Takich rzeczy się nie zapomina. Oczy na zapałki i modlitwa o jakiś pościg, żeby podnieść poziom adrenaliny. Nie mógłbym do tego wrócić.

Zanieśli do stolika talerze pełne bekonu, kielbasek, jajek, kaszanki i smażonego chleba. Kate przeglądała podczas jedzenia kopię „Bristol Post”.

– Pasjonująca lektura, jak zwykle. Wybory do Rady Miejskiej, szkolne uroczystości, narzekania na psie kupy. – Odłożyła gazetę. Na pierwszej stronie widniała fotografia Jacoba.

– Wyciągnęłaś coś jeszcze z Jenny Gray? – zapytał.

– Powtórzyła to samo, co wczoraj. Przynajmniej jej zeznania są spójne. Nie odpowiedziała na pytania, gdzie jest samochód i dlaczego się nie zatrzymała.

– Cóż, na szczęście nasza praca polega na tym, żeby ustalić, co się stało, a nie dlaczego – przypomniał jej. – Mamy dość materiału do postawienia zarzutów. Skontaktuj się z prokuraturą, może podejmą decyzję jeszcze dziś.

Kate się zamyśliła.

– O co chodzi?

– Wczoraj powiedziałaś, że masz jakieś przeczucie. Coś ci nie grało... – Przerwała.

– Tak? – Zachęcił, by mówiła dalej.

– Mam podobne odczucia. – Upiła łyk herbaty i odstawiła kubek. Wpatrywała się w brunatny płyn, jakby w nim szukała odpowiedzi.

– Sądzisz, że zmyśla?

Miewali takie przypadki – zwłaszcza w głośnych sprawach, takich jak ta. Ktoś się przyznawał, a w połowie przesłuchania wychodziło na jaw, że nie mógł być sprawcą. Nie znał istotnego szczegółu, którego nie podano w prasie.

– Nie, nie zmyśla. Samochód należał do niej, a zeznania niemal całkowicie potwierdzają wersję Anyi Jordan. Ale... – Nachyliła się w stronę Raya. – Pamiętasz, jak opisywała zderzenie?

Pokiwał głową, aby kontynuowała.

– Podała bardzo dużo szczegółów na temat wyglądu chłopca. W co był ubrany, jaki miał plecak...

– Ma dobrą pamięć. Wyobrażam sobie, że coś takiego zapisuje się w mózgu na zawsze. – Wszedł w rolę adwokata diabła, podawał argumenty, które padłyby z ust komendantki Rippon. W głębi duszy żywił męczące podejrzenie, że Jenna Gray nie mówi całej prawdy.

– Ślady opon nie wskazują na to, by pojazd zwolnił. Sama Gray utrzymuje, że Jacob „pojawił się znikąd”. – Kate narysowała w powietrzu znak cudzoścylowu. – Skoro wszystko potoczyło się błyskawicznie, jakim cudem zarejestrowała tyle szczegółów? A jeżeli wcale nie potoczyło się tak błyskawicznie i miała mnóstwo czasu, żeby zauważyć chłopca i zapamiętać, co miał na sobie – dlaczego na niego wjechała?

Ray milczał przez chwilę. Kate była ożywiona mimo niewyspania, na jej twarzy malował się znajomy wyraz determinacji.

– Co sugerujesz?

– Nie chcę jej jeszcze stawiać zarzutów.

Pokiwał głową z namysłem. Wypuścić podejrzaną po tym, gdy się do wszystkiego przyznała? Olivia Rippon wpadnie w szal.

– Znajdźmy najpierw samochód.

– To niewiele zmieni – powiedział. – Znajdziemy DNA Jacoba na masce i odciski palców Gray na kierownicy. Nie dowiemy się niczego ponadto, co już wiemy. Mnie bardziej zależy na odnalezieniu jej telefonu komórkowego.

Twierdzi, że go wyrzuciła po opuszczeniu Bristolu, ponieważ nie chciała mieć z nikim kontaktu. A jeśli go wyrzuciła, gdyż stanowił materiał dowodowy? Chcę wiedzieć, do kogo dzwoniła bezpośrednio przed wypadkiem i po nim.

– Wypuszczamy za poręczeniem, tak? – Popatrzyła pytająco.

Zawahał się. Na pewno łatwiejsze byłoby natychmiastowe postawienie zarzutów. Ale jak mógł to uczynić ze świadomością, że nie wie jeszcze wszystkiego? Dowody mówiły jedno, instynkt podpowiadał co innego.

Pomyślał o Annabelle Snowden, żywej w mieszkaniu ojca, który błagał policję o schwytanie porywacza. Nie posłuchał wtedy instynktu.

Gdyby wypuścili Jennę na kilka tygodni, mieliby czas, żeby lepiej przygotować oskarżenie, dowiedzieć się więcej.

Pokiwał głową.

– Wypuść ją.

ROZDZIAŁ 26

Nie zadzwoniłem do ciebie przez tydzień po naszej pierwszej randce – kiedy wreszcie to uczyniłem, twój głos brzmiał niepewnie. Zastanawiałaś się, czy dobrze odczytałaś sygnały, prawda? Może powiedziałaś coś niewłaściwego albo źle się ubrałaś...

– Masz czas dziś wieczorem? – spytałem. – Bardzo bym chciał znów cię dokądś zaprosić. – Nie mogłem się doczekać, by cię ponownie ujrzeć. Tydzień bez kontaktu z tobą okazał się zaskakująco trudny.

– Byłoby mi miło, ale mam już inne plany – powiedziałaś z żalem. Znałem tę starą sztuczkę. Kobiety grają w różne gierki na początku znajomości, wszystkie są jednakowo przejrzyste. Niewątpliwie dokładnie przeanalizowałaś nasze spotkanie z przyjaciółkami, które nie szczędziły dobrych rad, jak przekupki na targu.

Nie bądź zbyt gorliwa.

Zgrywaj trudną do zdobycia.

Kiedy zadzwoni, udawaj, że jesteś zajęta.

Męczące i dziecinne.

– Szkoda – rzuciłem beztrosko. – Zdobyłem dwa bilety na koncert Pulp i chciałem cię zaprosić.

Zawahałaś się, byłem pewien, że cię mam, ale jednak nie zmiękałaś.

– Naprawdę nie mogę, bardzo żałuję. Obiecałam Sarah babski wieczór w Ice Bar. Właśnie zerwała z chłopakiem, nie mogę jej teraz zawieść.

Brzmiałaś przekonująco. Znaczy, że dobrze przemyślałaś wymówkę. Pozwoliłem, by na linii zapadła cisza.

– Jestem wolna jutro wieczorem? – zaproponowałaś.

– Niestety jutro jestem zajęty. Może innym razem. Miłego wieczoru. – Odłożyłem słuchawkę, przez chwilę siedziałem obok telefonu. Niecierpliwie potarłem drgający mięsień przy oku. Nie posądzałem cię o skłonność do gierki, odczuwałem rozczarowanie.

Przez cały dzień byłem niespokojny. Posprzątałem dom, pozbierałem wszystkie rzeczy Marie i rzuciłem na stos w sypialni. Było tego więcej, niż myślałem, ale przecież nie mogłem jej ich teraz oddać. Upchnąłem do walizki, żeby potem wyrzucić.

O siódmej wypłem piwo. Potem kolejne. Siedziałem na kanapie z nogami opartymi o stół, w telewizji leciał jakiś głupi teleturniej. Myślałem o tobie. Zamierzałem zatelefonować do ciebie. Powiedziałbym, że chciałem zostawić wiadomość, i udałbym zaskoczenie, że cię zastałem. Po trzecim piwie zmieniłem zdanie.

Podjechałem pod Ice Bar, zaparkowałem tak, aby widzieć główne wejście. Obserwowałem ludzi. Bez większego zainteresowania patrzyłem na króciutkie spódniczki dziewcząt, myślałem o tobie. Rozstrajał mnie fakt, że zajmujesz tak dużo miejsca w moich myślach, nawet wtedy, i jak istotne jest dla mnie, czy powiedziałaś prawdę. Pojechałem tam, żeby przyłapać cię na kłamstwie, przeszukać bar i stwierdzić, że cię tam nie ma, ponieważ siedzisz na łóżku w swoim pokoju z butelką wina z przeceny i oglądasz film z Meg Ryan. Tymczasem uświadomiłem sobie, że pragnę czegoś innego. Chcę zobaczyć, jak przechodzisz obok mnie, wystrojona na babski wieczór z nieszczęśliwą, porzuconą koleżanką. Chciałem się mylić. Niemal roześmiałem się w głos, tak nowe to było dla mnie doznanie.

Wysiadłem z samochodu i wszedłem do baru. Kupiłem parę piw i zacząłem się przeciskać przez tłum. Ktoś na mnie wpadł, oblał mi buty piwem – zbyt przejęty poszukiwaniami, nie żądałem przeprosin.

Zobaczyłem cię – stałaś przy końcu baru, machałaś banknotem dziesięciofuntowym, usiłując nieskutecznie zwrócić na siebie uwagę zapracowanych barmanów. Popatrzyłaś na mnie, przez chwilę odniosłem wrażenie, że mnie nie rozpoznałaś, ale potem się uśmiechnęłaś. To był ostrożny uśmiech, nie tak szczery, jak poprzednie.

– Co tu robisz? – zapytałaś nieufnie, kiedy się do ciebie przepchnąłem. – Miałaś być na koncercie Pulp. – Mówią, że kobiety lubią być zaskakiwane. To nieprawda – kobiety lubią się wcześniej przygotować na niespodzianki.

– Oddałem bilety koledze z pracy. Nie chciało mi się iść samemu.

Speszyło cię to – poczułaś się winna mojej zmiany planów.

– Ale czemu przyszedłeś tutaj? Znasz to miejsce?

– Wpadłem na kumpla. – Uniosłem dwa piwa, które przytomnie kupiłem wcześniej. – Mieliśmy wypić po piwie, a teraz nie mogę go nigdzie znaleźć. Pewnie mu się poszczęściło!

Roześmiałaś się. Podałem ci jedno piwo.

– Przynajmniej się nie zmarnuje.

– Powinnam wracać. Sarah zajęła stolik, a ja miałam kupić drinki. Zwrócenie uwagi barmana to nie lada sztuka. – Przy małym stoliku w rogu sali siedziała wysoka dziewczyna z farbowanymi włosami. Rozmawiała z jakimś dwudziestoparolatkiem, który nagle – na naszych oczach – pochylił się, by ją pocałować.

– Kto z nią jest?

Pokręciłaś powoli głową.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Chyba jakoś przeboleła zerwanie z chłopakiem – zauważyłem. Ty się roześmiałaś.

– A więc...? – Jeszcze raz podałem ci piwo, tym razem przyjęłaś je z szerokim uśmiechem, uderzyłaś lekko w moją butelkę i upiłaś spory łyk. Odstawiłaś butelkę i prowokacyjnie, celowo oblizwałaś usta. Podnieciłaś mnie tym. Popatrzyłaś mi wyzywająco w oczy i znów napiłaś się piwa.

– Chodźmy do mnie – zaproponowałem znieńcka. Sarah gdzieś zniknęła, prawdopodobnie w towarzystwie nowego przyjaciela. Ciekawe, czy mu nie przeszkadza, że jest taka łatwa, pomyślałem.

Zawahałaś się przez chwilę, nadal patrzyłaś mi w oczy. Następnie leciutko wzruszyłaś ramionami i wsunęłaś dłoń w moją. Bar był pełen ludzi, torowałem nam drogę, mocno trzymając cię za rękę, żebyś mi nie zginęła. Twoja gorliwość podniecała mnie, ale również niepokoiła. Jak często to robiłaś i z kim? – zastanawiałem się.

Zadrżałaś z zimna, kiedy wyszliśmy z dusznego wnętrza baru.

– Nie masz płaszcza?

Pokręciłaś głową. Okryłem cię swoją kurtką i poprowadziłem do samochodu. Podziękowałaś uśmiechem, a ja poczułem przypływ ciepła.

– Możesz prowadzić?

– Tak – odpowiedziałem krótko. Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Spódnica powędrowała w górę, gdy usiadłaś – położyłem lewą dłoń na twoim kolanie, dotknąłem palcami wewnętrznej strony uda. Poruszyłaś nogą, tylko odrobinę, ale wystarczająco, bym przesunął rękę na kolano, zamiast na udo.

– Wyglądasz zjawiskowo.

– Tak uważasz? Dziękuję.

Zabrałem rękę, żeby zmienić bieg. Położyłem ją z powrotem, o kilka centymetrów wyżej. Delikatnie pieściłem palcami twoją skórę. Tym razem nie poruszyłaś się.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, ciekawie rozglądałaś się po salonie, chodziłaś i dotykałaś różnych rzeczy. Denerwowało mnie to, zrobiłem kawę w pośpiechu. Bezsensowny rytuał: żadne z nas nie chciało kawy, choć ty powiedziałaś, że chcesz. Postawiłem filiżanki na szklanym stoliku, usiadłaś obok mnie na kanapie, zwrócona półprofilem. Odgarnąłem ci włosy za uszy, przytrzymałem twoją twarz rękoma i nachyliłem się do pocałunku. Odpowiedziałaś od razu, wsunęłaś język w moje usta, gładziłaś moje plecy i ramiona. Delikatnie popchnąłem cię do tyłu i położyłem się na tobie. Oplotłaś mnie nogami. Ta żarliwość była nawet miła – Marie wydawała się tak pozbawiona entuzjazmu, że aż nieobecna. Ciało poddawało się losowi, a umysł błędził gdzie indziej.

Przesunąłem dłonią w górę po twoim udzie, by poczuć delikatne, miękkie ciało. Musnąłem palcami koronkę, wtedy się ode mnie odsunęłaś.

– Zwolnij trochę. – Uśmiech przeczył znaczeniu słów.

– Nie mogę. Jesteś taka śliczna, że nie umiem się powstrzymać.

Zarumieniłaś się. Wsparty na jednym ramieniu, wolną ręką podwinąłem do pasa twoją spódnicę i powoli wsunąłem palec pod materiał bielizny.

– Ja nie...

– Ciii. – Pocałowałem cię. – Nie psuj nastroju. Jesteś przepiękna, Jennifer. Bardzo mnie podniecasz.

Oddałaś pocałunek i przestałaś udawać. Pragnęłaś tego tak samo mocno jak ja.

ROZDZIAŁ 27

Podróż pociągiem z Bristolu do Swansea trwa dwie godziny i chociaż tęsknię za widokiem morza, cieszę się z samotności i czasu na przemyślenia. Nie zmrużyłam oka w areszcie, nie mogłam się wyciszyć aż do rana, przepełniona strachem przed powrotem sennych koszmarów. Siedziałam więc na plastikowym materacu, wsłuchana w krzyki i hałasy dobiegające z korytarza. Rano przyszła strażniczka, zaproponowała, żebym wzięła prysznic, wskazawszy betonowy załom w rogu kobiecego aresztu. Płytki były mokre, włosy przy odpływie przypominały przyczajonego pająka. Odmówiłam. Moje ubrania załatywały więzienną stęchlizną.

Zabrali mnie na kolejne przesłuchanie. Ta sama policjantka i detektyw śledczy. Nie podałam im więcej szczegółów i wyglądali na sfrustrowanych moim uporem.

– Zabiłam go – powtórzyłam. – Czy to nie wystarczy?

Wreszcie dali za wygraną, posadzili mnie na metalowej ławce i szeptem rozmawiali z sierżantem.

– Wypuszczamy panią – zostałam na koniec poinformowana przez komisarza Stevensa. Popatrzyłam na niego pustym wzrokiem, wyjaśnił mi, o co chodzi. Nie spodziewałam się, że wyjdę jeszcze na zewnątrz. Ulga, jakiej doznałam na myśl o kilku tygodniach wolności, wywołała wyrzuty sumienia.

Dwie kobiety z sąsiedniego rzędu siedzeń wysiadają w Cardiff, podniecone perspektywą zakupów, mało brakuje, by zapomniały płaszczy. Zostawiają egzemplarz „Bristol Post”, po który sięgam, choć nie do końca chcę wiedzieć, co napisano w gazecie.

Jest na pierwszej stronie: Policja zatrzymała sprawczynię śmierci dziecka, która zbiegła z miejsca wypadku.

Z bijącym sercem i przyspieszonym oddechem skanuję wzrokiem artykuł w poszukiwaniu mojego nazwiska. Wzdycham z ulgą, nie podali go.

Trzydziestokilkuletnia kobieta została aresztowana w związku ze śmiercią pięcioletniego Jacoba Jordana, który zginął w listopadzie 2012 roku w Fishponds, potrącony przez samochód. Kobieta została zwolniona za poręczeniem. Ma się stawić ponownie w Głównej Komendzie Policji Bristolskiej za miesiąc.

Wyobrażam sobie tę gazetę w domach na terenie całego Bristolu: rodzice kręcą głowami i przytulają dzieci. Ponownie czytam notatkę, sprawdzam, czy nie przegapiłam wskazówek dotyczących miejsca mojego zamieszkania, następnie składam gazetę tak, by ukryć nagłówki.

Wyrzucam ją do kosza na dworcu autobusowym w Swansea, wsuwam papier pod puszki po coli i opakowania po fast foodach. Pobrudziłam sobie ręce farbą drukarską, próbuję ją zetrzeć, ale palce pozostają czarne.

Autobus do Penfach ma opóźnienie. Docieram na miejsce o zmierzchu. Sklepik przy poczcie jest nadal otwarty, wchodzę i biorę koszyk, żeby kupić kilka rzeczy. W sklepie są dwie kasy, obie obsługiwane przez Nerys Maddock. Po szkole pomaga jej szesnastoletnia córka. Przy kasie spożywczej nie można kupić kopert, tak samo jak przy kasie pocztowej nie da się kupić puszki tuńczyka i paczki jabłek. Muszę czekać, aż Nerys zamknie jedną kasę i przejdzie na drugi koniec sklepu. Dziś córka obsługuje kasę spożywczą. Wkładam do koszyka jajka, mleko, owoce, torbę psiej karmy i stawiam wszystko na ladzie. Uśmiecham się do dziewczyny, która zawsze traktowała mnie przyjaźnie. Tym razem zerka znad gazety i nie reaguje. Wraca do swojej lektury.

– Przepraszam? – Stawiam na końcu znak zapytania, jestem coraz bardziej speszona.

Rozlega się dzwonek i do sklepu wchodzi starsza kobieta, którą znam z widzenia. Dziewczyna wstaje i woła coś po walijsku. Po chwili z sąsiedniego pomieszczenia wychodzi jej matka.

– Dzień dobry, Nerys – mówię. Jej twarz też ma kamienny wyraz jak twarz córki. Może się pokłóciły, myślę. Ignoruje mnie i zwraca się do stojącej za mną kobiety.

– Alla i eich helpu chi?

Rozmawiają w języku, który jest mi całkowicie obcy, jednak spojrzenia w moją stronę i pogarda w oczach Nerys nie pozostawiają wątpliwości. Mówią o mnie.

Kobieta podaje ponad moim ramieniem pieniądze za gazetę, Nerys wkłada je do kasy, następnie bierze mój koszyk z zakupami, rzuca go na podłogę i odchodzi od lady.

Pałam mnie policzki. Chowam portfel i uciekam ze sklepu, nieumyślnie zrzucam po drodze paczki z sosami. Słyszę, jak ktoś cmoka z dezaprobatą, zanim udaje mi się otworzyć drzwi. Idę szybko, nie patrzę na boki ze strachu przed kolejną konfrontacją, płaczę. Bethan jest u siebie na polu biwakowym, świadczą o tym odsłonięte żaluzje w sklepie. Nie mam odwagi spojrzeć jej w oczy. Idę do siebie, dopiero po chwili zauważam, że na parkingu nie ma samochodu Patricka. Nie wiem, czemu spodziewałam się go zobaczyć – nie zadzwoniłam do niego z aresztu, nie wiedział, że wracam – ale jego nieobecność napełnia mnie obawą. Może w ogóle nie został, może odjechał zaraz po tym, gdy zabrała mnie policja, może nie chce mieć ze mną nic wspólnego? Pocięszam się, że nie porzuciłby Beau na pastwę losu, nawet gdyby tak było.

Wyjmuję klucz, przez chwilę nie wiem, co widzę. Biorę czerwień farby za optyczną iluzję, wywołaną przez zachodzące słońce. U moich stóp leży wiązka trawy umazanej farbą, którą wypisano na drzwiach napis. Ktoś pisał w pośpiechu, świadczy o tym rozchlapana farba na ganku i zacieki.

WYNOCHA.

Rozglądam się niepewnie, czy ktoś mnie nie obserwuje, ale nie widzę dalej niż na parę metrów w zapadającym zmroku. Roztrzęsiona, zmagam się z kapryśnym zamkiem i kopię mocno drzwi. Odpada kawałek zaschniętej farby i kopię jeszcze raz. Tłumione emocje znajdują ujście w nagłym ataku irracjonalnej złości. Oczywiście kopanie nie pomaga w otwarciu zamka. Przestaję i opieram czoło o drewniane drzwi. Uspokajam się i po raz kolejny próbuję przekręcić klucz.

Dom jest zimny i niegościnnie, jakby on też mnie nie chciał. Nie muszę wołać, żeby wiedzieć, że nie ma Beau, a kiedy wchodzę do kuchni sprawdzić, czy działa ogrzewanie, znajduję na stole kartkę.

Zabrałem Beau do lecznicy. Napisz mi wiadomość, kiedy wrócisz.

P.

Już wiem, że między nami wszystko skończone. Oczy wzbierają mi łzami, mocno zaciskam powieki, by nie pozwolić im spłynąć na policzki. Przypominam sobie, że sama wybrałam tę ścieżkę i muszę nią dalej podążać.

Wysłałam Patrickowi równie lakoniczną wiadomość, że wróciłam. Przywiozę Beau po pracy, odpowiada. Mógł wysłać kogoś innego, nie zdziwiłoby mnie to wcale. Z niecierpliwością czekam na spotkanie, choć jednocześnie bardzo się go obawiam.

Przyjedzie za dwie godziny. Na zewnątrz jest ciemno, mimo wszystko nie chcę siedzieć w domu. Wkładam płaszcz i wychodzę.

Plaża nocą to specyficzne miejsce. Na wzniesieniu skalnym nie ma nikogo, zbiegam na brzeg i wchodzę do płytkiej wody, pozwalając falom obmywać podeszwy butów. Robię kolejny krok, woda sięga już nogawek spodni, czuję wilgoć na skórze.

I nie zatrzymuję się.

Dno łagodnie prowadzi coraz niżej, sto metrów w głąb morza, gdzie piaszczysta półka gwałtownie się kończy. Zapatrzona w horyzont, stawiam jedną nogę za drugą, buty zasysa mokry piasek. Woda sięga mi do kolan, do ud, ochlapuje ręce. Myślę o zabawie z Eve, napełnianiu wiaderek wodorostami i skakaniu przez spienione fale. Są lodowato zimne, wstrzymuję oddech, gdy obmywają moje uda, ale idę dalej. Przestałam myśleć, po prostu prę naprzód, coraz dalej w morze. Słyszę ryk żywiołu, nie wiem, czy mnie ostrzega, czy wzywa. Poruszanie jest coraz trudniejsze, mam wodę na wysokości piersi, z każdym kolejnym krokiem muszę pokonywać jej opór. A potem spadam, kończy mi się grunt pod nogami i cała nikiem pod powierzchnią. Nie płyń, nakazuję sobie, ale nieposłuszne ramiona wykonują ruchy, które nie pozwalają ciału pójść na dno. Nagle myślę o Patricku. Będzie musiał mnie szukać, dopóki nie wypłynę, poobijana o skały i nadgryziona przez ryby.

Gwałtownie potrząsam głową, jakby ktoś wymierzył mi siarczysty policzek, i biorę w płuca haust powietrza. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę wiecznie uciekać przed konsekwencjami własnych błędów. Straciłam z oczu brzeg, dryfuję w kółko, dopóki księżyc nie oświetli na chwilę wysokich klifów nad zatoką. Zaczynam płynąć w ich stronę. Morze zniosło mnie dość daleko, nadal nie mogę wyczuć pod stopami dna, jedynie lodowatą wodę. Fala

uderza mnie w twarz, krztuszę się słoną wodą, walczę o oddech, pokonując odruch wymiotny. Mokre ubrania ciągną mnie w dół, bezskutecznie kopię, próbując zrzucić ciężkie, wiązane buty wypełnione wodą.

Bolą mnie ramiona i płuca, ale nadal mam trzeźwy umysł. Chwytam powietrze i nurkuję pod wodę, rozcinam miarowo fale ramionami. Kiedy wychylam się, by złapać oddech, jestem bliżej brzegu. Pracuję niezmiernie ciężko. Wreszcie wyczuwam oparcie koniuszkiem stopy. Podpływam jeszcze kawałek i znów sprawdzam. Tym razem natrafiam na stały grunt. Na przemian płynę, biegnę i pełnę w stronę brzegu. Płuca, uszy i oczy mam pełne słonej wody. Przez jakiś czas, zanim wstanę, dochodzę do siebie, wsparta jednocześnie na dłoniach i kolanach. Trzęsę się spazmatycznie, z zimna i ze strachu, do czego jestem zdolna.

W domu ściągam przemoczone ubrania i zostawiam je na podłodze w kuchni. Wkładam ciepłe, suche rzeczy i schodzę na dół, by napalić w kominku. Zza okna dobiega szczekanie Beau – otwieram drzwi na oścież, nie czekając, aż Patrick zapuka. Przykucam, witam się najpierw z psem, żeby ukryć zmieszanie i niepewność.

– Wejdiesz do środka? – proponuję, gdy wreszcie wstaję.

– Powinienem wracać.

– Proszę. Chociaż na minutę.

Po chwili wahania wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi. Stoimy obok siebie bez słowa, między nami pies. Wzrok Patricka pada na ubrania w kałuży wody na środku kuchni. Wygląda na zdezorientowanego, ale nic nie mówi. W tamtym momencie dociera do mnie, że mu już nie zależy. Jego uczucia wyparowały. Nie obchodzi go, dlaczego na podłodze leżą przemoczone do suchej nitki ubrania, wśród nich nowy płaszcz, który dał mi w prezencie. Liczy się już tylko moja potworna tajemnica.

– Przepraszam. – Nieadekwatne, ale szczere.

– Za co? – Nie pozwoli mi się tak łatwo wywinąć.

– Za kłamstwo. Powinna była ci powiedzieć, że... – Nie umiem zakończyć zdania, Patrick robi to za mnie.

– Że kogoś zabiłaś?

Zamykam oczy. Kiedy je otwieram, on już jest przy drzwiach.

– Nie wiedziałam, jak ci wytłumaczyć – mówię w pośpiechu, potykając się o własne słowa. – Bałam się twojej reakcji.

Kręci głową, jakby nie wiedział, co o mnie myśleć.

– Wytłumacz mi jedną rzecz: zostawiłaś tego chłopca na ulicy? Rozumiem, wypadek, wypadki się zdarzają. Ale czy odjechałaś, zostawiając dziecko bez pomocy? – Jego oczy domagają się ode mnie odpowiedzi, której nie mogę mu dać.

– Tak. Odjechałam.

Otwiera drzwi z taką siłą, że muszę się cofnąć. Wychodzi.

ROZDZIAŁ 28

Zostałaś na noc po naszym pierwszym razie. Okryłem nas kołdrą i przyglądałem ci się, gdy spałaś. Twoja twarz była gładka i spokojna, gałki oczne leciutko drgały pod delikatną skórą powiek. Kiedy spałaś, nie musiałem przed tobą niczego udawać ani zachowywać dystansu, by ukryć, że się zakochuję. Wąchałem twoje włosy, całowałem usta, wdychałem ciepły oddech. Gdy spałaś, byłaś idealna.

Uśmiechnęłaś się, zanim otworzyłaś oczy. Dotknęłaś mnie. Leżałem, pozwalając się pieścić. Tym razem sprawiło mi radość, że mam kogoś obok siebie w łóżku rankiem. Zdałem sobie sprawę, że nie chcę, abyś odeszła. Wyznałbym ci miłość już wtedy, gdyby to nie było takie absurdalne. Zamiast tego zrobiłem śniadanie i zaciągnąłem cię z powrotem do łóżka, żebyś wiedziała, jak bardzo cię pragnę.

Niezmiernie ucieszyło mnie twoje pytanie, kiedy znów się zobaczymy. Dzięki niemu nie musiałem spędzać kolejnego tygodnia w samotności i oczekiwaniu na właściwy moment, żeby do ciebie zadzwonić. Pozornie pozwoliłem ci przejąć inicjatywę. Wkrótce zaczęłaś przychodzić co wieczór.

– Zostaw u mnie kilka swoich rzeczy – zaproponowałem któregoś dnia.

Wyraz zaskoczenia na twojej twarzy uświadomił mi, że złamałem zasady: mężczyźni nie przyspieszają tempa rozwoju związku. Kiedy wracałem z pracy do domu, jedynie kubek na suszarce do naczyń świadczył o twojej wcześniejszej obecności. Z jakiegoś powodu mnie to niepokoiło. Mogłaś już nie wrócić: nic cię tu nie trzymało.

Wieczorem przyniosłaś ze sobą niedużą torbę z kilkoma osobistymi drobiazgami. Włożyłaś nową szczoteczkę do zębów do kubka w łazience, czystą bieliznę do opróżnionej przeze mnie szuflady. Rano przyniosłem ci herbatę do łóżka i pocałowałem przed wyjściem do pracy. Po drodze do biura czułem w ustach twój smak. Zatelefonowałem do domu z biurowego telefonu, miałaś zaspany głos.

– Co tam?

Jak miałem ci powiedzieć, że chciałem jedynie usłyszeć twój głos?

– Mogłabyś pościelić dziś łóżko? Nigdy tego nie robisz.

Roześmiałaś się, a ja pocałowałem, że zadzwoniłem. Po powrocie do domu poszedłem prosto na górę, nie zdjąłem nawet butów. Wszystko w porządku: nie zabrałaś szczoteczki do zębów.

Zrobiłem miejsce w szafie, stopniowo przynosiłaś coraz więcej ubrań.

– Nie zostanę dziś na noc – oświadczyłaś pewnego razu, gdy siedziałem na łóżku, zawiązując krawat. Popijałaś herbatę, oparta o poduszki, z potarganymi włosami i rozmazanym makijażem z poprzedniego dnia. – Wychodzę ze znajomymi z grupy.

Nie odpowiedziałem, skoncentrowany na zawiązywaniu granatowego krawata, tak by węzeł był idealny.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Odwróciłem się.

– A wiesz, że właśnie dziś mijają dokładnie trzy miesiące od naszego pierwszego spotkania w klubie studenckim?

– Naprawdę?

– Zarezerwowałem stolik w Le Petit Rouge. Miejscu naszej pierwszej randki, pamiętasz? – Wstałem i włożyłem marynarkę. – Powiniennem być uzgodnić to z tobą wcześniej. Dlaczego miałabyś pamiętać o czymś tak trywialnym?

– Pamiętam! – Odstawiłaś kubek, odrzuciłaś kołdrę i naga zbliżyłaś się na kolanach do krawędzi łóżka. Kiedy oplotłaś mnie ramionami, poczułem przez koszulę ciepło twoich piersi. – Doskonale pamiętam naszą pierwszą randkę: jakim byłeś dżentelmenem i jak bardzo chciałam cię znów zobaczyć.

– Mam coś dla ciebie – powiedziałem nagle. Zakładałem, że nadal tam jest: w szufladzie obok łóżka. Pomacałem i znalazłem, z tyłu, pod paczką prezerwatyw. – Proszę.

– Czy to jest to, o czym myślę? – Uśmiechnęłaś się szeroko i uniosłaś klucz. Nie pomyślałem o odpięciu srebrnego breloczka w kształcie serca. Należał do Marie.

– Przychodzisz codziennie. Powinnaś mieć klucze.

– Dziękuję. To dla mnie bardzo cenne.

– Muszę iść do pracy. Baw się dobrze dziś wieczorem. – Pocałowałem cię.

– Nie, odwołam to. Zadałeś sobie tak wiele trudu, z przyjemnością pójdę z tobą na kolację. – A teraz... – Pomachałaś kluczem. – Mogę na ciebie poczekać w domu, kiedy wrócisz z pracy.

Ból głowy nieco zelżał, ale nie minął zupełnie, dopóki nie zadzwoniłem do Le Petit Rouge i nie zamówiłem stolika na wieczór.

Zgodnie z obietnicą czekałaś na mnie w domu. Ubrana w prowokacyjnie obcisłą, eksponującą długie, opalone nogi sukienkę.

– Jak wyglądam? – Zrobiłaś piruet i położyłaś rękę na biodrze. Uśmiechałaś się.

– Pięknie – stwierdziłem oschle. Mój ton sprawił, że porzuciłaś zalotną pozę, opuściłaś ramiona i wygładziłaś ręką przód sukienki.

– Za bardzo przylega do ciała?

– Wyglądasz w porządku. Masz coś innego?

– Zbyt opięta, prawda? Mam tylko wczorajsze dzinsy i jakąś czystą bluzkę.

– Świetnie. – Podeszedłem, by cię pocałować. – Twoje nogi lepiej wyglądają w spodniach, te dzinsy fantastycznie na tobie leżą. Biegnij się przebrać, a potem pójdziemy na drinka przed kolacją.

Obawiałem się, że popełniłem błąd, dając ci klucz, ale prowadzenie domu miało dla ciebie urok nowości i po powrocie do domu witał mnie zazwyczaj zapach świeżo upieczonych ciasteczek albo piezonego kurczaka. Nie byłaś najlepszą kucharką, jednak czyniłaś postępy. Kiedy zrobiłaś coś niejadalnego, zostawiałem swoją porcję nietkniętą i następnym razem

bardziej się starałaś. Pewnego dnia zastałem cię na czytaniu książki kucharskiej z długopisem i notesem przy boku.

– Co to jest beszamel?

– Skąd mam wiedzieć? – Miałem ciężki dzień w pracy i byłem zmęczony.

Nie zwróciłaś uwagi.

– Robię lazanię. Całkowicie domową, bez żadnych sosów ze słoika. Mam wszystkie składniki, ale nie rozumiem przepisu.

Popatrzyłem na produkty, które położyłaś na ladzie: błyszczące czerwone papryki, pomidory, marchew i mielone mięso wołowe. Warzywa zapakowane w papierowe torby z warzywniaka, a wołowina wyglądała na kupioną wprost od rzeźnika, nie w supermarkecie. Musiałaś poświęcić mnóstwo czasu na przygotowania.

Nie wiem, czemu postanowiłem ci wszystko popsuć. Miało to coś wspólnego z dumą malującą się na twojej twarzy. Niewykluczone, że chodziło o twój komfort. Zaczynałaś czuć się zbyt bezpiecznie, zbyt swobodnie.

– Nie jestem głodny.

Mina od razu ci zrzędnęła i natychmiast poczułem się lepiej, jak po oderwaniu plastra albo dokuczliwego strupa.

– Przepraszam. Pewnie zadałaś sobie dużo trudu?

– Drobiazg. – Nie kryłaś urazy. Zamknęłaś książkę. – Może następnym razem. – Miałem nadzieję, że nie spędzisz całego wieczoru obrażona. Szybko ci przeszło i otworzyłaś butelkę tego taniego wina, które lubiłaś. Nalałem sobie whisky i usiadłem naprzeciwko.

– Nie mogę uwierzyć, że w przyszłym miesiącu kończę studia – powiedziałaś. – Szybko zleciało.

– Zastanawiałaś się nad przyszłością?

Zmarszczyłaś nos.

– Nie bardzo. Zrobię sobie wakacje, może gdzieś wyjadę.

Po raz pierwszy wspomniałaś o podróżowaniu. Zastanawiałem się, kto ci podsunął taki pomysł. Z kim chciałaś jechać.

– Moglibyśmy zwiedzić Włochy – zaproponowałem. – Marzę, żeby pokazać ci Wenecję. Będziesz zachwycona architekturą i niesamowitymi galeriami sztuki.

– Byłoby cudownie. Sarah i Izzy wybierają się na miesiąc do Indii, myślałam, żeby do nich dołączyć na parę tygodni i może jeszcze pojeździć koleją po Europie. – Roześmiałaś się. – Och, nie mogę się zdecydować. Chciałabym wszystkiego, w tym problem!

– Może powinnaś się wstrzymać z podróżowaniem. – Zamieszałem ostatni łyk whisky w szklance. – Wszyscy studenci wyjadą na lato, a po powrocie wszyscy naraz zaatakujecie rynek pracy. Mogłabyś skorzystać z nieobecności obywateli i ubiec ich w szukaniu pracy.

– Może – zgodziłaś się bez przekonania.

– Przemyślałem to i uważam, że powinnaś ze mną zamieszkać na stałe po skończeniu studiów.

Uniosłaś brew, jakbyś spodziewała się, że jest jakiś haczyk.

– Pomyśl – przekonywałem. – I tak mieszkamy razem. Z pierwszej pracy w życiu nie utrzymasz samodzielnie mieszkania – będziesz musiała zamieszkać w jakiejś norze ze współlokatorami.

– Zamierzałam wrócić na jakiś czas do domu.

– Dziwi mnie, że nadal utrzymujesz kontakt z matką, po tym, gdy rozdzieliła cię z ojcem.

– Jest w porządku. – W twoim głosie nie było już takiej pewności siebie.

– Dobrze nam razem. Po co to zmieniać? Twoja mama mieszka godzinę drogi stąd, rzadko byśmy się widywali. Nie chcesz być ze mną?

– Jasne, że chcę!

– Gdybyśmy zamieszkali razem, nie musiałabyś martwić się o pieniądze. Ja będę płacił rachunki, a ty spokojnie przygotujesz sobie portfolio i zaczniesz sprzedawać rzeźby.

– To nie w porządku wobec ciebie. Musiałabym coś dokładać.

– Wystarczyłoby, żebyś od czasu do czasu coś ugotowała i pomogła mi utrzymać dom w czystości, ale niekoniecznie. Wystarczy mi, że będziesz przy mnie codziennie rano i kiedy wrócę z pracy.

– Jesteś pewien? – Rozpromieniłaś się.

– Nigdy w życiu nie byłem niczego bardziej pewien.

Wprowadziłaś się w ostatni dzień semestru. Zdjęłaś plakaty ze ścian pokoju w akademiku i zapakowałaś rzeczy do samochodu pożyczonego od Sarah.

– W przyszły weekend zabiorę resztę rzeczy od mamy – powiedziałaś. – Zaczekaj, mam jeszcze coś w aucie. niespodziankę dla ciebie. Dla nas.

Wybiegłaś z domu i otworzyłaś drzwiczki samochodu od strony pasażera. Zabrałaś z podłogi tekturowe pudełko. Pomyślałem, że jest w nim coś tłukącego, tak ostrożnie je niosłaś. Było lekkie, poczułem, kiedy mi podałaś. Za lekkie, by mogło zawierać szkło lub porcelanę.

– Otwórz. – Umierałaś z niecierpliwości.

Uniosłem tekturowe wieko, z pudełka popatrzyła na mnie futrzana kulka.

– Kot – stwierdziłem beznamiętnie. Nigdy nie pojmowałem, na czym polega urok zwierząt, zwłaszcza domowych psów i kotów, które wszędzie zostawiają sierść, domagają się spacerów, czułości i towarzystwa.

– Kociątko! Prawda, że cudne?

Wyjęłaś zwierzaka z pudełka i przygarnęłaś do piersi.

– Kotka siostry się okociła. Eve zostawiła dla mnie jednego kociaka. Ma na imię Gizmo.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby najpierw zapytać mnie o zdanie? – powiedziałem ostro, a ty wybuchnęłaś płaczem. To było takie żałosne i oczywiste zagranie – jedynie podsyciło mój gniew. – Nie wiesz, że zwierzę nie jest rzeczą? Nie widziałaś plakatów? Trzeba dokładnie wszystko przemyśleć, zanim się weźmie na siebie taką odpowiedzialność. Nic dziwnego, że potem jest tyle porzuconych zwierząt! Przez takie osoby jak ty, które podejmują decyzję pod wpływem impulsu!

– Sądziłam, że go polubisz – szlochałaś. – Dotrzymywałby mi towarzystwa przy pracy, kiedy będziesz w biurze.

Zastanowiłem się. Rzeczywiście, miałabyś zajęcie w czasie, gdy ja będę poza domem. Być może tolerowałbym obecność kota, żebyś ty była zadowolona.

– Trzymaj go z daleka od moich garniturów – zastrzegłem. Poszedłem na górę. Po powrocie zastałem rozłożone w kuchni kocie legowisko, miski i kuwetę przy drzwiach.

– Tylko do czasu, kiedy podrośnie i będzie wychodzić. – Patrzyłaś na mnie z obawą. Byłem na siebie zły, że widziałaś mój napad złości. Zmusiłem się, by pogłaskać kociaka, i usłyszałem twoje westchnienie ulgi. Oplotłaś mnie ramionami w pasie.

– Dziękuję. – Pocałowałaś mnie tak, jak zawsze całujesz, nim pójdziemy do łóżka. Delikatnie nacisnąłem twoje ramię, uklękłaś bez protestu.

Miałaś jakąś obsesję na punkcie tego kociaka. Jego karma, jego zabawki, jego śmierdząca kuweta, wszystko stało się ważniejsze od gotowania i sprzątanego. Oraz bardziej interesujące niż rozmowy ze mną. Spędzałaś całe wieczory na zabawie z kotem, chodziłaś po domu z wypchaną myszą na sznurku. Mówiłaś, że w ciągu dnia kompletujesz portfolio, ale po powrocie z pracy zastawałem twoje rzeczy nietknięte. Rozrzucone po salonie dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia.

Mniej więcej po dwóch tygodniach od twojej przeprowadzki znalazłem wieczorem na stole w kuchni kartkę.

Wysłałam z Sarah. Nie czekaj.

Tego dnia, jak co dzień, rozmawialiśmy dwa lub trzy razy przez telefon i nie wspomniłaś ani słowem, że zamierzasz wyjść. Nie zostawiłaś nic do jedzenia, pewnie miałaś zamiar zjeść coś na mieście z Sarah, a mną nie zaprzątałaś sobie głowy. Wyjąłem piwo z lodówki. Kociak miauczał i usiłował wspinać się po moich spodniach, wbijając mi pazury w skórę. Strząsnąłem go, upadł na podłogę. Zamknąłem go w kuchni i włączyłem telewizor, ale nie mogłem się skoncentrować. Wciąż myślałem o twoim ostatnim wieczornym wyjściu z Sarah: ona zniknęła z jakimś dopiero co poznanym facetem, a ty wróciłaś do domu ze mną.

Nie czekaj.

Nie po to poprosiłem cię, byś ze mną zamieszkała, żeby spędzać wieczory samotnie. Już dałem się jednej kobiecie potraktować jak głupiec – nie zamierzałem powtórzyć błędu. Kot nadal miauczał, poszedłem po kolejne piwo. Słyszałem go tuż za drzwiami, popchnąłem je z całej siły, kociak poleciał ślizgiem na drugi koniec kuchni. Zabawne. Od razu poprawił mi się humor. Dopóki nie wszedłem do salonu i nie popsuł mi go zostawiony przez ciebie bałagan na podłodze. Nieudolnie usiłowałaś upchnąć wszystko w rogu pokoju, położyłaś bryłę gliny na gazecie – na drewnianej podłodze z

pewnością zostaną ślady farby drukarskiej – i ustawiłaś słoiki po dżemie, napełnione mętными maziemi, na kuwecie do rozprowadzania farby.

Kot miauczał. Napilem się piwa. W telewizji nadawali jakiś dokument przyrodniczy, obserwowałem lisa rozrywającego na strzepy królika. Zwiększyłem głośność, ale lektor nie był w stanie zagłuszyć dźwięków wydawanych przez kota. Każde miauknięcie tego zwierzaka podsycalo mój gniew. Przestałem panować nad wściekłością. Rozpoznawałem ten stan. Wstałem i poszedłem do kuchni.

Wróciłaś po północy. Siedziałem po ciemku w kuchni, trzymałem w ręku pustą butelkę po piwie. Słyszałem, jak cichutko zamykasz drzwi, rozpinasz buty i idziesz na paluszkach przez korytarz.

– Dobrze się bawiłaś?

Krzyknęłaś. Gdybym nie był na ciebie taki zły, rozbawiłoby mnie to.

– O Boże, Ian, zawału przez ciebie dostanę! Dlaczego siedzisz po ciemku?

– Zapaliłaś światło, jarzeniówka stopniowo ożyła.

– Czekam na ciebie.

– Napisałam ci, że wrócę późno.

Odrobinę bełkotałaś, jakbyś za dużo wypila.

– Po wyjściu z baru wszyscy poszliśmy do Sarah i... – Przerwałaś, widząc wyraz mojej twarzy. – Co się stało?

– Czekałem, żebyś nie była sama, kiedy się dowiesz.

– O czym?

Wskazałem miejsce na podłodze obok kuwety, gdzie leżał nieruchomy kociak. Minęła już godzina lub dwie, zdążył zeszywnieć z jedną łapą uniesioną do góry.

– Gizmo! – Zakryłaś usta dłonią, jakbyś miała zaraz zwymiotować. – Boże! Co się stało?

Wstałem, żeby cię pocieszyć.

– Nie wiem. Zwymiotował w salonie, kiedy wróciłem z pracy. Szukałem pomocy w sieci, ale po trzydziestu minutach już nie żył. Strasznie mi przykro, Jennifer. Wiem, jak bardzo go kochałaś.

Płakałaś rzewnymi łzami, którymi nasiąkała moja koszula, gdy mocno tuliłem cię do siebie.

– Wszystko było dobrze, kiedy wychodziłam. – Spojrzałaś na mnie pytająco. – Nie rozumiem, co się stało.

Odsunęłaś się nagle, musiałaś dostrzec cień wahania w moich oczach.

– Co? Coś przede mną ukrywasz?

– Prawdopodobnie nic ważnego. Nie chcę cię tym dodatkowo obciążać.

– Mów!

Westchnąłem.

– Znalazłem go w salonie, kiedy przyszedłem.

– Zamknęłam go w kuchni. Zawsze tak robię – powiedziałaś, ale widziałem, że w sobie wątpisz.

Wzruszyłem ramionami.

– Drzwi były otwarte, a Gizmo podarł na strzępy gazetę z twojej sterty obok miejsca, gdzie pracujesz. Najwyraźniej wszystko tam wydawało mu się fascynujące. Nie wiem, co jest w słoiczku z czerwoną naklejką, ale był otwarty. Znalazłem ślady tej substancji na jego nosie.

Zbladłaś.

– To emalia do wykańczania rzeźb.

– Toksyczna?

Potwierdziłaś skinieniem.

– Zawiera węglan baru. To trucizna i zawsze, zawsze trzymam ją w bezpiecznym miejscu. Boże, co ja zrobiłam. Biedny Gizmo.

– Nie obwiniaj się, kochanie. – Wziąłem cię w ramiona, pocałowałem włosy cuchnące dymem papierosowym. – To był wypadek. Zbyt wiele próbujesz zrobić naraz. Powinnaś była zostać i skończyć pracę, skoro wszystko miałaś na wierzchu. Sarah na pewno by zrozumiała. – Wtulona we mnie, szlochałaś coraz ciszej. Zdjąłem z ciebie płaszcz i odłożyłem torebkę na stół. – Chodź, zaprowadzę cię na górę. Rano wstanę, nim się obudzisz, i zajmę się Gizmo.

Przeszliśmy do sypialni, nie odzywałaś się. Umyłaś zęby i twarz. Zgasilem światło i wszedłem pod kołdrę – wtuliłaś się we mnie jak małe dziecko. Byłem zachwycony, że tak bardzo mnie potrzebujesz. Zacząłem pieścić twoje plecy i całować szyję.

– Nie dziś, dobrze?

– Poczujesz się lepiej – przekonywałem.

Leżałaś pode mną nieruchomo, nie odwzajemniłaś pocałunku. Wszedłem w ciebie mocno, próbując wywołać jakąkolwiek reakcję. Zamknęłaś oczy, nie wydałaś żadnego dźwięku. Zabrałaś mi całą przyjemność. Twój egoizm sprawił, że stałem się jeszcze mniej delikatny.

ROZDZIAŁ 29

Co to takiego? – Ray stanął za plecami Kate. Patrzył na wizytówkę, którą obracała w dłoni.

– Właśnie próbuję ustalić. Była w portfelu Gray. Zbladła, kiedy ją zobaczyła. Jakby wstrząsnęło nią, że tam jest.

Nieduża, jasnoniebieska tekturka. Adres w centrum Bristolu, dwie linijki. Nic więcej. Ray wziął ją od Kate, potarł palcem wskazującym i kciukiem.

– Bardzo tania wizytówka – stwierdził. – Co to za logo? – Na górze wydrukowano czarnym atramentem jakiś symbol przypominający dwie niekompletne ósemki, jedna wewnątrz drugiej.

– Nie mam pojęcia. Nie rozpoznaję.

– Zakładam, że adresu nie ma w naszej bazie danych?

– Nie. W rejestrze wyborców też nic.

– Jej stara wizytówka? – Wpatrywał się w logo.

Kate zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wnosząc po jej reakcji, kiedy ją znalazłam, to nie. Skojarzyła ją z czymś, co chce przed nami ukryć.

– Zatem do dzieła. – Wyjął kluczyki samochodowe z metalowej szafki na ścianie. – Jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić.

– Dokąd chcesz jechać?

Ray uniósł w odpowiedzi wizytówkę. Kate chwyciła w biegu kurtkę i podążyła za nim.

Nie bez trudu odnaleźli nieatrakcyjny budynek z czerwonej cegły z numerem 127. Stał w długim rzędzie identycznych budowli na Grantham Street. Numery nieparzyste z niewyjaśnionych przyczyn nie sąsiadowały z parzystymi we właściwej kolejności. Przystanęli, by popatrzeć na zaniedbane podwórko i poszarzałe siatki we wszystkich oknach. Z sąsiedniego ogródka obserwował ich kot, przysiadł na dwóch materacach i zamiauczał, kiedy ruszyli w stronę drzwi. W przeciwieństwie do sąsiednich domów z tanimi drzwiami ze sklejki numer 127 miał elegancko pomalowane drewniane wejście z wizjerem. Zamykana na kłódkę skrzynka pocztowa wisiała obok, przymocowana do ściany.

Ray nacisnął dzwonek, Kate sięgnęła do kieszeni po nakaz, ale powstrzymał ją gestem.

– Lepiej nie. – Położył jej rękę na ramieniu. – Najpierw dowiedzmy się, kto tu mieszka.

Odgłos kroków na płytkach. Kiedy ucichł, Ray zajrzał wprost w wizjer. Oględziny wypadły zadowolająco, gdyż drzwi otworzyły się na szerokość łańcucha. Ostrożność, z jaką lokator mieszkania podchodził do obcych, kazała się domyślać, że jest osobą w podeszłym wieku. Tymczasem kobieta, która patrzyła na nich przez szparę w drzwiach, nie była starsza od Raya. Miała na sobie wzorzystą sukienkę, granatowy, rozpinany sweter i żółtą apaszkę.

– Słucham państwa?

– Szukam znajomej – powiedział Ray. – Nazywa się Jenna Gray. Mieszkała gdzieś na tej ulicy, ale za nic nie potrafię sobie przypomnieć, pod jakim numerem. Nie zna jej pani przypadkiem?

– Niestety nie.

Zerknął ponad ramieniem kobiety do wnętrza domu, lekko przymknęła drzwi i popatrzyła mu w oczy.

– Od dawna pani tu mieszka? – Kate nie zwracała uwagi na powściągliwość gospodyni.

– Wystarczająco długo – odparła energicznie zapytana. – Państwo wybaczą...

– Przepraszamy za najście. – Ray ujął Kate pod rękę. – Chodź, kochanie, zadzwonię w parę miejsc i spróbuję ustalić jej adres. – Pomachał telefonem.

– Ale...

– Dziękujemy pani. – Szturchnął Kate.

– Tak – przyłączyła się, zrozumiałwszy w końcu aluzję. – Zatelefonujemy w kilka miejsc. Dziękujemy.

Kobieta zatrzasnęła drzwi i zamknęła się od środka na dwa zamki. Ray obejmował Kate ramieniem, póki nie odeszli poza zasięg wzroku mieszkanki domu numer 127 przy Grantham Street, nadal czuli jej obecność.

– Jakie są twoje wrażenia? – zapytała Kate, kiedy wsiedli już do samochodu. – Myślisz, że Gray mieszkała tutaj kiedyś? Czy ta kobieta przypadkiem czegoś nie ukrywa?

– Z całą pewnością coś ukrywa. Zwróciłaś uwagę, jak była ubrana?

Zastanowiła się przez chwilę.

– W sukienkę i ciemny, rozpinany sweter.

– Coś jeszcze?

Pokręciła niepewnie głową.

Ray nacisnął jakiś przycisk w telefonie i ekran ożył. Podał Kate aparat.

– Zrobiłeś jej zdjęcie?

Uśmiechnął się. Zrobił zbliżenie na żółtą apaszkę z małą, okrągłą odznaką.

– Przypinka – wyjaśnił. Powiększył obraz i na wyświetlaczu pojawił się wyraźny czarny symbol dwóch zachodzących na siebie ósemek.

– Logo z wizytówki! Dobra robota – pochwaliła.

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Jenna Gray ma jakieś powiązania z tym miejscem. Tylko jakie?

ROZDZIAŁ 30

Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależało ci, żebym poznał twoją rodzinę. Nienawidziłaś matki, a Eve – choć rozmawiałaś z nią raz na tydzień przez telefon – nigdy nie pofatygowała się, by odwiedzić cię w Bristolu. Dlaczego zatem miałybyś pędzić na każde jej skinienie do Oksfordu? Jednak jeździłaś, jak dobra dziewczynka, zostawiając mnie samego na noc – czasem dłużej – by zachwycić się wielkim brzuchem siostry i zapewne flirtować z jej bogatym mężem. Za każdym razem proponowałaś, żebym ci towarzyszył. Zawsze odmawiałem.

– Pomyślą, że istniejesz tylko w mojej wyobraźni. – Uśmiechnęłaś się na znak, że żartujesz, ale byłaś wyraźnie sfrustrowana. – Chciałabym, żebyśmy w tym roku spędzili święta razem. Brakowało mi ciebie rok temu.

– Więc zostań ze mną. – Wybór był prosty. Czego jeszcze oczekiwałaś?

– Zależy mi, żeby też pobyć z rodziną. Nie musimy nawet nocować. Pojechalibyśmy tylko na świąteczny obiad.

– Co to za świąteczny obiad, do którego nie można wypić drinka?!

– Ja poprowadzę. Proszę, łanie. Bardzo chcę się tobą pochwalić.

Dosłownie mnie błagałaś. Twój makijaż stopniowo wysubtelniał, ale tamtego dnia miałaś usta wymalowane czerwoną szminką. Wygięłaś je w podkówkę.

– Niech ci będzie. – Wzruszyłem ramionami. – Ale kolejne święta spędzimy tylko we dwoje.

– Dziękuję. – Rzuciłaś mi się w ramiona. Promieniowałaś.

– Pewnie będziemy im musieli zawieźć jakieś prezenty. Trochę to śmieszne, biorąc pod uwagę, ile mają kasy.

– Już mam prezenty. – Byłaś zbyt podekscytowana, żeby zauważyć wrogość. – Eve zawsze chce perfumy, a Jeff ucieszy się z butelki szkockiej. Będzie dobrze. Polubisz ich.

Szczerze w to wątpiłem. Wyrobiłem sobie już opinię na temat „Lady Eve” na podstawie twoich opowieści. Intrygowała mnie twoja obsesja na jej punkcie. Nigdy nie brakowało mi rodzeństwa i denerwowało mnie, że tak często rozmawiasz z Eve. Czasami milkłaś ze słuchawką w ręku, kiedy wchodziłem do kuchni. Wiedziałem wtedy, że mnie obgadywałyście.

– Co dziś robiłaś? – zmieniłem temat.

– Och, miałam wspaniały dzień. Byłam na obiedzie w Stowarzyszeniu Artystów Plastyków. Zadziwiająco, ilu nas jest – pracujemy sami w maleńkich pracowniach. Albo na kuchennym stole... – Rzuciłaś mi przepaszające spojrzenie.

W kuchni nie dało się już jeść – stół był permanentnie pokryty warstwą kurzu i farby, wszędzie walały się jakieś szkice. Zarzuciłaś całe mieszkanie swoimi rzeczami, nie miałem gdzie odpocząć. Mieściliśmy się w nim swobodnie nawet we dwoje z Marie. Ona była spokojniejsza, mniej energiczna. Pod wieloma względami łatwiejsza we współżyciu, jeśli nie liczyć kłamstw, z którymi umiałem sobie radzić. Nie dawałem się nabrać.

Nadal opowiadałaś o obiedzie, usiłowałem słuchać.

– W szóstkę bylibyśmy w stanie opłacić czynsz.

– Jaki czynsz?

– Za wspólną pracownię. Nie stać mnie na własną, ale jeśli zbierzemy się w kilka osób, pieniędzy z lekcji starczy mi na moją część. W ten sposób wreszcie będę miała normalny piec, a ty przestaniesz się potykać o moje rzeczy.

Nie wiedziałem, że masz jakikolwiek dochód z tych swoich lekcji. Zaproponowałem, żebyś udzielała lekcji garncarstwa, ponieważ wydawały mi się rozsądniejszym spożytkowaniem twojego czasu niż lepienie figurek, sprzedawanych potem za grosze. Zamiast wdawać się w jakieś spółki, powinnaś zacząć dokładać do czynszu. Tyle czasu mieszkałaś za darmo.

– Brzmi dobrze, kochanie, ale co będzie, jeśli ktoś zrezygnuje? Kto dopłaci jego część? – Tego nie przemyślałaś.

– Potrzebuję miejsca do pracy, Ian. Nie chcę do końca życia udzielać lekcji garncarstwa. Moje rzeźby coraz lepiej się sprzedają. Gdybym mogła szybciej pracować i brać więcej zleceń, zarabiałabym całkiem nieźle.

– Ilu znasz rzeźbiarzy i artystów, którzy prowadzą dochodową działalność gospodarczą? – spytałem. – Trzeba myśleć realistycznie. To może już zawsze być tylko hobby, na którym od czasu do czasu zarobisz parę groszy.

Nie chciałaś słyszeć prawdy.

– Moglibyśmy sobie pomóc nawzajem, pracując w grupie. Mozaiki Avril świetnie się komponują z moim stylem, a obrazy olejne Granta są niesamowite. Fantastycznie by było nawiązać też kontakt z kilkoma osobami ze studiów. Od dawna nie miałam od nikogo wieści.

– To ryzykowne przedsięwzięcie – stwierdziłem.

– Możliwe. Przemyślę je jeszcze.

Podjęłaś już decyzję, dobrze wiedziałem. Straciłbym cię przez te twoje marzenia.

– Posłuchaj. – W moim głosie zabrzmiał niepokój. – Zastanawiałem się od jakiegoś czasu nad przeprowadzką.

– Tak? – zapytałaś z powątpiewaniem.

Potaknąłem.

– Znajdziemy dom z większym podwórzem i zbuduję ci pracownię w ogrodzie.

– Moją własną pracownię?

– Z piecem do wypalania. Będziesz mogła bałaganić, ile dusza zapagnie.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – Uśmiechałaś się od ucha do ucha.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Jennifer. Nie wiesz tego?

Mówiłem prawdę. Nie cofnąłbym się przed niczym, żeby zatrzymać cię przy sobie.

Kiedy poszłaś pod prysznic, zadzwonił telefon.

– Czy zastałam Jennę? Mówi Sarah.

– Cześć, Sarah – odpowiedziałem. – Niestety wyszła z koleżankami. Nie oddzwoniła do ciebie ostatnim razem? Przekazałem jej wiadomość.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie.

– Hm, cóż... Przekażę, że dzwoniłaś.

Przeszukałem twoją torebkę. Nie znalazłem nic niezwykłego. Rachunki potwierdzały, że byłaś tam, gdzie opowiadałaś. Rozluźniłem się nieco. Podszewka była rozdarta w jednym miejscu, wyczułem pod palcami zgrubienie. To był nieduży zwitek notatek, który schowałem sobie do kieszeni. Jeżeli nie zapytasz, czy ich nie widziałem, będę wiedział, że coś ukrywasz. Prawdopodobnie mnie okradasz.

Kiedy mnie zostawiłaś, nie od razu to zauważyłem. Czekałem do późna, zanim wreszcie postanowiłem pójść do łóżka. Wtedy odkryłem, że zniknęła twoja szczoteczka do zębów. Sprawdziłem walizki, brakowało jednej niedużej torby. Zaproponowałem, że kupi ci wszystko, czego potrzebujesz? Że da ci wszystko, czego zapragniesz? Co zaoferowałaś w zamian? Brzydzę się tobą. Ale pozwoliłem ci odejść. Lepiej mi będzie bez ciebie, wytłumaczyłem sobie. Idź precz, pod warunkiem że nie pobiegiesz na policję z historyjką o maltretowaniu. Pozwoliłem ci pójść w swoją stronę, chociaż mogłem cię ścigać. Nie zależało mi już na tobie, rozumiesz? Zostawiłbym cię w spokoju, gdyby nie ten krótki artykuł w dzisiejszym „Bristol Post”. Nie podali twojego nazwiska, ale czy naprawdę sądzisz, że nie odgadłem, o kim piszą?

Policja z pewnością wypytywała o twoje życie i związki. Sprawdzali cię, przeinaczali twoje słowa. Rozplakałaś się i wszystko wyznałaś. Byłem pewien, że cię złamią i wkrótce zapukają do moich drzwi, by wypytywać o nie swoje sprawy. Nazwą mnie damskim bokserem, przemocowcem. Nie jestem nim. Nigdy nie dostałaś ode mnie niczego, o co byś sama nie prosiła.

Zgadnij, gdzie dziś byłem. No dalej, zgadnij. Nie? Złożyłem wizytę twojej siostrze w Oksfordzie. Jeśli ktokolwiek zna miejsce twojego pobytu, to właśnie ona. Dom nie zmienił się prawie przez pięć lat. Te same idealnie przystrzyżone wawrzyny po obu stronach drzwi wejściowych, ten sam irytujący dzwonek.

Otworzyła mi z uśmiechem, który natychmiast zbladł, kiedy zobaczyła, kto przyszedł.

– Ian – powiedziała bezbarwnie. – Co za niespodzianka.

– Kopę lat – odparłem. Nigdy nie miała odwagi, żeby powiedzieć mi w twarz, co myśli. – Wpuszczasz zimno – zauważyłem i postawiłem stopę na czarno-białych płytkach w korytarzu. Nie miała wyboru, musiała się przesunąć, by wpuścić mnie do środka. Musnąłem ramieniem jej pierś, wchodząc do salonu. Pospieszyła za mną, usiłowała podkreślić, że nadal jest panią własnego domu. To było żalotne.

Usiadłem w fotelu Jeffa, żeby ją zirytować. Zajęła miejsce naprzeciwko. Widziałem, że zмага się ze sobą, że chciałyby zapytać, co robię w jej domu.

– Nie ma Jeffa? – zapytałem. Dostrzegłem w jej oczach przelotny wyraz lęku. Boi się mnie, pomyślałem, rozbawiony. Nie po raz pierwszy zastanowiło mnie, jaka byłaby w łóżku. Taka sztywna jak ty?

– Zabrał dzieci do miasta.

Zmieniła pozycję w fotelu, pozwoliła, by zapadła między nami cisza. Nie wytrzymała jej zbyt długo.

– Co cię sprowadza?

– Byłem w pobliżu. – Omiotłem wzrokiem duży salon. Zmieniła wystrój – spodobałoby ci się. Wybrali te same rozmyte kolory, jakie chciałeś w naszej kuchni. – Dawno się nie widzieliśmy, Eve.

Skinęła leciutko głową, nic nie odpowiedziała.

– Szukam Jennifer.

– Coś takiego? Nie mów, że wreszcie cię zostawiła? – Wypowiedziała te słowa z największą pasją, jaką kiedykolwiek u niej widziałem.

Zignorowałem zaczepkę.

– Rozstaliśmy się.

– Wszystko u niej w porządku? Gdzie ona teraz mieszka?

Ma czelność martwić się o ciebie. Po tym wszystkim, co nawygadywała. Przeklęta hipokrytka.

– Nie przybiegła do ciebie?

– Nie wiem, gdzie jest.

– Czyżby? – Nie uwierzyłem ani na sekundę. – Byłyście sobie bardzo bliskie – musisz się przynajmniej domyślać. – Potarłem drgający mięsień w kąć oka.

– Ianie, nie rozmawialiśmy od pięciu lat. – Wstała. – Myślę, że powinieneś już iść.

– Chcesz mi wmówić, że nie miałaś od niej żadnej wiadomości przez cały ten czas? – Wyciągnąłem nogi i rozparłem się w fotelu. Sam decyduję, kiedy wyjść.

– Nie. – Zerknęła przelotnie na półkę nad kominkiem. – Proszę cię, żebyś wyszedł.

Kominek był pozbawiony wyrazu, gazowy, ze sztucznym węglem, półka pomalowana na biało. Kilka kartek i zaproszeń opartych o zegar.

Natychmiast odgadłem, co chciała przede mną ukryć. Powinnaś była się zastanowić dwa razy, Jennifer, zanim wysłałaś coś tak oczywistego. Fotografia plaży uchwyconej ze szczytu urwiska wyróżniała się na tle połączanych zaproszeń. Napis na piasku: „Lady Eve”.

Otworzyła drzwi, udałem, że szukam kluczyków.

– Musiałem je odłożyć. Zaraz wracam.

Zostawiłem ją na korytarzu i wróciłem do salonu. Obejrzałem pocztówkę, wbrew oczekiwaniom nie znalazłem na odwrocie adresu, jedynie lukrowaną wiadomość napisaną znajomym, niechlujnym charakterem pisma, takim pisywałaś karteczki do mnie. Zostawiałaś je pod poduszką albo w mojej teczce. Czemu przestałaś? Przyglądałem się fotografii ze ściśniętym gardłem. Rozsadzało mnie napięcie, groziło wybuchem. Podarcie kartki na strzępy odrobinę pomogło. Zdążyłem wsunąć kawałki papieru za zegar, nim weszła Eve.

– Znalazłem. – Poklepałem kieszeń.

Rozejrzała się po pokoju, pewnie szukając czegoś podejrzanego. Niech patrzy, pomyślałem. Niech zauważy.

– Miło było cię znów zobaczyć, Eve – powiedziałem. – Nie omieszkam odwiedzić cię ponownie, gdy znów będę w Oksfordzie. – Ruszyłem ku drzwiom.

Otworzyła usta, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa, zatem odpowiedziałem za nią:

– Nie mogę się doczekać.

Gdy tylko wróciłem do domu, przystąpiłem do poszukiwań w sieci. Wysokie klify otaczające plażę z trzech stron i szare, złowieszcze chmury kojarzyły się z typowo angielskim, nadmorskim krajobrazem. Wpisałem do przeglądarki hasło „plaże, Wielka Brytania” i przeglądałem zdjęcia.

Obejrzałem ich setki, większość pochodziła z wakacyjnych poradników, na piasku pełno było roześmianych dzieci. Dodałem do paska wyszukiwania „klify”. Znajdę cię, Jennifer. Gdziekolwiek jesteś.

Znajdę cię i przyjadę po ciebie.

ROZDZIAŁ 31

Bethan idzie w moją stronę, ma nisko nasuniętą na czoło wełnianą czapkę. Coś do mnie mówi z daleka. To bardzo sprytna sztuczka: nie słyszę jej, ale nie mogę odejść, wiedząc, że do mnie mówi. Przystaję i czekam, aż podejdzie bliżej.

Spacerowałam z Beau po polach, omijając z daleka klify i morze. Boję się znów do nich zbliżyć. Przeraza mnie nie woda, lecz własny umysł. Mam wrażenie, że popadam w obłąd. Nie ucieknę przed sobą, żadne spacerowanie nie pomogą.

– Tak mi się wydawało, że to ty.

Pole namiotowe jest stąd ledwie widoczne, mogła stamtąd zobaczyć jedynie plamkę na wzgórzu. Uśmiech Bethan jest tak samo ciepły jak zawsze, chociaż musi wiedzieć, że byłam aresztowana. Cała wioska wie.

– Wybrałam się na spacer – mówi. – Dołączysz do mnie?

– Ty nigdy nie chodzisz na spacerowanie.

Tłumi uśmiech, drgają jej kąciki ust.

– Widocznie bardzo chciałam cię zobaczyć.

Idziemy ramię w ramię, przed nami Beau w odwiecznej pogoni za królikami. Jest chłodno i słonecznie, z naszych ust z każdym oddechem wydobywają się kłęby pary. Już prawie południe, a ziemia nadal nie odtajała po nocnych przymrozkach. Do wiosny jeszcze daleko. Odznaczam dni w kalendarzu, postawiłam duży, czarny krzyż na dacie ponownego stawienia się na policji. Zostało mi dziesięć dni. W ulotce, którą dostałam w areszcie, napisano, że będę musiała poczekać na proces, ale najprawdopodobniej nie zobaczę kolejnego lata w Penfach. Ciekawe, ile ich stracę.

– Na pewno słyszałaś – odzywam się, by przerwać nieznośne milczenie.

– Trudno było nie słyszeć. Jesteśmy w Penfach. – Bethan już się zasapała, zwalniam nieco kroku. – Ale ja nie daję wiary plotkom, wolę informacje z pierwszej ręki. Tylko coś mi się wydaje, że mnie unikasz.

Nie zaprzeczam.

– Chcesz pogadać?

Z przyzwyczajenia odpowiadam „nie”, a po chwili zdaję sobie sprawę, że to nieprawda. Biorę głęboki wdech.

– Zabiłam chłopca. Miał na imię Jacob.

Słyszę cichutki dźwięk. Może Bethan lekko wzdycha, może kręci głową. Nic jednak nie mówi. Zbliżamy się do skał, widzę skrawek morza.

– Było ciemno, padał deszcz. Za późno go zobaczyłam na drodze.

Bethan wypuszcza powietrze.

– To był wypadek.

Stwierdza, nie pyta. Jestem wzruszona jej lojalnością.

– Tak.

– Ale jest jeszcze coś, prawda?

Plotkarze w Penfach są dobrze poinformowani.

– Tak, jest jeszcze coś.

Docieramy na wierzchołek klifu, skręcamy w lewo i schodzimy na plażę. Z trudem wydobywam z siebie słowa.

– Nie zatrzymałam się. Odjechałam. Zostawiłam go tam, na drodze. Był z matką. – Nie umiem spojrzeć na Bethan, a ona milczy przez kilka minut.

– Dlaczego? – Kiedy wreszcie przemawia, przechodzi do samego sedna.

To najtrudniejsze pytanie, ale przynajmniej mogę odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Bałam się.

Zerkam ukradkiem na Bethan, ale nie potrafię wyczytać z jej twarzy, co myśli. Patrzy w morze. Przystaję obok.

– Nienawidzisz mnie za to, co zrobiłam?

Uśmiecha się ze smutkiem.

– Zrobiłaś coś strasznego, Jenno, i będziesz za to płacić każdego dnia do końca życia. Mnie się wydaje, że to wystarczająca kara, tobie nie?

– Nie chcą mnie obsługiwać w sklepie. – Jestem małośtkowa, narzekając na utrudnienia w zakupach, ale tamto upokorzenie zraniło mnie bardziej, niż chciałabym przyznać.

Bethan wzrusza ramionami.

– Wiejskie społeczności są specyficzne. Nie lubią obcych i gdy znajdą jakikolwiek pretekst, żeby ich wykluczyć, cóż...

– Nie wiem, co robić.

– Ignoruj ich. Rób zakupy poza miasteczkiem i chodź z wysoko uniesioną głową. Odpowiesz przed sądem i przed nikim więcej. Nie ich sprawa.

Uśmiecham się z wdzięcznością. Bethan jest taka praktyczna, to pomaga.

– Wczoraj musiałam pojechać z kotem do weterynarza – mówi swobodnie, jakby zmieniała temat.

– Rozmawiałaś z Patrickiem?

Przystaje i zwraca się do mnie przodem.

– On nie wie, co ci powiedzieć.

– Dobrze sobie radził podczas naszej poprzedniej rozmowy. – Przypominam sobie chłód w jego głosie i beznamiętne spojrzenie, gdy wychodził.

– Mężczyźni to nieskomplikowane istoty, Jenno. Porozmawiaj z nim tak jak dziś ze mną. Powiedz, że się bałaś. Zrozumie, jak bardzo żałujesz tego, co zrobiłaś.

Przypominam sobie, że razem dorastali i łączyła ich bliska więź. Przez krótką chwilę łudzę się nadzieją: może Bethan ma rację, może nadal istnieje dla nas szansa? Ale ona nie widziała, jak na mnie patrzył.

– Nie. To koniec – mówię.

Jesteśmy na plaży. Poza jedną parą z psem nie ma nikogo. Trwa przyływ, woda muska piasek, podkrada się coraz bliżej. Na środku piaszczystej przestrzeni samotna mewa uderza dziobem w skorupę kraba. Mam zamiar pożegnać się z Bethan, kiedy dostrzegam coś na piasku, blisko krawędzi wody. Mrużę oczy i spoglądam ponownie, ale woda zamazuje napis, nie mogę go odczytać. Kolejna fala zmyje go zupełnie, a jestem przekonana, że coś widziałam, po prostu przekonana. Przenika mnie nagły chłód, okrywam się szczelniej płaszczem. Odwracam się gwałtownie, usłyszawszy hałas na ścieżce za nami. Jest pusta. Przebiegam wzrokiem ścieżkę, wierzchołki klifów i plażę. Czy Ian gdzieś tu jest? Czy mnie obserwuje?

Bethan patrzy na mnie z niepokojem.

– O co chodzi? Co się stało?

Patrzę na nią, ale jej nie widzę. Widzę napis, który ujrzałam przed chwilą na piasku albo tylko w spłoszonym umyśle. Białe chmury tańczą wokół mnie, krew huczy mi w uszach, nie odróżniam już szumu fal.

– Jennifer – mówię cicho.

– Jennifer? – Bethan zerka na piasek. – Kim jest Jennifer?

Próbuję przełknąć ślinę, która więźnie w ściśniętym gardle.

– To ja. Ja jestem Jennifer.

ROZDZIAŁ 32

Przepraszam – powiedział Ray. Usiadł na biurku Kate i podał jej kawałek papieru.

Położyła go na blacie bez patrzenia.

– Decyzja o wniesieniu oskarżenia?

Pokiwał głową.

– Nie mamy żadnego dowodu, że Jenna coś ukrywa. Nie możemy dłużej tego odwlekać. Kiedy zjawi się po południu na komendzie, wniesiemy oskarżenie. – Popatrzył na Kate. – Byłaś świetna. Nie pozwoliłaś, by

dowody przesłoniły ci szerszy obraz, jak na dobrego detektywa przystało. Jednak dobry detektyw wie również, kiedy powiedzieć stop.

Wstał i delikatnie uściśnął jej ramię. Wyszedł, gdy czytała decyzję prokuratury. Frustrujące, ale słuchanie instynktu zawsze stanowi pewne ryzyko – nie za każdym razem należy mu ufać.

O drugiej po południu przekazano z recepcji informację, że przyszła Jenna. Ray zaprowadził ją do aresztu i wskazał metalową ławkę pod ścianą, gdzie miała poczekać na przygotowanie listy zarzutów. Związała włosy w kucyk z tyłu głowy, fryzura eksponowała wysokie kości policzkowe i bladą, pozbawioną niedoskonałości skórę.

Ray odebrał wydruk od sierżanta i podszedł do Jenny.

– Jest pani zatrzymana pod zarzutem spowodowania wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym oraz nieudzielenia pomocy i ucieczki z miejsca zdarzenia w dniu dwudziestym szóstym listopada dwa tysiące dwunastego roku, podstawę zatrzymania stanowi artykuł pierwszy kodeksu ruchu drogowego z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Czy chce pani coś powiedzieć? – Wpatrywał się w nią intensywnie, szukał oznak strachu, szoku. Zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Nie.

– Spędzi pani noc w areszcie, a jutro rano stanie przed sądem.

Oczekująca strażniczka uczyniła krok naprzód, lecz została powstrzymana przez Raya.

– Ja ją zaprowadzę. – Mocno chwycił Jennę za ramię tuż nad łokciem i poprowadził w stronę aresztu dla kobiet. Pojawienie się na korytarzu nowych osób spowodowało kakofonię prośb więźniarek.

– Mogę wyjść na fajkę?

– Macie już streszczenie moich akt?

– Potrzebuję dodatkowego koca.

Nie zwracał na nie uwagi, nie miał zamiaru rządzić się na cudzym terytorium. Głosy przeszły w niezadowolone pomruki. Zatrzymał się przed celą numer siedem.

– Proszę zdjąć buty.

Jenna rozwiązała sznurowadła i ściągnęła buty piętami. Postawiła je obok drzwi, gdzie pozostawiły ślady piasku. Popatrzyła na Raya, a on wskazał brodą wewnątrz pustej celi. Weszła tam i usiadła na niebieskim, ofoliowanym materacu.

Oparł się o framugę drzwi.

– Co pani przed nami ukrywa, Jenno?

Gwałtownie zwróciła twarz w jego stronę.

– O co panu chodzi?

– Dlaczego pani odjechała?

Nie odpowiedziała. Odgarnęła włosy z twarzy, znów zobaczył tę paskudną bliznę na jej dłoni. Wygląda na poparzenie, pomyślał. Może jakiś wypadek przy pracy?

– Jak to się stało? – zapytał, wskazując uraz.

Odwróciła wzrok, zignorowała pytanie.

– Co mnie czeka w sądzie?

Westchnął. Nie wydobędzie nic z Jenny Gray, to jasne.

– Jutro złożę pani wstępne zeznania, poproszę o oficjalne przyznanie się do winy i sprawa zostanie skierowana do Sądu Koronnego.

– A potem?

– Zapadnie wyrok.

– Pójdę do więzienia? – Podniosła wzrok.

– Niewykluczone.

– Na jak długo?

– Do czternastu lat. – Nareszcie zobaczył w jej oczach lęk.

– Czternaście lat – powtórzyła i głośno przełknęła ślinę.

Ray wstrzymał oddech. Przez chwilę miał nadzieję, że powie mu, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Ale odwróciła się i położyła na nagim, ofoliowanym materacu. Miała zamknięte oczy.

– Chciałabym teraz pójść spać – oświadczyła.

Przyglądał się jej przez kilka sekund, zanim wyszedł. Gdy odchodził, towarzyszyło mu echo zatrzaśniętych drzwi.

– Brawo, kochanie. – Mags pocałowała go w policzek natychmiast, gdy tylko przekroczył próg domu. – Widziałam w wiadomościach. Słusznie się upierałeś, żeby nie odkładać tej sprawy na półkę.

Odpowiedział coś niewyraźnie, nadal poruszony zachowaniem Jenny.

– Czy nasza pani komendantka jest zadowolona?

Podążył za Mags do kuchni, naląła mu piwa do szklanki.

– Przeszcześliwa. Oczywiście to ona wpadła na pomysł zamieszczenia rocznicowego apelu w prasie... – Uśmiechnął się gorzko.

– Nie przeszkadza ci to?

– Właściwie nie. – Napił się piwa i usiadł z błogim westchnieniem. – Nie obchodzi mnie, kto zbierze pochwały. Najważniejsze, żeby dochodzenie było poprowadzone jak należy, a rezultat trafił do sądu. Poza tym najwięcej napracowała się Kate – dodał.

Miał wrażenie, że Mags lekko się zachnęła na wzmiankę o Kate.

– Ile dostanie Gray? Jak myślisz? – zapytała.

– Pewnie sześć lub siedem lat. Zależy, na jakiego sędziego trafi i czy jej kara posłuży za przestrożę dla innych. Śmierć dziecka zawsze wzbudza wiele emocji.

– Sześć lat to tyle, co nic. – Wiedział, że myśli o Tomie i Lucy.

– Chyba że jest to o sześć lat za dużo – powiedział na wpół do siebie.

– Co masz na myśli?

– W tej sprawie jest coś dziwnego.

– W jakim sensie?

– Wydaje nam się, że ta historia nie jest tak prosta, na jaką wygląda. No ale zarzuty postawione i po wszystkim. Dałem Kate tyle czasu, ile mogłem.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Kto właściwie prowadzi sprawę, bo sądziłam, że ty? Kate uważa, że ta sprawa nie jest do końca wyjaśniona? Dlatego wypuściłeś Gray za poręczeniem?

Popatrzył na nią, zaskoczony wybuchem.

– Nie – odpowiedział powoli. – Wypuściłem ją, ponieważ uważałem, że potrzebujemy więcej czasu, aby przeanalizować wszystkie fakty i upewnić się, że oskarżamy właściwą osobę.

– Dziękuję, komisarzu Stevens. Wiem, jak to działa. Byłam kiedyś policjantką, choć teraz spędzam dni jako szofer i kucharka. Proszę cię, nie mów do mnie jak do idiotki.

– Przepraszam. Przyznaję się do winy. – Uniósł ręce w komicznym geście poddania, lecz Mags się nie roześmiała. Zmoczyła ścierkę gorącą wodą i zamoczyła wycierała blaty.

– Jestem zaskoczona, po prostu. Ta kobieta uciekła z miejsca wypadku, pozbyła się samochodu, zaszyła w jakiejś wiosce na końcu świata, a gdy ją wreszcie znaleźliście, do wszystkiego się przyznała. Dla mnie sprawa jest prosta.

Z trudem maskował irytację. To był długi dzień, po którym miał ochotę już tylko na piwo i relaks.

– Być może jest jeszcze drugie dno. Kate ma świetny instynkt, wierzę jej. – Zarumienił się. Bronił tej dziewczyny zbyt gorliwie?

– Czyżby? – rzekła sucho. – No to bardzo dobrze dla Kate.

Ray westchnął ciężko.

– Coś się stało?

Mags nie przerwała sprzątaniam.

– Chodzi o Toma?

Rozpłakała się.

– Boże, Mags, dlaczego nie powiedziałaś od razu? O co chodzi? – Wstał, objął ją, delikatnie odwrócił ku sobie i wyjął jej z rąk ścierkę.

– Podejrzewam, że kradnie.

Ogarnęła go wściekłość, odbierająca mowę.

– Skąd takie podejrzenia? – Tego już za wiele. Co innego wagary i ataki furii spowodowane burzą hormonalną, ale kradzież?

– Hm, nie mam pewności. Jeszcze z nim nie rozmawiałam... – Ostrzegawczo uniosła rękę, widząc wyraz twarzy męża. – I nie zamierzam, dopóki nie ustalę faktów.

Zaczerpnął haust powietrza.

– Opowiadaj.

– Sprzątałam jego pokój... – Zamknęła na chwilę oczy, jakby samo wspomnienie było trudne do zniesienia. – Podczas sprzątania znalazłam pod łóżkiem pudło z różnymi rzeczami. Jest tam iPod, kilka płyt DVD, mnóstwo słodyczy i nowiutkie buty sportowe.

Ray pokręcił głową, nie odzywał się.

– Wiem, że tego nie kupił, bo nadal spłaca z kieszonkowego rachunek za wybite okno. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to kradzież.

– Wspaniale. Skończy w poprawczaku. Piękna wizytówka: syn komisarza policji aresztowany za kradzież.

Mags popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Tym się najbardziej martwisz? Twój syn jest nieszczęśliwy, od osiemnastu miesięcy. Twój wcześniej zadowolony z życia, zrównoważony, mądry syn zaczął nagle kraść i wagarować, a tobie spędza sen z powiek obawa, jak ten fakt wpłynie na twoją karierę? – Przerwała i uniosła ręce, jakby się przed nim zasłaniała. – Nie mogę z tobą teraz rozmawiać.

Podeszła do drzwi i odwróciła się na pięcie, żeby znów spojrzeć na Raya.

– Zostaw mi Toma. Ty jedynie pogorszysz sprawę. Zresztą, jak widać, masz teraz ważniejsze problemy.

Wbiegła po schodach na górę i zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni. Nie było sensu za nią iść – jej nastrój nie sprzyjał dyskusji. Kariera nie była dla niego

najważniejsza, po prostu ważna. A Mags zachowywała się niepoważnie, lekceważąc ich jedyne źródło dochodów. Pozwoli jej zająć się Tomem, tak jak uważa za stosowne. Szczerze powiedziaławszy, sam nie wiedziałby, od czego zacząć.

ROZDZIAŁ 33

Dom przy Beaufort Crescent był większy od starego. Nie dostałem kredytu hipotecznego na całą sumę, wziąłem więc pożyczkę, z nadzieją, że będę w stanie ją spłacić. Raty były duże, ale uznałem, że warto. Widziałem błysk szczęścia w twoich oczach, kiedy planowaliśmy, w którym miejscu dużego ogrodu stanie pracownia.

– Cudownie – powiedziałaś. – Wszystko, czego potrzebuję.

Wziąłem urlop w pracy i przystąpiłem do budowy tuż po przeprowadzce. Stawałaś na głowie, żeby się odwdziżyć. Wynosiłaś mi na zewnątrz gorącą herbatę, serwowałaś domowe zupy z własnoręcznie upieczonym chlebem. Pracowałem coraz wolniej, aby przedłużyć ten czas. Zaczynałem o dziesiątej zamiast – jak wcześniej – o dziewiątej rano. Robiłem sobie coraz dłuższe przerwy na obiad, a popołudniami przesiadywałem w szopie, czekając, aż mnie zawołasz do domu.

– Nie możesz pracować przy takim świetle, skarbie. Zobacz, masz przemarznięte dłonie! Chodź, ogrzej się. – Całowałaś mnie i mówiłaś, że jesteś strasznie podekscytowana budową swojej nowej pracowni, nikt nigdy tak o ciebie nie dbał. Zapewniałaś mnie o swojej miłości.

Skończył mi się urlop, wróciłem do pracy, obiecałem, że resztę zrobię w sobotę i w niedzielę. Ale kiedy wróciłem do domu tamtego pierwszego dnia, zdążyłaś już zaciągnąć do środka jakieś stare biurko i porządkować swoje emulsje i narzędzia. Nowy piec stanął w rogu, a na środku koło garncarskie. Siedziałaś na małym taborecie, skupiona na swoim kole garncarskim. Obserwowałem przez okno, jak mokra glina nabiera kształtu pod twoim delikatnym dotykiem. Miałem nadzieję, że wyczujesz moją obecność, ale nie podniosłaś wzroku, otworzyłem więc drzwi.

– Prawda, że fantastyczne?

Nadal na mnie nie patrzyłaś.

– Uwielbiam tu przebywać. – Zdjęłaś stopę z pedału, koło zwolniło obroty, aż całkiem znieruchomiło. – Pójdę się przebrać i zrobię kolację. –

Pocałowałaś mnie przelotnie w policzek, uważając, by mnie nie ubrudzić umazanymi gliną rękami.

Zostałem jeszcze chwilę, patrzyłem wokół: miałem zamiar zrobić półki na ścianach i specjalne biurko w rogu. Nacisnąłem pedał koła garncarskiego. Wykonało niecały obrót, a naczynie pozbawione oparcia ludzkich rąk rozpadło się.

Nie widywałem cię całymi dniami. Skleciłaś sobie grzejnik, żeby dłużej przesiadywać w pracowni. Nawet w weekendy wkładałaś te swoje brudne ubrania i pracowałaś od świtu. Zrobiłem półki, ale biurko nigdy nie powstało. Widok twojego niechlujnego stołu zawsze mnie irytował.

Mieszkaliśmy w nowym domu około roku, kiedy musiałem wyjechać służbowo do Paryża. Doug znalazł potencjalnego klienta, chcieliśmy przed nim zareklamować swoje oprogramowanie. Interesy szły coraz gorzej, zyski były mniejsze i rzadsze, niż mi obiecywano. Płaciłem za kolacje i kwiaty dla ciebie kartami kredytowymi, a spłacanie ich nastroczało coraz większych trudności. Paryski klient pomógłby nam wyjść na prostą.

– Mogę lecieć z tobą? – spytałaś. To był chyba jedyny raz, kiedy okazałaś zainteresowanie moją pracą. – Uwielbiam Paryż.

Zabrałem kiedyś Marie na służbowe przyjęcie i pamiętałem lubieżny wzrok Douga oraz jej reakcję na męskie zainteresowanie. Nie miałem zamiaru powtarzać tego błędu.

– Będę pracował non stop, wynudzisz się. Wyjedziemy razem w dogodniejszym czasie. Ty masz wazony do zrobienia.

Tygodniami chodziłaś po sklepach z upominkami i galeriach, roznosząc próbki swoich prac. Jedyne, co ci z tego przyszło, to zamówienia z dwóch sklepów, dla każdego po tuzin wazonów. Promieniowałaś szczęściem, jakbyś wygrała los na loterii. Robiłaś te wazony staranniejsze niż cokolwiek przedtem.

– Im więcej czasu spędzasz na robieniu jednej rzeczy, tym mniej zarabiasz na godzinę – przypominałem ci bezskutecznie. Nie interesowały cię moje rady, miałaś w nosie doświadczenie przedsiębiorcy, nadal godzinami wykańczałaś te swoje wyroby.

Zadzwoiłem do ciebie po wylądowaniu w Paryżu. Twój głos wywołał nagłą tęsknotę za domem. Doug zabrał klienta na kolację, a ja wymówiłem się migreną i zostałem w hotelowym pokoju. Zamówiłem stek i pożałowałem, że nie wziąłem cię ze sobą. Starannie pościelone łóżko było wielkie i niegościnne, o jedenastej zszedłem do baru. Zamówiłem whisky i wypilem

ją, nie odchodząc od kontuaru, poprosiłem o następną. Wysłałem ci wiadomość tekstową, ale nie odpisałaś. Pewnie siedziałaś w pracowni i jej nie odebrałaś.

Przy stoliku koło baru siedziała kobieta. Miała na sobie szarą, prążkowaną garsonkę i czarne szpilki. Na krześle obok leżała otwarta aktówka. Uniosła głowę znad dokumentów, pochwyciła mój wzrok i uśmiechnęła się smutno.

– Jesteś Anglikiem – powiedziała.

– Aż tak widać?

Roześmiała się.

– Dużo podróżuję, znam się na tym. – Schowała papiery i zamasyście zamknęła teczkę. – Dosyć na dziś.

Nie zamierzała wychodzić.

– Mogę się przysiąc? – zapytałem.

– Jak najbardziej.

Nie planowałem tego, ale doskonale mi zrobiło. Zapytałem, jak ma na imię, dopiero rano, kiedy wyszła z łazienki, owinięta ręcznikiem.

– Emma – odpowiedziała. Nie zapytała o moje imię. Ciekawe, jak często to robi w anonimowych pokojach hotelowych w różnych miastach.

Zatelefonowałem do ciebie po jej wyjściu. Opowiadałaś, jak ci minął dzień: właściciel sklepu z pamiątkami był zachwycony twoją pracą. Nie mogłaś się doczekać mojego powrotu. Powiedziałaś, że za mną tęsknisz, nie znosisz się ze mną rozstawać. Sączyłaś w moje uszy poczucie bezpieczeństwa.

– Kocham cię. – Potrzebowałaś tych słów. Nie wystarczyło ci wszystko, co dla ciebie robiłem, to, że się tobą opiekowałem. Westchnęłaś cichutko.

– Ja też cię kocham.

Doug ciężko pracował nad naszym klientem przez cały wieczór. Z żartów na porannym spotkaniu wynikało, że po kolacji poszli do klubu ze striptizem. Dobiliśmy targu jeszcze przed południem. Doug natychmiast zatelefonował do banku z zapewnieniem, że znów jesteśmy wypłacalni.

Poprosiłem hotelowego recepcjonistę o wezwanie taksówki.

– Gdzie znajdę najlepsze sklepy jubilerskie?

Posłał mi irytujący, porozumiewawczy uśmiech.

– Jakiś miły drobiazg dla małżonki, proszę pana?

Zignorowałem go.

– Gdzie?

Przyklejony uśmiech nabrał sztucznego wyrazu.

– Faubourg Saint-Honoré, monsieur. – Kiedy czekałem na taksówkę, usiłowałem zatrzeć złe wrażenie, ale i tak nie dostałem ode mnie napiwku. Przez całą drogę do sklepu nie opuszczała mnie irytacja.

Przeszedłem całą ulicę Faubourg Saint-Honoré, zanim zdecydowałem się na mały sklepik o banalnej nazwie „Michel”. Chciałem wybrać bez pośpiechu, lecz dyskretna, troskliwa i chętna do pomocy obsługa działała mi na nerwy, nie pozwalając się skoncentrować. Wybrałem największy diament: taki, którego nie mogłaś odrzucić. Platynowy pierścionek z wielkim, kwadratowym diamentem. Podałem sprzedawcy kartę kredytową z myślą, że jesteś tego warta.

Poleciałem do domu następnego ranka, małe, skórzane pudełko wypalało mi dziurę w kieszeni. Miałem zamiar zabrać cię na kolację, ale kiedy podbiegłaś i mocno mnie uściskałaś, poczułem, że nie mogę już ani chwili dłużej czekać.

– Wyjdź za mnie.

Roześmiałaś się. Musiałaś jednak dostrzec powagę w moich oczach, gdyż zakryłaś dłonią usta.

– Kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć.

Nie odpowiedziałaś i straciłem pewność siebie. Nie tak to sobie zaplanowałem. Miałaś mi się rzucić z płaczem w ramiona, pocałować mnie i powiedzieć: tak. Podałem ci skórzaną szkatułkę.

– Mówię poważnie, Jennifer. Chcę, żebyś była moja na zawsze. Proszę, zgódź się. Proszę.

Pokręciłaś leciutko głową, ale otworzyłaś pudełeczko i osłupiałaś.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz: tak.

Milczałaś na tyle długo, że poczułem obawę, że odmówisz. A potem powiedziałaś: tak.

ROZDZIAŁ 34

Metaliczny łoskot sprawia, że podskakuję ze strachu. Po wyjściu komisarza Stevensa wczoraj wieczorem wpatrywałam się w obłazły z farby sufit, czułam chłód, przenikający przez materac od betonowej podłogi, aż niepostrzeżenie zapadłam w sen. Siadam na łóżku, bolą mnie wszystkie kości, mięśnie i głowa.

Coś grzechocze przy drzwiach, uświadamiam sobie, że łoskot wywołało otwarcie luku, przez który jakaś ręka wsuwa teraz plastikową tacę.

– No, rusz się. Nie będę tu stać cały dzień.

Odbieram tacę.

– Mogę dostać jakieś środki przeciwbólowe?

Nie widzę twarzy strażniczki, tylko czarny mundur i jasne, rozpuszczone włosy.

– Nie ma lekarza. Będziesz musiała poczekać. – Zamyka okienko, w całym holu rozlega się echo. Słyszę odgłos ciężkich kroków.

Siedząc na łóżku, piję herbatę, cała taca jest od niej mokra. Łapczywie połykam wystygły, przesłodzony płyn, nie miałam nic w ustach od wczorajszego obiadu. Na śniadanie dostałam kielbaski i fasolkę po bretońsku w opakowaniu do podgrzania w kuchence mikrofalowej. Plastikowe brzegi są roztopione, na jaskrawopomarańczowym sosie, w którym pływa fasolka, uformował się kożuch. Odstawiam pusty kubek obok nietkniętego dania i idę do toalety. Sedes nie ma siedzenia, to tylko metalowa misa, obok niej leżą szorstkie papierowe ręczniki. Spieszę się, żeby skończyć przed powrotem strażniczki.

Zanim na korytarzu wreszcie rozlegają się kroki, moje porzucone jedzenie jest już dawno zimne. Krótka przerwa, potem zgrzyt klucza w zamku – ciężkie drzwi otwierają się i staje w nich gburowata, zaledwie dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Rozpoznaję strażniczkę, która przyniosła mi śniadanie – po czarnym mundurze i tłustych, jasnych włosach.

– Niestety nie dałam rady nic przełknąć. – Wskazuję tacę postawioną na materacu.

– Nie dziwię się – parska strażniczka. – Nie tknęłabym tego, nawet gdybym umierała z głodu.

Siadam na metalowej ławce naprzeciwko biurka sierżanta i wkładam buty. Obok mnie siada trzech mężczyzn ubranych w identyczne spodnie dresowe i bluzy z kapturami, pomyślałam, że to jakieś uniformy. Siadają oparci o ścianę, w przeciwieństwie do mnie czują się tu jak w domu. Odwracam się, by przeczytać informacje na ścianie: o adwokatach, tłumaczach, grzywnach i wykroczeniach. Nic z tego nie rozumiem. Powinam wiedzieć, co się dzieje? Za każdym razem, kiedy ogarnia mnie lęk, przypominam sobie, co zrobiłam i że nie mam prawa się bać.

Czekamy co najmniej pół godziny. Wreszcie na biurku sierżanta rozlega się dzwonek. Na ekranie, wyświetlającym obraz z kamery przemysłowej przed drzwiami, pojawia się wielka, biała ciężarówka.

– Limuzyna podjechała, drodzy państwo – oznajmia policjant.

Chłopak obok mnie mruży pod nosem coś, czego nie rozumiem i nie chcę rozumieć.

Sierżant otwiera drzwi przed dwójką funkcjonariuszy.

– Masz dzisiaj czwórkę, Ash – zwraca się do mężczyzny. – Hej, chłopaki dostali w kość we wczorajszym meczu, co? – Powoli kręci głową z udawanym współczuciem, ale uśmiecha się od ucha do ucha. Ash wymierza mu przyjacielskiego kuksańca w ramię.

– Nasz czas jeszcze nadejdzie. – Patrzy na nas po raz pierwszy. – Masz ich papiery?

Mężczyźni kontynuują rozmowę o piłce nożnej, a kobieta zbliża się do mnie.

– Wszystko w porządku, kochana? – Jest korpulentna i emanuje z niej matczyna troska, niepasująca do munduru. Z trudem hamuję łzy. Prosi, żebym wstała, i zaczyna mnie przeszukiwać: przesuwając otwartą dłoń po moich ramionach, plecach i nogach. Wsuwa palec pod gumkę spodni i biustonosza. Jestem świadoma wulgarnych gestów siedzących na ławce chłopaków, czuję się obnażona, zupełnie jakbym była naga. Policjantka skuba kajdankami moją prawą dłoń ze swoją lewą i wyprowadza mnie na zewnątrz.

Jedziemy do sądu podzieloną na boksy ciężarówką. Kojarzy mi się to z transportem koni na zawody, na które mama zabierała czasem mnie i Eve. Na zakrętach muszę walczyć, aby nie spaść z wąskiej ławki, moje nadgarstki są przykute kajdankami do łańcucha poprowadzonego przez całą szerokość kabiny. Wyglądam przez brudną szybę na kalejdoskop kształtów i kolorów bristolskiej ulicy, aby uciec przed klaustrofobicznym lękiem. Usiłuję rozpoznać drogę, ale ogarniają mnie mdłości od kołysania i zamykam oczy, opieram czoło o chłodną szybę.

Z ruchomej celi przechodzę do stacjonarnej, w czeluściach sądu. Dostaję herbatę – tym razem gorącą – i grzanekę, która rozpada się w gardle na drzazgi. Mój adwokat przyjdzie o dziesiątej, mówią. Jak to możliwe, że jeszcze nie ma dziesiątej? Przeżyłam dziś całą wieczność.

– Pani Gray?

Adwokat jest młody i znudzony, ubrany w drogi garnitur z odważnym wzorem w paski.

– Nie prosiłam o adwokata.

– Musi pani mieć prawnego reprezentanta, pani Gray, lub też reprezentować się sama. Woli pani reprezentować się sama? – Uniesiona brew młodzieńca sugeruje, że tylko głupiec mógłby wpaść na podobny pomysł.

Zaprzeczam.

– Dobrze. Zatem przyznała się pani do winy podczas przesłuchania. Jest pani winna spowodowania wypadku na drodze ze skutkiem śmiertelnym, nieudzielenia pomocy i ucieczki z miejsca zdarzenia. Zgadza się?

– Tak.

Przeogląda akta, odrzuca niedbale na stół czerwoną wstążkę, którymi były przewiązane. Nie zaszczycił mnie do tej pory ani jednym spojrzeniem.

– Chce pani przyznać się do winy przed sądem?

– Tak. Jestem winna. – Słowo zawisa w powietrzu. Wypowiedziałam je po raz pierwszy. Jestem winna.

Notuje więcej niż jedno słowo. Ogarnia mnie pokusa zajrzenia mu przez ramię.

– Złożę w pani imieniu wnioski o zwolnienie za kaucją. Ma pani duże szanse, że zostanie rozpatrzony pozytywnie. Nie była pani wcześniej karana i nie złamała warunków poprzedniego zwolnienia... Oczywiście, ucieczka działa na naszą niekorzyść... Cierpi pani na choroby psychiczne?

– Nie.

– Szkoda. Nieważne. Uczynię, co w mojej mocy. Ma pani do mnie jakieś pytania?

Dziesiątki, myślę.

– Żadnych – mówię.

– Proszę wstać, sąd idzie.

Spodziewałam się, że będzie więcej ludzi. Tymczasem jest ich zaledwie kilkoro, w tym znudzony mężczyzna z notesem na ławce dla prasy. Mój adwokat siada na środku sali, zwrócony do mnie plecami. Obok niego młoda kobieta w granatowej spódnicy podaje mu flamaster ponad stronami dokumentów. Przy tym samym długim stole, w odległości kilku metrów, zasiada bardzo podobna para – oskarżyciele.

Woźny sądowy pociąga mnie za rękaw i uświadamiam sobie, że tylko ja jeszcze stoję. Sędzia pokoju, o pociągłej twarzy i cienkich włosach, zajął już swoje miejsce. Sąd rozpoczął posiedzenie. Twarz płonie mi wstydem, serce bije w szaleńczym rytmie. Kilka osób z galerii dla publiczności patrzy na mnie z ciekawością, jakbym była eksponatem w muzeum. Przypomina mi się artykuł, który kiedyś czytałam – na temat publicznych egzekucji we Francji: gilotyna ustawiona na głównym placu w mieście, kobiety z robótkami ręcznymi, czekające na przedstawienie. Ciarki przebiegają mi po plecach, gdy uświadamiam sobie, że jestem dzisiejszą rozrywką gawiedzi.

– Oskarżona, proszę wstać.

Podaję swoje nazwisko, zapytana przez urzędnika.

– Czy oskarżona przyznaje się do winy?

– Tak, przyznaję się. – Mój głos brzmi chrapliwie, odchrząkuję, ale nie pytają mnie o nic więcej.

Prawnicy toczą między sobą spór w sprawie zwolnienia mnie z aresztu do czasu procesu. Przerzucają się argumentami z prędkością, od której kręci mi się w głowie.

Zbyt wielkie ryzyko ucieczki.

Oskarżona już raz dowiodła, że dotrzymuje warunków zwolnienia.

Rozważamy karę dożywocia.

Tym bardziej.

Mówią do siebie za pośrednictwem sędziego niczym skłócone dzieci rywalizujące o wstawiennictwo rodzica. Gesty i słowa są ekspresyjne, jakby przeznaczone dla szerszej publiczności niż skromna widownia na galerii. Od wyniku ich kłótni zależy, czy spędzę czas pozostały do procesu w domu, czy w areszcie. Mam ochotę pociągnąć za rękaw swojego adwokata, by mu uświadomić, że nie zależy mi na zwolnieniu. Oprócz Beau nikt na mnie nie czeka. Nikt nie będzie za mną tęsknił, a w więzieniu przynajmniej będę bezpieczna. Nie odzywam się jednak, siedzę z rękami złożonymi na kolanach, niepewna, jakie wrażenie powinnam próbować zrobić. To nieistotne, ponieważ nikt na mnie nie patrzy. Jestem niewidzialna. Usiłuję ustalić, kto wygrywa bitwę na słowa, ale gubię się wśród teatralnych gestów.

Na sali sądowej zapada cisza, sędzia wpatruje się we mnie bez uśmiechu. Odczuwam absurdalną potrzebę przekonania go, że nie jestem taka jak inni oskarżeni. Wychowałam się w dobrym domu podobnym do jego i skończyłam studia, wyprawiałam przyjęcia, miałam przyjaciół. Nie brakowało mi pewności siebie i lubiałam być duszą towarzystwa. Nigdy wcześniej nie złamałam prawa, a to, co się wydarzyło dwa lata temu, było strasznym wypadkiem. Jego obojętne spojrzenie świadczy, że nie obchodzi go, kim jestem ani ile przyjęć wyprawiałam w swoim życiu. Dla niego pozostanę kolejną kryminalistką, nie lepszą od tych, z którymi miał wcześniej do czynienia. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że zostaję odarta z tożsamości.

– Pan mecenas namiętnie broni pani prawa do wyjścia za kaucją – mówi sędzia. – Jego zdaniem prędzej poleci pani na księżyc, niż złamie warunki zwolnienia i ucieknie po raz kolejny. – Z drugiego rzędu ławek dla publiczności rozlega się chichot. Spoglądam na dwie starsze panie z termosem. Moje współczesne tricoteuses. Sędzia tłumi uśmiech zadowolenia z udanego żartu. – Otóż twierdzi on, że ucieczka z miejsca potwornej zbrodni była spowodowana chwilową niepoczytalnością. Takie zachowanie jest sprzeczne z pani charakterem i nigdy się już nie powtórzy. Mam nadzieję, pani Gray, dla dobra nas wszystkich, że się nie myli. – Przerzywa, a ja wstrzymuję oddech.

– Przychyłam się do wniosku o zwolnienie.

Wzdycham, ktoś mógłby pomyśleć, że z ulgą.

Z miejsca dla prasy dobiega hałas. Młody mężczyzna z notesem niedbale wetkniętym w kieszeń lawiruje między rzędami ławek. Kiwa głową w stronę ławy sędziowskiej i wychodzi.

– Proszę wstać.

Po wyjściu sędziego szmer rozmów staje się głośniejszy. Mój адвокат pochyla się w stronę oskarżycieli, śmieją się z czegoś. Następnie podchodzi do mnie.

– Bardzo dobrze nam poszło. – Uśmiecha się. – Rozprawa w Sądzie Koronnym została wyznaczona na siedemnastego marca. Zostanie pani poinformowana o opcjach dotyczących reprezentacji prawnej. Bezpiecznej drogi do domu, pani Gray.

Dziwnie się czuję, wychodząc sama z sali sądowej po dwudziestu czterech godzinach spędzonych w celi. Idę do kantyny po kawę na wynos. Gorący płyn parzy mi język, jestem zbyt niecierpliwa, tęsknię za czymś mocniejszym od więziennej herbaty.

Wejście do budynku sądu osłonięte jest szklanym dachem, pod którym chronią się przed mżawką małe grupki palaczy. Kiedy schodzę po schodach, potrąca mnie jakaś kobieta, idąca w przeciwnym kierunku. Oblewam sobie rękę kawą, przecieka przez źle dopasowaną pokrywkę.

– Przepraszam – mówię odruchowo. Przystaję i odwracam się, dopiero wtedy dostrzegam w jej dłoni mikrofon. Oślepia mnie nagły błysk flesza, kilka metrów ode mnie stoi fotograf.

– Jak się pani czuje z myślą, że być może niedługo trafi do więzienia, Jenno?

– Słucham? Ja...

Przystawia mi mikrofon do ust, prawie ich dotykając.

– Podtrzymuje pani przyznanie się do winy? Jak pani zdaniem czuje się teraz rodzina Jacoba?

– Ja, tak, ja...

Ludzie napierają ze wszystkich stron, reporterka wykrzykuje swoje pytania, aby nie zostać zagłuszona przez jakiś skandowany slogan, którego nie rozumiem. Panuje hałas jak na stadionie sportowym albo na koncercie. Nie

mogę oddychać, próbuję się odwrócić, ale tłum popycha mnie w przeciwnym kierunku. Ktoś pociąga za połę mojego płaszcza, tracę równowagę, upadam na kogoś, kto mnie brutalnie odpycha. Niewielka grupka protestujących trzyma niedbale wykonaną tabliczkę, początkowe litery są zbyt duże, reszta ściśnięta: Sprawiedliwość dla Jacoba!

To jest hasło, które wykrzykują.

– Sprawiedliwość dla Jacoba! Sprawiedliwość dla Jacoba! – Raz po raz, ze wszystkich stron. Patrzę w bok, szukam drogi odwrotu, ale wszędzie są ludzie. Upuszczam kawę na ziemię, ochlapuje mi buty i spływa po schodach. Tracę równowagę, przygotowuję się na upadek i stratowanie przez wściekły tłum.

– Kanalia!

Twarz wykrzywiona złością, rozkołysane wielkie kolczyki w kształcie kół – kobieta wydaje charczący, prymitywny odgłos i spluwa, celując mi w twarz. Odwracam głowę w ostatniej chwili, strużka ciepłej śliny spływa mi po szyi za kołnierz płaszcza. Jestem wstrząśnięta, jakbym otrzymała cios pięścią. Krzyczę i unoszę ramiona w obronnym geście, spodziewam się kolejnych ataków.

– Sprawiedliwość dla Jacoba! Sprawiedliwość dla Jacoba!

Jakaś dłoń chwyta mnie za ramię. Sztywnieję, wrywam się i rozglądam gorączkowo w poszukiwaniu drogi ucieczki.

– Znam przyjemniejszą trasę.

To komisarz Stevens. Jest poważny i zdeterminowany, zdecydowanie prowadzi mnie po schodach do sądu. Puszczą dopiero za bramką ochrony, bez słowa. Podążam za nim w milczeniu przez podwójne drzwi na ciche podwórko z tyłu budynku. Wskazuje bramę.

– Tędy dotrze pani na dworzec. Da sobie pani radę? Czy mam do kogoś zadzwonić?

– Poradzę sobie. Dziękuję, nie wiem, co bym bez pana zrobiła. – Zamykam oczy na sekundę.

– Przeklęte hieny – mówi komisarz. – Kłóć się, że na tym polega ich praca, ale prawda jest taka, że nie cofną się przed niczym, żeby zdobyć materiał. A ci demonstranci od siedmiu boleści z niechlujnymi tabliczkami? Żenujące istoty, wszystko im jedno, przeciwko czemu protestują. Przychodzą tu regularnie. Proszę nie brać tego do siebie.

– Postaram się. – Posyłam mu zażenowany uśmiech i odwracam się, by odejść w swoją stronę, ale mnie zatrzymuje.

– Pani Gray?

– Tak?

– Czy mieszkała pani kiedykolwiek na ulicy Grantham pod numerem 127?

Krew odpływa mi z twarzy, zmuszam się do uśmiechu.

– Nie, panie komisarzu – odpowiadam z rozmysłem. – Nie, nigdy tam nie mieszkałam.

Kiwa głową, unosi dłoń na pożegnanie. Odwracam się przez ramię, przechodząc przez bramę – wciąż stoi na swoim miejscu, obserwuje mnie.

Ku mojej wielkiej uldze pociąg do Swansea jest niemal pusty. Opadam na siedzenie i zamykam oczy. Nadal czuję się roztrzęsiona po spotkaniu z wrogo nastawionym tłumem. Wyglądam przez okno, wzdycham z wdzięcznością, że niebawem będę w Walii.

Cztery tygodnie. Za cztery tygodnie pójdę do więzienia. To niewyobrażalne, a przecież prawdziwe. Dzwonię do Bethan z wiadomością, że jednak wrócę dzisiaj do domu.

– Wypuścili cię?

– Do siedemnastego marca.

– To dobrze, prawda? – Dziwi ją mój brak entuzjazmu.

– Byłaś dziś na plaży? – pytam.

– Tak, zabrałam psy na spacer po obiedzie. A co?

– Widziałaś coś na piasku?

– To, co zwykle. – Roześmiała się. – Czego się spodziewałaś?

Oddycham z ulgą. Zaczynam wątpić, czy istotnie widziałam wtedy jakikolwiek napis.

– Niczego. Do zobaczenia niedługo.

Bethan proponuje, żebyśmy coś razem zjadły, ale odmawiam. Nie jestem w towarzyskim nastroju. Nie chce mnie wypuścić z pustymi rękoma, nalewa zupę do plastikowego pojemnika i daje na wynos. Mija godzina, zanim wreszcie całuję ją na pożegnanie i wyruszam z Beau do siebie.

Wypaczone od wilgoci drzwi zablokowały się na amen. Napieram ramieniem na drewno, przesuwają się odrobinę – na tyle, by dało się przekręcić klucz, który obracam bezskutecznie w obluzowanym zamku. Beau zaczyna nerwowo szczekać, uciszam go. Chyba zepsułam drzwi, wszystko mi jedno. Gdyby Iestyn zajął się nimi od razu, kiedy zgłosiłam problem, naprawa byłaby banalnie prosta. Moje zmagania z zamkiem nadwerężyły go i teraz wymaga więcej pracy.

Przelewam do rondelka zupę od Bethan, wydaję chleb, włączam kuchenkę. W domu panuje ziąb, rozglądam się za ciepłym swetrem, ale na dole go nie ma. Beau biega po salonie w tę i z powrotem, jest poruszony, jakby wrócił do domu po długim czasie, chociaż minęła zaledwie doba.

Schody wyglądają dziś jakoś inaczej – nie wiem, o co chodzi. Jest jeszcze widno, jednak z okna na piętrze nie pada światło. Coś je blokuje.

Dopiero na górze odkrywam, co to takiego.

– Złamałaś obietnicę, Jennifer.

Ian zgina nogę w kolanie i kopie mnie w klatkę piersiową. Nie jestem w stanie utrzymać uchwytu na śliskiej poręczu, spadam do tyłu i uderzam o kamienną podłogę.

ROZDZIAŁ 35

Zdjęłaś pierścionek po trzech dniach, poczułem się, jakbym dostał w twarz. Powiedziałaś, że nie chcesz go uszkodzić. Musiałaś co chwila go zdejmować, kiedy pracowałaś, i zaczęłaś się niepokoić, że go zgubisz. Zawiesiłaś sobie delikatny łańcuszek i nosiłaś pierścionek jak wisiorek. Zabrałem cię na zakupy, poszliśmy wybrać obrączkę ślubną – coś prostego i małego, żebyś nie musiała jej zdejmować.

– Mogłabyś zacząć ją nosić od razu – zaproponowałem po wyjściu od jubilera.

– Ale ślub dopiero za sześć miesięcy.

Mocno ścisnąłem cię za rękę, kiedy przechodziliśmy przez ulicę.

– Zamiast pierścionka zaręczynowego. Żebyś miała coś na palcu.

Nie zrozumiałaś mnie.

– Nie, Ian, naprawdę. Zaczekam do ślubu.

– Skąd ludzie będą wiedzieć, że jesteś zaręczona? – Nie umiałem tego tak zostawić. Zatrzymałem cię i położyłem ręce na twoich ramionach. Popatrzyłaś na boki, na przechodniów zajętych własnymi sprawami, i bezskutecznie próbowałaś się uwolnić. – Skąd będą wiedzieć, że jesteś moja, jeśli nie nosisz mojego pierścionka?

W twoich oczach pojawił się znajomy wyraz. Widywałem go w oczach Marie – nieufność i opór – tak samo irytujące u ciebie jak u niej. Jak śmiesz się mnie bać? Byłem spięty, grymas bólu na twojej twarzy uprzytomnił mi, że wbijam palce w twoje ramiona. Opuściłem ręce.

– Kochasz mnie? – spytałem.

– Wiesz, że tak.

– To dlaczego nie chcesz, żeby ludzie wiedzieli, że za mnie wychodzisz?

Wyjąłem z reklamówki małe pudełeczko i otworzyłem je. Chciałem wymazać ten wyraz lęku z twojego spojrzenia, impulsywnie opadłem na jedno kolano, podając ci otwarte pudełko. Przechodnie zamruczeli z aprobatą, a ty spłonęłaś purpurowym rumieńcem. Utworzyło się wokół nas zbiegowisko, pękałem z dumy, że jesteś ze mną. Moja piękna Jennifer.

– Wyjdiesz za mnie?

Byłaś oszołomiona.

– Tak – odpowiedziałaś szybciej niż za pierwszym razem. Odetchnąłem swobodniej. Wsunąłem obrączkę na twój serdeczny palec i wstałem, żeby cię pocałować. Zebrani wokół nas ludzie wiwatowali, ktoś poklepał mnie po plecach. Uśmiechałem się. Powinienem był od razu tak zrobić, pomyślałem. Zastługiwałaś na uroczyste zaręczyny.

Szliśmy ramię w ramię tłoczonymi ulicami Bristolu. Trzymałem cię za rękę i pocierałem kciukiem obrączkę.

– Pobierzmy się natychmiast – powiedziałem. – Chodźmy do urzędu stanu cywilnego, zgarnijmy paru świadków z ulicy i zróbmy to.

– Przecież mamy już plany na wrzesień! Zaprosiliśmy całą moją rodzinę. Nie możemy tego ot tak odwołać.

Musiałem poświęcić trochę czasu na przekonanie ciebie, że uroczysty ślub kościelny byłby kompletną pomyłką: nie miałaś ojca, który zaprowadziłby cię do ołtarza. Poza tym wydawanie fortuny na przyjęcie dla znajomych, których w ogóle nie widzujemy, to zupełnie bezsensowny pomysł. Zamówiliśmy salę w Courtyard Hotel na skromną ceremonię i poczęstunek dla dwudziestu osób. Poprosiłem Douga, żeby był moim drużbą, ty zaprosiłaś pozostałych gości. Usiłowałem wyobrazić sobie moich rodziców stojących obok nas, ale widziałem jedynie wyraz twarzy ojca, kiedy na mnie patrzył podczas ostatniego spotkania. Rozczarowanie. Obrzydzenie. Odepchnąłem od siebie ten obraz.

Byłaś stanowcza.

– Nie możemy teraz zmienić planów, Ianie. To tylko sześć miesięcy – poczekajmy.

Sześć miesięcy to niedługo, ale odliczałem dni do chwili, gdy zostaniesz panią Petersen. Powtarzałem sobie, że wtedy poczuję się lepiej, bezpieczniej i pewniej. Będę pewien, że mnie kochasz i nie odejdiesz.

Uparłaś się, żeby wieczór przed ślubem spędzić w hotelu w towarzystwie Eve, podczas gdy ja cierpiałem katusze z Jeffem i Dougiem. Doug usiłował bez większego przekonania zorganizować prawdziwy wieczór kawalerski, nikt jednak nie zaprotestował, gdy oświadczyłem, że chcę się wcześniej położyć przed wielkim dniem.

W hotelu uspokoiłem nerwy podwójną whisky. Jeff poklepał mnie po ramieniu i nazwał porządnym chłopem, choć nigdy nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Nie pił ze mną. Pół godziny przed ceremonią skinął głową w stronę drzwi, przez które weszła kobieta w granatowym kapeluszu.

– Gotowy, by poznać teściową? Nie jest taka straszna, naprawdę. – Wcześniej spotkałem Jeffa kilka razy i zawsze irytowała mnie jego wymuszona wesołkowatość, lecz tamtego dnia byłem mu wdzięczny za odwracanie uwagi. Chciałem do ciebie zadzwonić, aby się upewnić, że nie zostawisz mnie samego przed ołtarzem. Byłem bliski paniki – nie zniósłbym takiego upokorzenia przed ludźmi.

Poszedłem z Jeffem. Twoja matka podała mi rękę, którą uściśnałem. Następnie pocałowałem ją w suchy policzek.

– Bardzo mi miło panią poznać, Grace. Bardzo dużo o pani słyszałem.

Mówiłaś, że w niczym nie przypominasz swojej matki, tymczasem zauważyłem, że odziedziczyłaś po niej wysokie kości policzkowe. Kolor oczu, włosów i artystyczne zdolności masz po ojcu, natomiast figurę i uważne spojrzenie z całą pewnością po Grace.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego – stwierdziła twoja matka z lekkim rozbawieniem. – Kiedy chcę wiedzieć, co słyhać u Jenny, muszę pytać Eve.

Zrobiłem minę świadcząca, jak miałem nadzieję, o pełnym zrozumieniu, jakbym i ja cierpiał z powodu twojej skrytości. Zaproponowałem Grace drinka, poprosiła o kieliszek szampana.

– Dla uczczenia okazji – powiedziała, choć nie wzniosła toastu.

Kazałaś mi na siebie czekać piętnaście minut. Pewnie miałaś do tego prawo. Doug udał, że zgubił obrączkę. Przyjęcie niczym się nie różniło od setek innych weselnych uroczystości. Dopóki nie weszłaś ty. Najpiękniejsza panna młoda na świecie. Wybrałaś prostą suknię z dekoltem w kształcie serca, lśniąca, satynowa spódnica muskała twoje biodra i opadała zwiewnie do kostek. W rękach niosłaś bukiet z białych róż, loki spięłaś w kok.

Zerkałem na ciebie, gdy staliśmy przed urzędnikiem prowadzącym ceremonię. Kiedy składaliśmy sobie przysięgę i spozrzałaś mi w oczy, przestali mnie obchodzić Doug, Jeff i twoja matka. Na sali mogłoby być tysiąc osób, i tak widziałbym tylko ciebie.

– Ogłaszam was mężem i żoną.

Rozległy się niemrawe oklaski, pocałowałem cię w usta i ruszyliśmy przez czerwony dywan do części, w której przygotowano bufet. Obserwowałem, jak brylujesz wśród gości, przyjmujesz komplementy i pokazujesz pierścionek.

– Wygląda pięknie, prawda?

Nie zauważyłem Eve, która stanęła obok mnie.

– Jest piękna – sprostowałem, a ona potaknęła skinieniem.

Odwróciwszy się, zobaczyłem, że nie patrzy już na ciebie, lecz na mnie.

– Nie skrzywdzisz jej, prawda?

Roześmiałem się.

- Co to za pytanie do pana młodego w dzień jego ślubu?
- Najważniejsze. – Upiła łyk szampana i bacznie mi się przyglądała. – Bardzo mi przypominasz naszego ojca.
- Pewnie dlatego podobam się Jennifer – odparłem krótko.
- Prawdopodobnie. Po prostu mam nadzieję, że nie zawiedziesz jej tak, jak on to zrobił.
- Nie opuszczę twojej siostry, nie mam najmniejszego zamiaru – oświadczyłem. – Chociaż nie uważam, żeby to była twoja sprawa. Jest dorosłą kobietą, a nie biedną, małą dziewczynką, porzuconą przez uganającego się za spódniczkami tatusia.
- Mój ojciec nie uganiał się za spódniczkami. – Nie broniła go, po prostu stwierdziła fakt. Zaintrygowała mnie. Zakładałem, że twój ojciec zostawił matkę dla innej kobiety.
- Dlaczego odszedł w takim razie?

Zignorowała pytanie.

- Dbaj o Jennę – zasługuje na to.

Nie mogłem dłużej patrzeć na jej nadętą twarz i słuchać protekcyjnych napomnień. Zostawiłem ją przy barze i poszedłem cię objąć. Moją żonę.

Obiecałem, że pokażę ci Wenecję, i bardzo się na to cieszyłem. Uroczyście podałaś swój paszport na lotnisku i uśmiechnęłaś się, gdy odczytali na głos twoje nazwisko.

- Dziwnie brzmi!

- Wkrótce przywykniesz, pani Petersen – powiedziałem.

Przebukowałem nam bilety na miejsca w pierwszej klasie, byłaś wniebowzięta i chciałaś wykorzystać wszystkie dostępne luksusy. Podczas zaledwie dwugodzinnego lotu poprosiłaś o maseczkę na oczy, szampana i obejrzałaś fragmenty różnych filmów. Obserwowałem cię z zachwytem, to ja cię uszczęśliwiłem.

Nasz transport się spóźnił i dotarliśmy do hotelu dopiero wieczorem. Od szampana rozbolała mnie głowa, byłem zmęczony i wściekły na kiepską obsługę. Postanowiłem domagać się zwrotu pieniędzy za transport z lotniska, kiedy wrócimy do domu.

– Zostawmy walizki i chodźmy pozwiedzać – zażyczyłaś sobie, gdy tylko stanęliśmy w marmurowym lobby hotelu.

– Mamy całe dwa tygodnie na zwiedzanie. Zamówimy kolację do pokoju i rozpakujemy się. Jutro też jest dzień. Poza tym... – Objąłem cię ramieniem i ścisnąłem twój pośladek. – To nasza noc poślubna.

Pocałowałaś mnie, twój język zatańczył w moich ustach, ale po chwili się cofnęłaś i ujęłaś moją rękę.

– Jeszcze nie ma dziesiątej! No chodź, krótki spacer i jeden drink, a potem do łóżka, obiecuję.

Recepcjonista uśmiechnął się, zachwycony przedstawieniem.

– Kłótnia kochanków? – Roześmiał się mimo spojrzenia, jakie mu posłałem, a ty – ku mojemu zgorzeniu – razem z nim.

– Próbuję przekonać męża – wypowiedziałaś to słowo z uśmiechem i mrugnęłaś do mnie, jakby to cokolwiek zmieniało – żebyśmy poszli na spacer po Wenecji, zanim zobaczymy pokój. Jest taka piękna. – Popatrzyłem na ciebie i zrozumiałem, że jesteś odrobinę pijana.

– Piękna, signora, lecz nie dorównuje pani urodą. – Recepcjonista wykonał absurdalny ukłon.

Spodziewałem się, że będziesz zniecierpliwiona tanim komplementem, tymczasem ty byłaś mile polectana, poznałem po zaróżowionych policzkach. Pochlebiało ci zainteresowanie tego wypomadowanego żigolaka z wypielęgowanymi dłońmi i kwiatkiem w butonierce.

– Poprosimy o klucz – powiedziałem. Pochyliłem się nad ladą, zasłaniając cię. Po chwili konsternacji wręczył mi tekturową kopertę z kartami otwierającymi drzwi.

– Buona sera, signore. – Przestał się uśmiechać.

Odprawiłem tragarza, musiałaś sama zaciągnąć swoją walizkę do windy, gdzie nacisnąłem guzik trzeciego piętra. Obserwowałem cię w lustrze.

– Miły facet ten recepcjonista, prawda? – odezwałaś się, a mnie żółć podeszła do gardła. Na lotnisku było przyjemnie, w samolocie zabawnie, teraz musiałaś wszystko zepsuć. Nie usłyszałem ani słowa z tego, co mówiłaś potem. Myślałem o tym, jak się do niego mizdrzyłaś, o twoim rumieńcu, gdy pozwalałaś mu ze sobą flirtować, i że ci się to podobało.

Dostaliśmy pokój na końcu korytarza wyłożonego miękką wykładziną. Przesunąłem kartę przez czytnik w drzwiach i niecierpliwie czekałem na kliknięcie mechanizmu. Otworzyłem drzwi, wsunąłem do środka swoją walizkę i puściłem je. Nie obchodziło mnie, czy uderzą cię w twarz. W pokoju było duszno – zbyt duszno – nie mogłem otworzyć okna i poluźniłem kołnierzyk. Krew pulsowała mi w uszach, a ty nie przestawałaś mówić. Szczebotałaś, jakby nic się nie stało, jakbyś nie upokorzyła mnie przed chwilą.

Pięść zacisnęła się sama, poczułem naciągniętą skórę na kostkach. Napięcie rozsadzało mi klatkę piersiową, wypełniało całą przestrzeń, ścisnęło płuca. Popatrzyłem na ciebie, nadal roześmianą, roztrajkotaną. Uniosłem pięść i wycelowałem w twoją twarz.

Napięcie ustąpiło niemal natychmiast, ogarnął mnie błogi spokój – podobny do tego po seksie albo dobrym treningu na siłowni. Ból głowy minął jak ręką odjął, mięsień przy oku przestał drgać. Wybełkotałaś coś, ale nawet na ciebie nie spojrzałem. Wyszedłem z pokoju, zjechałem windą na dół i wyszedłem prosto na ulicę, nie patrząc na recepcję. Znalazłem jakiś bar, wypłem dwa piwa, ignorując wysiłki barmana, który próbował nawiązać rozmowę.

Po godzinie wróciłem do hotelu.

– Mogę prosić o trochę lodu?

– Si, signore. – Recepcjonista zniknął na moment i wrócił z wiadrem lodu. – Kieliszki do wina też, signore?

– Nie, dziękuję.

Byłem spokojny, oddychałem powoli i miarowo. Poszedłem schodami, odwlekając powrót do pokoju.

Leżałaś skulona na łóżku. Kiedy wszedłem, usiadłaś i przesunęłaś się w stronę wezgowia. Na szafce nocnej leżał stos zakrwawionych chusteczek higienicznych. Nadal miałaś zaschniętą krew nad górną wargą mimo prób jej otarcia. Na nosie i wokół oka formował się siniec. Rozpląkałaś się na mój widok, na koszulę kapały różowe, zabarwione krwią łzy.

Postawiłem na stole wiadro z lodem i zawiązałem kilka kostek w serwetkę. Usiadłem obok ciebie. Drżałaś, mimo to przyłożyłem ci lód do skóry.

– Znalazłem miły bar – powiedziałem. – Spodoba ci się. I dwa sympatyczne miejsca, możemy jutro pójść tam na obiad, jeśli będziesz się czuła na siłach.

Zabrałem łód. Wpatrywałaś się we mnie wielkimi, przestraszonymi oczami. Wciąż dygotałaś na całym ciele.

– Zimno ci? Proszę, przykryj się. – Ściągnąłem koc z łóżka i udrapowałem na twoich ramionach. – Jesteś zmęczona, to był długi dzień. – Pocałowałem cię w czoło, ale nie przestawałaś płakać. Bardzo się martwiłem, że zrujnujesz naszą noc poślubną. Miałem nadzieję, że jesteś inna i przy tobie już nigdy nie poczuję tego przymusu wywołania ulgi, jaką się odczuwa po walce. Niczym nie różniłaś się od nich wszystkich, musiałem stwierdzić z przykrością.

ROZDZIAŁ 36

Walczę o złapanie oddechu. Beau zaczyna skowytać, liże mnie po twarzy i trąca nosem. Próbuję zebrać myśli, próbuję się poruszyć, ale upadek pozbawił mnie tchu i nie mogę wstać. Nawet gdybym zdołała zmusić ciało do współpracy, coś się ze mną dzieje w środku, mój świat nagle maleje. Znowu jestem w Bristolu i nie wiem, w jakim nastroju Ian wróci do domu. Przygotowuję mu kolację ze świadomością, że być może rzuci mi ją w twarz. Leżę na podłodze swojej pracowni, osłaniam głowę przed gradem ciosów.

Ian ostrożnie schodzi po schodach. Kręci głową z dezaprobatą, jak gdyby upominał niegrzeczne dziecko. Zawsze go rozczarowuję, nigdy nie wiem, co mówić i robić, niezależnie od wysiłków. Mówi cichym, zatroskanym głosem, który sprawia, że zaczynam spazmatycznie drżeć.

Staje nade mną okrakiem i leniwie wodzi wzrokiem po moim ciele. Kanty spodni są idealnie wyprasowane, w wypolerowanej sprzączce paska odbija się moja przerażona twarz. Zauważył nitkę przyczepioną do marynarki, zdejmuje ją i rzuca na podłogę. Beau nie przestaje skomleć, Ian kopie go z całej siły w łeb. Cios odrzuca psa na parę metrów.

– Proszę, nie rób mu krzywdy!

Beau kwili, ale udaje mu się wstać. Ucieka do kuchni, znikając z pola widzenia.

– Poszłaś na policję, Jennifer.

– Przepraszam – szepczę. Nie jestem pewna, czy Ian usłyszał, ale jeśli powtórzę, pomyśli, że próbuję go przebłagać, co go jeszcze bardziej rozzłości. Dziwne, jak szybko wracam do starych przyzwyczajień. Balansuję

na cienkiej linie, usiłuję wykonywać polecenia i zapobiec atakowi wściekłości. W przeszłości rzadko mi się to udawało.

Przełykam nerwowo ślinę.

– Prze... przepraszam.

Trzyma ręce w kieszeniach. Pozornie wygląda na zrelaksowanego, ale ja zbyt dobrze go znam, by nie wiedzieć, w jakim tempie potrafi...

– Ty mnie, kurwa, przepraszasz?

Przykuca i przyszpila mi ręce do podłogi.

– I wydaje ci się, że to załatwi sprawę? – Wbija kolana w moje ramiona. Gryzę się w język o sekundę za późno, żeby powstrzymać okrzyk bólu. Ian krzywi się z niesmakiem na ten przejaw słabości. Przełykam żółć, która podchodzi mi do gardła.

– Powiedziałaś im o mnie, co? – Ślina zbiera mu się w kącikach ust i opryskuje mi twarz. Wspominam incydent przed sądem. Nie mogę uwierzyć, że minęło zaledwie kilka godzin.

– Nie. Nie powiedziałam.

Znów gramy w tę grę: on rzuca pytania, ja próbuję je odbić. Kiedyś byłam w tym dobra. Dostrzegałam cień szacunku w jego oczach, gdy wycofywał się gwałtownie w pół zdania i włączał telewizor lub wychodził. Potem straciłam wycucie albo on zmienił reguły, za każdym razem chybiałam. Na razie wydaje się usatysfakcjonowany moją odpowiedzią, zmienia temat.

– Widujesz się z kimś, tak?

– Nie – odpowiadam pospiesznie, zadowolona, że mogę powiedzieć prawdę, choć nie mam złudzeń: nie uwierzy mi.

– Kłamczucha. – Policzkuje mnie wierzchem dłoni. Odgłos przypomina trzaśnięcie bicia. Jego kolejne słowa odbijają się echem w mojej głowie. – Ktoś ci pomógł założyć stronę internetową, ktoś znalazł ci to miejsce. Kto?

– Nikt. – Przełykam krew. – Sama to zrobiłam.

– Nie potrafisz niczego zrobić sama, Jennifer. – Przybliżyła twarz do mojej twarzy. Nie ruszam się, nienawidzi, gdy się od niego odsuwam.

– Nie umiałaś nawet uciec jak należy, co? Znalezienie cię było banalnie proste, kiedy ustaliłem, gdzie robisz te swoje zdjęcia. Okoliczni mieszkańcy są bardzo pomocni wobec obcych, co?

Nie zastanawiałam się, w jaki sposób Ian mnie odszukał. Zawsze wiedziałam, że to zrobi.

– Śliczną kartkę wysłałaś do siostry.

Mam wrażenie, jakby wymierzył mi kolejny policzek.

– Co zrobiłaś Eve? – Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby z mojego powodu stała się krzywdą jej i dzieciom. Rozpaczliwie pragnęłam dać jakikolwiek znak, że o niej myślę. Nie wzięłam pod uwagę niebezpieczeństwa, na jakie ją naraziłam.

Ian parska śmiechem.

– Po co miałbym jej coś robić? Nie interesuje mnie bardziej niż ty. Jesteś żalowaną, bezwartościową dziwką, Jennifer. Jesteś beze mnie niczym. Niczym. Czym ty jesteś?

Nie odpowiadam.

– No powiedz. Czym jesteś?

Krew spływa mi do gardła, ciężko mi mówić, nie krztusząc się.

– Jestem niczym.

Śmieje się i zmienia pozycję, zmniejszając ucisk na moje ramiona. Boli trochę mniej. Przesuwa palcem po moim policzku i ustach.

Wiem, co będzie dalej, ale to niczego nie ułatwia. Powoli rozpina guziki mojej koszuli, podnosi do góry podkoszulkę i obnaża piersi. Przygląda mi się beznamiętnie, bez cienia pożądania, rozpina rozporek. Zamykam oczy i zapadam się w głąb siebie, niema i nieruchoma. Przemyka mi przez myśl, co by się stało, gdybym krzyknęła lub powiedziała „nie”. Gdybym stawiała opór, walczyła albo po prostu go odepchnęła. Nie robię tego, nigdy nie próbowałam, więc sama jestem sobie winna.

Nie mam pojęcia, ile czasu już tak leżę. W domu jest ciemno i zimno. Podciągam dżinsy, kładę się na boku z podkulonymi kolanami. Boli mnie i czuję wilgoć, zapewne krew. Możliwe, że straciłam przytomność, bo nie pamiętam, kiedy Ian wyszedł.

Wołam Beau. Odpowiada mi przeraźliwa cisza. Wreszcie ostrożnie wychodzi z kuchni, z podkulonym ogonem i oklapniętymi uszami.

– Przepraszam, piesku. – Zachęcam go, żeby podszedł bliżej, wyciągam rękę. Beau wydaje jedno ostrzegawcze szczeknięcie, patrzy na drzwi. Wstaję, krzywiąc się z bólu. Ktoś puka do drzwi.

Stoję, skulona, na środku pokoju z ręką na obroży Beau. Pies warczy, ale już nie szczeka.

– Jenna? Jesteś tam?

Patrick, oddycham z ulgą. Otwieram drzwi – nie są zamknięte na klucz – i hamuję szloch. Nie włączyłam światła w salonie, nie chcę, żeby zobaczył sińce na mojej twarzy.

– Nic ci nie jest? Co się stało?

– Ja... musiałam zasnąć na kanapie.

– Bethan mi powiedziała, że wróciłaś. – Waha się i na moment spuszcza wzrok. – Przyszedłem, żeby cię przeprosić. Nie miałem prawa tak cię potraktować, Jenno. Byłem w szoku.

– Nie rób sobie wyrzutów. – Patrę ponad jego ramieniem na wierzchołek klifu. Zastanawiam się, czy Ian tam jest i obserwuje. Nie mogę dopuścić, żeby nas razem zobaczył. Mógłby skrzywdzić Patricka, tak samo jak może skrzywdzić Eve i każdego, kto jest dla mnie ważny. – Czy to wszystko?

– Mogę wejść? – Robi krok naprzód, ale ja kręcę głową.

– Jenno, co się stało?

– Nie mam ochoty cię widzieć, Patricku. – Nie pozwalam sobie na cofnięcie tych słów.

– Nie mam do ciebie o to pretensji. – Wygląda na zmęczonego, jakby od kilku dni się nie wysypiał. – Zachowałem się strasznie, Jenno. Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić. Byłem tak wstrząśnięty informacją o tym, co zro... co się stało, że nie umiałem racjonalnie myśleć. Musiałem się od ciebie oddalić.

Zaczynam płakać, nie umiem pohamować łez. Patrick ujmuje mnie za rękę, nie chcę, by puścił.

– Chciałbym zrozumieć, Jenno. Nie będę udawać, że to dla mnie łatwe, że nie jestem wstrząśnięty, ale muszę wiedzieć, co zaszło. Chcę zostać przy tobie.

Nie odzywam się, ponieważ mogę odpowiedzieć tylko w jeden sposób, aby uchronić Patricka przed niebezpieczeństwem.

– Tęsknię za tobą, Jenno – mówi cicho.

– Nie chcę się już z tobą spotykać. – Cofam rękę i wkładam w swoje słowa tyle stanowczości, ile potrafię. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Cofa się o krok, jakbym go uderzyła, krew odpływa mu z twarzy.

– Dlaczego to robisz?

– Bo tak czuję. – Kłamstwo sprawia mi niesamowity ból.

– Czy to dlatego, że cię wtedy zostawiłem?

– Nie chodzi o ciebie. Zostaw mnie w spokoju.

Zmuszam się do spojrzenia mu w oczy, może zrozumie, jak bardzo mi ciężko. Opuszcza ręce na znak kapitulacji i wycofuje się. Zatacza się na ścieżkę i zaczyna biec.

Zatraskuję drzwi, osuwam się na podłogę, z płaczem wtulam twarz w sierść Beau. Nie zdołałam uratować Jacoba, lecz mam szansę na ocalenie Patricka.

Gdy tylko czuję się na siłach, dzwonię do Iestyna z prośbą o naprawienie zamka.

– Jest już zupełnie zepsuty, nie można zamknąć drzwi od zewnątrz – tłumaczę.

– Nie martw się, tutaj nie ma złodziei.

– Muszę mieć sprawny zamek przy drzwiach! – krzyczę rozpaczliwie, co szokuje nas oboje. Na chwilę zapada cisza.

– Już jadę.

Przyjeżdża po godzinie i od razu przystępuje do pracy, odmawia herbaty. Cicho pogwizdując, wyjmuje zamek i oliwi mechanizm. Demonstruje, że klucz można już obrócić bez najmniejszego problemu.

– Dziękuję. – Niemal płaczę z ulgi. Iestyn obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem, owijam się szczelnie swetrem. Siniaki na ramionach są coraz ciemniejsze, krew rozprzestrzenia się pod skórą niczym plamy atramentu na papierze. Mięśnie bolą jak po przebiegnięciu maratonu, puchnie mi lewy policzek i mam obluzowany ząb. Najgorsze obrażenie usiłuję zakryć włosami.

Iestyn spogląda na czerwony napis na drzwiach.

– Zetrę go – zapewniam.

Kiwa bez słowa głową na pożegnanie, po chwili namysłu jednak się odwraca i mówi:

– To mała miejscowość. Wszyscy tu wiedzą wszystko o każdym.

– Zauważyłam. – Rozczaruję go, nie mam zamiaru się usprawiedliwiać. Przyjmę karę wyznaczoną przez sąd, nie przez sąsiadów.

– Na twoim miejscu trzymałbym się na uboczu, dopóki nie minie najgorsze.

– Dziękuję za radę – odpowiadam chłodno.

Zamykam drzwi i idę na górę wziąć kąpiel. Leżę w gorącej wodzie z zaciśniętymi powiekami, nie chcę patrzeć na posiniaczone ciało. Na piersiach i udach mam sine odciski palców, wyglądają zwodniczo subtelnie na tle białej skóry. Byłam głupia, myśląc, że ucieknę od przeszłości. Nieważne, jak szybko i daleko pobiegnę, nigdy jej nie przegonię.

ROZDZIAŁ 37

Pomóc ci w czymś? – zaproponował Ray mimo świadomości, że Mags ma wszystko pod kontrolą. Zawsze miała.

– Już gotowe. – Zdjęła kuchenny fartuszek. – Chilli i ryż w piekarniku, piwo w lodówce, czekoladowe babeczki na deser.

– Pyszności. – Stał w kuchni, nie wiedząc, co ze sobą począć.

– Jeżeli szukasz jakiegoś zajęcia, możesz opróżnić zmywarkę.

Wyjmował czyste naczynia, skupiony na znalezieniu jakiegoś neutralnego tematu do rozmowy. Takiego, by nie groził awanturą.

Dzisiejsze przyjęcie było pomysłem Mags. Dla uczczenia dobrze wykonanej pracy, powiedziała. Może chciała go w ten sposób przeprosić za wcześniejsze kłótnie?

– Jeszcze raz dzięki – odezwał się, żeby przerwać niezręczną ciszę. Wyjął ze zmywarki stojak na sztućce, zostawiając na podłodze strugę wody. Mags podała mu ścierkę.

– To jedna z twoich największych spraw. Powinieneś uczcić szczęśliwe zakończenie. – Wrzuciła zmywak do zlewu. – Poza tym wolę, żebyście coś zjedli i napili się w domu, niż poszli do baru...

Bez słowa przyjął krytykę. A więc to jest prawdziwy powód dzisiejszej kolacji.

Omijali się ostrożnie, jakby kuchenna podłoga była pokryta lodem. Udawali, że wszystko jest w najlepszym porządku: Ray nie spędził nocy na kanapie, a w pokoju ich syna nie było skradzionych przedmiotów. Zerknął ukradkiem na Mags, ale nie zdołał odczytać emocji na jej twarzy, wołał zatem milczeć. Ostatnio wszystko, co powiedział, obracało się przeciwko niemu.

Nie powinien porównywać Mags do Kate, jednak w pracy było o wiele łatwiej. Kate nigdy się nie obrażała, nie musiał ćwiczyć w myślach każdej kwestii, którą zamierzał poruszyć, jak to zaczął ostatnio czynić, zanim zwrócił się z czymkolwiek do żony.

Nie był pewien, czy Kate przyjmie zaproszenie na dzisiejszą kolację.

– Zrozumiem, jeśli nie masz ochoty – powiedział.

– Dlaczego miałabym... – zaczęła ze zdziwieniem. – Och, rozumiem. – Przygryzła dolną wargę. Nie zdołała utrzymać powagi, jaka malowała się na twarzy Raya. – Przecież mieliśmy o tym zapomnieć. Ja sobie poradzę. A ty?

– Ja także.

Taką miał przynajmniej nadzieję. Poczł się nagle bardzo niepewnie na myśl o spotkaniu Mags i Kate. Wczoraj wieczorem leżał bezsennie na kanapie, nie pozwalało mu zasnąć podejrzenie, że Mags wie o jego pocałunku z Kate i zaprosiła ją, aby go z tym faktem skonfrontować. Urządzanie publicznych scen nie leżało w charakterze Mags, mimo to na samą myśl o takiej możliwości oblewał go zimny pot.

– Tom przyniósł dziś ze szkoły list od nauczycielki – wyrzuciła z siebie Mags. Ray odniósł wrażenie, że nie dawało jej to spokoju od chwili, kiedy wszedł do domu.

– W jakiej sprawie?

Podawała mu kartkę wyjętą z kieszeni fartucha.

Byłabym wdzięczna, gdyby zechcieli Państwo umówić się na spotkanie ze mną w celu omówienia szkolnych problemów Thomasa.

Z poważaniem,

Ann Cumberland

Dyrektor szkoły

– Nareszcie! – Ray uderzył list wierzchem dłoni. – Wreszcie przyznali, że mają problem? Najwyższy czas.

Mags otworzyła butelkę wina.

– Od roku mówimy im, że Tom padł ofiarą znęcania się. Nawet nie wzięli tego pod uwagę, prawda?

Popatrzyła na niego z rezygnacją.

– Jak mogliśmy to przegapić? – Na próżno szukała chusteczki w rękawie swetra. – Czuję, że zawiodłam jako matka. – W drugim rękawie także nic nie znalazła.

– Hej, przestań, skarbie. – Sięgnął po swoją chustkę i otarł jej łzy. – Nie przegapiłaś tego. Oboje wiedzieliśmy, że coś jest nie w porządku, odkąd zmienił szkołę. Od razu naciskaliśmy, żeby wyjaśnili i rozwiązali problem.

– To nasz obowiązek. Jesteśmy rodzicami. – Mags wydmuchała nos.

– Tak, ale problem jest w szkole. Może wreszcie coś zrobią, skoro już to przyznali.

– Mam nadzieję, że nie pogorszą sytuacji Toma.

– Mógłbym poprosić kogoś z tamtego rejonu, żeby wygłosił pogadankę w szkole na temat znęcania się – zaproponował Ray.

– Nie!

Gwałtowność reakcji Mags zbiła go z tropu.

– Współpracujmy ze szkołą. To nie jest sprawa dla policji. Chociaż raz załatwmy coś wspólnie, jako rodzina, dobrze? Naprawdę wolałabym, żebyś nie opowiadał w pracy o kłopotach Toma.

Jak na komendę zadzwonił dzwonek u drzwi.

– Dasz sobie radę?

Pokiwała głową, otarła twarz i oddała Rayowi chusteczkę.

– Nic mi nie jest.

Skontrolował swoje odbicie w lustrze. Szara, zmęczona cera. Chętnie odprawiłby Kate i Stumpy'ego, by spędzić wieczór tylko z Mags. Ale ona by mu za to nie podziękowała – po całym popołudniu spędzonym na gotowaniu. Westchnął i otworzył drzwi.

Kate miała na sobie dżinsy, kozaki do kolan i czarną bluzkę. Choć strój nie należał do szczególnie wyszukanych, nadawał jej swobodny, młodzieńczy wygląd. Była inna niż w pracy, Ray poczuł się niepewnie. Cofnął się i wpuścił ją do środka.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Zaprowadził ją do kuchni. – Ty i Stumpy bardzo ciężko pracowaliście przez ostatnie miesiące. Chciałem wam okazać, że doceniam wasze wysiłki. – Uśmiechnął się szeroko. – Prawdę powiedziawszy, to był pomysł Mags – ja zupełnie nic nie zrobiłem.

Mags potwierdziła wyznanie lekkim uśmiechem.

– Cześć, Kate. Dobrze cię wreszcie poznać. Trafiłaś do nas bez problemu?

– Gdy Ray patrzył na te dwie kobiety, dostrzegał między nimi uderzające różnice. Mags nie zdążyła się przebrać, miała na sobie bluzę poplamioną sosem. Wyglądała tak samo jak zawsze – ciepło, miło, znajomo – ale przy Kate wydawała się... Szukał odpowiedniego słowa. Mniej elegancka. Ogarnięty poczuciem winy przybliżył się do Mags, jakby w ten sposób usiłował zatrzeć brak lojalności.

– Śliczna kuchnia. – Kate zerknęła na tacę czekoladowych babeczek, świeżo wyjętych z piekarnika, polanych białą czekoladą, i uniosła sernik przyniesiony w tekturowym pudełku. – Przyniosłam coś na deser, ale w porównaniu z twoimi wypiekami wypada dość żałośnie.

– To bardzo miło z twojej strony. – Mags pospieszyła odebrać pudełko od Kate. – Cudze wypieki zawsze smakują lepiej niż własne, nie sądzisz?

Kate uśmiechnęła się z wdzięcznością, a Ray odetchnął swobodniej. Może ten wieczór jednak nie będzie całkowitą katastrofą. Mimo wszystko nie mógł się doczekać przyścia Stumpy'ego.

– Czego się napijesz? Ray pije piwo, a ja wino. Co ty byś wolała?

– Bardzo chętnie napiję się wina.

Ray krzyknął w stronę schodów.

– Tom, Lucy, zejdźcie się przywitać, małe odludki!

Dzieci hałaśliwie zbiegły na dół i niepewnie stanęły na progu kuchni.

– To jest Kate – przedstawiła Mags. – Tata uczy ją, jak być policjantką.

Oczy Raya rozszerzyły się ze zdumienia, ale Kate zignorowała afront.

– Za kilka miesięcy będę już prawdziwą policjantką – odparła swobodnie. – Jak się macie?

– Dobrze – odparli jednogłośnie Tom i Lucy.

– Więc ty jesteś Lucy. – Kate uśmiechnęła się.

Córeczka odziedziczyła po mamie jedynie kolor włosów, poza tym była łądzaco podobna do Raya. Wszyscy komentowali, jak bardzo oboje go przypominają. On sam nie widział podobieństwa, przyćmiewała je wyrazista osobowość każdego z dzieci, dopiero kiedy zasypiały, widział na ich buziach odbicie swoich rysów. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wyglądał tak wojowniczo jak teraz jego syn, wpatrzony z urazą w podłogowe płytki. Nawet postawione na żel włosy sprawiały wrażenie wściekłych.

– To jest Tom – odezwała się grzecznie Lucy.

– Powiedz „dobry wieczór”, Tom – upomniała Mags.

– Dobry wieczór, Tom – powtórzył, nie podnosząc wzroku.

Mags zamachnęła się na niego ścierką.

– Przepraszam, Kate.

Kate uśmiechnęła się do Toma, który popatrzył wyczekująco na matkę. Chciał wiedzieć, czy może odejść.

– Dzieci! – stwierdziła ze zniecierpliwieniem Mags. Odwinęła z folii talerz z kanapkami i podała go Tomowi.

– Możecie zjeść na górze, skoro nie chcecie tu siedzieć ze starcami.

Otworzyła szeroko oczy z udawanym przerażeniem, czym rozśmieszyła Lucy. Tom tylko przewrócił oczami. Błyskawicznie zniknęli w swoich pokojach.

– To dobre dzieciaki – zapewniła Mags. – Zazwyczaj – dodała tak cicho, jakby mówiła do siebie.

– Problemy w szkole już się wyjaśniły? – zapytała Kate.

Ray jęknął w duchu. Spojrzał na Mags, która celowo unikała jego wzroku. Miała napięte mięśnie szczęki.

– Dajemy sobie radę – odpowiedziała nerwowo.

Skrzywił się i zerknął na Kate, usiłując jej przekazać swoje przeprosiny tak, aby Mags się nie zorientowała. Popełnił błąd, trzeba było ostrzec Kate, że kłopoty Toma to drażliwy temat. Zapadła kłopotliwa cisza, którą przerwał dźwięk odebranej wiadomości z telefonu Raya. Z wdzięcznością sięgnął do kieszeni i zamarł, gdy popatrzył na wyświetlacz.

– Stumpy nie przyjdzie. Jego mama znów upadła.

– Coś jej się stało? – zaniepokoiła się Mags.

– Na to wygląda, bo są w drodze do szpitala. – Ray odpisał Stumpy'emu i schował telefon. – Zjemy w trójkę.

Kate popatrzyła na Raya, potem na Mags, która odwróciła się plecami, by zamieszać chilli.

– Przełożmy to na kiedy indziej – zaproponowała.

– Nie żartuj – zachnął się z fałszywą wesołością. – W życiu tyle nie zjemy, potrzebujemy pomocy. – Spojrzał na Mags z nadzieją, że przychyli się do propozycji Kate i odwołają wspólny wieczór, ale ona nie reagowała, zajęta przy kuchni.

– Oczywiście – powiedziała krótko i podała Rayowi rękawice. – Zaniesiesz gulasz do jadalni? Kate, mogłabyś rozstawić talerze?

Miejsca nie były wyznaczone, Ray odruchowo usiadł u szczytu stołu, Kate usiadła po jego lewej stronie. Mags postawiła miskę z ryżem i wróciła do kuchni po tarty ser i śmietanę. Po powrocie usiadła naprzeciwko Kate. Przez chwilę byli zajęci nakładaniem jedzenia na talerze, podawali sobie naczynia z rąk do rąk.

Kiedy zaczęli jeść, brzęk sztućców podkreślał niezręczne milczenie. Ray gorączkowo szukał tematu do rozmowy. Mags nie będzie zadowolona, ale praca wydawała mu się w tej chwili najbezpieczniejszym wyborem. Zanim podjął ostateczną decyzję, Mags oparła widelec o brzeg talerza.

– Jak ci się podoba w Wydziale Kryminalnym, Kate?

– Bardzo. Zabójcze godziny, ale praca wspaniała. Taka, o jakiej zawsze marzyłam.

– Słyszałam, że nasz komisarz nie jest łatwym szefem.

Ray zerknął bystro na Mags: uśmiechała się miło do Kate. Poczł się bardzo, bardzo nieswojo.

– Nie jest aż taki straszny – zapewniła młoda policjantka, zerkając z ukosa na Raya. – Nie wiem tylko, jak sobie radzisz z jego bałaganiarstwem. Gabinet przypomina chlew, wszędzie brudne kubki z niedopitą kawą.

– Dlatego że ciężko pracuję i nie mam nawet czasu żadnej wypić do końca – zripostował. Niech sobie z niego żartują, nieduża cena w tych okolicznościach.

– Zawsze ma rację – stwierdziła Mags.

Kate udała, że rozważa tę kwestię.

– Chyba że akurat się myli.

Parsknęły śmiechem, Ray odrobinę się rozluźnił.

– Czy w domu też wiecznie nuci pod nosem Chariots of Fire?

– Nie wiem, nie widuję go.

Dobry nastrój wyparował i znów jedli w milczeniu. Ray zakasłał, spojrzł na Kate i uśmiechnął się przepaszająco. Wzruszyła ramionami. Kiedy

popatrzył na Mags, zorientował się, że przez cały czas ich obserwowała ze zmarszczonym czołem. Odłożyła widelec i odsunęła talerz.

– Nie tęsknisz za pracą, Mags?

Wszyscy ją o to pytali. Nie sądził, żeby komukolwiek mogło brakować ślęczenia nad papierami, nocnych zmian i interwencji w domach, z których wychodząc, trzeba było wycierać buty.

– Tak – odparła bez wahania.

– Naprawdę? – zdziwił się Ray.

Mags kontynuowała rozmowę z Kate, jakby go tam w ogóle nie było.

– Niezupełnie za pracą. Brakuje mi osoby, którą kiedyś byłam. Miałam coś do powiedzenia, do przekazania ludziom. – Ray przerwał jedzenie. Mags pozostała tą samą osobą, taką, jak była zawsze. Nic tego nie zmieni, a już na pewno nie brak odznaki.

Kate pokiwała ze zrozumieniem głową. Starła się i Ray dziękował jej za to w duchu.

– Chciałabyś wrócić?

– Jak? Kto zajmowałby się tą dwójką? – Mags zwróciła oczy ku górze. – Nie wspominając o nim. – Spojrzała na Raya bez uśmiechu, z nieodgadniętym wyrazem twarzy. – Wiesz, co mówią: za każdym mężczyzną, który odniósł sukces...

– To prawda – zgodził się bardziej energicznie, niż tego wymagała ich cicha wymiana zdań. Popatrzył w oczy Mags. – Dzięki tobie wszystko funkcjonuje.

– Deser! – zakrzyknęła gwałtownie, podrywając się na równe nogi. – Chyba że masz ochotę na dokładkę chilli, Kate?

– Nie, dziękuję. Pomóc ci w kuchni?

– Posiedźcie tu sobie, ja zaraz wrócę. Zabiorę talerze i sprawdzę, czy dzieciaki czegoś nie zmalowały na górze. – Zaniósła brudne naczynia do kuchni i poszła na górę.

– Przepraszam. Nie wiem, co w nią wstąpiło.

– Czy chodzi o mnie?

– Nie sędę. Od jakiegoś czasu jest w kiepskim nastroju. Martwi się o Toma. – Uśmiechnął się. – To pewnie moja wina, zwykle tak jest.

Usłyszeli kroki na schodach, po chwili wróciła Mags. Przyniosła babeczki i bitą śmietaną.

– Właściwie, Mags, ja chyba podziękuję za deser. – Kate wstała od stołu.

– Może wolisz owoce? Mam melona.

– Nie, nie. Po prostu padam z nóg ze zmęczenia. To był długi i ciężki tydzień. Dziękuję za pyszną kolację.

– Hm, jeżeli jesteś pewna. – Mags postawiła naczynia na stole. – Nie pogratulowałam ci jeszcze aresztowania Gray. Podobno to twoja zasługa. Bardzo poważne osiągnięcie na tak wczesnym etapie kariery.

– Tworzymy zgrany zespół. Wszyscy się przyczynili do pomyślnego rozwiązania sprawy.

Oczywiście miała na myśli cały wydział, ale patrzyła na Raya, a ten z kolei nie odważył się spojrzeć na Mags.

Kiedy się żegnali, Mags pocałowała Kate w policzek.

– Odwiedź nas jeszcze, dobrze? Bardzo się cieszę, że cię poznałam. – Ray miał nadzieję, że nikt poza nim nie rozpozna sztuczności w głosie żony. On również pocałował Kate na pożegnanie w policzek, krótkie cmoknięcie, tylko dlatego, że uznał, iż byłoby dziwne, gdyby tego nie zrobił. Przez cały czas czuł na sobie wzrok Mags i odetchnął z ulgą, gdy wreszcie zamknęli drzwi za gościem.

– Hm, ja się nie zdołam oprzeć tym babeczkom – powiedział wesoło. – A ty?

– Jestem na diecie. – Rozłożyła w kuchni deskę do prasowania, napełniła żelazko wodą i czekała, aż się nagrzeje. – Przygotowałam pojemnik z chilli dla Stumpy'ego, jest w lodówce – zanieziesz mu jutro? Na pewno nie zjadł porządnej kolacji, skoro cały wieczór spędził w szpitalu, a jutro nie będzie miał siły gotować.

Ray przeszedł z talerzem do kuchni i jadł na stojąco.

– To bardzo miły gest.

– To bardzo miły człowiek.

– Tak, mam świetnych współpracowników.

Mags prasowała w milczeniu. Kiedy wreszcie przemówiła, ton jej głosu był neutralny, ale przyciskała żelazko do materiału spodni z nadmierną siłą.

– Jest ładna.

– Kate?

– Nie, Stumpy. – Posłała mu zirytowane spojrzenie. – Oczywiście, że Kate.

– Chyba tak, nie myślałem o tym. – Żałosne kłamstwo, przecież Mags znała go lepiej niż ktokolwiek inny.

Uniosła brew i, ku ogromnej uldze Raya, uśmiechnęła się. Zaryzykował delikatny żart.

– Jesteś zazdrosna?

– Ani trochę. Niech się wprowadza, przyda się ktoś do prasowania.

– Przepraszam, że powiedziałem jej o Tomie.

Mags nacisnęła przycisk, z żelazka buchnęła para. Mówiła, nie patrząc na Raya:

– Kochasz swoją pracę, stanowi część twojej tożsamości. A ja cię kocham takiego, jaki jesteś. Ale czasem mam wrażenie, że ja i dzieci stanowimy jedynie tło. Czuję się niewidzialna.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz ona pokręciła głową.

– Rozmawiasz ze mną rzadziej niż z Kate. Zauważyłam dziś łączącą was nić porozumienia. Nie jestem głupia, wiem, jak to jest, kiedy spędza się z kimś wiele godzin w pracy. Oczywiście, że poruszacie różne tematy. Jednak czasem mógłbyś porozmawiać także ze mną. – Po raz kolejny nacisnęła przycisk wyzwalający parę i mocno przyciskała żelazko do deski zamaszystymi ruchami. – Na łożu śmierci raczej nie będziesz żałował, że nie spędziłeś więcej czasu w pracy – dodała. – Nasze dzieci dorastają, a ty w tym nie uczestniczysz. Zanim się obejrzyysz, wyprowadzą się z domu, ty przejdziesz na emeryturę. Zostaniemy sami i nie będziemy mieli sobie nic do powiedzenia.

Nieprawda, pomyślał Ray. Usiłował znaleźć argumenty, lecz słowa uwięzły mu w gardle i kręcił głową, jakby nie mógł się uwolnić od tego, co

powiedziała. Wydawało mu się, że usłyszał westchnienie Mags. Albo żelazko znów uwolniło kłęby pary.

ROZDZIAŁ 38

Nigdy mi nie wybaczyłaś tamtej nocy w Wenecji. Pozostawałaś nieufna, nigdy już nie oddałaś mi się całkowicie. Nawet kiedy sińce całkiem zbladły i mogliśmy puścić wszystko w niepamięć. Wiedziałem, że nadal o tym myślisz. Świadczył o tym sposób, w jaki śledziłaś mnie wzrokiem, kiedy szedłem po piwo do lodówki, i wahanie, z jakim odpowiadałaś na pytania. Mimo to twierdziłaś, że wszystko jest w porządku.

W pierwszą rocznicę poszliśmy na kolację do restauracji. Znalazłem dla ciebie w jednym z antykwariatów oprawiony w skórę album o Rodinie. Zapakowałem go w gazetę z dnia naszego ślubu.

– Pierwsza rocznica jest papierowa – przypomniałem. Rozbłyśły ci oczy.

– Przepiękny! – Starannie złożyłaś gazetę i schowałaś ją między karty albumu. Napisałem ci dedykację: Dla Jennifer, którą kocham coraz bardziej każdego dnia. Pocałowałaś mnie mocno w usta.

– Kocham cię, wiesz? – powiedziałaś.

Czasem nie byłem pewien, lecz nigdy nie wątpiłem w swoje uczucia do ciebie. Kochałem cię tak bardzo, że aż mnie to przerażało. Nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, że można pragnąć drugiej osoby do tego stopnia, by być gotowym na wszystko, byle tylko nie odeszła. Gdybym cię mógł wywieźć na bezludną wyspę, nie wahałbym się ani chwili.

– Zaproponowali mi poprowadzenie kolejnego kursu garncarstwa dla dorosłych – oświadczyłaś po drodze do stolika.

– Za ile?

Zmarszczyłaś nos.

– Jakieś grosze. To terapia zajęciowa dla osób z depresją. Myślę, że warto.

Prychnąłem ze zniecierpliwieniem.

– Brzmi niepoważnie.

– Praca twórcza pozytywnie wpływa na nastrój. Chciałabym pomóc. Kurs trwa tylko osiem tygodni. Pogodzę go z innymi zajęciami.

– Jeżeli nie przeszkodzi ci to w pracy... – Sprzedawałaś rzeźby do pięciu sklepów.

Pokiwałaś głową.

– Nie przeszkodzi. Ograniczę przyjmowanie zamówień na jakiś czas. W przyszłym roku zrezygnuję z niektórych lekcji. Nie sądziłam, że będę tyle pracować jako nauczycielka.

– Znasz to powiedzenie? – Roześmiałem się. – Jeżeli umiesz coś robić, rób. Jeżeli nie – zacznij uczyć.

Nie odpowiedziałaś.

Kelner przyniósł nasze zamówienie. Zbyt długo układał twoją serwetkę i nalewał wino.

– Pomyślałam, że założę oddzielne konto bankowe na firmę.

– Po co? – Z kim omawiałaś sprawy finansowe, kto ci to doradził? – zastanawiałem się.

– Będzie mi się łatwiej rozliczać z podatku.

– To znaczy, że przybędzie ci papierów do wypełniania. – Rozciąłem stek na pół, żeby sprawdzić, czy jest przyrządzony tak, jak lubię, i odkroiłem tłuszcz.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Niech wszystko zostanie na moim. Tak jest prościej. To ja opłacam rachunki i spłacam kredyt za dom.

– Pewnie tak. – Grzebałaś widelcem w swoim risotcie.

– Potrzebujesz więcej gotówki? Mogę ci dać w tym miesiącu więcej pieniędzy na dom, jeśli chcesz.

– Może trochę.

– Na co ci potrzebne?

– Miałam zamiar pójść na zakupy. Przydałyby mi się nowe ubrania.

– Pójdę z tobą. Wiesz, że jesteś kiepska w robieniu zakupów – połowę rzeczy odnosisz, bo w domu przestają ci się podobać. – Zaśmiałem się i uściskałem ci dłoń ponad stołem. – Wezmę wolne i zrobimy sobie wycieczkę. Zjemy jakiś dobry obiad w miłej knajpce, a potem dam ci kartę kredytową i wydasz tyle, ile zapragniesz. Co ty na to?

Pokiwałaś głową. Zabrałem się do jedzenia, zamówiłem kolejną butelkę wina. Kiedy skończyłem pić, zorientowałem się, że jesteśmy ostatnią parą w restauracji. Zostawiłem przesadnie duży napiwek i zatoczyłem się na kelnera, kiedy podawał mi płaszcz.

– Przepraszam – odezwałaś się. – Mąż odrobinę za dużo wypił.

Kelner uśmiechnął się wyrozumiale. Po wyjściu mocno uszczypnąłem cię w ramię.

– Nigdy więcej nie waż się przeproszać za mnie.

Byłaś wstrząśnięta. Nie rozumiem dlaczego – czyż nie spodziewałaś się tego od tamtej nocy w Wenecji?

– Przepraszam – powiedziałaś. Puściłem twoje ramię i ująłem cię za rękę.

Wróciliśmy do domu późno, od razu poszłaś na górę. Wyłączyłem światła na dole i poszedłem za tobą, leżałaś już w łóżku. Położyłem się obok, a ty mnie pocałowałaś.

– Przepraszam, Kocham cię – mówiłaś, głaszcząc mnie.

Zamknąłem oczy i czekałem, aż wsuniesz się pod kołdrę. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie – zbyt dużo wypilem. Pozwoliłem ci spróbować, zanim odepchnąłem twoją głowę.

– Nie podniecasz mnie już. – Odwróciłem się do ściany i zamknąłem oczy. Wyszłaś do łazienki, zasypiając, słyszałem twój płacz.

Nie zamierzałem cię zdradzać po ślubie i nie robiłbym tego, gdybyś nie przestała się starać w łóżku. Doprawdy, nie dziwi cię chyba, że szukałem zaspokojenia gdzie indziej, jeżeli w domu czekał mnie seks w pozycji na misjonarza z żoną, która wyglądała jak pogrążona we śnie? Zacząłem wychodzić w piątki po pracy i wracać do domu nad ranem, nasyciwszy się osobą, z którą wylądowałem w łóżku. Nie okazywałaś zainteresowania, dlatego po pewnym czasie przestałem wracać na noc. Wtaczałem się w sobotę po południu, zwykle zastawałem cię w pracowni. Nigdy nie zapytałaś, gdzie byłem lub z kim. Prowadziłem z tobą grę: sprawdzałem, jak daleko muszę się posunąć, by sprowokować reakcję.

W dniu, w którym wreszcie oskarżyłaś mnie o zdradę, Manchester United grał z Chelsea. Oglądałem mecz i popijałem piwo z nogami na stole. Zasłoniłaś mi telewizor.

– Odejdź! Jest dogrywka!

– Kim jest Charlotte?

– O co ci chodzi? – Usiłowałem podejrzeć ekran.

– Masz to imię wypisane na rachunku w kieszeni płaszcza, razem z numerem telefonu. Kto to jest?

Drużyna Manchester United zdobyła gola tuż przed ostatnim gwizdkiem, kibice wiwatowali. Z westchnieniem wyłączyłem odbiornik.

– Zadowolona? – Zapaliłem papierosa, aby cię rozwścieczyć.

– Prosiłam, żebyś nie palił w domu. Nie możesz wyjść na zewnątrz?

– Nie mogę. – Wydmuchałem dym w twoją stronę. – Jestem u siebie, nie u ciebie.

– Kim jest Charlotte? – Trzęsałaś się, lecz nadal stałaś przede mną.

Roześmiałem się.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem zgodnie z prawdą: nie pamiętałem jej. To mogła być każda z wielu dziewcząt, które miałem. – Może wpadłem w oko jakiejś kelnerce. Musiałem wsunąć rachunek do kieszeni, nie spojrzawszy na niego. – Byłem opanowany, nie okazałem cienia zmieszania, ty tymczasem straciłaś pewność siebie.

– Mam nadzieję, że mnie o nic nie oskarżasz. – Popatrzyłem wyzywająco. Odwróciłaś wzrok i umilkłaś. Hamowałem śmiech. Tak łatwo było ciebie pokonać.

Wstałem. Nie miałaś na sobie biustonosza, piersi i sutki wyraźnie odznaczały się pod bawełnianą podkoszulką bez rękawów.

– Wychodziłaś tak ubrana?

– Tylko do sklepu.

– Z cyckami na wierzchu? Chcesz uchodzić za dziwkę?

Zastłoniłaś się rękami, rozchyliłem je.

– Obcy mogą je oglądać, ale nie ja? Nie możesz wybierać, Jennifer. Albo jesteś szmatą, albo nie.

– Nie jestem – powiedziałaś cicho.

– Sprawiasz inne wrażenie. – Zgasilem papierosa między twoimi piersiami. Krzyczałaś, gdy wychodziłem z pokoju.

ROZDZIAŁ 39

Dyżurna operatorka zatrzymała go w drodze do gabinetu, gdzie wracał po porannym zebraniu. Rachel była pięćdziesięcioletnią kobietą o delikatnych, ptasich rysach i krótko ostrzyżonych, srebrnych włosach.

– Jesteś dziś na służbie, Ray?

– Tak – odpowiedział podejrzliwie. To pytanie zazwyczaj nie zapowiadało nic przyjemnego.

– Na recepcji czeka niejaka Eve Mannings. Niepokoi się o bezpieczeństwo swojej siostry.

– Ktoś ze zmiany nie może się tym zająć?

– Wszyscy są na patrolach. Ta kobieta jest bardzo przestraszona i czeka już od godziny. – Nie musiała mówić nic więcej i nie zrobiła tego. Po prostu popatrzyła na Raya znad drucianych oprawek okularów i czekała, aż postąpi właściwie. Poczł się jak chłopiec manipulowany przez sympatyczną, ale onieśmielającą ciotkę.

Spojrzał ponad ramieniem Rachel na kobietę, która czekała w poczekalni, zajęta swoim telefonem komórkowym.

– To ona?

Eve Mannings wyglądała na bywalczynię restauracji, nie komisariatów. Gładkie, brązowe włosy do ramion zasłaniały policzki, kiedy pochylała głowę nad telefonem. Miała na sobie jaskrawożółty płaszcz z kwiecistą podszewką i dużymi guzikami. Zarumienione policzki niekoniecznie odzwierciedlały stan ducha. Ogrzewanie na komisariacie działało tylko w dwóch trybach: arktycznym lub tropikalnym. Dzisiejszy dzień był tropikalny. Ray przeklął pod nosem przepisy, które jasno określały, że zgłoszenie

zagrożenia życia musi przyjąć funkcjonariusz policji. Rachel doskonale by sobie poradziła.

Westchnął.

– Dobrze. Przyślę kogoś, żeby z nią porozmawiał.

Zadowolona operatorka wróciła do swojego biurka.

Ray poszedł na górę i odszukał Kate. Siedziała na swoim stanowisku.

– Mogłabyś zejść na dół i przyjąć zgłoszenie o zagrożeniu życia?

– A zmiana nie może?

Roześmiał się, widząc, jaką ma minę.

– Już pytałem. Proszę, zajmie ci to najwyżej dwadzieścia minut.

Kate wydała pełne rezygnacji westchnienie.

– Wrabiasz mnie, bo wiesz, że nie potrafię odmawiać.

– Uważaj, komu o tym mówisz. – Uśmiechnął się szeroko. Przewróciła oczami, jej policzki okraszył atrakcyjny rumieniec.

– No dobrze, o co chodzi?

Ray podał jej kartkę, którą dostał od Rachel.

– Eve Mannings. Czeka na ciebie na dole.

– Jesteś mi winien drinka.

– Nie ma sprawy! – zawołał za nią. Przeprósł ją wcześniej za niezręczną atmosferę podczas kolacji, wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że to nieistotne, i więcej na ten temat nie rozmawiali.

Wrócił do swojego gabinetu. W notesie znalazł karteczkę od Mags z datą spotkania z dyrektorką szkoły Toma. W przyszłym tygodniu. Zaznaczyła dodatkowo ten dzień czerwonym flamastrem. Ray przykleił kartkę do komputera razem z innymi, każda przypominała o czymś ważnym.

Przeglądał nowe dokumenty i pocztę, kiedy przerwało mu pukanie do drzwi.

– Nie przeszkadzaj – zwrócił się do Kate. – Dobrze mi idzie.

– Chciałam ci złożyć raport ze zgłoszenia, które właśnie przyjął.

Poprosił ją gestem, by usiadła.

– Co robisz? – Popatrzyła na górę papierów.

– Uzupełniam formularze administracyjne. Głównie te dotyczące wydatków z ostatnich sześciu miesięcy. Księgowość mnie ponagla, powiedzieli, że niczego nie autoryzują, jeśli dziś ich nie dostarczę.

– Potrzebujesz sekretarki.

– Potrzebuję czasu na policyjną robotę zamiast tego gówna. Przepraszam. Co u ciebie?

Kate zajrzała do notatek.

– Eve Mannings mieszka w Oksfordzie, ale jej siostra, Jennifer, w Bristolu razem z mężem, Ianem Petersenem. Eve pokłóciła się z siostrą pięć lat temu, od tego czasu nie widziała ani jej, ani szwagra. Parę tygodni temu Petersen zjawiał się zniemacka w jej domu, wypytywał o Jennifer.

– Odeszła od niego?

– Na to wygląda. Pani Mannings dostała kilka miesięcy temu pocztówkę od swojej siostry. Nie zdołała odczytać ze znaczka, skąd kartka została wysłana, wyrzuciła kopertę. Niedawno znalazła strzępy tej pocztówki za zegarem na kominku. Jest przekonana, że to sprawka szwagra.

– Po co miałby podrzeć widokówkę?

Kate wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, podobnie jak pani Mannings, ale z jakiegoś powodu bardzo się zaniepokoiła. Chce zgłosić zaginięcie siostry.

– Przecież ona nie zaginęła, skoro wysłała kartkę. – Ray był zniecierpliwiony. – Po prostu nie chce, żeby ją znaleziono. To nie to samo, co zaginięcie.

– Tak też jej powiedziałam. W każdym razie tu masz wszystko napisane. – Wręczyła mu notatki w foliowej koszulce na dokumenty.

– Dzięki. Przejrzę. – Położył raport na biurku, gdzie utonął w morzu papieru.
– Kiedy tylko uporam się z całą resztą. Nadal masz ochotę na drinka wieczorem? Mnie się przyda.

- Nie mogę się doczekać.
- Super. Nie będę miał dużo czasu, Tom wybiera się dokądś po lekcjach, mam go odebrać o siódmej.
- Nie ma sprawy. To znaczy, że u niego lepiej? Ma nowych kolegów?
- Chyba tak. Gdyby jeszcze zechciał mi ich przedstawić... Liczę, że dowiem się czegoś więcej na wywiadówce w przyszłym tygodniu.
- Jestem do usług, gdybyś chciał się wygadać wieczorem. Niestety nie dostaniesz ode mnie żadnych rad, nic nie wiem o wychowywaniu nastolatków.

Roześmiał się.

- Szczerze mówiąc, wolę rozmawiać o czymkolwiek innym dla odmiany.
- Dostosuję się. – Posłała mu ciepły uśmiech. Wrócił myślami do pocałunku przed drzwiami jej mieszkania. Czy ona także czasem go wspomina? Miał zamiar ją zapytać, ale nie zdążył, nim wyszła.

Postanowił napisać wiadomość do Mags. Wpatrywał się w telefon i zastanawiał nad treścią: nie chciał rozzłościć Mags ani kłamać. Nie powinien szukać wymówek, wyjście na piwo z Kate nie powinno się niczym różnić od wieczoru ze Stumpym. Doskonale wiesz, dlaczego tak nie jest, pomyślał.

Westchnął i włożył telefon do kieszeni, nic nie napisał. Tak będzie łatwiej. Przez otwarte drzwi gabinetu widział czubek głowy Kate, która siedziała za swoim biurkiem. Powiedziała, że się dostosuje. Nie był pewien, czy to dobrze.

ROZDZIAŁ 40

Nie odważyłam się wyjść z domu przez dwa tygodnie, dopóki fioletowe sińce nie zbladły. Teraz mają kolor seledynowy. Ich widok na białej skórze mnie szokuje, choć przecież dwa lata temu był tak samo naturalny jak kolor włosów.

Muszę kupić karmę dla Beau. Zostawiam psa samego w domu, mam zamiar wybrać się po nią autobusem do Swansea. W tamtejszym supermarkecie nikt nie zwróci uwagi na kobietę ze wzrokiem utkwionym w podłogę i szalikiem omotanym wokół szyi mimo ładnej pogody. Idę ścieżką

w stronę pola biwakowego, nie mogę pozbyć się wrażenia, że jestem obserwowana. Odwracam głowę i natychmiast wpadam w panikę, że niebezpieczeństwo czyha z innej strony. Odwracam się jeszcze raz. Wiruję w kółko, nic nie widzę przez czarne plamy przed oczami. Balansuję na krawędzi paniki, strach boleśnie zaciska żelazną obręcz na klatce piersiowej, podbiegam co kilka kroków. Nareszcie dostrzegam przyczepy kempingowe i niski budynek sklepu Bethan. Uspokajam się odrobinę, próbuję odzyskać nad sobą kontrolę. W takich chwilach perspektywa więzienia ma swoje dobre strony.

Parking samochodowy przynależący do pola biwakowego przeznaczony jest dla jego mieszkańców, ale bliskość plaży czyni go atrakcyjnym dla spacerowiczów. Bethan zazwyczaj to nie przeszkadza. Tylko w pełni sezonu wywiesza tabliczkę z napisem: „Parking prywatny” i pobiera opłaty, kiedy przyłapie kogoś na wyjmowaniu z bagażnika kosza piknikowego. O tej porze roku, kiedy pole biwakowe jest nieczynne, nieliczne samochody należą do właścicieli psów lub zatwardziały wielbicieli nadmorskich spacerów.

– Ty, oczywiście, możesz z niego korzystać zawsze – powiedziała Bethan, kiedy się poznałyśmy.

– Nie mam samochodu – wyjaśniłam.

Dodała, że w takim razie mogą go używać moi goście. Nie odwiedzał mnie nikt oprócz Patricka, który parkował tam swojego land rovera, ale Bethan ani razu tego nie skomentowała. Odpycham od siebie myśl o Patricku.

Przed polem biwakowym stoi dziś kilka pojazdów. Poobijane volvo Bethan, nieznamy van i... mrużę oczy, potrząsam głową. To niemożliwe. To nie może być mój samochód. Oblewa mnie zimny pot, zachłystuję się powietrzem i wpatruję w to, co widzę, a może doznaję halucynacji. Pęknięcie na przednim zderzaku, wzór wielkości pięści, przypominający pajęczynę, na przedniej szybie.

Mój samochód.

Nie rozumiem. Przecież zostawiłam go w Bristolu. Nie dlatego, że policja mogłaby go namierzyć – chociaż o tym także pomyślałam – ale nie mogłam znieść jego widoku. Wpadam na szalony pomysł: być może policja go znalazła i postawiła tu, żeby sprawdzić moją reakcję. Rozglądam się wokół, szukając wzrokiem ekipy policyjnej.

Nie potrafię jasno myśleć, nie wiem, czy samochód jest ważny. Prawdopodobnie ma jakieś znaczenie dla policjantów, gdyż nalegali, bym

im powiedziała, co z nim zrobiłam. Muszę się go pozbyć. Przypominam sobie sceny z obejrzanych filmów. Zrzucić z klifu? Może podpalić? Potrzebowałabym zapalek i kanistra benzyny. Ale jak mogłabym spalić samochód w tajemnicy przed Bethan?

Zerkam w okno sklepu, nie widzę jej. Biorę głęboki oddech i podchodzę do zaparkowanego auta. Nie waham się ani chwili, widząc kluczyki w stacyjce. Siadam za kierownicą. Natychmiast atakują mnie okropne wizje, wspomnienia wypadku: słyszę rozpaczliwy wrzask matki Jacoba i swój krzyk przerażenia. Zaczynam się trząść, próbuję nad sobą zapanować. Uruchamiam silnik za pierwszym razem i szybko wyjeżdżam z parkingu. Gdyby Bethan wyrzała teraz przez okno, zobaczyłaby tylko odjeżdżający wóz w tumanach kurzu, nie wiedziałaby, że to ja. Zmierzam w stronę Penfach.

– Miło jest wrócić za kółko? – Monotonny, wyprany z emocji głos lana.

Gwałtownie naciskam hamulec, ręka ześlizguje mi się z kierownicy, samochód ostro skręca w lewo. Chwytam za klamkę. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że to głos z taśmy.

– Na pewno tęskniłaś za swoim małym samochodzikiem. Nie musisz mi dziękować, że ci go zwróciłem.

Jego głos ma na mnie natychmiastowy wpływ. Kurczę się i wciskam w fotel, jakbym chciała zniknąć, moje ręce są mokre od gorącego potu.

– Zapomniałaś o przysiędze małżeńskiej, Jennifer?

Przyciskam dłoń do klatki piersiowej w nadziei, że zdołam uspokoić dotykiem rozszalałe serce.

– Obiecałaś mi miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Miałaś mnie nie opuścić aż do śmierci.

Szydzi ze mnie. Tekst przysięgi, którą złożyłam przed laty, wypowiada zimnym, śpiewnym tonem. To chory człowiek, kompletnie szalony, nie mam już co do tego żadnych wątpliwości. Przeraża mnie sama myśl, że spędziłam tyle lat, śpiając z nim w jednym łóżku, nieświadoma, do czego jest zdolny.

– Pobiegłaś na policję z historyjkami na mój temat, nie wykazałaś się miłością, wiernością ani uczciwością wobec mnie, Jennifer. Mówić obcym, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami? Nieładnie. Pamiętaj, że sama się o to prosiłaś...

Nie słucham, co będzie dalej. Uderzam w przycisk odtwarzacza, płyta wysuwa się bardzo powoli. Chwytam ją i próbuję złamać na pół, ale nie mogę. Krzyczę, widzę odbicie własnej, wykrzywionej złością twarzy na lustrzanej powierzchni. Wychodzę z samochodu i wyrzucam płytę do rowu.

– Zostaw mnie w spokoju! – wołam. – Po prostu mnie zostaw!

Prowadzę gorączkowo i niebezpiecznie, opuszczam zabudowania Penfach. Drzę spazmatycznie, nie jestem w stanie zmieniać biegów, jadę na drugim, samochód protestuje. Rozbrzmiewają mi w uszach słowa lana, powtarzane raz po raz.

Aż do śmierci.

Widzę zawaloną szopę niedaleko drogi, żadnych innych domów w pobliżu. Ruszam wyboistym podjazdem w jej stronę. Nie ma dachu, tylko odsłonięte krokwie. W środku jakieś stare opony i zardzewiała maszyna. Może być. Parkuję samochód w rogu. Kiedy podnoszę z ziemi płachtę brezentu, oblewam się cuchnącą wodą zastałą w zagłębieniach. Przykrywam auto. Ryzykowne, lecz pod ciemnozielonym okryciem maszyna wtapia się w tło. Szopa nadal wygląda na miejsce, w którym od dawna nikt nie był.

Rozpocznę długą wędrówkę do domu. Wspominam dzień przybycia do Penfach, gdy przyszłość była jeszcze niepewna. Dziś wiem, co mnie czeka: jeszcze tylko dwa tygodnie w Penfach, potem podróż do Bristolu i wyrok. Bezpieczeństwo.

Mijam przystanek autobusowy, miarowy rytm kroków działa na mnie kojąco. Stopniowo się uspokajam. Ian się bawi, nic więcej. Gdyby zamierzał mnie zabić, już by to zrobił.

Wracam do domu późnym popołudniem, na niebie zbierają się ciemne chmury. Wchodzę do środka tylko po to, by włożyć kurtkę przeciwdeszczową i zawołać Beau. Zabieram go na spacer, niech sobie pobiega po plaży. Nad morzem mogę swobodnie oddychać, tego mi będzie najbardziej brakować.

Doznaję dojmującego wrażenia, że jestem obserwowana. Odwracam się plecami do morza. Ktoś stoi na szczycie urwiska, zwrócony w moją stronę, strach ściska mi wnętrzności, serce podchodzi do gardła. Wołam Beau, próbuję go złapać za obrozę, ale wyrywa mi się i szczekając, biegnie do mężczyzny na klifie.

– Beau, wracaj!

Pies ignoruje polecenie. Nie mogę się ruszyć z miejsca. Mężczyzna porusza się, dopiero kiedy Beau wbiega na ścieżkę, i bez wysiłku wchodzi na górę. Pochyla się, żeby go pogłaskać. Natychmiast rozpoznaję znajomy sposób poruszania się. Patrick.

Spotkanie z nim po naszej ostatniej rozmowie nie powinno mnie cieszyć, ale odczuwam tak silną ulgę, że mimowolnie biegnę śladami Beau, by do nich dołączyć.

– Jak się masz? – mówi.

– Dobrze. – Jesteśmy dwojgiem obcych sobie ludzi rozpoczynających zdawkową wymianę zdań.

– Zostawiłem ci kilka wiadomości.

– Wiem. – Na żadną nie odpowiedziałam. Wysłuchałam pierwszych, kolejne od razu wykasowałam, to było zbyt trudne. Nie chciałam wiedzieć, co mu zrobiłam. Wreszcie całkiem wyłączyłam telefon.

– Tęsknię za tobą, Jenno.

Rozumiałam jego złość i łatwiej mi było ją znieść niż ten cichy, błagalny ton, którym zwraca się do mnie teraz. Moja determinacja słabnie. Ruszam w stronę domu.

– Nie powinieneś tu przychodzić. – Odsuwam od siebie silną pokusę rozejrzenia się wokół. Umieram ze strachu, że Ian gdzieś nas obserwuje. Że zobaczy mnie z Patrickiem.

Kropla deszczu spada mi na policzek, wkładam kaptur. Patrick idzie obok mnie.

– Porozmawiaj ze mną, Jenno. Przestań uciekać!

Robię to przez całe życie, choć wiem, że nie powinnam.

Powietrze rozdziera huk pioruna i fala deszczu zapierająca dech w piersiach. Niebo ciemnieje w ułamku sekundy, znikają nasze cienie, Beau przywiera do ziemi, kuli uszy. Biegniemy do domu, w chwili gdy otwieram drzwi, błyskawica przecina niebo i rozlega się grzmot. Beau przebiega między naszymi nogami i pędzi na górę. Nie reaguje na moje wołanie.

– Sprawdzę, czy nic mu nie jest. – Patrick wchodzi po schodach, ja tymczasem zamykam drzwi na zasuwę. Kiedy dołączam do nich minutę później, znajduję go na podłodze sypialni. Tuli roztrzęsionego psa.

– Wszystkie są takie same – stwierdza z półuśmiechem. – Od ratlerka po pitbulla – wszystkie boją się burzy i fajerwerków.

Przyklękam, żeby pogłodzić Beau, który cichutko popiskuje.

– Co to jest? – Patrick patrzy na drewniane pudełko wystające spod łóżka.

– To moje – odpowiadam nerwowo i kopnięciem wsuwam skrzynkę głębiej.

Patrick robi wielkie oczy, nic jednak nie mówi. Wstaje niezdarne i znosi Beau na dół.

– Możesz spróbować włączyć radio, żeby go trochę uspokoić. – Zwraca się do mnie jak weterynarz do klientki. Albo z przyzwyczajenia, albo ma mnie dosyć. Kładzie psa na kanapie, okrywa kocem. Włączam radio na tyle głośno, by zagłuszyć bębniący deszcz i głucho uderzenia piorunów.

– Zajmę się nim – odzywa się, tym razem łagodniej.

Zagryzam usta.

– Zostaw go tutaj, kiedy będziesz wyjeżdżać. Nie musisz ze mną rozmawiać. Przyjdę po niego i przygarnę go, gdy ty... – Przerywa. – Kiedy ciebie nie będzie.

– Może mnie nie być przez wiele lat. – Głos mi się łamie przy ostatnich słowach.

– Zobaczymy. – Pochyla się i składa na moim czole leciutki jak mgła pocałunek.

Wyjmuję z szuflady zapasowe klucze, bierze je i wychodzi bez słowa. Próbuję powstrzymać cisnące się do oczu łzy, nie mam do nich prawa. Sama to sobie zrobiłam, a teraz muszę ponieść konsekwencje, niezależnie od tego, jak bardzo boli. Nieposłuszne serce podskakuje z nadzieją, gdy pięć minut później rozlega się pukanie do drzwi. Patrick czegoś zapomniał, myślę i otwieram bez wahania.

– Chcę, żebyś się wyprowadziła – oświadcza bez wstępu lestyn.

– Co? – Przytrzymuję się ściany, żeby nie upaść. – Dlaczego?

Nie patrzy mi w oczy, głaszcze Beau.

– Rano ma cię tu nie być.

– Ależ, lestynie, nie mogę! Wiesz, jaką mam sytuację. Muszę pozostać pod tym samym adresem, to jeden z warunków zwolnienia.

– Nie mój problem. – Nareszcie patrzy mi w oczy. Jemu też nie jest łatwo. Ma zacięty wyraz twarzy, ale w oczach maluje się współczucie. Powoli kręci głową. – Posłuchaj, Jenno, cała okolica wie, że rozjechałaś tego malucha i nie byłoby cię tutaj, gdybym nie wynajmował ci domu. Zachowują się tak, jakbym to ja osobiście kierował tym samochodem. Pojawi się tego więcej, to tylko kwestia czasu. – Wskazał graffiti na drzwiach, którego – mimo upartego skrobania – nie zdołałam usunąć. – Będzie jeszcze gorzej. Psie kupy w skrzynce na listy, petardy, benzyna. Bez przerwy piszą o takich rzeczach w gazetach.

– Nie mam dokąd pójść, lestynie – próbuję go bezskutecznie przebłagać.

– Nie chcą wystawiać mojego towaru w sklepie. Brzydzą się człowiekiem, który dał dach nad głową morderczyni.

Zachłystuję się powietrzem.

– Dziś rano nie chcieli obsłużyć Glynis. Ja dałbym radę, ale skoro wzięli się za moją żonę...

– Daj mi przynajmniej kilka dni – proszę. – Za dwa tygodnie mam się stawić w sądzie. Nie wrócę potem. Błagam, lestynie, pozwól mi zostać do tego czasu.

Chowa ręce do kieszeni i patrzy w morze. Czekam, nie mogę go już w żaden sposób nakłonić do zmiany zdania.

– Dwa tygodnie. I ani dnia dłużej. Jeżeli masz odrobinę oleju w głowie, trzymaj się z daleka od wioski.

ROZDZIAŁ 41

Przesiadywałaś całymi dniami w pracowni, wieczorami też tam chodziłaś, chyba że ci wyraźnie zabroniłem. Nie obchodziło cię, że ciężko pracuję w ciągu tygodnia i wieczorami tęsknię za odrobiną zainteresowania.

Przypominałaś mysz uciekającą do nory przy każdej sposobności. Jakimś cudem zyskałaś renomę w okolicy. Nie z powodu garnków. Wyrobiłaś sobie nazwisko tymi ręcznie lepionymi figurkami, nie większymi niż dwadzieścia centymetrów. Ich wykrzywione twarze i nieproporcjonalne ciała zupełnie do mnie nie przemawiały, ale sprzedawały się tak dobrze, że nie nadążałaś z ich produkcją.

– Kupiłem film na DVD do obejrzenia wieczorem – powiedziałem pewnej soboty, kiedy weszłaś do kuchni, by zrobić kawę.

– Dobrze. – Nie zapytałaś o tytuł filmu. Jeszcze go nie kupiłem, miałem zamiar później jakiś wybrać.

Wstawiłaś wodę, wsparłaś się o blat, włożyłaś ręce do kieszeni dżinsów. Miałaś rozpuszczone włosy, odgarnięte za uszy. Mój wzrok padł na otarty policzek. Zauważyłaś to i zakryłaś szramę włosami.

– Chcesz kawy?

– Poproszę. – Nalałaś wody do dwóch kubków, ale tylko do jednego dodałaś kawy. – Ty nie pijesz?

– Od kilku dni nie czuję się najlepiej. – Wrzuciłaś do swojego kubka plasterki cytryny.

– Skarbie, czemu nic nie powiedziałaś? Chodź, usiądź. – Podsunąłem ci krzesło, ale pokręciłaś głową.

– To nic takiego. Jutro mi przejdzie. Na pewno.

Objąłem cię i przycisnąłem policzek do twojego.

– Moje biedactwo. Zaopiekuję się tobą.

Odwzajemniłaś uścisk, kołysałem cię delikatnie w ramionach, dopóki się nie odsunęłaś. Kiedy to zrobiłaś, poczułem gorycz odrzucenia, a przecież próbowałem cię tylko pocieszyć. Zaciśnąłem zęby, popatrzyłaś na mnie czujnie. Ucieszyłem się, że nadal obchodzi cię, co myślę i robię. Jednocześnie byłem zirytowany.

Podniosłem rękę, uchyliłaś się i zamknęłaś oczy. Pogłaskałem cię i delikatnie wyjąłem coś z twoich włosów.

– Pajaczek – pokazałem ci. – Na szczęście.

Następnego dnia nie poczułaś się lepiej. Nalegałem, żebyś została w łóżku. Przyniosłem ci krakersy i czytałem na głos, dopóki nie powiedziałaś, że boli cię głowa. Chciałem wezwać lekarza na wizytę domową, ale obiecałaś pójść w poniedziałek do przychodni. Gładziłem twoje włosy, kiedy spałaś, obserwowałem ruch powiek i zastanawiałem się, o czym śnisz.

W poniedziałek rano zostawiłem na poduszce obok ciebie karteczkę z przypomnieniem, żebyś poszła do lekarza. Zatelefonowałem z pracy, ale

nie odebrałaś. Dzwoniłem co pół godziny: nie odbierałaś telefonu domowego i wyłączyłaś komórkę. Targany niepokojem o ciebie, postanowiłem pójść do domu podczas przerwy obiadowej.

Twój samochód stał na podjeździe. Przekręciłem klucz w zamku, drzwi były dodatkowo zamknięte na zasuwę. Siedziałaś na kanapie w salonie, schowałaś twarz w dłoniach.

– Nic ci nie jest? Odchodzę od zmysłów z niepokoju!

Popatrzyłaś na mnie bez słowa.

– Jennifer! Wydzwaniam do ciebie od rana – czemu nie odbierasz telefonu?

– Wysłałam. A potem... – Nie dokończyłaś zdania.

Poczułem wzbierający gniew.

– Nie przyszło ci do głowy, że mogę się martwić? – Chwyciłem rąbek swetra i podniosłem cię z kanapy. Krzyknęłaś, hałas odebrał mi jasność myślenia. Przygwoździłem cię do ściany, zacisnąłem rękę na twoim gardle. Czułem twój przyspieszony puls obok swojego.

– Proszę, nie! – zawołałaś.

Powoli, delikatnie, coraz mocniej zaciskałem palce na twojej szyi. Patrzyłem na swoją rękę, jakby należała do kogoś innego. Zaczęłaś się dusić.

– Jestem w ciąży.

Puściłem cię.

– Nie możesz być w ciąży.

– Jestem.

– Bierzesz pigułki.

Rozplakałaś się i opadłaś na podłogę, objęłaś kolana. Stałem nad tobą, usiłując zrozumieć, co usłyszałem. Byłaś w ciąży.

– To musiało się stać wtedy, kiedy zachorowałam.

Przykucnąłem, żeby cię objąć. Pomyślałem o własnym zimnym i nieprzystępnym ojcu: obiecałem sobie, że nigdy taki nie będę dla swojego

dziecka. Miałem nadzieję, że urodzisz chłopca. Będzie mnie podziwiał, będzie chciał być taki jak ja. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

Opuściłaś ramiona i popatrzyłaś na mnie. Trzęśtaś się, pogładziłem cię po policzku.

– Będziemy mieli dziecko!

Twoje oczy nadal lśniły od łez, ale z twarzy zniknęło napięcie.

– Nie jesteś zły?

– Dlaczego miałbym być zły?

Byłem w ekstazie. Teraz wszystko będzie inaczej. Wyobraziłem sobie ciebie z wielkim brzuchem, w zaawansowanej ciąży, całkowicie ode mnie zależną, wdzięczną za masaż stóp i szklankę herbaty. Po urodzeniu dziecka przestaniesz pracować, będę utrzymywał was oboje. Widziałem naszą przyszłość oczyma wyobraźni.

– To prawdziwy cud – oświadczyłem. Zesztywniałaś, kiedy chwyciłem cię za ramiona. – Wiem, że ostatnio nie układało nam się idealnie, ale to już przeszłość. Zaopiekuję się tobą. – Popatrzyłaś mi prosto w oczy. Ogarnęło mnie poczucie winy. – Już wszystko będzie dobrze. Bardzo cię kocham, Jennifer.

Do twoich oczu znów napłynęły łzy.

– Ja też cię kocham.

Chciałem wtedy przeprosić – za wszystko, co zrobiłem, za każde uderzenie – ale nieuformowane słowa stanęły mi w gardle.

– Nigdy nikomu nie mów – powiedziałem zamiast tego.

– O czym mam nie mówić?

– O naszych kłótniach. Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz.

Zacisnąłem palce na twoim ramieniu, miałaś w oczach lęk.

– Nigdy – szepnęłaś ledwie dosłyszalnie. – Nigdy nikomu nie powiem.

Uśmiechnąłem się.

– Przestań wreszcie płakać, zdenerwujesz dziecko. – Pomogłem ci wstać. – Niedobrze ci?

Pokiwałaś głową.

– Połóż się na kanapie, przyniosę koc. – Zaprotestowałaś, mimo to pomogłem ci się położyć. Nosiłaś mojego syna, miałem zamiar zaopiekować się wami obojgiem.

Denerwowałaś się przed pierwszą ultrasonografią.

– A jeśli coś jest nie w porządku?

– Dlaczego coś miałoby być nie w porządku?

Zwolniłem się z pracy i zawiozłem cię do szpitala.

– Umie już zacisnąć piąstki. Niesamowite, prawda? – powiedziałaś, patrząc w jedną z wielu książek na temat ciąży, które kupiłaś. Wpadłaś w jakąś obsesję, wciąż studiowałaś magazyny dla matek i szukałaś w sieci porad na temat porodu i karmienia piersią. Nieważne, co powiedziałem, rozmowa nieubłaganie schodziła na temat dziecięcych imion i listy rzeczy, których nam brakowało do skompletowania wyprawki.

– Niesamowite. – Znałem to na pamięć. Cięża nie przebiegała tak, jak się spodziewałem. Przede wszystkim uparcie kontynuowałaś pracę. Ponadto nie okazywałaś mi żadnej wdzięczności za masowanie stóp i robienie herbaty. Poświęcałaś więcej uwagi naszemu nienarodzonemu dziecku – nie miało pojęcia, że o nim mówisz – niż własnemu mężowi, który stał tuż przed tobą. Wyobraziłem sobie ciebie pochyloną nad noworodkiem, ślepą na mój udział w jego powstaniu, i przypomniał mi się kociak, z którym spędzałaś tyle godzin.

Kiedy lekarka smarowała twój brzuch żelem, trzymałaś mnie mocno za rękę. Ścisłałaś ją, dopóki nie usłyszeliśmy stłumionego bicia serca i nie zobaczyliśmy lekkiego poruszenia na ekranie.

– To jest główka – powiedziała lekarka. – Tu rączki. Patrzcie, on do was macha!

Roześmiałaś się.

– On? – powtórzyłem z nadzieją.

Lekarka uniosła głowę.

– Tak mi się powiedziało. Jeszcze nie widać, jakiej jest płci. Ale dziecko wygląda na zdrowe i ma właściwą masę na swój wiek. – Podała ci wydruk.
– Gratuluję.

Pół godziny później miałaś spotkanie z położną. Siedzieliśmy w poczekalni w towarzystwie kilku innych par. Naprzeciwko nas siedziała kobieta z groteskowo wielkim brzuchem. Musiała szeroko rozstawić nogi, żeby usiąść. Odwróciłem wzrok. Poczułem ulgę, kiedy poproszono nas do gabinetu.

Podałaś położnej swój niebieski folder, przejrzała go, sprawdziła dane i wręczyła ci ulotki na temat dbania o siebie w czasie ciąży.

– Jest już ekspertką – powiedziałem. – Przeczytała tyle książek, że wie wszystko.

Położna obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

– A pan, panie Petersen? Czy pan także jest ekspertem?

– Ja nie muszę. – Przytrzymałem jej spojrzenie. – To nie ja będę rodził.

Nie odpowiedziała.

– Zmierzę pani ciśnienie, Jenno. Proszę podwinąć rękaw i położyć rękę na biurku.

Zawahałaś się, nie od razu zrozumiałem dlaczego. Zacisnąłem zęby, oparłem się na krześle i obserwowałem was z pozorną obojętnością.

Siniak nad łokciem był zielony. Zbladł przez te kilka dni, ale uparcie tkwił na swoim miejscu. Sińce zawsze długo się utrzymywały na twojej skórze. Choć wiedziałem, że to niemożliwe, czasem odnosiłem wrażenie, że celowo nie chcesz się ich pozbyć. Żeby mnie wpędzać w poczucie winy. Przypominać, co zrobiłem.

Położna nic nie mówiła, a ja rozluźniłem się odrobinę. Zmierzyła ciśnienie, miałaś nieco za wysokie, i zapisała wynik. Następnie zwróciła się do mnie.

– Proszę przejść do poczekalni. Chciałabym zamienić parę słów z Jenną na osobności.

– Nie ma potrzeby – odparłem. – Nie mamy przed sobą tajemnic.

– To standardowa procedura – upierała się obcesowo.

Posłałem jej wyzywające spojrzenie, pozostała nieugięta.

– Dobrze. – Wstałem z ociąganiem i niespiesznie opuściłem gabinet. Stałem obok automatu z kawą, twarzą do drzwi.

Popatrzyłem na pozostałe pary, żaden z mężczyzn nie czekał sam, nikt inny nie został tak potraktowany. Wróciłem do gabinetu, otworzyłem sobie drzwi bez pukania. Wsunęłaś między notatki jakąś niebieską wizytówkę.

– Musimy przestawić samochód, Jennifer – powiedziałem. – Mamy wykupione miejsce tylko na godzinę.

– Och, dobrze. Przepraszam. – Przeprosiny skierowałaś do położnej, która odpowiedziała uśmiechem, mnie zupełnie zignorowała. Dotknęła twojego ramienia.

– Proszę dzwonić, gdyby miała pani jakiegokolwiek pytania. W ulotkach jest nasz numer.

Jechaliśmy do domu w milczeniu. Trzymałaś na kolanach wydruk prześwietlenia i raz po raz dotykałaś brzucha, jakby porównując odczucia z tym, co widziałaś na zdjęciu.

– O czym rozmawiałaś z położną? – spytałem w domu.

– Pytała o moją historię medyczną – odpowiedziałaś zbyt szybko. To była przemyślana wcześniej odpowiedź.

Nie uwierzyłem w twoje kłamstwo. Kiedy poszłaś spać, przeszukałem notatki w poszukiwaniu niebieskiej wizytówki. Nie znalazłem jej.

Obserwowałem zachodzące w tobie zmiany. Miałaś coraz większy brzuch, ale wbrew moim oczekiwaniom potrzebowałaś mnie coraz mniej. Stałaś się bardziej niezależna i odporna. Dziecko odbierało mi ciebie, a ja nie umiałem temu zapobiec.

Lato było tamtego roku wyjątkowo upalne. Chodziłaś po domu w spódnicy zrolowanej pod brzuchem i podwiniętej do góry bluzce. Nie mogłem patrzeć na twój wystający pępek. Nie rozumiałem, jak możesz chodzić w takim stroju, nawet otwierać drzwi.

Przestałaś pracować, chociaż do porodu zostało jeszcze kilka tygodni. Odwołałem sprzątaczkę – nie było sensu, żebym płacił komuś obcemu za sprząkanie, skoro siedziałaś w domu przez cały dzień, nic nie robiąc.

Pewnego dnia zostawiłem cię z rzeczami do prasowania, przed moim powrotem nie tylko skończyłaś prasowanie, ale też dokładnie posprzątałaś cały dom. Wyglądałaś na wyczerpaną, wzruszyło mnie twoje poświęcenie. Postanowiłem przygotować kąpiel, odrobinę cię porozpieszczać. Zastanawiałem się nad zamówieniem jedzenia na wynos albo nawet przyrządzeniem kolacji. Zaniósłem koszule na górę, zakręciłem kran nad wanną i zwołałem cię.

Kiedy odwieszałem koszule do szafy, coś zwróciło moją uwagę.

– Co to jest?

Speszyłaś się.

– Ślad po żelazku. Przepraszam. Zadzwoił telefon i zagapiłam się. Jest na samym dole, nie będzie nic widać, kiedy wsuniesz koszulę w spodnie.

Sprawiłaś wrażenie przerażonej, a to przecież było głupstwo. Odłożyłem koszulę i chciałem cię przytulić, ale wzdrygnęłaś się, zasłoniłaś brzuch i odwróciłaś głowę. Nawet nie miałem zamiaru cię uderzyć, ale zrobiłem to. Przez ciebie.

ROZDZIAŁ 42

Ray usiłował zaparkować samochód na ostatnim wolnym miejscu, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Odebrał połączenie na zestawie głośnomówiącym, nie przestał manewrować kierownicą.

Olivia Rippon od razu przeszła do rzeczy.

– Dziś po południu chcę zwołać spotkanie w sprawie Operacji Sokół.

Ray potrącił niebieskie volvo zaparkowane z tyłu.

– Cholera.

– Niezupełnie takiej reakcji oczekiwałam. – W głosie przełożonej zabrzmiała nuta rozbawienia, którą słyszał po raz pierwszy. Ciekawe, co wprawiło ją w dobry nastrój, pomyślał.

– Przepraszam.

Wysiadł z samochodu, zostawiając kluczyki w stacyjce, na wypadek gdyby właściciel volvo chciał wyjechać. Zerknął na zderzak – uderzenie nie pozostawiło widocznych śladów.

– Mówiła pani, że...

– Jesteśmy umówieni na poniedziałek w sprawie Operacji Sokół – wyjaśniła zaskakująco cierpliwie. – Chcę to przyspieszyć. Nie wiem, czy oglądałeś dziś wiadomości – skrytykowali kilka osób za zbyt dużą pobłażliwość w związku z gangami narkotykowymi.

Ach, stąd ten dobry humor, domyślił się.

– Dla nas to idealny moment, żeby się wykazać surowością. Trzeba przyspieszyć akcję o kilka dni.

Słowa szefowej zmroziły mu krew w żyłach.

– Dziś nie dam rady.

Cisza.

Nie doczekawszy się reakcji Olivii, sam był zmuszony przerwać milczenie.

– W południe mam spotkanie z dyrektorką szkoły mojego syna.

Plotka głosiła, że pani Rippon uczestniczyła w wywiadówkach własnych dzieci przez telefon, toteż nie spodziewał się zrozumienia.

– Ray. – Dobry humor wyparował. – Jak zapewne wiesz, bardzo wspieram wszystkich pracujących rodziców i walczyłam o ruchome godziny pracy dla nich. Ale ty – o ile się nie mylę – masz żonę, czyż nie?

– Mam.

– Czy ona wybiera się na to spotkanie?

– Tak.

– W takim razie w czym problem, jeżeli mogę spytać?

Ray oparł się o ścianę budynku i wzniosł oczy do nieba w poszukiwaniu inspiracji, zobaczył czarne chmury.

– Mój syn padł ofiarą znęcania się, pani komendant. To poważna sprawa. Po raz pierwszy mamy okazję porozmawiać z dyrekcją szkoły, odkąd

przyznali, że problem leży po ich stronie. Moja żona chce, żebyśmy poszli razem. – Przeklął siebie w duchu za zastanianie się Mags. – Ja chcę, żebyśmy poszli razem. Musimy być razem.

Olivia nieco złagodniała.

– Przykro mi to słyszeć, Ray. Dzieci potrafią przysporzyć zmartwień. Powinieneś iść, jeżeli uważasz, że jest taka konieczność. Niemniej jednak dziś rano odbędzie się oficjalne rozpoczęcie Operacji Sokół oraz konferencja prasowa, która umocni nasz wizerunek. Ktoś inny ją poprowadzi, skoro ty nie możesz. Porozmawiajmy za godzinę.

– Co za dylemat – mruknął, chowając telefon do kieszeni. Na jednej szali kariera zawodowa, na drugiej rodzina. Zamknął za sobą drzwi gabinetu, usiadł za biurkiem, złączył palce obu dłoni. Od dzisiejszego dnia dużo zależało, nie miał złudzeń – Olivia Rippon poddawała go próbie. Czy zasługuje na awans, czy sprawdzi się na wyższych stanowiskach w policji? Sam nie potrafił sobie odpowiedzieć – nie wiedział nawet, czego chce. Pomyślał o czekającej go w przyszłym roku wymianie samochodu, zagranicznych wakacjach – dzieci zaczną się upominać lada moment – o większym domu, na który zasługiwała Mags. Miał dwoje bystrych dzieci, prawdopodobnie będą chciały skończyć studia. Skąd wezmą pieniądze, jeżeli Ray nie zacznie się wspinać po szczeblach kariery? Wszystko wymaga pewnych wyrzeczeń.

Wziął głęboki oddech i wybrał numer domowy.

Konferencja w sprawie Operacji Sokół okazała się sukcesem. Przedstawiciele mediów zaprosili do Głównej Komendy na półgodzinne spotkanie, podczas którego Ray został przedstawiony jako „jeden z najlepszych policjantów w mieście”. Adrenalina przyjemnie krążyła w żyłach, kiedy odpowiadał na pytania dotyczące skali problemu narkotykowego na ulicach Bristolu, stanowiska policji oraz osobistego zaangażowania w przywrócenie bezpieczeństwa przez wyeliminowanie handlu ulicznego. Kiedy reporter stacji ITN poprosił go o podsumowanie, popatrzył prosto w kamerę i powiedział bez wahania: „Niektórzy handlarze narkotyków uważają, że są bezkarni. Że policja jest bezsilna w walce z nimi. To nieprawda. Dysponujemy środkami i jesteśmy zdeterminowani. Nie spoczniemy, póki nie znikną z naszych ulic”. Rozbrzmiały oklaski. Ray zerknął na komendantkę Rippon, skinęła głową ledwie dostrzegalnie. Dokonali czterestu aresztowań pod sześcioma adresami. Przeszukiwanie domów potrwa wiele godzin. Zastanawiał się, jak Kate sobie radzi z odpowiedzialnością za dowody rzeczowe.

Zatelefonował do niej przy najbliższej okazji.

– Idealne wyczucie czasu – powiedziała. – Jesteś na komisariacie?

– W swoim gabinecie. Czemu pytasz?

– Spotkajmy się za dziesięć minut w kantine. Chcę ci coś pokazać.

Po pięciu minutach był na miejscu i czekał niecierpliwie na Kate, która wkroczyła z uśmiechem na twarzy.

– Chcesz kawy? – zapytał.

– Nie mam czasu, muszę wracać. Ale spójrz tylko na to. – Podała mu plastikową torebkę na dowody rzeczowe. W środku była niebieska wizytówka.

– Taka sama jak ta z portfela Jenny Gray. Skąd ją masz?

– Była w jednym z domów, które dziś przeszukaliśmy. Nie jest zupełnie identyczna. – Wygładziła folię, żeby Ray mógł odczytać litery. – Taka sama wizytówka, to samo logo, inny adres.

– Ciekawe... W czyim domu leżała?

– Dominiki Letts. Nie chce mówić, czeka na adwokata. – Kate zerknęła na zegarek. – Cholera, muszę iść. – Podała Rayowi torebkę.

– Możesz ją zatrzymać, zrobiłam kopię. – Uśmiechnęła się i zniknęła. Ray oglądał wizytówkę. Adres niczym się nie wyróżniał – ulica domów mieszkalnych podobna do Grantham Street. Może zdoła uzyskać więcej informacji na podstawie symbolu? Dwie ósemki przerwane na dole. Jedna w drugiej – jak rosyjskie matrioszki.

Pokręcił głową. Przed wyjściem do domu musiał jeszcze sprawdzić, czy wszystko gotowe przed jutrzejszym procesem Gray. Schował torebkę do kieszeni.

Kiedy wsiadał do samochodu, było już po dziesiątej. Po raz pierwszy od rana ogarnęły go złe przeczucia – może popełnił błąd, przedkładając dziś pracę ponad rodzinę? Racjonalizował to sobie przez całą drogę i nim dojechał, przekonał sam siebie, że podjął właściwą decyzję. Doprawdy nie miał specjalnego wyboru. Zmienił zdanie, gdy usłyszał płacz Mags.

– Chryste, Mags! Co się stało? – Porzucił torbę w przedpokoju i przykucnął przed kanapą. Odsunął włosy z twarzy Mags. – Czy z Tomem wszystko w porządku?

– Nie! – Odepchnęła jego dłonie.

– Co powiedzieli w szkole?

– Podejrzewają, że to się ciągnie już od roku, ale nie mogli interweniować, dopóki nie mieli dowodów.

– A teraz mają?

Roześmiała się gorzko.

– O tak. Są dostępne w Internecie dla każdego. Kradzieże sklepowe, policzkowanie przypadkowych osób i tym podobne ekscesy. Opublikowane na YouTube.

Ray poczuł obrzydliwy ucisk w piersi na myśl, przez co musiał przejść jego syn. Było mu fizycznie niedobrze.

– Śpi? – Skinął głową w stronę sypialni.

– Tak sędzę. Musi być wyczerpany, wrzeszczałam na niego przez półtorej godziny.

– Wrzeszczałaś na niego? – Poderwał się na równe nogi. – Jezu, Mags, po tym wszystkim, co wycierpiał? – Ruszył w stronę schodów, ale Mags go odciągnęła.

– Nie masz pojęcia, co?

Popatrzył na nią pytająco. Nie rozumiał.

– Tak cię pochłonęło rozwiązywanie problemów w pracy, że zupełnie zignorowałaś, co się działo pod twoim własnym dachem. Nikt się nie znącał nad twoim synem, Ray. Tom znąca się nad innymi dziećmi.

Poczuł się, jakby dostał cios pięścią.

– Ktoś mu kazał...

Przerwała mu, tym razem delikatnie.

– Nikt go do niczego nie zmuszał. – Usiadła z westchnieniem. – Wszystko wskazuje na to, że Tom jest szefem małego, lecz wpływowego „gangu”. Jest ich sześciu – między innymi Philip Martin i Connor Axtell.

– Cóż za zaskoczenie – stwierdził ponuro Ray. Rozpoznawał te nazwiska.

– Tom był pomysłodawcą większości wybryków. Wagary, polowania na dzieciaki pod szkołą specjalną...

Ray miał mdłości.

– A przedmioty pod łóżkiem?

– Skradzione na zamówienie. Nie przez Toma – podobno nie lubi brudzić sobie rąk. – Nigdy nie słyszał takiej goryczy w głosie żony.

– Co teraz zrobimy? – W pracy mógł się podeprzeć protokołami, przepisami, zasadami. Całą ekipą ludzi. Teraz był kompletnie zdezorientowany.

– Naprawimy, ile się da – stwierdziła prostolinijnie. – Przeprósimy tych, których skrzywdził. Oddamy skradzione rzeczy. Ale przede wszystkim – dowiemy się, dlaczego to robi.

Nie odezwał się przez jakiś czas. Nie chciało mu to nawet przejść przez gardło. Z drugiej strony nie mógł zatrzymać dla siebie tej okropnej myśli, kiedy już się pojawiła.

– Czy to moja wina? Tak się stało, dlatego że nie mógł na mnie liczyć?

Ujęła go za rękę.

– Przestań, nie dręcz się. Wina zarówno twoja, jak i moja. Też niczego nie zauważyłam.

– Powiniennem być spędzać więcej czasu w domu.

Nie zaprzeczyła.

– Strasznie cię przepraszam, Mags. Muszę tylko awansować na nadinspektora i...

– Przecież kochasz to, co teraz robisz.

– Tak, ale...

– Po co chcesz awansować i to zostawić?

Ray osłupiał na moment.

– No... Dla nas. Żebyśmy mogli kupić większy dom, żebyś nie musiała wracać do pracy...

– Ależ ja chcę wrócić do pracy! – Popatrzyła na niego, zdesperowana. – Dzieci spędzają większość dnia w szkole, ty w pracy... Chciałabym zrobić wreszcie coś dla siebie. Planowanie nowej ścieżki zawodowej daje mi poczucie sensu i kierunku. Od lat mi tego brakuje. – W jej oczach pojawiła się łagodność. – Och, ty mój głuptasie.

– Przepraszam – powtórzył.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Daj dziś spokój Tomowi. Jutro nie poślę go do szkoły i porozmawiamy z nim rano. Teraz przedyskutujmy nasze sprawy.

Obudził się, kiedy Mags ostrożnie postawiła kubek z herbatą na szafce obok łóżka.

– Pomyślałam, że dziś, przed procesem Gray, będziesz chciał wcześniej wstać. Ma zapaść wyrok w jej sprawie, prawda?

– Tak, ale wystarczy, jeśli Kate pójdzie do sądu. Zostanę w domu, żeby porozmawiać z Tomem.

– To twój wielki dzień, Ray. Idź. Naprawdę. Ja pokręcę się z Tomem po domu jak wtedy, kiedy był mały. Przeczuwam, że ta rozmowa będzie polegać z naszej strony głównie na słuchaniu. On nie potrzebuje kazania.

Mam mądrą żonę, pomyślał Ray.

– Będiesz cudowną nauczycielką, Mags. – Wziął ją za rękę. – Nie zasługuję na ciebie.

Uśmiechnęła się.

– Może nie zasługujesz, ale niestety jesteśmy na siebie skazani. – Ucisnęła jego dłoń i zeszła na dół, a on wypił swoją herbatę. Usiłował sobie przypomnieć, od jak dawna poświęca więcej uwagi pracy niż rodzinie, ze wstydem uświadomił sobie, że nie pamięta już czasów, gdy było inaczej. Musi to zmienić. Mags i dzieci są absolutnym priorytetem. Jak mógł być tak ślepy na jej potrzeby? Jak mógł nie wiedzieć, że ona chce wrócić do pracy? Pojął, że nie tylko jemu doskwierała od czasu do czasu codzienna rutyna. Mags postanowiła z nią walczyć, znajdując nowe zajęcia. A co zrobił on? Zarumienił się na myśl o Kate.

Wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół po marynarkę.

– Tu jest. – Mags wychodziła z salonu. Wskazała wystającą z kieszeni foliową torebkę. – Co to jest?

Wyjął wizytówkę i podał Mags.

– Coś, co może być powiązane ze sprawą Gray. Usiłuję ustalić, co to za symbol.

Przyjrzała się uważnie karteczce.

– To człowiek, prawda? – powiedziała bez wahania. – Obejmuje inną osobę.

Ray otworzył usta. Popatrzył na wizytówkę i natychmiast dostrzegł to, co opisała Mags. Niekompletna, niekształtna ósemka była w rzeczywistości zarysem ludzkiej postaci obejmującej ramionami inną, mniejszą postać.

– Oczywiście! – krzyknął. Pomyślał o drzwiach domu na Grantham Street, zabezpieczonych kilkoma zamkami, i osiatkowanych oknach, chroniących przed ciekawskim wzrokiem. Pomyślał o lęku w oczach Jenny Gray. Powoli zaczynał rozumieć.

Na schodach rozległy się kroki, Tom zszedł na dół, wyglądał na przestraszonego. Ray utkwiał spojrzenie w synu, którego przez tyle miesięcy uważał za ofiarę. Tymczasem – jak wyszło na jaw – wcale nią nie był.

– Pomyliłem się – powiedział na głos.

– W czym się pomyliłeś? – spytała Mags. Raya już nie było.

ROZDZIAŁ 43

Wejście do Sądu Królewskiego w Bristolu jest schowane w wąskiej uliczce o adekwatnej nazwie Small Street.

– Muszę panią wysadzić tutaj, kochana – mówi taksówkarz. Jeżeli rozpoznał mnie ze zdjęcia w dzisiejszej gazecie, nie okazuje tego. – Trwają jakieś demonstracje przed sądem, nie będę wjeżdżał w ten tłum.

Zatrzymuje samochód na rogu ulicy. Z pobliskiego baru wychodzi grupa zadowolonych z siebie mężczyzn w garniturach, zapewne po suto zakrapianym obiedzie.

– Może drinka, skarbie? – Jeden z nich posyła mi znaczące spojrzenie.

Odwracam wzrok.

– Oziębła krowa – mruczy. Jego koledzy parszczą śmiechem. Oddycham głęboko, usiłuję powstrzymać atak paniki. Rozglądam się wokół. Czy Ian gdzieś tu jest? Obserwuje mnie?

Wysokie budynki po obu stronach wąskiej uliczki tworzą z niej ciemny, przyprawiający mnie o dreszcze tunel. Głosy i kroki odbijają się echem od ścian. Za przenośnymi balustradami stoi około trzydziestu demonstrantów. Kilku trzyma tablice z hasłami, przesłonili jedną z barierek wielkim prześcieradłem z wymalowanym na nim wielkimi, czerwonymi, spływającymi literami słowem: MORDERCZYNI! Po obu stronach zbiegowiska stoi dwóch policjantów w odblaskowych kurtkach: nie wzrusza ich głośne skandowanie ludzi:

– Sprawiedliwość dla Jacoba! Sprawiedliwość dla Jacoba!

Powoli podchodzę do wejścia. Żałuję, że nie wzięłam jakiegoś szala lub ciemnych okularów. Kątem oka dostrzegam mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy. Opiera się o ścianę, ale na mój widok prostuje plecy i sięga po telefon komórkowy. Przyspieszam, aby jak najszybciej znaleźć się w sądzie. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy dotrzymuje mi kroku. Jego rozmowa przez telefon trwa kilka sekund. Z kieszeni beżowego prochowca wystają obiektywy aparatów fotograficznych, ma przewieszoną przez ramię czarną torbę. Podbiega i wyjmuję z niej aparat. Nakłada obiektyw wprawnym ruchem profesjonalisty i robi mi zdjęcie.

Zignoruję ich, myślę, oddychając spazmatycznie. Wejdę do sądu, jakby ich tu nie było. Nie mogą mnie skrzywdzić – nie na oczach policjantów, którzy pilnują, żeby zostali za barierkami – będę udawać, że ich tu nie ma.

Kiedy odwracam się w stronę wejścia, mam przed sobą tę samą reporterkę, która zaczęła mnie kilka tygodni wcześniej pod innym sądem.

– Kilka słów dla „Post”, Jenno? Szansa na przekazanie swojej wersji?

Odwracam się i zamieram. Stoję teraz zwrócona twarzą do demonstrantów. Miarowe skandowanie przechodzi w pojedyncze okrzyki nienawiści i gwizdy. Tłum napiera na barierkę, która upada z głośnym, przypominającym wystrzał, łoskotem. Policjanci niespiesznie wyciągają ramiona i zagradzają drogę, prowadzą ludzi z powrotem za linię. Niektórzy nadal krzyczą, ale większość wesóło gawędzi między sobą, jakby przyszli na zakupy. Rozrywka na świeżym powietrzu.

Policjanci podnoszą balustradę, demonstranci wracają na swoje stanowisko, zostaje przy mnie tylko jedna kobieta. Jest młodsza ode mnie – wygląda na dwadzieścia kilka lat – i, w przeciwieństwie do pozostałych, nie trzyma żadnej tablicy ani banera. Ścisła coś w dłoni. Ma na sobie odrobinę przykrótką, brązową sukienkę, czarne rajstopy, niepasujące do nich brudne, białe tenisówki i rozpięty, mimo chłodu, płaszcz.

– Był takim grzecznym dzieckiem – odzywa się cicho.

Natychmiast dostrzegam podobieństwo do Jacoba. Jasnoniebieskie, lekko skośne oczy, twarz w kształcie serca i mały, spiczasty podbródek.

Tłum milknie, wszyscy nas obserwują.

– Prawie nigdy nie płakał. Nawet kiedy był chory – przytulał się do mnie, patrzył mi w oczy i czekał, aż wyzdrowieje.

Mówi nienaganną angielszczyzną, ale z akcentem, którego nie rozpoznaję. Chyba wschodnioeuropejski. Jej słowa brzmią jak wyuczone na pamięć, jakby recytowała, i chociaż wydaje się przy tym nieugięta, widzę, że jest wystraszona tym spotkaniem nie mniej ode mnie. Może bardziej.

– Urodziłam, sama będąc jeszcze dzieckiem. Jego ojciec chciał, żebym zrobiła skrobankę, ale nie mogłam. Za bardzo go kochałam, zanim jeszcze przyszedł na świat. – Mówi spokojnie, bez emocji. – Jacob był całym moim światem, miałam tylko jego.

Moje oczy wzbierają łzami, pogardzam sobą za taką reakcję – mama Jacoba ma suche oczy. Stoję wyprostowana, nie pozwalam sobie na otarcie policzków. Wiem, że ona, podobnie jak ja, wróciła teraz myślami do tamtej nocy, do chwili gdy wpatrywała się w zamazaną od deszczu przednią szybę, mrużąc powieki w świetle reflektorów. Dziś nic nas nie dzieli, widzi mnie tak wyraźnie jak ja ją. Dziwi mnie jej spokój: dlaczego mnie nie bije, nie gryzie, nie drapie paznokciami po twarzy? Nie wiem, czy na jej miejscu byłabym w stanie nad sobą zapanować.

– Anya! – woła ją jeden z demonstrantów. Nie zwraca na niego uwagi. Podaje mi fotografię.

Nie widziałam tego zdjęcia w żadnej z gazet ani w sieci: szczerbaty uśmiech i szkolny mundurek, główka zwrócona w stronę obiektywu. Miał tu trzy, może cztery latka. Wspiera się o ramię matki, oboje leżą na plecach w wysokiej trawie upstrzonej dmuchawcami. Jedna ręka Anyi wystaje poza kadr, jakby sama zrobiła zdjęcie. Jacob patrzy w obiektyw, mrużąc oczy od

słońca, śmieje się. Anya także jest roześmiana, ale ona patrzy na Jacoba, w jej źrenicach są dwa maleńkie odbicia synka.

– Bardzo mi przykro. – Słowa brzmią banalnie, ale nie umiem znaleźć innych ani milczeć w obliczu jej cierpienia.

– Ma pani dzieci?

Myślę o swoim synku, o jego leciutkim ciałku owiniętym w szpitalny kocyk, o bólu w moim łonie, który nigdy nie ustąpił. Powinno być jakieś specjalne określenie na bezdzietną matkę, na kobietę, którą żałoba po dziecku czyni niekompletną.

– Nie. – Chciałabym powiedzieć coś jeszcze, lecz nie wiem co. Chcę zwrócić Anyi jej zdjęcie. Kręci głową.

– Nie potrzebuję go – mówi. – Tutaj noszę jego podobiznę. – Przykłada otwartą dłoń do piersi. – Ale pani... – Milknie na moment. – Myślę, że pani musi pamiętać. Musi pani pamiętać, że był taki chłopiec. Że miał matkę. Której pękło serce.

Schyla się pod barierką i znika w tłumie demonstrantów. Chwytam haust powietrza, jakbym wynurzyła się z wody.

Mój obrońca jest czterdziestoletnią kobietą. Patrzy na mnie z zawodowym zainteresowaniem, kiedy wchodzi do małej salki pilnowanej przez ochroniarza.

– Ruth Jefferson. – Wita mnie mocnym uściskiem dłoni. – To dość prosta sprawa, pani Gray. Przyznała się już pani do winy, dziś zatem zapadnie jedynie wyrok. Wchodzimy tuż po pierwszej. Obawiam się, że rozprawę poprowadzi sędzia King. – Siada przy stole, na wprost mnie.

– Czy to źle?

– Powiedzmy, że nie słynie z pobłażliwości. – Ruth śmieje się gorzko, odsłaniając garnitur idealnych, białych zębów.

– Ile dostanę? – pytam mimowolnie. To nieważne. Najważniejsze, że postępuję właściwie.

– Trudno powiedzieć. Za niezatrzymanie się i niezgłoszenie wypadku grozi automatyczne zawieszenie prawa jazdy, ale to nieistotne, ponieważ za spowodowanie śmierci w wypadku drogowym z winy kierowcy grozi odebranie prawa jazdy na minimum dwa lata. Oraz kara więzienia do lat czterech. W pani sytuacji od dwóch do sześciu lat. Sędzia King będzie się

skłaniał ku maksymalnemu wyrokowi, moim zadaniem jest przekonanie go, że dwa lata będą bardziej sprawiedliwą karą. – Zdejmuje skuwkę z pióra. – Historia chorób umysłowych w rodzinie?

Kręcę głową, w oczach adwokatkę pojawia się błysk rozczarowania.

– Porozmawiajmy o zdarzeniu. Czy przy tak słabej widoczności, jaka była tamtego dnia, widziała pani chłopca, zanim w niego uderzyła?

– Nie.

– Ma pani jakieś przewlekłe choroby? Przydają się w takich sprawach. A może źle się pani poczuła?

Patrzę na nią pustym wzrokiem, cmoka z dezaprobatą.

– Utrudnia mi pani pracę, pani Gray. Cierpi pani na alergię? Czy tuż przed wypadkiem miała pani na przykład atak kichania?

– Nie rozumiem.

Wzdycha i wyjaśnia mi powoli, niczym dziecku.

– Sędzia King zapoznał się już z notatkami z pani sprawy i wie, jaki wydać wyrok. Moim zadaniem jest przedstawienie incydentu jako niefortunnego wypadku. Wypadku, którego można było uniknąć i którego niezmiernie pani żałuje. Nie chciałabym nic podpowiadać, ale gdyby – na przykład – obezwładnił panią atak kichania...

– Ależ to nieprawda. – Tak to się robi? Jak najniższy wyrok dzięki kłamstwom? Czyżby nasz system sprawiedliwości był aż tak zdeprawowany? Czuję mdłości.

Ruth Jefferson przegląda notatki, nagle unosi na mnie wzrok.

– Czy chłopiec wbiegł pod koła bez ostrzeżenia? Matka zeznaje, że puściła jego rękę przed krawężnikiem...

– To nie jej wina!

Adwokatka unosi starannie wydepilowane brwi.

– Pani Gray – mówi gładko. – Nie mówimy tu o niczyjej winie. Dyskutujemy na temat okoliczności łagodzących niefortunnego wypadku. Proszę powściągnąć emocje.

– Przepraszam. Nie ma żadnych okoliczności łagodzących.

– Moja praca polega na tym, by je znaleźć. – Odkłada akta i pochyla się do przodu. – Proszę mi wierzyć, pani Gray, że między spędzeniem dwóch lat w więzieniu a sześciu istnieje kolosalna różnica. Jeżeli istnieje cokolwiek, co usprawiedliwia zabicie pięciolatka i ucieczkę z miejsca wypadku, teraz jest dobry moment, żeby o tym opowiedzieć.

Patrzymy na siebie.

– Chciałabym mieć jakieś usprawiedliwienie – mówię.

ROZDZIAŁ 44

Ray wparował do komisariatu, nie zdejmując płaszcza. Kate przeglądała raporty z nocy.

– Do mojego gabinetu. Już.

Wstała i poszła za nim.

– Co jest?

Nie odpowiedział. Włączył komputer i położył na biurku niebieską wizytówkę.

– Przypomnij mi, u kogo ją znalazłaś.

– U Dominiki Letts. Partnerki jednego z naszych podejrzanych.

– Co powiedziała?

– Bez komentarza.

Ray skrzyżował ramiona.

– To azyl dla ofiar przemocy.

Kate popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Dom na Grantham Street i ten tutaj. – Skinął głową, patrząc na niebieską kartę. – Myślę, że służą za azyl dla ofiar przemocy domowej. – Usiadł i założył ręce za głowę. – Wiemy, że partner Dominiki Letts znęcał się nad nią. Omal nie zaprzepaściliśmy z tego powodu Operacji Sokół.

Podjechałem pod ten adres po drodze do pracy. To samo, co na Grantham Street: czujniki ruchu nad drzwiami, osiatkowane okna, brak otworu na listy w drzwiach.

– Sądziś, że Jenna Gray także jest ofiarą?

Ray pokiwał z namysłem głową.

– Zauważyłaś, jak unika kontaktu wzrokowego? Jest nerwowa, strachliwa, zamyka się w sobie z byle powodu.

Nie zdążył rozwinąć swojej teorii, przerwał mu sygnał telefonu.

– Ktoś chce się z panem widzieć – oznajmiła Rachel. – Niejaki Patrick Mathews.

Nazwisko nic mu nie mówiło.

– Nie jestem z nikim umówiony, Rach. Możesz się go pozbyć? Niech zostawi wiadomość.

– Próbowałam, szefie. Ten mężczyzna bardzo nalega. Twierdzi, że musi z panem porozmawiać na temat swojej dziewczyny, Jenny Gray.

Ray popatrzył na Kate szeroko otwartymi oczami. Chłopak Jenny. Sprawdził go już, nie znalazł nic poza jednym ostrzeżeniem za pijaństwo w miejscu publicznym w czasach studenckich. Czyżby było coś jeszcze?

– Przyślij go. – Wyjaśnił Kate, z kim mają do czynienia.

– Przemocowiec?

– Nie wygląda. – Pokręcił głową.

– Mało który wygląda. – Przerwała raptownie, kiedy Rachel wprowadziła Mathewsa. Miał na sobie znoszoną kurtkę przeciwdeszczową i plecak przewieszony przez ramię. Przysiadł na brzegu krzesła obok Kate, które wskazał mu Ray. Wyglądał, jakby w każdej chwili był gotów do wyjścia.

– Podobno posiada pan informacje dotyczące Jenny Gray.

– Raczej przeczucie niż konkretne informacje.

Ray zerknął na zegarek. O pierwszej miała się zacząć rozprawa, chciał zdążyć na ogłoszenie werdyktu.

– Jakiego rodzaju przeczucie, panie Mathews? – Popatrzył na Kate, ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami. Patrick Mathews nie był mężczyzną, którego obawiała się Jenna. Kto nim zatem był?

– Proszę mi mówić po imieniu. Wiem, że mi nie uwierzycie, ale moim zdaniem Jenna jest niewinna.

Jego słowa zaintrygowały Raya.

– Ukrywa coś, co dotyczy wypadku – kontynuował Patrick. Roześmiał się gorzko. – Naprawdę sądziłem, że ten związek ma przyszłość. Ale jak to możliwe, jeżeli ona nie chce ze mną rozmawiać? – Uniósł bezradnie rękę. Ray pomyślał o Mags. Nigdy ze mną nie rozmawiasz, mówiła mu.

– Podejrzewa pan, co to może być? – zapytał ostrzej, niż zamierzał. Czy każdy związek skrywa w sobie tajemnice? – zastanawiał się.

– Jenna przechowuje pod łóżkiem pudełko. – Patrick sprawiał wrażenie speszzonego. – W normalnych okolicznościach nawet by mi nie przyszło do głowy, żeby przeszukiwać jej rzeczy, ale nie chciała mi zupełnie nic powiedzieć, a kiedy przypadkiem dotknąłem tego pudełka, strasznie się zdenerwowała i kazała mi je zostawić... Miałem nadzieję, że znajdę jakąś odpowiedź.

– Więc zajrzał pan do środka. – Zmierzył Mathewsa badawczym spojrzeniem. Nie wyglądał na agresywnego mężczyznę, ale przeszukiwanie cudzych rzeczy wskazywało na potrzebę kontroli.

Patrick pokiwał głową.

– Mam klucz do domu. Umówiliśmy się, że przyjadę dziś po psa. – Westchnął. – Teraz trochę żałuję. – Podał Rayowi kopertę. – Proszę zajrzeć do środka.

W kopercie był brytyjski paszport. Ray otworzył charakterystyczną, czerwoną książeczkę. Ze zdjęcia spoglądała na niego bez uśmiechu młodsza wersja Jenny z włosami związanymi w luźny kucyk. Jennifer Petersen.

– Jest mężatką. – Ray zerknął na Kate. Jak mogli tego nie wiedzieć? Policja dokładnie sprawdza wszystkich aresztantów. Coś tak podstawowego jak zmiana nazwiska nie powinno umknąć ich uwadze. Popatrzył na Patricka.

– Wiedział pan o tym?

Za dziesięć minut miało się rozpocząć posiedzenie sądu. Ray bębnił palcami o biurko. Nazwisko Petersen nie było mu zupełnie obce. Gdzieś już na nie natrafił.

– Wspominała, że była zameżna. Zakładałem, że się rozeszli.

Ray i Kate wymienili spojrzenia. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do sądu.

– Czy sprawa Gray już jest w toku? – Czekał na sprawdzenie.

Petersen, nie Gray. Popełnili poważny błąd.

– Dobrze, dziękuję. – Odłożył słuchawkę. – Sędzia King ma opóźnienie, zyskaliśmy pół godziny.

Kate wyprostowała się na krześle.

– Gdzie jest raport, który dałam ci przedwczoraj, po przyjęciu zgłoszenia o zaginięciu?

– Gdzieś w dokumentach.

Zabrała się do przeszukiwania biurka Raya. Podniosła trzy pierwsze teczki z aktami, leżące na tacy z korespondencją, rzuciła je na podłogę, nie znalazłszy wolnego miejsca na blacie. Błyskawicznie przeglądała dokumenty.

– Jest! – zawołała triumfalnie. Wyjęła raport z foliowej osłonki i upuściła na biurko przed oczyma Raya. Ze środka wypadły strzępy podartej fotografii. Patrick podniósł fragment, przyjrzał mu się z ciekawością i zerknął na Raya.

– Mogę?

– Proszę bardzo – zgodził się Ray, nie bardzo wiedząc na co.

Patrick poskładał w całość podartą widokówkę. Ray gwizdnął cicho, gdy ich oczom ukazał się krajobraz zatoki w Penfach.

– A zatem Jenna Gray jest siostrą, o którą martwi się Eve Mannings.

Przystąpił do działania.

– Panie Mathews, dziękuję za dostarczenie paszportu. Niestety muszę pana poprosić, aby poczekał na nas w sądzie. Rachel wskaże drogę. Dołączymy, kiedy tylko będziemy mogli. Kate, za pięć minut w Wydziale do Spraw Rodzinnych.

Kate odprowadziła Patricka na dół, a Ray sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Natalie? Mówi Ray z Wydziału Kryminalnego. Możesz wyciągnąć wszystko, co mamy, na temat Iana Petersena? Biały mężczyzna, po czterdziestce...

Ray pokonał schody i korytarz, po czym wbiegł przez drzwi z napisem: „Ośrodek Zapobiegania Przemocy”. Po chwili dołączyła do niego Kate. Razem nacisnęli dzwonek do drzwi Wydziału do Spraw Rodzinnych. Otworzyła im wesółą kobietą z upodobaniem do dużej biżuterii, o krótko ostrzyżonych, czarnych włosach.

– Znalazłaś coś, Nat?

Wpuściła ich do środka i przesunęła monitor komputera.

– Ian Francis Petersen, urodzony dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. W przeszłości notowany za jazdę pod wpływem alkoholu i napaść kwalifikowaną. Obecnie ma wystawiony nakaz ograniczający zbliżanie.

– Do kobiety o imieniu Jennifer? – spytała Kate, ale Natalie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Chodzi o Marie Walker. Pomogliśmy jej odejść od Petersena po sześciu latach systematycznego znęcania się. Wniosła oskarżenie, wywinął się. Zakaz zbliżania został wydany przez sąd cywilny i jest prawomocny.

– Czy przed Marie był ktoś inny?

– Dziesięć lat temu dostał pouczenie za napaść zwykłą. Na własną matkę.

Ray poczuł falę mdłości.

– Podejrzewamy, że Petersen jest mężem kobiety zamieszanej w wypadek, w którym zginął Jacob Jordan – powiedział. Natalie podeszła do metalowego regału, wysunęła szufladę i przejrzała zawartość.

– Jest. Tutaj znajdziecie wszystko, co mamy, na temat Jennifer i Iana Petersenów. Ostrzegam, że nie jest to przyjemna lektura.

ROZDZIAŁ 45

Na twoich wystawach ziało nudą. Odbywały się w różnych miejscach: starych hurtowniach, galeriach, sklepach, ale zawsze przychodzili ci sami ludzie: perorujący liberałowie w kolorowych szalach. Kobiety były nadmiernie owłosione i zawzięte, mężczyźni byli pozbawionymi wyrazu pantoflarzami. Nawet wino nie miało smaku.

Przez cały tydzień poprzedzający listopadowy wernisaż przysparzałaś mi kłopotów. Pomogłem ci przetransportować rzeźby na miejsce trzy dni wcześniej, a ty zostałaś tam, żeby wszystko przygotować.

– Jak długo można ustawiać kilka rzeźb? – zapytałem, kiedy wróciłaś późno drugą noc z rzędu.

– Tworzymy narrację – powiedziałaś. – Ludzie będą przechodzić od jednego eksponatu do kolejnego, a każdy ze zwiedzających ma do rzeźb przemawiać w określony sposób.

Parsknąłem śmiechem.

– Szkoda, że się nie słyszysz! Co za bzdury. Najważniejsze, żeby metki były ładne i czytelne. Resztą nie zaprzataj sobie głowy.

– Nie musisz przychodzić, jeśli cię to nie interesuje.

– Nie chcesz, żebym przyszedł? – Zmierzyłem cię wzrokiem. Oczy podejrzenie ci błyszczały i miałaś wojowniczo wysunięty podbródek. Ciekaw byłem, skąd ten nagły zastrzyk joie de vivre.

– Jeżeli masz się nudzić, lepiej nie. Poradzimy sobie.

W twoich oczach znów pojawił się ten nieprzenikniony wyraz.

– My? – Uniosłem pytająco brwi.

Speszyłaś się. Udałaś zajęta zmywaniem.

– Ja i Philip, organizator wystawy.

Czyściłaś garnek, który zostawiłem w zlewie, żeby się odmoczył. Stałem tuż za tobą, przygważdżając cię do szafki, moje usta znalazły się na wysokości twojego ucha.

– Organizator, tak? Tak do niego mówisz, kiedy cię posuwa?

– Nic takiego nas nie łączy. – Odkąd zaszłaś w ciążę, zaczęłaś się do mnie zwracać charakterystycznym tonem. Mówiłaś z przesadnym spokojem: jak

do histeryzującego dziecka albo do wariata. Cofnąłem się odrobinę, poczułem twój swobodniejszy oddech i znów cię przycisnąłem. Wydałaś dźwięk, jakbyś się dusiła, i chwyciłaś dłońmi krawędź zlewu.

– Nie pieprzysz się z Philipem? – wyplułem ci te słowa w zagłębienie szyi.

– Z nikim się nie pieprzę.

– Cóż, z całą pewnością nie robisz tego ze mną. W każdym razie nie ostatnio. – Poczuję, jak sztywniejesz. Spodziewałaś się, że wsunę ci rękę między nogi, chciałaś tego. Musiałem cię rozczarować z niejaką przykrością – twój kościsty zadek dawno przestał mnie pociągać.

Nadszedł dzień wystawy. Weszłaś na górę, żeby się przebrać, i zastałaś mnie w sypialni. Zauważyłem twoje wahanie.

– Widywałem cię nago – przypomniałem. Znalazłem czystą koszulę, powiesiłem ją na drzwiach szafy, rozłożyłaś swoje ubrania na łóżku. Obserwowałem, jak zdejmujesz spodnie od dresu i składasz bluzę do włożenia na następny dzień. Zostałaś w białym biustonoszu i pasujących do niego majtkach. Zastanawiałem się, czy wybrałaś biel celowo, aby kontrastowała z siniakiem na biodrze. Opuchlizna nadal była widoczna, skrzywiłaś się, siadając, jakbyś czyniła mi wyrzut. Włożyłaś szerokie Iniane spodnie i obszerny top z tego samego materiału, który wisiał na twoim kościstym ciele. Wybrałem duże, zielone korale z wieszaka na biżuterię.

– Pomóc ci zapiąć?

Po chwili wahania usiadłaś na stołku. Przełożyłem korale przez twoją szyję, odsunęłaś włosy na bok. Na sekundę zacisnąłem ci sznur na gardle, a ty zesztyniałaś. Parsknąłem śmiechem i zapiąłem zaczep.

– Pięknie – oświadczyłem. Nachyliłem się, żeby popatrzeć na twoje odbicie w lustrze. – Postaraj się dziś za bardzo nie zbłąźnić, Jennifer. Zazwyczaj robisz z siebie idiotkę przy tego rodzaju okazjach – za dużo pijesz i mizdrzysz się do gości.

Włożyłem koszulę i blad różowy krawat. Uzupełniłem całość marynarką i popatrzyłem w lustro, zadowolony z efektu.

– Możesz prowadzić, bo nie będziesz piła.

Kilka razy proponowałem, że kupię ci nowy samochód, ale uparłaś się zatrzymać tę starą, poobijaną fiestę. Ograniczyłem do minimum podróżowanie nią, ale nie miałem najmniejszego zamiaru wpuszczać cię za kierownicę mojego audi po tym, gdy go zarysowałaś przy parkowaniu.

Usiadłem na siedzeniu pasażera twojego obrzydliwego auta i pozwoliłem, żebyś mnie zawiozła na wystawę.

Bar oblegała już spora grupa ludzi, powitał nas szmer uznania. Ktoś zaczął klaskać, pozostali dołączyli. Przy takiej liczbie osób efekt był żenujący, nie sposób było tego nazwać aplauzem.

Poddałaś mi kieliszek szampana, dla siebie też wzięłaś. Podeszedł do nas mężczyzna o ciemnych włosach, układających się w fale. Po błysku w twoich oczach odgadłem, że to Philip.

– Jenna! – Pocałował cię w oba policzki, a ty dotknęłaś go przelotnie – pewnie myślałaś, że nie zauważę. Takie przelotne dotknięcie mogłoby nawet być przypadkowe. Nie było, wiedziałem o tym.

Przedstawiłaś mnie, Philip podał mi rękę.

– Na pewno jest pan z niej dumny.

– Moja żona jest niezwykle utalentowana. Oczywiście, że jestem z niej dumny.

Krótką chwilę ciszy przerwał Philip.

– Przepraszam, muszę pana na chwilę rozdzielić z żoną, żeby ją przedstawić kilku osobom. Jej prace wzbudzają duże zainteresowanie i... – Mrugnął do mnie i znacząco potarł palce.

– Nie mam zamiaru stawać na drodze potencjalnym kupcom – zapewniłem.

Obserwowałem, jak brylujecie w towarzystwie. Philip przez cały czas obejmował cię ręką w pasie. Byłem już pewien, że macie romans. Nie wiem, jakim sposobem przetrwałem do końca wystawy, nie spuszczałem cię z oka. Skończyłem szampana i przerzuciłem się na wino, stałem obok baru, żeby sobie oszczędzić chodzenia w tę i z powrotem. Patrzyłem na ciebie przez cały czas. Miałaś na twarzy uśmiech, jakiego już nie widywałem. Przypomniałem sobie roześmianą dziewczynę, którą poznałem przed laty w klubie studenckim. Przestałaś się śmiać w mojej obecności.

Opróżniłem butelkę i zamówiłem kolejną. Barmani wymienili między sobą spojrzenia, ale nie zaprotestowali. Ludzie zaczęli wychodzić. Żegnałaś ich: niektórych pocałunkiem w policzek, innych uściskiem dłoni. Nikogo nie traktowałaś tak przyjaźnie jak pana organizatora. Została już tylko garstka zwiedzających, kiedy podeszedłem i powiedziałem ci, że na nas już czas.

Wyglądałaś na zmieszaną.

– Nie mogę jeszcze wyjść, Ianie. Nadal mamy gości, a potem muszę pomóc sprzątać.

– Nie szkodzi, Jenno – wtrącił się Philip. – Biedny Ian nie miał okazji zamienić z tobą dwóch zdań. Nic dziwnego, że chce uczcić sukces. Ja posprzątam, a ty przyjedź jutro po rzeźby. Świetna robota – gratuluję! – Cmoknął cię w policzek. Teraz tylko raz, ale moja wściekłość groziła wybuchem. Nie byłem w stanie się odezwać.

Skinęłaś głową. Wyglądałaś na rozczarowaną zachowaniem Philipa – miałaś nadzieję, że poprosi, abys została? Że mnie odeśle do domu samego i zostanieie we dwójkę? Mocno ścisnąłem twoją rękę, kiedy do niego mówiłaś. Wiedziałem, że nawet nie piśniesz. Powoli zaciskałem palce coraz mocniej.

Philip wreszcie skończył rozmowę i podał mi dłoń do uściśnięcia. Musiałem cię puścić. Odetchnęłaś głęboko i nakryłaś jedną rękę drugą.

– Bardzo się cieszę, że cię poznałem, Ianie. – Popatrzył na ciebie. – Opiekuj się nią, dobrze?

Co mu powiedziałaś? – pomyślałem.

– Zawsze staram się, jak umiem.

Ruszyłem do wyjścia, wbijając palce w twój łokieć.

– To boli – szepnęłaś. – Ktoś może zauważyć.

Nie wiem, skąd u ciebie taki ton, nigdy wcześniej go nie słyszałem.

– Jak śmiesz robić ze mnie idiotę? – syknąłem. Na schodach minęliśmy jakąś przyjaźnie uśmiechniętą parę. – Flirtowałaś z nim na oczach wszystkich. Dotykałaś i całowałaś go przez cały wieczór! – Na parkingu przestałem zniżać głos. Moje krzyki rozbrzmiewały w ciemności. – Pieprzysz się z nim, tak?

Nie odpowiedziałaś. Twoje milczenie rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej. Wykręciłem ci ramię do tyłu, krzyknęłaś z bólu.

– Przeprowadziłaś mnie tu, żeby się pośmiać, co?

– Nie! – Łzy spływały ci po policzkach i zostawiały ciemne plamy na bluzce.

Zacisnąłem pięść i poczułem znajome mrowienie.

– Dzień dobry – powiedział jakiś mężczyzna, który przeszedł obok.

Znieruchomiałem, staliśmy na wprost siebie, dopóki nie ucichł odgłos kroków.

– Wsiadaj.

Otworzyłaś drzwi od strony kierowcy, trzykrotnie próbowałaś włożyć kluczyki do stacyjki, nim zdołałaś uruchomić silnik. Było już całkiem ciemno, chociaż dopiero minęła czwarta po południu. Padał deszcz, oślepiały cię światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów. Za każdym razem kiedy odbijały się od mokrego asfaltu, mrużyłaś oczy. Nadal płakałaś, wycierałaś nos ręką.

– Popatrz tylko na siebie. Philip wie, że jesteś taka żalosna? Myszowata i zasmarkana?

– Nie śpiam z Philipem – powiedziałaś z naciskiem, robiąc długie przerwy między słowami. Uderzyłem pięścią w deskę rozdzielczą.

Wzdrygnęłaś się ze strachu.

– Nie jestem w typie Philipa. On jest...

– Nie mów do mnie jak do kretyna, Jennifer! Mam oczy i widzę, co się między wami dzieje.

Ostro zahamowałaś na czerwonym świetle, następnie mocno nacisnęłaś pedał gazu, gdy zmieniło się na zielone. Obróciłem się, żeby cię lepiej widzieć. Chciałem odczytać myśli z twojej twarzy. Sprawdzić, czy myślisz o nim. Mogłem się założyć, że tak, chociaż usiłowałaś to ukryć.

Postanowiłem zrobić z tym porządek natychmiast po powrocie do domu. Sprawię, że nie pomyślisz już o niczym, tak zdecydowałem.

ROZDZIAŁ 46

Sąd Koronny jest starszy niż Sąd Pokoju, w wyłożonych drewnianą boazerią korytarzach panuje uroczysta atmosfera. Woźni wchodzą i wychodzą z sal sądowych, powiewają połami czarnych tog, wzbijając dokumenty na biurkach urzędników. Cisza onieśmiela niczym w bibliotece, gdzie zakaz mówienia sprawia, że chce się krzyżeć. Przyciskam dłonie do powiek – kiedy znów otwieram oczy, obraz jest zamazany. Chciałabym, aby

taki pozostał. Niewyraźne linie przedmiotów, zamglone kształty wydają się mniej groźne.

Teraz, gdy już tu jestem, czuję strach. Cała brawura, z jaką myślałam o tym dniu, wyparowała. Nadal przeraża mnie, co mógłby mi zrobić lan, gdybym stąd wyszła wolno, ale też panicznie boję się więzienia. Wbijam paznokcie w skórę dłoni. Mój umysł rozbrzmiewa echem kroków na metalowych korytarzach, wypełnia się obrazem szarych cel z wąskimi łózkami, o grubych ścianach, przez które nikt nie usłyszy moich krzyków. Czuję ostry ból, patrzę na krwawiącą rękę. Ocieram ją wierzchem dłoni, zostaje różowa smuga.

Umieszczają mnie w łoży dla oskarżonych, jest tam miejsce dla jeszcze kilku osób. Dwa rzędy krzesel przyśrubowanych do podłogi, z ruchomymi siedzeniami, jak w kinie. Szklana szyba z trzech stron. Poprawiam się na swoim miejscu. Sala sądowa wypełnia się ludźmi, a ja czuję się zażenowana. Przyszło dużo więcej osób niż na moje pierwsze przesłuchanie. Na ich twarzach nie maluje się zwykła ciekawość, lecz żarliwa nienawiść. Jakiś mężczyzna o oliwkowej skórze, w skórzanej kurtce za dużej o dwa numery, pochyła się naprzód, wbijając we mnie natarczywe spojrzenie, jego usta wykrzywia grymas zimnej wściekłości. Zaczynam płakać, kręci głową z obrzydzeniem.

Wyczuwam palcami rogi fotografii Jacoba, którą mam w kieszeni.

Każdemu adwokatowi asystuje grupa prawników. Wymieniają między sobą jakieś uwagi. Tylko woźni i prawnicy czują się tu swobodnie. Żartują w swoim gronie wyzywająco podniesionymi głosami. Dlaczego tak jest? – myślę. Czemu system celowo alienuje ludzi, którzy najbardziej go potrzebują? Wchodzi kolejna grupa zdenerwowanych ludzi. Wstrzymuję oddech na widok Anyi. Siada w pierwszym rzędzie obok mężczyzny w skórzanej kurtce, który ujmuje ją za rękę.

Musisz pamiętać, że był taki chłopiec, myślę. I że miał matkę. Której pękło serce.

Miejsca dla ławników są nadal puste, to jedyna część sali niewypełniona ludźmi. Dwanaście pustych krzesel. Wyobrażam sobie na nich kobiety i mężczyzn, którzy decydują o mojej winie na podstawie dowodów i zeznań. Oszczędziłam im tego: oszczędziłam im udręki niepewności, czy podjęli właściwą decyzję, oszczędziłam Anyi roztrząsania szczegółów śmierci jej syna. Ruth Jefferson twierdzi, że to zadziała na moją korzyść: sędziowie przychylniej patrzą na tych, dzięki którym oszczędzają na kosztach procesu.

– Proszę wstać, sąd idzie.

Sędzia jest starym człowiekiem, na jego obliczu wypisane są losy tysiąca rodzin. Obrzuca pomieszczenie byстрыm spojrzeniem, ale nie zatrzymuje go na mnie. Jestem tylko kolejnym rozdziałem w karierze pełnej trudnych decyzji. Może już znał wyrok.

– Wysoki Sądzie, Korona wnosi sprawę przeciwko Jennie Gray... – Asystentka sędziego czyta z kartki wyraźnie i rzeczowo. – Pani Gray, jest pani oskarżona o nieumyślne spowodowanie śmierci oraz ucieczkę z miejsca wypadku. – Podnosi na mnie wzrok. – Czy oskarżona przyznaje się do winy?

Ściskam fotografię Jacoba.

– Przyznaję się.

Stłumiony szloch z galerii dla publiczności.

To szloch matki, której pękło serce.

– Oskarżona może usiąść.

Oskarżyciel wstaje. Sięga po karafkę i bardzo wolno nalewa wody do szklanki. Odgłos wody nalewanej do szklanki jest jedynym dźwiękiem na sali sądowej. Wszystkie oczy zwracają się ku niemu, wtedy zaczyna mówić.

– Wysoki Sądzie, oskarżona przyznała się do spowodowania śmierci pięcioletniego Jacoba Jordana. Potwierdziła, że jej sposób prowadzenia pojazdu tamtej listopadowej nocy nie spełniał standardów, jakich można oczekiwać od rozsądnej osoby w pełni władz umysłowych. Policyjne śledztwo wykazało, że tuż przed uderzeniem zawadziła o chodnik i przekroczyła dozwoloną prędkość, wynoszącą pięćdziesiąt kilometrów, o około dwadzieścia kilometrów.

Mocno ściskam złączone dłonie. Próbuję oddychać wolnym, równym rytmem, ale ucisk w klatce piersiowej utrudnia mi nabranie powietrza. Kołatanie serca odbija się echem w mojej głowie, zamykam oczy. Widzę krople deszczu na samochodowej szybie, słyszę krzyk – własny krzyk – na widok małego chłopca, który biegnie chodnikiem, odwraca głowę i woła coś do mamy.

– Co więcej, Wysoki Sądzie, po potrąceniu Jacoba Jordana, które prawdopodobnie spowodowało jego natychmiastową śmierć, oskarżona pojechała dalej. – Patrzy po sali bez ławników, na których mógłby zrobić wrażenie swoją retoryką. – Nie wysiadła z samochodu. Nie wezwała

pomocy. Nie wykazała skruchy, nie próbowała nawet nic zrobić. Po prostu odjechała, zostawiwszy pięciolatka w ramionach zrozpaczonej matki.

Pamiętam, że zasłoniła go płaszczem. Światła reflektorów wydobywały każdy szczegół. Zakryłam usta dłonią, nie mogłam oddychać z przerażenia.

– Wysoki Sądzie, można próbować tłumaczyć zachowanie oskarżonej tym, że działała pod wpływem szoku po wypadku. Wpadła w panikę i odjechała, ale wtedy po kilku minutach, godzinach – nawet po całym dniu – odzyskałaby zdolność racjonalnego myślenia i postąpiła właściwie. Tymczasem oskarżona opuściła miasto i ukryła się w wiosce setki kilometrów od Bristolu, gdzie nikt jej nie znał. Owszem, przyznała się dziś do winy. Uczyniła to, uświadomiwszy sobie, że nie ma już dokąd uciekać. Oskarżenie wnosi, aby Wysoki Sąd wziął to pod uwagę, wydając wyrok.

– Dziękuję, mecenasie Lassiter. – Sędzia notuje coś na papierze, oskarżyciel kiwa głową i siada, odrzuciwszy do tyłu togię. Dłonie mam mokre od potu. Czuję falę nienawiści od strony galerii dla publiczności.

Moja obrończyni zbiera swoje notatki. Mimo że przyznałam się już do winy i pogodziłam z faktem, że ktoś musi zapłacić za śmierć Jacoba, nagle pragnę, żeby Ruth Jefferson o mnie walczyła. To ostatnia szansa, by coś powiedzieć, uświadamiam sobie i ogarniają mnie mdłości. Za chwilę sędzia wyda wyrok i będzie za późno.

Ruth Jefferson wstaje i otwiera usta, ale zanim wydobywa głos, drzwi sali sądowej otwierają się z rozmachem. Sędzia patrzy z wyraźnym niezadowoleniem.

Patrick tak nie pasuje do tego wnętrza, że przez chwilę go nie poznaję. Patrzy na mnie, wstrząśnięty. Siedzę w kajdankach za kuloodporną szybą. Co on tu robi? Towarzyszy mu komisarz Stevens, który kiwa lekko głową w stronę sędziego, następnie podchodzi do oskarżyciela i mówi coś do niego przyciszonym głosem.

Prokurator słucha uważnie, pisze coś na kartce i podaje ją Ruth Jefferson. Wokół panuje absolutna cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech.

Po przeczytaniu wiadomości z kartki moja adwokatka wstaje i zwraca się do sędziego:

– Wysoki Sądzie, możemy prosić o krótką przerwę?

Sędzia King wzdycha.

– Pani Jefferson, czy muszę przypominać, ile jeszcze rozpraw mnie dziś czeka? Miała pani sześć tygodni na konsultacje z klientką.

– Proszę o wybaczenie, Wysoki Sądzie. Na światło dzienne wyszły nowe, ważne informacje, które mogą się przyczynić do złagodzenia wyroku.

– Piętnaście minut, pani mecenas. Po takim czasie ogłoszę wyrok.

Kiwa głową asystentce.

– Proszę wstać, sąd idzie! – woła kobieta.

Sędzia King wychodzi, ochroniarz podchodzi, żeby zaprowadzić mnie z powrotem do celi.

– Co się dzieje?

– Bóg raczy wiedzieć, kochanie, dla nas to samo, co zawsze: z góry na dół, jak przeklęte jo-jo.

Odprowadza mnie do dusznej salki, w której rozmawiałam z prawniczką przed niespełną godziną. Niemal natychmiast zjawia się Ruth Jefferson, a tuż za nią wchodzi komisarz Stevens. Ruth zaczyna mówić, zanim zamykają za sobą drzwi.

– Pani Gray, zdaje sobie pani sprawę, że wprowadzanie sądu w błąd nie jest błahym przewinieniem?

Nie odpowiadam, prawniczka siada na krześle i wsuwa niesforny kosmyk ciemnych włosów pod perukę.

Komisarz Stevens wyjmuje z kieszeni paszport i kładzie go na stół. Nie muszę go otwierać, żeby wiedzieć, że należy do mnie. Zerkam na niego, na zniecierpliwioną Ruth Jefferson i dotykam paszportu. Pamiętam dzień, kiedy wypełniałam formularz dotyczący zmiany nazwiska. Jeszcze przed ślubem. Setki razy ćwiczyłam nowy podpis, wypytywałam Iana, która wersja wygląda najpoważniej i najbardziej do mnie pasuje. Ten paszport był pierwszym dowodem rzeczowym na zmianę mojego stanu cywilnego, nie mogłam się doczekać, kiedy go pokażę na lotnisku.

Komisarz Stevens opiera się rękami o stół, jego twarz jest teraz na wysokości mojej.

– Nie musi pani go dłużej chronić, Jennifer.

– Proszę mnie tak nie nazywać – wzdragam się.

– Co się naprawdę wydarzyło?

Nie odpowiadam.

Głos komisarza jest spokojny i cichy. Sprawia, że czuję się bezpieczniej.

– Nie pozwolimy, żeby panią znów skrzywdził, Jenno.

Zatem wiedzą. Powoli wypuszczam powietrze i patrzę najpierw na komisarza Stevensa, potem na Ruth Jefferson. Nie mam już sił. Stevens otwiera brązową teczkę z napisem „Petersen”. Moje nazwisko, nazwisko lana.

– Mnóstwo zgłoszeń na policję – mówi. – Dzwonili sąsiedzi, lekarze, przechodnie, ale nigdy pani, Jenno. Nigdy pani do nas nie zadzwoniła. A kiedy przyjeżdżaliśmy, nie chciała pani z nami rozmawiać. Odmawiała pani zeznawania przeciwko mężowi. Czemu nie pozwoliła sobie pani pomóc?

– Ponieważ on by mnie zabił.

Chwila ciszy, przerwana kolejnymi słowami komisarza:

– Kiedy uderzył po raz pierwszy?

– Czy to istotne? – Ruth zerka na zegarek.

– Tak – odpowiada szorstko detektyw. Prawniczka mruży oczy i wbija plecy w oparcie krzesła.

– Zaczęło się w noc poślubną. – Zamykam oczy na wspomnienie bólu, który wybuchł znienacka, i wstydu, że moje małżeństwo okazało się porażką, nim się na dobre rozpoczęło. Ian był taki czuły, kiedy wrócił, delikatnie przemył moją obolałą twarz. Powiedziałam, że jest mi przykro, i powtarzałam to przez siedem lat.

– Kiedy zgłosiła się pani do schroniska na Grantham Street?

Jestem zdziwiona, że ma tak dużo informacji.

– Nie zgłosiłam się. W szpitalu zwrócili uwagę na sińce, wypytywali o moje małżeństwo. Nic im nie powiedziałam, ale dali mi wizytówkę z informacją, że będę tam bezpieczna, gdybym potrzebowała pomocy. Nie uwierzyłam. Jak mogłabym być bezpieczna tak blisko lana? Ale zatrzymałam wizytówkę. Czuję się dzięki niej odrobinę mniej osamotniona.

– Nigdy nie próbowała pani od niego odejść? – W oczach policjanta maluje się nieskrywana złość, nie pod moim adresem.

– Wielokrotnie. Zaczynałam się pakować po jego wyjściu do pracy. Chodziłam po domu i zbierałam pamiątki, zastanawiałam się, ile realnie mogę ze sobą zabrać. Pakowałam wszystko do samochodu. Samochód nadal należał do mnie, rozumie pan?

Stevens kręci głową, że nie rozumie.

– Był zarejestrowany na moje panieńskie nazwisko. Przez przypadek. Zapomniałam go przerejestrować. Potem to się stało bardzo dla mnie ważne. Wszystko inne należało do lana: dom, firma... Miałam wrażenie, że przestałam istnieć, stałam się jego własnością. Nigdy nie przerejestrowałam wozu. Mała rzecz, wiem, ale... – Wzruszam ramionami. – Pakowałam się, a następnie odkładałam rzeczy z powrotem na miejsce. Za każdym razem.

– Dlaczego?

– Ponieważ wiedziałam, że mnie odnajdzie.

Komisarz Stevens przewraca kartki akt. Jest ich szokująco dużo, a przecież to tylko opis wydarzeń, które zakończyły się interwencją policji. Połamane żebra i wstrząs mózgu, konieczna hospitalizacja. Na każde udokumentowane obrażenie przypada tuzin ukrywanych.

Ray kładzie dłoń na teczce.

– Mogę?

Policjant pyta mnie wzrokiem o pozwolenie. Kiwam głową. Podaje akta prawnicze, która zaczyna je przeglądać.

– Odeszła pani dopiero po wypadku. Co się zmieniło?

Oddycham głęboko. Chciałabym mu powiedzieć, że wreszcie zebrałam się na odwagę, lecz to – oczywiście – byłoby kłamstwo.

– Ian mi groził – mówię cicho. – Powtarzał, że mnie zabije, jeśli pójdę na policję – jeżeli kiedykolwiek komukolwiek powiem, co się stało. To nie były czcze pogroźki, doskonale o tym wiedziałam. Tamtej nocy, po wypadku, pobił mnie tak mocno, że nie mogłam ustać o własnych siłach, przygwoździł mnie do zlewu i oblał mi rękę wrzątkiem. Zemdlałam z bólu. Potem zaciągnął mnie nieprzytomną do pracowni. Kiedy się ocknęłam, zniszczył na moich oczach wszystkie moje rzeźby. Wszystko, co kiedykolwiek stworzyłam.

Nie potrafię spojrzeć nikomu w oczy. Z trudem wydobywam słowa.

– Ian dokądś pojechał. Nie wiem dokąd. Pierwszą noc spędziłam na podłodze w kuchni, potem wczołgałam się po schodach na górę i położyłam do łóżka. Leżałam, modląc się o śmierć we śnie. Żeby nie mógł mnie dalej torturować, kiedy wróci. Ale on nie wracał. Nie było go przez kilka dni, a ja stopniowo odzyskiwałam siły. Zaczęłam fantazjować, że odszedł na zawsze, ale mógł wrócić w każdej chwili – nie zabrał ze sobą żadnych rzeczy. Tamtego dnia wyzbyłam się wszelkich wątpliwości – uprzytomniłam sobie, że jeśli z nim zostanę, pewnego dnia mnie zabije. Wtedy odeszłam.

– Jak zginął Jacob?

Dotykam zdjęcia chłopca, które mam w kieszeni.

– Pokłóciliśmy się. Miałam wystawę – najważniejszą w całej swojej dotychczasowej karierze. Zaczęłam się do niej przygotowywać kilka dni wcześniej z pomocą jej organizatora, mężczyzny o imieniu Philip. Ian upił się w trakcie poczęstunku, mimo że wystawa odbywała się w dzień. Oskarżył mnie o romans z Philipem.

– Miała pani z nim romans?

Rumienię się, słysząc tak intymne pytanie.

– Philip był gejem – odpowiadam. – Ian nie chciał mi uwierzyć. Płakałam, przez łzy nie widziałam wyraźnie, dokąd jadę. Padał deszcz, raz po raz oślepiały mnie światła samochodów nadjeżdżających z naprzeciwka. Krzyczał mi nad uchem wyzwiska. Wybrałam drogę przez Fishponds, żeby ominąć korek, ale Ian kazał mi zatrzymać samochód. Uderzył mnie i odebrał kluczyki, chociaż był tak pijany, że ledwo trzymał się na nogach. Prowadził jak szalenciec, nie przestając na mnie wrzeszczeć, jak to da mi nauczkę. Wjechaliśmy w osiedle domków jednorodzinnych, a on coraz bardziej przyspieszał. Byłam przerażona. – Wykręcam splecione dłonie.

– Nagle zobaczyłam tego chłopca i krzyknęłam, ale Ian nawet nie zwolnił. Potrąciliśmy go. Jego mama zgięła się wpół, jakby także została uderzona. Próbowałam wysiąść, lecz Ian włączył blokadę zamków i zaczął cofać. Nie pozwolił mi tam wrócić. – Nabieram haust powietrza, a kiedy je wydecham, z moich ust wydobywa się cichy jęk.

W małym pomieszczeniu zapada cisza.

– Ian zabił Jacoba – mówię. – Ale czułam się, jakbym to ja zrobiła.

ROZDZIAŁ 47

Patrick jest skupiony na prowadzeniu samochodu. Spodziewam się tysiąca pytań, tymczasem on milczy, dopóki nie zostawiamy za sobą zabudowań. Odzywa się, dopiero kiedy budynki ustępują miejsca zielonym polom i linii wybrzeża.

– Mogłaś pójść do więzienia.

– Taki miałam zamiar.

– Dlaczego? – Nie ocenia mnie, po prostu chce zrozumieć.

– Ponieważ ktoś musiał zapłacić za to, co się stało. Ktoś musiał stanąć przed sądem, żeby mama tego chłopca mogła spać spokojnie z myślą, że ktoś zapłacił za życie jej synka.

– Ale nie ty, Jenno.

Zanim wyszliśmy, zapytałam komisarza Stevensa, co mają zamiar powiedzieć matce Jacoba, zwalniając osobę, którą uważała za zabójczynię swojego dziecka.

– Wstrzymamy się do czasu aresztowania sprawcy. Potem jej powiemy.

Zdaję sobie sprawę, że swoim zachowaniem zmusiłam ją do przeżycia tego wszystkiego jeszcze raz.

– W pudełku, w którym znalazłem twój paszport – odzywa się znienacka Patrick – widziałem... widziałem dziecięcą zabawkę. – Przerywa, nie ubiera swojego pytania w żadne słowa.

– Należała do mojego syna. Miał na imię Ben. Byłam przerażona, kiedy dowiedziałam się o ciąży. Myślałam, że Ian wpadnie w szal, ale on się ucieszył. Obiecał, że się zmieni. Żałował tego, jak mnie traktował. Nie powiedział wprost, ale wyczuwałam, że żałuje. Dziecko może być punktem zwrotnym dla naszego związku, łudziłam się taką nadzieją. Jeszcze możemy być razem szczęśliwi, myślałam. Jako rodzina.

– Ale tak się nie stało.

– Nie. Na początku bardzo się starał. Usługiwał mi, doradzał, co powinnam, a czego nie powinnam jeść. W miarę jak mój brzuch stawał się coraz większy, on coraz bardziej się oddalał. Miałam wrażenie, że moja ciąża mu przeszkadza, denerwuje go. Pewnego dnia, w siódmym miesiącu ciąży, niechcący przypaliłam żelazkiem jego koszulę. Głupi wypadek – poszłam

odebrać telefon i zapomniałam o prasowaniu. Ian był wściekły. Uderzył mnie pięścią w brzuch, zaczęłam krwawić.

Patrick zatrzymuje samochód i wyłącza silnik. Patrę przez okno na jałową ziemię przy drodze, na przepełniony śmietnik, tańczące na wietrze papierki.

– Ian wezwał pogotowie, powiedział, że upadłam. Nie uwierzyli mu, ale co mogli zrobić? W karetce przestałam krwawić, nie potrzebowałam prześwietlenia, by wiedzieć, że dziecko nie przeżyło. Czułam to. Zaproponowali cesarskie cięcie – odmówiłam. Chciałam go urodzić, nie mogłam pozwolić, aby go tak po prostu ze mnie wyjęli.

Patrick chce mi podać rękę, lecz nie umiem przyjąć pocieszenia, i opuszcza ją z powrotem na siedzenie.

– Podali mi coś na wywołanie porodu, czekałam na oddziale razem z innymi matkami. Doświadczaliśmy tego samego: pierwsze skurcze, gazy, kontrole położnych i lekarzy. Jedyna różnica polegała na tym, że moje dziecko było martwe. Kiedy wywozili mnie na salę porodową, sąsiadka z łóżka obok pomachała mi i życzyła powodzenia.

– Ian został ze mną przy porodzie, chociaż nienawidziłam go za to, co zrobił, pozwoliłam mu trzymać się za rękę i całować w czoło. Nie miałam nikogo innego. Prześladowała mnie jedna myśl: gdybym nie spaliła tej koszuli, moje dziecko by nie umarło.

Zaczynam się trząść, przyciskam dłonie do kolan, żeby się uspokoić. Moje ciało było ciałem matki jeszcze wiele tygodni po śmierci Bena. Mleko wzbierało w piersiach i musiałam je wyciskać pod prysznicem, żeby zmniejszyć ból. Pewnego razu podniosłam wzrok i zobaczyłam Iana w drzwiach łazienki. Mój brzuch nadal był zaokrąglony po ciąży, miałam luźną skórę i rozstępy. Z opuchniętych piersi, z wyraźnie zarysowanymi pod skórą żyłami, sączyło się mleko. Zobaczyłam w oczach Iana obrzydzenie.

Usiłowałam z nim porozmawiać o Benie. Tylko jeden raz, kiedy ból po stracie stał się nie do zniesienia. Musiałam się z kimś podzielić swoją żalobą – z kimkolwiek – a wtedy nie miałam już nikogo innego, z kim mogłabym porozmawiać. Przerwał mi w pół zdania.

– To się nigdy nie wydarzyło – zakomunikował. – Nie było żadnego dziecka, ono nigdy nie istniało.

Ben nigdy nie oddychał, ale istniał. Żył we mnie, dzieliłam się z nim tlenem i pożywieniem, był częścią mnie. Ale już więcej o nim nie wspominałam.

Nie patrzę na Patricka. Teraz, kiedy już zaczęłam, nie umiem przestać.

– Po jego urodzeniu zapadła potworna cisza – mówię szybko. – Stwierdzono zgon, ktoś podał dokładną godzinę. Ułożyli go w moich ramionach, delikatnie, jakby nie chcieli go skrzywdzić, i zostawili nas samych. Długo tak leżałam, wpatrzona w jego buzię, rzęsy, usteczka. Gładziłam maleńką rączkę, wyobrażając sobie, że chwyta mnie za palce, ale potem po niego przyszli. Krzyczałam, kiedy go zabierali, nie chciałam go oddać, musieli mi dać coś na uspokojenie. Nie chciałam zasnąć, bo wiedziałam, że gdy się obudzę, znów będę całkiem sama.

Kiedy wreszcie podnoszę wzrok na Patricka, widzę łzy w jego oczach. Próbuję mu powiedzieć, że już dobrze, że nic mi nie jest, ale ja też płaczę. Siedzimy przytuleni do siebie w zaparkowanym na poboczu samochodzie aż do zachodu słońca. Później jedziemy do domu.

Patrick parkuje obok pola biwakowego i razem idziemy w stronę mojej chatki. Zapłaciłam czynsz do końca miesiąca, ale przypominam sobie ostatnią rozmowę z lestynem i zwalniam.

– Zadzwoń do niego. Wszystko wyjaśniłem. – Patrick czyta w moich myślach.

Jest spokojny i czuły, zwraca się do mnie jak do kogoś, kto dochodzi do siebie po długiej, ciężkiej chorobie. Czuję się bezpieczna, kiedy trzyma mnie za rękę.

– Przywieziesz Beau?

– Jeżeli chcesz.

Kiwam głową.

– Chcę, żeby wszystko wróciło do normy – mówię, lecz w tej samej chwili uzmysławiam sobie, że nie wiem, czym jest normalność.

Patrick zasłania okna i robi mi herbatę. Upewniwszy się, że jest mi ciepło i wygodnie, całuje mnie lekko w usta i wychodzi. Rozglądam się wokół, patrzę na fragmenty swojego życia nad zatoką: zdjęcia i muszle, miska z wodą dla Beau na podłodze w kuchni. Tutaj jest mój dom, w Bristolu nigdy go nie miałam.

Dotykam włącznika lampy na stoliku obok kanapy. To jedyne źródło światła na dole, daje ciepły, brzoskwiniowy poblask. Wyłączam lampę i pokój pogrąża się w ciemności. Czekam, moje serce bije spokojnie i miarowo, moje ręce są suche, po karku nie przebiega dreszcz strachu. Uśmiecham się: już się nie boję.

ROZDZIAŁ 48

Nie ma żadnych wątpliwości, że to właściwy adres? – Ray skierował swoje pytanie do Stumpy’ego, ale objął spojrzeniem wszystkich zebranych. W parę godzin po opuszczeniu budynku sądu skompletował ekipę, podczas gdy Stumpy pracował nad ustaleniem adresu Iana Petersena.

– Żadnych, szefie. Albercombe Terrace numer 72. Ten sam widnieje na spisie wyborców, rozliczeniach podatku drogowego i mandacie za przekroczenie prędkości sprzed paru miesięcy.

– Dobrze. Miejmy nadzieję, że jest w domu – zwrócił się do zniecierpliwionej ekipy. – Aresztowanie Petersena jest ważne nie tylko ze względu na rozwiązanie sprawy Jordana. Chodzi o bezpieczeństwo Jenny, nad nią Petersen znęcał się przez wiele lat.

Policjanci pokiwali głowami, na ich twarzach malowała się ponura determinacja. Wiedzieli, jakim człowiekiem był Ian Petersen.

– Kilka razy otrzymał od nas ostrzeżenia za używanie przemocy – mówił Ray. – Ma też na swoim koncie jazdę po pijanemu i zakłócanie porządku publicznego. Może być niebezpieczny, dlatego wchodzimy, zakuwamy go w kajdanki i wyprowadzamy. Jasne?

– Jasne – odpowiedzieli chórem.

– Ruszajmy.

Albercombe Terrace nie wyróżniało się niczym szczególnym, ulica, jakich wiele, o zbyt wąskich chodnikach i zbyt dużej liczbie zaparkowanych samochodów. Budynek o numerze 72 odróżniały od sąsiednich jedynie zaciągnięte zasłony w każdym oknie.

Ray i Kate zaparkowali na sąsiedniej ulicy i czekali na sygnał, że ekipy dotarły do domu Petersena. Kate wyłączyła silnik, siedzieli w milczeniu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Ray.

– No – mruknęła z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W żyłach Raya krążył ogień. Za kilka minut adrenalina pomoże mu w pracy, ale na razie nie miała ujścia. Postukiwał stopą o pedał sprzęgła i zerknął na Kate.

– Masz na sobie kamizelkę?

Zamiast odpowiedzi uderzyła się pięścią w klatkę piersiową. Miała. Ray zbyt dobrze wiedział, jak łatwo ukryć nóż, i był świadkiem zbyt wielu ataków, żeby ryzykować. Dotknął policyjnej pałki i pojemnika z gazem łzawiącym, żeby sobie dodać otuchy.

– Trzymaj się blisko mnie – upomniał. – I wycofaj się natychmiast, jeśli zobaczysz, że sięga po broń.

Kate uniosła brwi.

– Bo jestem kobietą? – prychnęła szyderczo. – Wycofam się, kiedy ty się wycofasz.

– Do diabła z polityczną poprawnością, Kate! – Uderzył otwartą dłońią w kierownicę. Umilkł i patrzył przez szybę na pustą ulicę. – Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś więcej, zaszumiały policyjne krótkofalówki.

– Zero sześć, szefie.

Jednostki potwierdzały swoją pozycję. Byli na miejscu.

– Przyjąłem – odpowiedział. – Aresztujcie go, jeśli będzie próbował uciec tylnymi drzwiami. My wchodzimy frontowymi.

– Tak jest – padła odpowiedź. Ray popatrzył na Kate.

– Gotowa?

– Bardziej nie będę.

Skręcili za róg i podeszli do drzwi z numerem 72. Ray zapukał i zajrzał przez szybę do środka.

– Widzisz coś?

– Nie. – Zapukał ponownie, odgłos odbił się echem na pustej ulicy.

Kate wyjęła krótkofalówkę.

– Tango Charlie 461 do bazy. Bravo Foxtrot 275?

– Dobra.

– Widzieliście jakikolwiek ruch? – zwróciła się bezpośrednio do policjantów zabezpieczających drugie wyjście.

– Nie.

– Przyjęłam. Zostańcie na miejscu.

– Tak jest.

– Do bazy: dzięki za połączenie. – Schowała krótkofalówkę i zwróciła się do Raya: – Czas użyć wielkiego czerwonego klucza.

Obserwowali, jak specjaliści wyważają drzwi. Rozległ się huk, prysnęły drzazgi i drzwi uderzyły o ścianę wąskiego korytarza. Ray i Kate stali z boku, podczas gdy oddział sprawdzał po kolei wszystkie pomieszczenia.

– Czysto!

– Czysto!

– Czysto!

Weszli do środka, pilnując się nawzajem, i czekali na potwierdzenie miejsca pobytu Petersena. Po zaledwie dwóch minutach podszedł do nich dowódca grupy.

– Nic z tego, szefie. – Pokręcił głową. – Dom jest pusty. Opróżnione szafy, sypialnia i łazienka. Wygląda na to, że zwiął.

– Cholera! – Ray uderzył pięścią w balustradę. – Kate, zadzwoń na telefon komórkowy Jenny. Dowiedz się, gdzie jest, i powiedz, żeby tam została. – Poszedł do samochodu, Kate pobięła za nim.

– Ma wyłączony telefon.

Ray uruchomił silnik.

– Dokąd teraz? – zapytała, zapinając pas bezpieczeństwa.

– Do Walii – odparł posępnie.

Wydawał jej po drodze instrukcje.

– Skontaktuj się z grupą wywiadowczą, niech zbiorą wszystko, co mamy, na temat Petersena. Skontaktuj się z posterunkiem w Oksfordzie – niech ktoś stamtąd pójdzie do Eve Mannings. Już raz jej groził, może wrócić.

Zadzwoń do południowej Walii, zgłoś zagrożenie życia Jenny Gr...
Petersen – poprawił się. – Niech ktoś do niej pojedzie.

Kate notowała i zdawała relację z każdej rozmowy telefonicznej.

– Na posterunku w Penfach nikogo dziś nie ma, wyślą patrol ze Swansea.
Jest jakiś ważny mecz i całe miasto zakorkowane.

Ray westchnął z irytacją.

– Mają pojęcie, co to przemoc domowa?

– Tak, i obiecali, że zrobią, co w ich mocy. Po prostu nie wiedzą, jak szybko
uda im się tam dotrzeć.

– Jezu, to jakiś żart.

Uderzała długopisem o szybę, próbując się połączyć z Patrickiem.

– Nie odbiera.

– Musimy się skontaktować z kimś miejscowym.

– Może z sąsiadami? – Połączyła się z siecią przez telefon.

– Nie ma tam żadnych sąsiadów... – Popatrzył na policjantkę. – Ależ tak,
pole biwakowe!

– Mam. – Znalazła i wybrała numer. – Odbierz, odbierz...

– Przełącz na głośnomówiący.

– Dzień dobry, pole biwakowe w Penfach, mówi Bethan.

– Dzień dobry, mówi posterunkowa Kate Evans z Wydziału Kryminalnego
Policji w Bristolu. Usiłuję się skontaktować z Jenną Gray, widziała ją pani
dziś?

– Dziś nie, kochana. Przecież miała być w Bristolu? – W głosie Bethan
pojawiła się nuta podejrzliwości. – Czy coś się stało? Co się stało w sądzie?

– Została uniewinniona. Proszę posłuchać, nie chcę pani ponaglać, ale
Jenna wyjechała stąd o trzeciej po południu. Chciałabym wiedzieć, czy
dotarła bezpiecznie do domu. Jechała z Patrickiem Mathewsem.

– Nie widziałam żadnego z nich. Ale Jenna z całą pewnością wróciła. Była na plaży.

– Skąd pani wie?

– Niedawno wróciłam ze spaceru z psem, widziałam jej pismo na piasku. Dość dziwne, inne niż zwykle.

Ray miał bardzo złe przeczucia.

– Jaka była treść tego napisu?

– O co chodzi? – zdenerwowała się Bethan. – Co przede mną ukrywacie?

– Co było napisane na piasku? – Nie miał zamiaru krzyczeć, przez chwilę wyglądało na to, że Bethan odłożyła słuchawkę.

– Zdrajczyń. Na piasku było napisane: Zdrajczyń. – Coś było bardzo nie w porządku i Bethan się tego domyśliła, słyszeli to w jej głosie, kiedy się wreszcie odezwała.

ROZDZIAŁ 49

Nie miałam zamiaru spać. Pukanie do drzwi podrywa mnie na nogi, masuję zdrętwiały kark. Dopiero po chwili przypominam sobie, że jestem w domu. Znów słyszę pukanie, tym razem bardziej natarczywe. Od jak dawna Patrick czeka, aż mu otworzę? Łapie mnie skurcz w łydce i krzywię się z bólu.

Kiedy przekręcam klucz, ogarnia mnie lęk, ale już nic nie mogę zrobić. Drzwi odskakują z impetem, uderzam o ścianę. Ian jest zaczerwieniony i ma urywany oddech. Przygotowuję się na cios, który nie następuje. Wolno zamyka drzwi na zasuwę, a ja liczę uderzenia własnego serca.

Raz, dwa, trzy.

Szybkie i mocne.

Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć.

Odwraca się do mnie z uśmiechem, który znam lepiej niż własny. Jego uśmiech nie obejmuje oczu – zapowiada, co mnie czeka; zawiera informację, że chociaż nadchodzi koniec, nie będzie on szybki.

Masuje mój kark, naciska mocno kciukiem na kość. Jest to nieprzyjemne, ale nie boli.

– Podałaś policji moje nazwisko, Jennifer.

– Nie...

Chwyta mnie za włosy i przyciąga do siebie. Zamykam oczy, spodziewając się eksplozji bólu, kiedy mój nos złamie się w zderzeniu z jego czołem. Kiedy unoszę powieki, widzę twarz łana oddaloną o parę centymetrów. Bije od niego zapach whisky i potu.

– Nie waż się mnie okłamywać, Jennifer.

Zamykam oczy i powtarzam sobie, że jestem w stanie to przetrwać, chociaż każda komórka ciała chce go błagać, aby zabił mnie od razu.

Chwyta mnie wolną ręką za brodę, przesuwa palcem wskazującym po wargach i wsuwa go w moje usta. Hamuję odruch wymiotny, kiedy naciska na język.

– Ty zdradliwa suko – mówi słodkim tonem, jak komplement. – Obiecałaś mi coś, Jennifer. Obiecałaś, że nie pójdziesz na policję. A dziś – co widzę? Sprzedałaś mnie za własną wolność. Moje pieprzone nazwisko – moje nazwisko! – jest w gazetach.

– Powiem im – próbuję mówić z jego palcem w ustach. – Powiem, że to nieprawda. Powiem, że kłamałam. – Moja ślina cieknie po jego ręce, patrzy na to z obrzydzeniem.

– Nie, ty już nic nikomu nie powiesz.

Jedną ręką wciąż trzyma mnie za włosy, drugą wymierza mi siarczysty policzek.

– Idź na górę.

Zaciskam dłonie w pięści, wiedząc, że nie mogę dotknąć pulsującej twarzy. Cicho przełykam krew.

– Proszę. – Mój głos jest chrapliwy i nienaturalny. – Proszę, nie... – Szukam właściwych słów, takich, które nie spowodują jeszcze większej agresji. Boję się, że mnie zgwałci. Zrobił to już przecież tyle razy – kolejny nie powinien mieć znaczenia, jednak nie mogę znieść myśli, że znów mógłby się do mnie zbliżyć.

– Nie chcę uprawiać seksu – mówię i przeklinam siebie w duchu, głos mi się łamie.

– Uprawiać seks? Z tobą? – Na moją twarz pryskają kropelki jego śliny. – Nie pochlebiaj sobie, Jennifer. – Rozluźnia uścisk i mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Na górę.

Nogi się pode mną uginają, kiedy pokonuję kilka kroków dzielących mnie od schodów. Chwytam za balustradę, czuję za plecami jego obecność. Usiłuję obliczyć, ile czasu dzieli mnie od powrotu Patricka, ale zupełnie straciłam rachubę.

– Rozbieraj się.

Wstyd mi, że tak łatwo ulegam.

Obserwuje moje zmagania ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Przestałam powstrzymywać płacz, choć wiem, że go złości. Nie mogę przestać płakać.

Ian zatyka odpływ w wannie. Odkręca kurek z zimną wodą, nie dotyka drugiego. Stoję przed nim naga i drżąca. Przygląda się z niesmakiem mojemu ciału. Kiedyś, jeszcze to pamiętam, całował moje ramiona i delikatnie, niemal z czcią, przesuwiał usta ku piersiom i na brzuch.

– Możesz winić wyłącznie siebie – stwierdza z westchnieniem. – Pozwoliłem ci odejść, chociaż mogłem po ciebie wrócić w każdej chwili. Nie chciałem cię już. Wystarczyłoby, żebyś trzymała gębę na kłódkę, i dalej wiodłabyś bez przeszkód swoją żalostną egzystencję. – Pokręcił głową. – Ale musiałaś wygadać, co? Poszłaś na policję i wszystko im wyśpiewałaś. – Zakręca wodę. – Włóż.

Nie protestuję. Wchodzę do wanny. Lodowata woda zapiera mi dech w piersiach. Czuję ból w całym ciele. Próbuję się oszukać, że to gorąca kąpiel.

– Wyszoruj się.

Podnosi z podłogi obok sedesu butelkę płynu do czyszczenia toalet, zdejmuje nakrętkę. Zagryzam usta. Kiedyś zmusił mnie do wypicia takiego płynu. Tego wieczoru, gdy wróciłam do domu po kolacji z przyjaciółmi ze studiów. Straciłam poczucie czasu, tłumaczyłam mu. Odmierzył nakrętkę i przelał płyn do kieliszka od wina. Przyglądał się, jak podnoszę go do ust. Powstrzymał mnie po pierwszym łyku, parsknął śmiechem, mówiąc, że tylko idiotka zgodziłaby się wypić płyn do toalet. Wymiotowałam przez całą noc, przez wiele dni czułam chemiczny posmak w ustach.

Nalewa płyn na flanelową szmatkę, część spływa do wanny, na powierzchni wody pojawiają się niebieskie kleksy, jak atrament na papierze. Podaje mi myjkę.

– Szoruj się.

Przesuwam nasączony wybielaczem materiał po ramionach, próbuję używać przy tym dużo wody, aby nieco rozcieńczyć detergent.

– Całe ciało, i nie zapomnij o twarzy. Zrób to jak należy, Jennifer, albo ci pomogę. Może zmyjesz część swoich grzeszków.

Pilnuje, żebym umyła toksycznym płynem każdą część ciała. Zanurzam się w lodowatej wodzie, aby ulżyć poparzonej chemikaliami skórze. Nie mogę powstrzymać szczękania zębami. Ból i upokorzenie są gorsze niż śmierć, której nie mogę się już doczekać.

Nie czuję stóp. Próbuję je rozmasować, lecz palce jakby należały do kogoś innego. Jest mi potwornie zimno. Kiedy próbuję usiąść, żeby uchronić przed lodowatą wodą przynajmniej połowę ciała, zmusza mnie do całkowitego zanurzenia. Wanna jest maleńka, muszę zgiąć nogi w nienaturalnej pozycji. Odkręca kurek z zimną wodą po raz kolejny, napełnia wannę po same brzegi. Nie słyszę już głośnego pulsowania krwi w uszach, moje serce bije coraz wolniej. Czuję się senna i osłabiona, głos Iana dobiega z bardzo daleka. Szczękam zębami, przygryzając język, prawie nie rejestruję bólu.

Ian stał nade mną, ale teraz przysiadł na zamkniętej klapie toalety. Patrzy na mnie bez emocji. Utopi mnie. To nie potrwa długo, już jestem ledwie żywa.

– Znalazłem cię bez problemu, wiesz – mówi niezobowiązującym, lekkim tonem, jak do starej znajomej, z którą umówił się w barze. – Założenie strony internetowej to prosta sprawa i nie wymaga wypełniania papierów, ale byłaś za głupia, by wiedzieć, że każdy może znaleźć twój adres.

Nie odpowiadam, a jemu to nie przeszkadza.

– Kobietom się wydaje, że potrafią funkcjonować bez mężczyzny u boku. Myślicie, że nas nie potrzebujecie, a pozostawione same sobie – nie potraficie niczego zrobić. Niczym się nie różnicie. I te kłamstwa! Boże, jak kobiety kłamią. Kłamstwo goni kłamstwo.

Jestem zmęczona. Strasznie zmęczona. Osuwam się pod wodę i podskakuję, nagle otrzeźwiona. Wbijam paznokcie w uda, prawie nic nie czuję.

– Myślicie, że się nie dowiemy. Zawsze was przyłapujemy, zawsze. Kłamstwa, zdrady, bezczelne oszustwa.

Jego słowa spływają po mnie.

– Od początku wyraźnie zaznaczyłem, że nie chcę żadnych dzieci.

Zamykam oczy.

– Ale my nie mamy nic do powiedzenia w tej kwestii, co? Kobieta decyduje. A co ze mną?

Myślę o Benie. Był tak blisko życia. Gdybym tylko zdołała go ochronić jeszcze przez kilka tygodni...

– Nagle oznajmia mi, że mam syna, i oczekuje entuzjazmu! Radości z dziecka, o które nie prosiłem. Dziecka, którego by nie było, gdyby mnie nie wrobiła.

Otwieram oczy. Białe płytki nad kranem są poprzecinane szarymi liniami, moje oczy wypełniają się wodą, wszystko mi się miesza. Ian mówi bez sensu. Nic z tego nie rozumiem. Chcę coś powiedzieć, ale mój język wydaje się za duży w stosunku do ust. Nie wrobiłam Iana w dziecko. Ucieszył się z ciąży, chociaż Ben nie był planowany. Powiedział, że wszystko będzie dobrze, inaczej.

Ian opiera łokcie na kolanach i przykłada złożone dłonie do ust, jakby się modlił, ale ma napięte mięśnie i pulsuje mu żyłka przy oku.

– Przedstawiłem jej sprawę jasno. Żadnych zobowiązań, powiedziałem. Wszystko zniszczyła. – Patrzy na mnie. – To miała być jednorazowa sprawa. Szybki numer bez znaczenia. Nie było powodu, żebyś się o tym dowiedziała. Dopóki nie zaszła w ciążę. Zamiast spieprzać do swojego kraju, postanowiła zostać i zamienić mi życie w piekło.

Usiłuję poskładać w całość to, co usłyszałam.

– Masz syna? – udaje mi się wykrztusić.

Wymuszony śmiech.

– Nie – poprawia mnie. – On nigdy nie był mój. To bękart tej dziwki, która sprzątała kible w naszej firmie. Ja tylko dostarczyłem spermy. – Wstaje i wygładza koszulę. – Przyszła do mnie, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Nie pozostawiłem jej żadnych złudzeń, powiedziałem jasno, że jeżeli zdecyduje się urodzić, będzie zdana wyłącznie na siebie. – Wzdycha. – Więcej się nie

pokazała, dopóki dzieciak nie zaczął szkoły. Potem nie dawała mi spokoju.
– Wykrzywia usta i nieudolnie naśladuje polski akcent. – On potrzebuje ojca, Ianie. Chcę, żeby Jacob wiedział, kto jest jego ojcem.

Unoszę głowę, wysiłek sprawia mi ból i wydaję cichy okrzyk. Chwytam krawędzie wanny, podciągam się do pozycji siedzącej.

– Jacob? Jesteś ojcem Jacoba?

Patrzy na mnie bez słowa. Potem brutalnie łapie mnie za rękę.

– Wyłaź.

Wypadam z wanny na podłogę, moje nogi są bezużyteczne po godzinie leżenia w lodowatej wodzie.

– Zakryj się. – Rzucam mi szlafrok, wkładam go natychmiast. Wdzięczność, którą czuję, napęłnia mnie pogardą do samej siebie. Kręci mi się w głowie od natłoku myśli. Jacob był synem Iana? Przecież kiedy odkrył, że to Jacob zginął w wypadku, musiał...

Wreszcie dociera do mnie cała prawda niczym ostrze noża zatapiane w brzuchu. Śmierć Jacoba nie była przypadkowa. Ian zabił własne dziecko, a teraz zabija mnie.

ROZDZIAŁ 50

Zatrzymaj się – powiedziałem.

Nie zareagowałaś, więc chwyciłem kierownicę.

– Ian, nie! – Walczyłaś ze mną o kontrolę nad kółkiem, zahaczyliśmy o krawężnik i zarzuciło nas na środek jezdni, prawie pod koła wozu nadjeżdżającego z naprzeciwka. Nie miałaś wyboru – musiałaś zdjąć nogę z gazu i nacisnąć hamulec. Samochód stanął w poprzek drogi.

– Wysiadaj.

Bez wahania spełniłaś polecenie, stanęłaś bez ruchu przy drzwiach, skąpana w deszczu. Podeszedłem do ciebie.

– Spójrz na mnie.

Nadal patrzyłaś w ziemię.

– Spójrz na mnie, mówię!

Uniosłaś powoli głowę i zagapiłaś się na coś za moim ramieniem. Zmieniłem pozycję, żeby przechwycić twój wzrok. Przeniosłaś go za moje drugie ramię. Mocno tobą potrząsnąłem. Chciałem sprowokować okrzyk bólu, miałem zamiar przestać, kiedy krzykniesz, ale ty zacisnęłaś zęby i milczałaś. Prowadziłaś ze mną gierki, Jennifer, nie miałem zamiaru pozwolić ci wygrać. Musiałaś krzyknąć.

Puściłem cię, nie zdołałaś ukryć wyrazu ulgi, który przemknął przez twoją twarz. Starłem go mocnym uderzeniem pięści.

Uderzyłem kostkami dłoni w twoją szczękę, rąbnęłaś głową o dach samochodu, osunęłaś się na asfalt. Wreszcie wydałaś z siebie odgłos, zapiszczałaś jak zbity pies, uśmiechnąłem się, zadowolony z tego drobnego zwycięstwa. Chciałem więcej, chciałem, żebyś błagała o przebaczenie, przyznała, że flirtowałaś i pieprzyłaś się z kim innym za moimi plecami.

Wiłaś się na mokrym asfalcie, a ja nie poczułem ulgi. Wciąż byłem rozgrzany do białości kipiącą furią. Skończymy w domu, pomyślałem.

– Wsiadaj do samochodu.

Wstałaś z wysiłkiem, bezskutecznie ocierałaś apaszką krew z ust. Chciałaś usiąść za kierownicą, lecz cię odepchnąłem.

– Z drugiej strony. – Ruszyłem, zanim zdążyłaś zamknąć drzwi. Krzyknęłaś, przestraszona, zatrzasnęłaś drzwiczki i gorączkowo szukałaś pasów bezpieczeństwa. Roześmiałem się, lecz to nie złagodziło wściekłości. Przez chwilę miałem wrażenie, że dostanę zawału serca, oddychałem z wysiłkiem i czułem ucisk w klatce piersiowej. Ty mnie doprowadziłaś do takiego stanu.

– Zwolnij – powiedziałaś z ustami pełnymi krwi. – Jedziesz za szybko. – Czerwone kropelki zaplamiły schówek na rękawiczki. Przyspieszyłem, byś nie myślała, że możesz mną rządzić. Jechaliśmy przez ciche osiedle schludnych domków jednorodzinnych. Wymijałem rząd samochodów zaparkowanych przy krawężniku, nacisnąłem pedał gazu, mimo że ktoś nadjeżdżał z naprzeciwka. Zastoniłaś twarz, kierowca drugiego auta zatrafił, rozbłyły światła, wróciłem na nasz pas w ostatniej chwili.

Ucisk w klatce piersiowej odrobinę zelżał. Nie zdejmując nogi z gazu, skręciłem w lewo, w długą uliczkę z drzewami po obu stronach. Poznałem ją, chociaż byłem tam wcześniej tylko jeden raz, znałem nazwę tej ulicy. Tam mieszkała Anya. Na tej ulicy ją przeleciałem. Kierownica wyslizgnęła mi się z rąk, uderzyliśmy w krawężnik.

– Proszę, lanie, proszę, zwolnij!

Na chodniku, niecałe sto metrów od nas, stała kobieta z małym dzieckiem. Dziecko miało na głowie czapkę z pomponem, a kobieta... Ścisnąłem kierownicę. Miałem przywidzenia. Wydawało mi się, że to ona, tylko dlatego, że tu mieszkała. To nie mogła być Anya.

Kobieta uniosła głowę. Miała rozpuszczone włosy i żadnego nakrycia głowy mimo pogody. Śmiała się, zwrócona twarzą do mnie, chłopiec biegł obok niej. Poczułem obezwładniający ból głowy. To była ona.

Przeleciałem ją tylko raz, potem rzuciłem. Nie byłem zainteresowany powtórką z rozrywki i nie miałem ochoty więcej widzieć jej ładnej, ale pustej twarzy. Nie poznałem jej od razu, kiedy zjawiała się znowu w zeszłym miesiącu. Nie chciała zostawić mnie w spokoju. Obserwowałem, jak idzie w stronę światła.

Pyta mnie o ojca, chce cię poznać.

Wszystko by zepsuła. Ten dzieciak wszystko by zepsuł. Zerknąłem na ciebie, patrzyłaś w dół. Dlaczego już na mnie nie patrzyłaś? Kiedyś kładłaś dłoń na moim udzie, gdy prowadziłem, i zwracałaś się twarzą do mnie. Teraz nawet nie patrzyłaś mi w oczy, prawie nigdy. Straciłbym cię, gdybyś dowiedziała się o dziecku z inną kobietą, nie miałbym szansy na odzyskanie ciebie.

Przechodzili przez ulicę. Pękała mi głowa. Jęknęłaś – irytujący dźwięk, jakby mucha brzęczała tuż nad uchem.

Nacisnąłem z całej siły pedał gazu.

ROZDZIAŁ 51

Zabiłeś Jacoba? – Z trudem przychodzi mi wypowiedzenie tych słów. – Ale dlaczego?

– Przeszkadzał – stwierdził po prostu. – Gdyby Anya trzymała się ode mnie z daleka, byliby cali i zdrowi. Sama jest sobie winna.

Myślę o kobiecie, którą widziałam przed budynkiem sądu. O jej zniszczonych tenisówkach.

– Prosiła o pieniądze?

Śmieje się.

– Pieniądze nie byłyby problemem. Nie, ona chciała, żebym zachowywał się jak ojciec. Żebym widywał się z dziećmi w weekendy, zabierał go do siebie, kupował pieprzone prezenty na urodziny... – Przerywa, kiedy próbuję ustać na obolałych nogach, ostrożnie przytrzymując się umywalki. Stopy zaczynają się rozgrzewać i pieką. Nie rozpoznaję własnego odbicia w lustrze.

– Dowiedziałybyś się o nim i o Anyi. Zostawiłabyś mnie.

Staje za moimi plecami i delikatnie kładzie dłonie na moich ramionach. Wygląda tak samo jak każdego ranka po pobiciu mnie, widziałam to spojrzenie wiele razy. Brałam je za skruchę – mimo że ani razu nie przeprosił – teraz uświadamiam sobie, że to strach. Strach, że zobaczę go takim, jakim naprawdę jest. Strach, że przestanę go potrzebować.

Pokochałabym Jacoba jak własnego syna, bawiłabym się z nim i kupowała mu prezenty, żeby zobaczyć radość na jego buzi. Nagle mam uczucie, jakby Ian zabrał mi nie jedno, lecz dwoje dzieci. I znajduję w sobie pokłady siły. Za te dwa stracone życia.

Udaję, że mi słabo, i opuszczam głowę, po czym odrzucam ją do tyłu, zebrawszy resztki sił. Słyszę okropne chrupnięcie.

Puszczam go i przykładam obie dłonie do twarzy, krew przecieka mu przez palce. Wymijam go i biegnę przez sypialnię na korytarz. Jest szybki, chwytam mnie za nadgarstek, zanim dobiegam do schodów. Zakrwawione palce ześlizgują się z mojej mokrej skóry, uderzam go łokciem w brzuch, próbując się wyswobodzić. Odpowiada ciosem, który odbiera mi oddech. Straciłam orientację w ciemnym korytarzu – gdzie są schody? Wysuwam stopę po omacku, dotykam palcami metalowej listwy przed pierwszym stopniem.

Nurkuję pod ramieniem Iana, opieram się obiema rękami o ścianę, zginam łokcie, jak przy robieniu pompek, i mocno się odpycham, uderzam w niego całym ciężarem ciała. Traci równowagę, wydaje krótki okrzyk i spada, objając się o stopnie.

Cisza.

Włączam światło.

Ian leży nieruchomo u podnóża schodów. Leży na brzuchu, zwrócony twarzą do płytek, ma ranę z tyłu głowy, z której sączy się krew. Obserwuję go, drżąc na całym ciele.

Chwytam się kurczowo balustrady schodów i bardzo powoli schodzę na dół, nie spuszczam oczu z nieruchomej sylwetki. Przystaję na przedostatnim stopniu, dostrzegłszy nieznaczny ruch klatki piersiowej Iana.

Mój oddech jest płytki i urywany, ostrożnie stawiam stopę na kamiennej podłodze obok Iana, zamieram jak dziecko, które bawi się w „Gąski, gąski, do domu”.

Przechodzę nad jego wyciągniętym ramieniem.

Chwyta mnie za kostkę. Krzyczę, ale jest już za późno. Upadam na podłogę, Ian wdrapuje się na mnie. Ma zakrwawioną twarz i ręce. Próbuje coś powiedzieć, krzywi się z wysiłku.

Wyciąga ręce, żeby pochwycić mnie za ramiona. Kiedy znajduje się na wysokości mojej twarzy, kopię go z całej siły kolaniem w krocze. Wydaje z siebie przeciągły ryk i zgina się wzdłuż bólu, ja się podrywam. Biegnę do drzwi, mokre palce dwukrotnie ześlizgują się z zasuw, zanim wreszcie otwieram je na oścież. Jest zimno, przez chmury przenika tylko odrobina księżycowego światła. Biegnę na oślep, już po chwili słyszę za plecami ciężkie stąpanie Iana. Nie odwracam się, żeby sprawdzić, jaka odległość nas dzieli, ale słyszę jego sapanie i postękiwanie.

Bieganie boso po kamieniach sprawia ból, niemniej odgłosy wydawane przez Iana zdają się cichnąć. Myślę, że zyskuję przewagę. Próbuję biec najciszej, jak to możliwe, wstrzymuję nawet oddech.

Huk fal uderzających o brzeg uświadamia mi, że ominęłam ścieżkę, którą mogłabym dotrzeć na pole biwakowe. Przeklinam własną głupotę. Pozostały mi dwa wyjścia: zbiec na plażę albo skręcić w prawo, na drogę, która prowadzi brzegiem morza poza miasteczko. Chodziłam tamtędy wiele razy z Beau, lecz nigdy po ciemku – droga jest zbyt blisko krawędzi urwiska, bałam się, że spadnie. Waham się przez sekundę, lecz uznaję, że właściwie nie mam wyboru. Zwiększę swoje szanse, jeśli będę cały czas biegła, a nie zostanę uwięziona na plaży. Skręcam w prawo, na skalistą ścieżkę. Wiatr przegonił część chmur, księżyc świeci odrobinę jaśniej.

Zwalniam i nasłuchuję. Słyszę tylko szum morza, uspokajam się nieco. Rytmiczne uderzenia fal o brzeg i odległe wycie syreny okrętowej. Łapię oddech i usiłuję myśleć.

– Nie masz dokąd uciec, Jennifer.

Odwracam się gwałtownie, nie widzę go. Wytężam wzrok, patrzę na zarośla, przejście, na mały budynek w oddali – to bacówka.

– Gdzie jesteś? – Wiatr porywa moje słowa. Otwieram usta do krzyku, Ian błyskawicznie zaciska przedramię na moim gardle, unosi mnie, zaczynam się dusić. Uderzam go łokciem między żebra, rozluźnia uchwyt na tyle, że mogę zaczerpnąć haust powietrza. Nie umrę teraz, postanawiam. Cała moja dorosłość to strach, ukrywanie się, ucieczki. Wreszcie poczułam się bezpiecznie, a on wrócił, by znów wszystko zabrać. Nie pozwolę. Uderza we mnie fala adrenaliny, pochylam się naprzód. Ian traci równowagę, wyzwalam się z jego uchwytu.

Nie uciekam. Dość już uciekania.

Kiedy sięga ręką w moją stronę, wymierzam mu cios pięścią w podbródek. Zatacza się do tyłu i przez kilka sekund balansuje na krawędzi przepaści. Próbuje uchwycić poły mojego szlafroka, palce muskają materiał. Krzyczę i odskakuję, jednak przez moment mam wrażenie, że razem roztrzaskamy się o skały. Upadam blisko krawędzi, ale zostaję na górze. Ian spada w dół. Patrzę w jego wytrzeszczone oczy, zanim znika w odmętach fal.

ROZDZIAŁ 52

Telefon Raya zadzwonił, kiedy wjeżdżali do Cardiff. Zerknął na wyświetlacz.

– Walijska policja.

Kate obserwowała jego twarz, gdy słuchał wieści z Penfach.

– Dzięki Bogu – powiedział. – Nie ma problemu. Dziękuję za informacje.

Rozłączył się i powoli wypuścił powietrze.

– Wszystko dobrze. No, może niezupełnie. W każdym razie Jenna żyje.

– A Petersen?

– Nie miał tyle szczęścia. Gonił ją ścieżką nad przepaścią, wywiązała się przepychanka i Petersen spadł.

– Co za śmierć. – Kate się skrzywiła.

– Nie zasłużył na lepszą – stwierdził Ray. – Wyczytałem między wierszami, że nie „spadł” w dosłownym tego słowa znaczeniu, jeśli wiesz, co mam na myśli. Mimo wszystko policja w Swansea słusznie zakwalifikowała zdarzenie jako wypadek.

– Wracamy na posterunek? – zapytała Kate po chwili milczenia.

– Nie ma sensu. – Pokręcił głową. – Jenna leży w szpitalu w Swansea, za godzinę możemy tam być. Dokończymy robotę, skoro już dojechaliśmy tak daleko, i zjemy coś przed powrotem do domu.

Ruch na drodze się zmniejszył i dotarli do szpitala w Swansea parę minut po siódmej. Przy wejściu na ostry dyżur stała grupka palaczy, z rękami na zaimprovizowanych temblakach, z obandażowanymi kostkami i innymi, nie tak oczywistymi obrażeniami. Ray ominął mężczyznę, który zaciągał się papierosem trzymany przez stojącą obok dziewczynę, zgięty wpół z bólu.

W środku było ciepło i pachniało środkami dezynfekującymi. Ray pokazał odznakę zmęczonej recepcjonistce, która pokierowała ich do sali w skrzydle C. Jenna leżała na łóżku, wsparta o stos poduszek.

Był wstrząśnięty widokiem jej posiniaczonej szyi. Proste, rozpuszczone włosy opadały na ramiona, na twarzy malowały się ból i zmęczenie. Patrick siedział obok, odłożył gazetę otwartą na stronie z krzyżówką.

– Hej – przywitał się cicho Ray. – Jak się pani czuje?

Posłała mu słaby uśmiech.

– Bywało lepiej.

– Dużo pani przeszła. – Stał przy szpitalnym łóżku. – Przepraszam, że go nie złapaliśmy na czas.

– To już bez znaczenia.

– Słyszałem, że zachował się pan jak prawdziwy bohater, panie Mathews – zwrócił się do Patricka, który uniósł dłoń w geście protestu.

– Niestety nie. Gdybym przyszedł godzinę wcześniej, może mógłbym się na coś przydać, ale zatrzymali mnie w lecznicy i zanim tam dotarłem... Cóż...

– Popatrzył na Jennę.

– Nie wiem, czy zdołałabym wrócić do domu bez twojej pomocy – wyznała.

– Możliwe, że leżałabym tam do tej pory, patrząc w dół, na fale. – Zadrżała. Ray poczuł chłód w dusznej szpitalnej sali. Jak ona się musiała czuć, leżąc na skraju przepaści...

– Powiedzieli, kiedy panią wypiszą?

Pokręciła głową.

– Chcą mnie zatrzymać na obserwacji, cokolwiek to znaczy. Mam nadzieję, że nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. – Popatrzyła na Raya i na Kate. – Będę miała kłopoty? Za to, że okłamałam was, mówiąc, kto prowadził?

– Mamy mały problem ze składaniem fałszywych zeznań – przyznał Ray. – Jednak skłaniamy się ku opinii, że w pani przypadku zbytnia drobiazgowość nie leży w interesie publicznym. – Uśmiechnął się, Jenna westchnęła z ulgą.

– Zostawimy panią w spokoju. – Popatrzył na Patricka. – Proszę się nią zaopiekować, dobrze?

Ze szpitala pojechali na pobliski posterunek policji. Miejscowy komisarz pragnął zamienić z nimi kilka słów. Frank Rushton był o pięć lat starszy od Raya, miał masywną sylwetkę, bardziej pasującą na sportowy ring niż do biura. Powitał ich ciepło, zaprosił do gabinetu, zaproponował kawę, za którą grzecznie podziękowali.

– Musimy wracać, Frank. Płacę posterunkowej Evans za nadgodziny.

– Szkoda. Właśnie wychodzimy coś zjeść na mieście. Jeden z naszych dowódców przechodzi na emeryturę, wyprawiamy mu małe pożegnanie. Bylibyście mile widziani.

– Dzięki, ale naprawdę nie możemy – powiedział Ray. – Zatrzymacie ciało Petersena czy mam się skontaktować z biurem koronera w Bristolu?

– Byłoby świetnie. Zostaw mi numer, jeśli masz przy sobie. Zadzwońię do nich, gdy tylko odnajdziemy zwłoki.

– Nie macie ich jeszcze?

– Nie, nie znaleźliśmy. Spadł do wody około półtora kilometra od domu Gray, w przeciwnym kierunku niż pole namiotowe. Był pan w tamtej okolicy?

Ray pokiwał głową.

– Facet, który ją znalazł – Patrick Mathews – zaprowadził nas we właściwe miejsce, nie mamy co do tego wątpliwości. Na ziemi są jeszcze ślady walki, potwierdzające relację Gray, nad przepaścią jest świeża rysa.

– Ale ani śladu ciała?

– Szczerze mówiąc, to nie jest dziwne. – Roześmiał się na widok uniesionych brwi Raya. – Mam na myśli, że często znajdujemy zwłoki dopiero po jakimś czasie. Bywa, że trafia się jakiś samobójca albo niefortunny wypadek po drodze z baru. Morze wyrzuca ciała po kilku dniach, czasem później. Zdarza się też, że w ogóle się nie odnajdują albo odzyskujemy tylko kawałek.

– Co masz na myśli? – zainteresowała się Kate.

– To sześćdziesięciometrowa przepaść – wyjaśnił Frank. – Nawet jeśli podczas upadku nie poobijasz się o skały, to potem będziesz o nie uderzać raz po raz. – Wzruszył ramionami. – Ciała się łatwo rozczłonkowują.

– Chryste – przeraziła się Kate. – Chyba zrezygnuję z przeprowadzki nad morze.

Frank się uśmiechnął.

– Na pewno nie skusicie się na hinduską kolację? Kiedyś rozważałem przeniesienie do Avon i Somerset – chętnie bym posłuchał, co straciłem. – Wstał.

– I tak mieliśmy zamiar coś przekąsić. – Kate zawahała się i popatrzyła na Raya.

– Chodźcie – zachęcał Frank. – Będzie wesoło. Przyjdzie większość osób z biura kryminalnego i kilku mundurowych. – Zaprowadził ich do recepcji i ucisnął obojgu dłonie. – Kończymy tutaj. Za pół godziny powinniśmy być w „Raju” na High Street. Rozwiązanie tej sprawy to wasz wielki sukces, prawda? Powinniście zaszaleć i przeciągnąć delegację! Uczcić to w wielkim stylu.

Pożegnali się i poszli do samochodu, Rayowi zaburczało w brzuchu. Kurczak jalfrezi i zimne piwo – tego potrzebował po takim dniu jak dzisiejszy. Zerknął na Kate. Chętnie pogadałby o niczym i pożartował z chłopakami ze Swansea. Szkoda by było od razu odjeżdżać, Frank miał rację, bez problemu mogliby zostać na noc. Mógłby powiedzieć, że wyjaśnianie wszystkich szczegółów zajęło im dwa dni.

– Chodźmy. – Kate zatrzymała się i stanęła na wprost Raya. – Będzie wesoło. On ma rację – powinniśmy to uczcić. – Dzieliła ich bardzo mała odległość, niemal się dotykali. Ray wyobraził sobie, jak wychodzą wieczorem z restauracji, tylko we dwoje. Zapewne wstąpią gdzieś na drinka i pójdą do hotelu. Przełknął ślinę na myśl, co mogłoby nastąpić później.

– Innym razem.

Wolno pokiwała głową.

– Jasne.

Poszła do samochodu. Ray napisał wiadomość do Mags:

Wracam do domu. Masz ochotę na chińszczyznę?

ROZDZIAŁ 53

Pielęgniarki są bardzo miłe. Opatrują moje rany wprawnie i dyskretnie. Nie złością się, kiedy pytam po sto razy, czy lan na pewno nie żyje.

– Już po wszystkim, proszę odpocząć – mówi lekarz.

Nie czuję się wolna, nie czuję wielkiej ulgi. Tylko potworne zmęczenie, które nie mija. Patrick nie chce mnie zostawić nawet na chwilę. Kiedy budzę się kilka razy w ciągu nocy, zawsze jest przy mnie i pomaga przegonić koszmary. Wreszcie zgadzam się, żeby pielęgniarka podała mi coś na uspokojenie. Wydaje mi się, że Patrick rozmawia z kimś przez telefon. Zasypiam, nie zdążywszy zapytać kto to.

Kiedy otwieram oczy, słońce prześwieca przez żaluzje, malując świetliste paski na pościeli. Na stoliku obok łóżka stoi taca.

– Herbata już wystygła. – Patrick dba, by nic mi nie brakowało. – Poproszę kogoś o przyniesienie świeżej.

– Nie trzeba. – Próbuję usiąść, ostrożnie dotykam obolałej szyi. Patrick dostaje sygnał wiadomości i unosi telefon, by ją przeczytać.

– O co chodzi?

– Nic takiego. – Zmienia temat. – Lekarz mówi, że wszystkie kości są całe, a stłuczenia będą boleć jeszcze przez kilka dni. Dostałaś jakąś maść, masz się smarować codziennie, żeby zapobiec wysuszeniu skóry po kontakcie z detergentem.

Podkurczam nogi, robiąc mu miejsce na łóżku obok siebie. Ma zatroskany wyraz twarzy, przysporzyłam mu tyle zmartwień.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Nie mogę się doczekać powrotu do domu.

Patrzy na mnie badawczo. Chce odgadnąć, co do niego czuję, ale ja sama jeszcze tego nie wiem. Wiem natomiast, że nie mogę ufać własnej ocenie. Zmuszam się do uśmiechu na znak, że naprawdę nic mi nie jest, i zamykam oczy, prawdę mówiąc, po to, by uniknąć spojrzenia Patricka.

Budzi mnie odgłos kroków w korytarzu. Myślę, że to lekarz, ale po chwili słyszę, że Patrick z kimś rozmawia.

– Jest w środku. Pójdę na stołówkę po kawę, zostawię was.

Nie mam pojęcia, kto to może być. Nawet kiedy już widzę w progu szczupłą sylwetkę, odzianą w żółty płaszcz z dużymi guzikami, nie jestem pewna. Otwieram usta, ale nie mogę wykrztusić ani słowa przez ściśnięte gardło.

Eve podbiega i przytula mnie mocno.

– Strasznie za tobą tęskniłam!

Tulimy się i szlochamy. Potem siadamy na łóżku na wprost siebie ze skrzyżowanymi nogami, trzymając się za ręce. Siadywałyśmy tak w naszym wspólnym pokoju, gdy byłyśmy małe.

– Obciąłaś włosy – mówię. – Pasuje ci ta fryzura.

Eve dotyka gładkich włosów ściętych na pazia.

– Jeff woli dłuższe, ale mnie odpowiada taka długość. Przy okazji przesyła pozdrowienia. Och, a dzieci zrobiły to dla ciebie. – Wyjmuje z torebki pognieciony rysunek złożony na pół, z życzeniami powrotu do zdrowia. – Powiedziałam im, że jesteś w szpitalu. Myślą, że masz ospę.

Patrzę na swoją podobiznę – leżę na szpitalnym łóżku obsypana krostami. Parskam śmiechem.

– Stęskniłam się za nimi. Za wami wszystkimi.

– A my za tobą. – Eve bierze głęboki wdech. – Nie powinnam była mówić tego, co powiedziałam. Nie miałam prawa.

Wspominam pobyt w szpitalu po urodzeniu Bena. Łóżeczko z pleksiglasu nadal stało obok mojego łóżka, nikt nie pomyślał, żeby zabrać. Jego widok sprawiał ból. Eve o niczym nie wiedziała przed przyjazdem do szpitala, ale z jej twarzy wyczytałam, że któraś z pielęgniarek już ją poinformowała. Wepchnęła na dno torby pięknie zapakowany prezent, papier rozdarł się i pogniół w rezultacie jej zmagania, aby go przede mną ukryć. Zastanawiałam

się, co zrobi z zawartością – czy jakieś inne dziecko będzie nosić ubranko wybrane dla mojego syna?

Na początku milczała, a potem nie mogła przestać mówić.

– Ian ci coś zrobił? To on, prawda?

Odwróciłam głowę, zobaczyłam puste łóżeczko i zamknęłam oczy. Eve nigdy nie ufała Ianowi, chociaż on bardzo się pilnował, aby nikt nie widział jego wybuchów gniewu. Zaprzeczałam, że cokolwiek jest nie w porządku: najpierw zbyt oślepiona miłością, by zobaczyć sygnały ostrzegawcze, a potem ze wstydu, że tak długo trwałam przy człowieku, który się nade mną znęcał.

Marzyłam wtedy, żeby mnie zwyczajnie przytuliła. Chciałam się do niej mocno przytulić, by ukoić obezwładniający ból. Ale moja siostra była wściekła, jej własna rozpacz domagała się odpowiedzi, wyjaśnień, winnego.

– To niebezpieczny człowiek – powiedziała. Zacisnęłam powieki, nie chcąc słuchać jej tyrady. – Ty tego nie widzisz, ale ja owszem. Powinnaś była od niego odejść, kiedy tylko dowiedziałaś się o ciąży. Może twoje dziecko nadal by żyło. Jesteś tak samo winna jak on.

Otworzyłam oczy, w których malowało się przerażenie. Słowa Eve ugodziły mnie do żywego.

– Wyjdź – powiedziałam łamiącym się głosem, lecz stanowczo. – To moje życie, nie masz prawa mi mówić, co mam robić. Wyjdź! Nie chcę cię więcej widzieć.

Wybiegła z oddziału. Z rozpaczą przyciskałam dłonie do pustego brzucha. To szczerłość Eve dotknęła mnie tak boleśnie. Moja siostra miała rację. Ben zginął z mojej winy.

Usiłowała się ze mną skontaktować przez kilka tygodni, nie chciałam z nią rozmawiać. Potem przestała próbować.

– Poznałaś się na nim – mówię teraz. – Powinnam była cię posłuchać.

– Kochałaś go – stwierdza prostolinijnie. – Tak jak mama kochała tatę.

Prostuję plecy.

– Co ty mówisz?

Widzę, że się waha. Próbuje zdecydować, ile mi powiedzieć. Potrząsam głową, ponieważ nagle dociera do mnie coś, co wypierałam jako dziecko.

– On ją bił, tak?

Bez słowa kiwa głową.

Myślę o swoim przystojnym, mądrym ojcu, który zawsze miał w zanadrzu zabawne historyjki. Brał mnie na ręce i kręciliśmy się razem w kółko – nawet kiedy byłam już za duża na takie zabawy. Myślę o mamie: cichej, chłodnej, pełnej rezerwy. Jakże jej nienawidziałam, nie mogłam wybaczyć, że pozwoliła mu odejść.

– Znosiła to przez całe lata – wspomina Eve. – Aż do tamtego dnia, gdy po powrocie ze szkoły weszłam do kuchni i zobaczyłam, że bije mamę. Krzyknęłam, żeby natychmiast przestał. Odwrócił się i uderzył mnie w twarz.

– O Boże, Eve! – Jestem wstrząśnięta tym, jak bardzo różnią się nasze wspomnienia z dzieciństwa.

– Przeraził się. Przepraszał. Twierdził, że mnie nie widział. Za to ja widziałam wyraz jego oczu tuż przed tym, nim mnie uderzył. Ział nienawiścią. Naprawdę wierzę, że byłby zdolny mnie wtedy zabić. W tamtym momencie w mamie zaszła jakaś zmiana. Kazała mu wyjść i posłuchał bez słowa.

– Nie było go już, kiedy wróciłam z lekcji baletu. – Wspominam własną rozpacz.

– Mama zagroziła, że pójdzie na policję, jeżeli kiedykolwiek się do nas zbliży. Serce pękało jej z żalu, że zabiera nam ojca, ale musiała nas chronić. Tak mi powiedziała.

– Mnie nigdy nie powiedziała. – Nie dałam jej szansy, myślę. Zastanawiam się, jak mogłam tak błędnie interpretować rzeczywistość. Żałuję, że mamy już nie ma i nie mogę jej przeprosić.

Zalewa mnie fala smutku i zaczynam płakać.

– Wiem, kochanie, wiem. – Eve gładzi mnie po włosach, zupełnie jak w dzieciństwie. Przytula mnie i płaczemy razem.

Zostaje ze mną przez dwie godziny. Patrick krąży między moim łóżkiem a stołówką. Chciałby zostawić nas same, ale też niepokoi się, że spotkanie po latach za bardzo mnie zmęczy.

Eve zostawia mi stertę magazynów, których nie mam zamiaru czytać. Obiecuje, że odwiedzi mnie w domu. Lekarz zapewnia, że będę mogła tam wrócić za dzień lub dwa.

Patrick ściska mnie za rękę.

– lestyn ma zamiar wysłać dwóch chłopaków z gospodarstwa, żeby posprzątaли dom i zmienili zamek. Będziesz pewna, że masz jedyny klucz. – Musiał wyczytać lęk w moich oczach, gdyż dodał: – Usuną wszystkie ślady. Jakby nic się nie stało.

Nie, tak nigdy nie będzie, zaprzeczam w duchu.

Odwzajemniam uścisk. Patrzę w jego szczerą, miłą twarz i myślę, że mimo wszystko życie może toczyć się dalej z tym mężczyzną. Mogę być jeszcze bardzo szczęśliwa.

EPILOG

Wieczory stały się dłuższe, Penfach żyje swoim naturalnym rytmem, przerywanym letnim najazdem turystów. Powietrze pachnie solą i kremem z filtrem, w sklepiku panuje ciągły ruch. Pole namiotowe jest otwarte, Bethan pomalowała ściany i wypełniła półki wakacyjnym asortymentem.

Przyjezdnych nie interesuje miejscowy skandal, a mieszkańcy wioski, ku mojej uldze, szybko tracą zainteresowanie analizowaniem wciąż tych samych informacji. Do czasu gdy noce znów zaczęły się wydłużać, plotki ucichły niemal zupełnie z powodu braku świeżych danych oraz stanowczej postawy Bethan i lestyna, którzy natychmiast prostowali każdą nieprawdziwą pogłoskę. Wkrótce zwinięto ostatni namiot, kupiono ostatnie plastikowe wiaderko z łopatką, zjedzono ostatniego loda i przeszłość poszła w zapomnienie. Pogardę i zamknięte drzwi zastąpiły uczynność i otwarte ramiona.

Zgodnie z obietnicą lestyn posprzątał dom. Wymienił zamki, wstawił nowe okna, zamalował napis na drzwiach, usunął wszelkie ślady minionych zdarzeń. Nigdy nie zdołam wymazać z pamięci tamtej nocy, ale nadal chcę tu być, wysoko, na szczycie urwiska, wśród podmuchów wiatru. Jestem szczęśliwa w swoim domu, odmawiam lanowi prawa do zniszczenia kolejnej części mojego życia.

Sięgam po smycz, Beau już stoi pod drzwiami, gdy wkładam płaszcz. Czeka na ostatni spacer przed snem. Nadal nie mogę się przyzwyczaić do zostawiania otwartych drzwi, gdy wychodzę, lecz kiedy jestem w domu, już

ich nie zamykam i nie podskakuję ze strachu, gdy Bethan wchodzi bez pukania.

Patrick nocuje u mnie bardzo często. Nauczył się rozpoznawać, kiedy muszę zostać sama. Reaguje natychmiast, bo potrzeba samotności jest rzadka, ale bardzo pilna. Dyskretnie jedzie wtedy do siebie, zostawiając mnie z moimi myślami.

Patrzę w dół na zatokę w trakcie przyływu. Na piasku są ślady psich łap i butów właścicieli oraz mew, które przysiadają w poszukiwaniu robaków. Jest już późno, nikt inny nie spaceruje o tej porze ścieżką nad urwiskiem. Nowo postawiona barierka przypomina o niebezpieczeństwie. Wzdrygam się, nagle ogarnięta dojmującym poczuciem samotności. Chciałabym, żeby Patrick wrócił dziś na noc.

Fale uderzają o brzeg, język białej piany pojawia się i znika. Każda fala podchodzi odrobinę dalej niż poprzednia, by po chwili odstąpić na kilka sekund mokry, lśniący piasek. Za nią nadchodzi kolejna. Już mam się odwrócić, kiedy dostrzegam jakiś napis. Znika w mgnieniu oka. Morze zabiera litery. Nie jestem pewna, czy w ogóle tam były. Woda połyskuje w promieniach zachodzącego słońca. Kręcę głową i zawracam w stronę domu, jednak coś mnie przyciąga z powrotem. Staję tak blisko krawędzi przepaści, jak to możliwe, i patrzę w dół, na plażę.

Niczego tam nie ma.

Owijam się szczelniej płaszczem, ogarnia mnie nagły chłód. Mam przywidzenia. Nie ma żadnego napisu na piasku. Nie ma wielkich, drukowanych liter. Nie ma tego. Nie widzę swojego imienia.

Jennifer.

Kolejna fala zmywa ślady na piasku. Ostatnia mewa przelatuje nad zatoką, słońce chowa się za horyzont.

Zapada ciemność.

OD AUTORA

W 1999 roku rozpoczęłam szkolenie policyjne, a rok później dostałam pracę na posterunku w Oksfordzie. W grudniu 2000 roku na oksfordzkim osiedlu Blackbird Leys zginął dziewięcioletni chłopiec, został przejechany przez amatorów przejażdżki kradzionym samochodem. Szczegółowe dochodzenie policyjne trwało cztery lata, zanim padło orzeczenie o

zabójstwie. Ta sprawa stanowiła tło moich pierwszych lat służby policyjnej i nadal była w toku, gdy trzy lata później dołączyłam do ekipy Wydziału Kryminalnego.

Za wskazanie sprawcy wyznaczono nagrodę pieniężną oraz obiecano nietykalność pasażerowi w zamian za wskazanie kierowcy samochodu, pod którego kołami zginęło dziecko. Aresztowano kilka osób, lecz nikomu nie postawiono zarzutów.

Następstwa tej zbrodni miały na mnie ogromny wpływ. Usiłowałam zrozumieć, jak zabójca mógł dalej żyć ze świadomością tego, co zrobił. Jak pasażer mógł milczeć przez tyle lat? Czy matka chłopca kiedykolwiek zdołała się pogodzić z potworną stratą? Fascynowały mnie doniesienia po każdym publicznym apelu i gorliwa skrupulatność, z jaką policjanci analizowali każdy strzępek informacji w nadziei na znalezienie brakującego ogniwa.

Wiele lat później, gdy sama straciłam syna – w zupełnie inny sposób – doświadczyłam na własnej skórze, do jakiego stopnia emocje mogą zaciemniać ocenę sytuacji i rzutować na zachowanie. Żal i poczucie winy bywają niewyobrażalnie silne, zaczęłam się zastanawiać, jak mogłyby wpłynąć na dwie kobiety zamieszane w różne okoliczności jednego wypadku. Pozwalam ci odejść jest rezultatem tych przemyśleń.
